WHISPERING RANGE

BY ERNEST HAYCOX



Ernest Haycox

Szepczące Góry

(Whispering Range)

Pierwsze wydanie: „West”, 15 Oct – 10 Dec 1930
Pierwsze wydanie książkowe: Doubleday Doran, New York, 1930

Rozdział I

Sundown

Eve Leverage wyszła z hotelu jak jakiś chłopiec - szybko, swobodnie, z ustami złożonymi, jakby pogwizdywała pod nosem. Spojrzenie jej szarych oczu omiotło ulicę w widocznym wyczekiwaniem, a zadarty nosek zmarszczył się w ochronie przed gorącym słońcem. Dwóch tyczkowatych poganiaczy bydła, którzy zdawali polegiwać w półprzytomnym stanie na schodach werandy, pozbierało się i stanęło przed nią, mrucząc zgodnym chórem:

— Dobry, panno Eve.

Zadumanie Eve rozpłynęło się w szczerym, jasnym uśmiechu.

— Witaj, Pete. Witaj, Buck. Widzę, że jak zwykle, mocno zajęci.

Potem zatrzymała się tak gwałtownie, że jeden z mężczyzn wyciągnął w jej stronę rękę, sądząc, iż za chwilę potknie się na schodach. Eve nawet nie zauważyła tego gestu. Jej wędrujące wzdłuż ulicy spojrzenie, znalazło poszukiwany cel. W tłumie ludzi wyłowiło ono Davida Denvera, powoli kroczącego przed siebie. Na policzkach Eve pojawił się cień koralowego różu; popatrzyła jeszcze raz na panów Bucka Meemsa i Pete'a Wango, po czym zajrzała do torebki.

— Co się stało z tym listem? — spytała dwu niezbyt rozgarniętych synów prerii. — Miałam go przed chwilą w rękach.

Obaj dżentelmeni wzdrygnęli się, jakby to ich oskarżono o kradzież. Wango, z prymką w ustach, nie odezwał się. Lecz Meems był bardziej rozgarniętym człowiekiem i podjął próbę jakiejś inteligentnej konwersacji.

— Czy to było… ehm… coś ważnego, psze pani?

— Nie masz nawet pojęcia — odpowiedziała mu tajemniczo Eve. — Teraz muszę tego poszukać.

Odwróciła się do drzwi, obrzuciła otoczenie kolejnym szybkim spojrzeniem i zatrzymała się w połowie otworu wejściowego, by obserwować Denvera; dla niej ulica, szeroka, zakurzona i gorąca, wypełniła się nagle istotnymi rzeczami.

David Denver - Czarny Dave Denver - zbliżał się, krocząc z pełnym komfortu rozleniwieniem. Kapelusz miał odchylony do tyłu, a twarz zwróconą w stronę Cala Steele'a, który szedł obok niego i opowiadał mu jakąś historyjkę, gestykulując przy tym mocno rękoma. Denver skinął głową, maska ciężkiej powagi na jego twarzy rozjaśniła się lekko. Dziewczyna żałowała, że nie zna żadnej takiej historyjki, bo niewielu ludzi potrafiło wywołać uśmiech na twarzy Dave'a Denvera. Steele był właściwie jedynym, który był w stanie wyciągnąć Denvera z tych jego ponurych i mrocznych nastrojów, które tak często go nawiedzały.

Obaj zatrzymali się. Przyłączył się do nich Al Niland, a wkrótce później z Grogan's Western Star wyszedł Steve Steers. Tak więc cała ta czwórka zeszła się razem, co było nieuniknione, gdy już znaleźli się w pobliżu siebie. Chociaż różnili się pod wieloma względami i tworzyli bardzo bogate spektrum osobowości, mieli jednak pewną wspólną cechę, która cementowała głęboką przyjaźń między nimi. Dziewczyna często się nad tym zastanawiała, i w tej chwili ponownie zaczęła obracać w głowie ten problem. Al Niland był prawnikiem, lubiącym brać sprawy biednych ludzi i walczyć o nie z ironiczną energią. Steve Steers był wędrownym poganiaczem bydła, który, choć byłby mile widziany na każdym ranczu, wolał jednak w samotności włóczyć się swobodnie po wzgórzach. Cal Steele posiadał małe gospodarstwo, w pobliżu rancza „D Slash" Dave'a Denvera, i z całej grupy ten człowiek był najbardziej błyskotliwy, najbardziej zmienny i najbardziej rozrzutny co do wykazywanej energii oraz talentów. Wszyscy byli młodzi i wszyscy byli wojownikami. Lecz dziewczyna, doszukując się głębszych powodów tej przyjaźni, wiedziała, że łączy ich jakaś głębsza cecha. Byli ludźmi niespokojnymi, nonkonformistami; każdy z nich był skrajnym indywidualistą i nie miał złudzeń co do otaczającego ich świata. Podobnie jak u Dave'a Denvera, u pozostałych również można było dostrzec wyraźnie widoczną smużkę ponurości.

Dziewczyna westchnęła, widząc, jak uśmiech Denvera gaśnie, a rysy jego śmiałej twarzy ponownie zastygają. Pozostali uśmiechali się jeszcze wesoło na wspomnienie jakiejś szalonej historyjki opowiedzianej przez Steve'a Steersa, ale chwila zapomnienia Denvera już minęła i znów powrócił do burzliwej, niespokojnej strony swojej natury. Słońce pierwszego gorącego dnia młodego roku, dotarło do punktu południa i padło na pokryte pęcherzami farby budynki miasteczka, na sosnowe atrapy frontów, bielone ściany, kamienną wieżyczkę sądu, na zaciągnięte zasłony okien na drugich piętrach. Zabrzmiał dzwon na obiad. Buck Meems popatrzył na swojego partnera.

— Zabawna sprawa, Pete. Wszyscy uważają Denvera za wielkiego faceta. Ty, ja, wszyscy. Ale spójrz tylko, jak stoi obok Ala Nilanda i nie jest ani o cal wyższy, ani o funt cięższy od niego. Al ma nie więcej niż pięć stóp i jedenaście cali, a nie waży nawet stu siedemdziesięciu funtów. Rozumiesz? Denver nie jest tak naprawdę wielki, gdy znajduje się wśród innych. Dopiero kiedy jest sam, wygląda jak kroczący ulicą młody olbrzym. Zabawne, co, Pete?

— Chyba zaraz padnę ze śmiechu — mruknął zaspany Wango. — Walnął cię kiedyś po plecach?

— Nie.

— No to, spróbuj tego kiedyś i zobaczysz, czy jest w tym coś zabawnego.

Buck Meems nie był człowiekiem, łatwo odrzucającym idee. Zawzięcie wgryzał się w nie, a jego nieprzywykły do myślenia umysł niemal słyszalnie potrzaskiwał od wytężonej pracy.

— Powodem, dla którego wygląda na tak wielkiego, kiedy jest sam, jest fakt, że to my oczekujemy od niego, iż będzie duży. Rozumiesz, Pete?

Wielkie rzeczy robione są przez wielkich ludzi, w wielki sposób. Rozumiesz?

— Z trudem, ale nadążam za tobą — przyznał Pete.

— On jest duży — ciągnął z uporem Buck Meems, próbując wycisnąć ze swych myśli ostatnie krople sensu, — ponieważ nawet jeśli w rzeczywistości nigdy nie był wielki, jest wielki ze względu na wielki sposób, w jaki robi wielkie rzeczy...

— Na miłość boską — jęknął Wango — rusz głową i wyrzuć to z siebie.

Meems, uciszony, pogrążył się w mrocznych rozmyślaniach.

— Założę się — w końcu oznajmił — że gdyby ktoś wpakował ci kulkę w makówkę, grzechotałaby jak grosz w blaszanym kubku. Chodźmy coś zjeść.

— Dzięki, za propozycję opłacenia mojego obiadu — odparł Wango i natychmiast wstał.

— A kto mówił cokolwiek o... — wybuchnął Meems i zdał sobie sprawę z obecności dziewczyny.

Obaj przetoczyli się koło niej, niknąc za drzwiami hotelu, i słyszała już jedynie szmer ich kłótni. Denver oderwał się od swych przyjaciół i ruszył dalej, co spowodowało, że różany kolor na policzkach Eve Leverage zaczął się pogłębiać. Przeszła niby przypadkowo przez werandę. Denver odwrócił się i stanął przed nią, powoli unosząc kapelusz. Dziewczyna, która znała nastroje tego człowieka lepiej niż on sam je sobie uświadamiał, dostrzegła, że wokół jego oczu pojawiły się leciutkie zmarszczki przyjemności, i dzięki temu sygnałowi jej podbródek uniósł się radośnie.

— Mamy czwartek — zastanawiał się spokojnym, chrapliwym głosem — cóż więc cię sprowadza do miasteczka w środku tygodnia?

— Tata miał jakieś sprawy, przyjechałam z nim. Ale — i przybrała kpiącą postawę — jeśli nie życzysz sobie abym przebywała w Sundown, to oczywiście wsiadam na wóz i jadę do domu.

— To niezbyt dobry pomysł — zdecydował. — Powinnaś czekać dokładnie w tym miejscu i chwili, i rozweselić posępnemu człowiekowi posępny dzień.

— Król i władca przemówił — westchnęła Eve — a biedna panna powinna drżeć ze strachu. Jaka będzie twa wola, mój wielki i dobry panie?

Odsunął głowę na bok i popatrzył na nią groźnym spojrzeniem.

— To — zastanowił się — nosi wszelkie znamiona zakamuflowanej krytyki. Małe dziewczynki powinny mieć więcej szacunku dla wieku.

— Och, moje wykształcenie zdaje się poszło zupełnie w las, drogi panie Denver. Ale czy nie sądzisz, że nadszedł już czas, by porzucić to irracjonalne przekonanie, że wciąż jestem małą dziewczynką? Myślisz tak od dziesięciu lat. Ludzie dorastają.

Z doskonałą powagą na twarzy zaczął mierzyć ją wzrokiem przez tak długi czas, że zaczęła tracić swój chłodny spokój. Ten mężczyzna potrafił zmienić swoją twarz w maskę i rzadko było wiadomo, czy mówi poważnie, czy też za surowo wymodelowanymi rysami jego twarzy nie kryje się delikatny żart.

— Mogłabyś być zaskoczona — zauważył w końcu — tym jak często zmieniam zdanie na twój temat, Eve.

— To interesujące. Musisz mi powiedzieć coś więcej.
— Dokładnie, jak kobieta. Czy ty kiedykolwiek jadasz?
— Zdarzało mi się.
— No cóż, wyglądasz teraz na głodną, a ja jestem w charytatywnym nastroju.
— Zjem dużo i wystawię solidny rachunek - ostrzegła go. — I musisz zamówić dla mnie cały słoik pikli. Oczekuję tego od każdego dżentelmena, który zabiera mnie na kolację.
— Pikle dla dorosłej damy — zgodził się uroczyście Dave Denver i podążył za nią do wnętrza sali jadalnej. Zajęli stolik w rogu i obserwowali, jak przez drzwi wlewają się głodni mieszkańcy Sundown. Spojrzenie Denvera wędrowało po sali, zaś Eve, doświadczając dziwnego uczucia, składającego się na poły z dumy, a na poły z zazdrości, dostrzegła, że jedna z kelnerek pozostawiła duży stół i podeszła do nich. Ten człowiek w jakiś szczególny sposób miał dar wzbudzania lojalności. Mijający ich ludzie rozmawiali z nim, mówiąc do niego z tą miękką, nieuchwytną uprzejmością, równego z równym. Trójka jego wiernych druhów także weszła do środka, lecz chociaż było dla nich miejsce przy ich stoliku, kiwnęli mu tylko głowami i udali się do innych, oferując mu chwilę prywatności, której zdawał się pragnąć. Pułkownik Fear Langdell zatrzymał się na chwilę, ukłonił Eve i odezwał się cicho do Dave'a Denvera.
— Spotkanie Stowarzyszenia o drugiej, Dave.
Denver skinął w odpowiedzi głową i Langdell odszedł, szczupły, wyprostowany, zniszczony wiekiem człowiek, w pełni świadomy posiadanej władzy. Eve, pałaszując z bezwstydnym wigorem młodości, wiedziała, że nie dla każdego, a w istocie nawet dla niezbyt wielu ludzi, Fear Langdell miałby takie specjalne względy. Bez względu na to, w jakim towarzystwie znajdował się Dave Denver i jak spokojnie siedział, efekt jego obecności był odczuwalny tak samo, jak w sali jadalnej.
Pamiętając przemowę Bucka Meemsa, z sympatią przestudiowała wzrokiem postać Denvera. Poganiacz miał rację. Denver nie był przesadnie duży. Jej własny ojciec był równie wysoki i mocno zbudowany. Wynik tego porównania w jakiś sposób ją zaskoczył, ponieważ zawsze uważała Denvera za znacznie większego od innych. Różnica, jak odkryła, leżała gdzie indziej - w dużych nadgarstkach Denvera, w jego szerokich ramionach, w niesymetrycznej śmiałości jego twarzy. Na ciemnym policzku widniała blizna w kształcie półksiężyca, czarne włosy buntowniczo otaczały mu głowę, zaś oczy były głęboko osadzone, fioletowe, z widocznymi plamkami w innych kolorach. To tutaj tkwiła różnica – to tutaj kryło się jądro siły, która tak zdecydowanie go naznaczała.
— Kiedy skończysz swoje dochodzenie — mruknął — chciałbym poznać werdykt.
Pozbierała się i opuściła wzrok.
— Najwyraźniej czytasz w myślach, Davidzie.
Cienie opuściły rysy jego twarzy; z oczu błysnął mu humor.
— Nie, ale potrafię czytać w twarzach małych dziewczynek.
— W tym przypadku dużej dziewczynki.

— W takim razie dużych dziewczynek. — Nachylił się do przodu. — Dlaczego tak bardzo chcesz dorosnąć?

— Już dorosłam. Mam dwadzieścia lat i jestem równie stara i mądra, jak będę już zawsze. Powinieneś to wiedzieć o kobietach.

— Tak? A skąd niby miałbym czerpać informacje?

— Opowiadano mi, że w kontaktach z kobietami odnosisz raczej sukcesy — rzuciła Eve, patrząc mu prosto w oczy. Strzał trafił w samą dziesiątkę. Głęboko osadzone oczy zasnuła burza, a potem szybko się rozjaśniły.

— Nie wierz w nic, co słyszysz i tylko w połowę tego, co widzisz — odpowiedział sentencjonalnie. — A tamto w twoich ustach, nie zabrzmiało zbyt dobrze, Eve.

— Och, bzdury! — wykrzyknęła dziewczyna. — Myślisz sobie, że jestem jakimś manekinem owiniętym w pięć jardów kolorowego materiału? Ale pewnie muszę zachowywać się potulnie albo zostanę odesłana od stołu.

Zaśmiał się.

— Chyba jednak dorosłaś, bo nauczyłaś się, jak zbić mężczyznę z tropu. Pytałem cię tylko, dlaczego tak bardzo ci się spieszy, aby rozkwitnąć jako kobieta. Czy na tym świecie nie ma wystarczająco wielu smutnych spraw, aby śpieszyć się na ich spotkanie?

— Obawiam się — odparła Eve, o wiele poważniej niż do tej pory - że ja ci tego nie powiem. Pewnego dnia być może sam się tego dowiesz.

— Kiedy już zdobędę więcej wykształcenia? — odparł ponuro.

Ojciec Eve, Jake Leverage, wszedł do Sali jadalnej i podszedł do nich.

— Jedno z was zdecydowanie znalazło się w złym towarzystwie — zauważył żartobliwie — lecz nie przysiągłbym, które. — Usiadł i sięgnął po półmisek. — Dużo bydła zamierzasz tej wiosny przeznaczyć na wołowinę, Dave?

— Nie. Rynek jest zbyt zawalony. Wstrzymam się trochę.

— Kiedy człowiek mówi z taką swobodą, przyjmuję, że nie ma żadnych kredytów na hipotece, o które musiałby się martwić — chrząknął Leverage, gładząc brodę.

— Pozwalam te zmartwienia bankierom — odpowiedział sucho Denver. — Wygląda na to, że nieźle prosperują i bogacą się, czemu więc im na to nie pozwolić?

— Zawsze miałeś talent do prowadzenia własnego show — zgodził się Leverage. — Ale bardziej bezpośrednie pytanie brzmi: czy straciłeś jakieś bydło, które by dziwnie zniknęło?

— Bydłokrady nie lubią mojej wołowiny, Jake.

— Tak? No to masz szczęście. Nie wiem, ku czemu zmierza ten kraj. Coś trzeba z tym zrobić. Nie wymieniam żadnych nazwisk, lecz...

— Czy przypadkiem znasz może jakieś nazwiska, o których mógłbyś wspomnieć?

Leverage wyglądał odrobinę nieswojo, a Eve obserwowała Denvera ze zmarszczonym czołem.

— Ludzie potrafią myśleć — chrząknął Leverage. — A kiedy piętnaście-dwadzieścia osób myśli tak samo, powiedziałbym, że musi to mieć jakieś podstawy. Idziesz na spotkanie Stowarzyszenia?

— Posłucham, co mają do powiedzenia — zgodził się spokojnie Denver.

— Tym razem to musi być coś więcej niż tylko przysłuchiwanie się. Wiesz równie dobrze jak ja, że takie gierki nie mogą trwać w nieskończoność. Wszystko sprowadza się do tego, kto będzie rządził tym krajem – bandyci i przemoc, czy ranczerzy. To dziwny stan rzeczy, gdy uczciwi ludzie hodują wołowinę, którą kradną oszuści. Nie prowadzę interesów charytatywnie, więc nie zamierzam bawić się w Świętego Mikołaja dla pana... — Powstrzymał się przed pośpiesznymi słowami i poczerwieniał.

— Widzę, że masz na myśli jakiegoś konkretnego dżentelmena — zasugerował Denver.

— I całą jego cholerną świtę — dodał stanowczo Leverage. — Pozostaje nam zagrać w małą grę „radź sobie sam lub giń".

— Potrzeba trzech rzeczy, żeby powiesić człowieka — stwierdził Denver. — Trzeba go złapać, skazać go i znaleźć wystarczająco mocny sznur, by go utrzymał.

— Ten drugi element można uznać za załatwiony od ręki. Z pozostałymi dwoma poradzi sobie spory oddział pościgowy. Posunę się nawet do tego, że sam dostarczę linę. Ale nie wydajesz się być w pełni przekonany do tego pomysłu, Dave. Czy dla ciebie to nic nie znaczy? Powinno. Jesz chleb z tego samego talerza, co reszta ranczerów. To nie czas, by się cofać i wahać.

Denver popatrzył na Eve, po raz kolejny okazując swój zwykły nastrój trzeźwego niedowierzania.

— Ja wierzę w swoją grę i pozwalam innym grać w swoją. Jeśli nadejdzie czas, że będę musiał stawić czoła złodziejom, zrobię to sam, nie prosząc o pomoc. Połowa wielkich hodowców bydła w tym hrabstwie zaczynała od szybkiego lassa i beztroskiego użycia żelaza do znakowania. Teraz, gdy ci sami goście wzbogacili się, zmienili się w uczciwych ludzi i za każdym razem, gdy stracą cielaka, wydają z siebie głośne wrzaski. Niech sami łapią swoich złodziei, zamiast zrzucać ten obowiązek na innych.

— Nie powiesiłbyś złodzieja, któremu udowodniono by winę? — zapytał Leverage.

— Musiałbym się nad tym zastanowić — odpowiedział powoli Denver. — Ten człowiek musiałby być mniejszy i słabszy ode mnie – i to znacznie - zanim wpadłbym na pomysł by wlec go za ręce i nogi.

Leverage pokręcił głową.

— Przykro mi to słyszeć. Tu chodzi o coś gorszego niż przypadek, w którym jakiś tam facet skubnie parę sztuk tu i parę tam. Będziemy musieli walczyć ze zorganizowaną przestępczością. Musimy sami wziąć nasze sprawy w ręce, albo zginiemy. Albo my będziemy prowadzić nasze rancza, albo oni. W takich okolicznościach nie jestem w stanie patrzeć na złodzieja z miękkim sercem.

— Pewnie musiałbym sam zostać uszczypnięty, zanim zacznę wrzeszczeć — odparł Denver, wodząc wzrokiem po sali jadalnej. Do środka

wszedł człowiek z wydrukowaną gazetą i przyczepił ją do ściany; czarna czcionka zapowiadała następującą rozrywkę w mieście Sundown:

LOLA MONTEREY!
I THE WESTERN OPERA COMPANY
ZAPREZENTUJĄ W NASZYM TEATRZE OPEROWYM
DZIŚ WIECZOREM
WASZEGO ULUBIONEGO
HISZPAŃSKIEGO KAWALERA!

LOLA, ŚPIEWAJĄCA PIĘKNOŚĆ Z SUNDOWN,
POWRACA DO MIEJSCA SWEGO URODZENIA
PO TRIUMFALNYM TOURNÉE
PO EUROPIE, ABY ZABAWIĆ DZIŚ WIECZOREM
MIESZKAŃCÓW STAREGO RODZINNEGO MIASTA!

Jake Leverage przebiegł wzrokiem ogłoszenie.

— Musieli chyba całą okolicę oblepić tymi plakatami. Widziałem je prawie na każdym krzaku jałowca, przy drodze. Minęły już ze trzy lata, od czasu gdy widzieliśmy Lolę na scenie, co, Eve? Po co w ogóle wraca na tę spaloną słońcem i pokrytą skorupą soli alkalicznych ziemię? Nie jestem wielbicielem obcych miast, takich jak Yurrup, ale gdybym był dziewczyną z talentem Loli, na pewno nie marnowałbym czasu tutaj. Wyjechałbym i został w dalekim świecie.

Eve próbowała zwrócić na siebie uwagę ojca, ale ten kontynuował swe pochlebstwa.

— Wspaniała dziewczyna. Generalnie nie przepadam za tego rodzaju muzyką la-la-la, ale to była prawdziwa przyjemność siedzieć w starym Palace i słuchać jej śpiewu. Tak, jest. No cóż, pewnie musisz iść na to, co, Eve?

Odwrócił się do córki i z pełną siłą odebrał jej ostrzegawcze spojrzenia. Pokręciła lekko głową, na co starzec mruknął pod nosem i zaczesał wąsy do tyłu, aby dopić resztę kawy. Eve obserwowała Dave'a Denvera Jej szczera twarz wydawała się ostra i zmartwiona. Ten odwrócił się w stronę ogłoszenia i wpatrywał się w nie, a wszystkie rysy jego twarzy przybrały ponury, chmurny wyraz. Przez chwilę wydawało się, że zapomniał o wszystkich innych obecnych w sali ludziach, zapomniał, że w pobliżu są tacy, którzy mogą być zainteresowani obserwacją jego reakcji na widok nazwiska Loli Monterey. Eve wbiła wzrok w stół, dobrze wiedząc, ile szybkich i skrytych spojrzeń rzucano w tej chwili w stronę Dave'a Denvera. Lola wróciła, przynosząc ze sobą powiew starej historii i dawnych plotek.

Denver opanował się i sięgnął po bibułkę do papierosów.

— Taaa — zauważył od niechcenia, — zawsze miała piękny głos. Daleki świat stał się miejscem jej życia.

— Czemu więc miałaby tu wracać? — dopytywał się Leverage i zarobił pod stołem kopniaka w nogę.

— Trudno powiedzieć — zadumał się Denver. — Pewnie Lola sama tego nie wie. Wiele rzeczy robi dokładnie w taki sposób.

— Wszystkie kobiety są takie — chrząknął Leverage i popatrzył na córkę. Bolała go noga.

Na zewnątrz rozlegał się stukot kół dyliżansu Ysabel Junction skręcającego pod kątem prostym z Prairie Street w Main. Za powszechną zgodą ludzie w sali jadalnej przerwali obiad i skierowali się do drzwi. Denver szedł za Leveragem i Eve; dziewczyna, nie wiedząc, czemu miałaby pozwolić sobie na takie słowa, odezwała się przez ramię.

— Stare czasy wracają, Davidzie. Nie cieszysz się?

Natychmiast zrobiło jej się przykro i trochę wstyd, gdy usłyszała powoli wycedzone słowa Denvera.

— Przekonałaś mnie, że nie jesteś już małą dziewczynką, Eve. Nie jestem tylko pewien, czy ta zmiana mi się podoba.

— A dlaczego?

— Małe dziewczynki mają w sobie więcej miłosierdzia niż duże.

Znaleźli się na ganku. Dyliżanse - w tym kursie pojawiły się trzy zamiast jednego - podjechały pod hotelową werandę i zatrzymały się. Jakiś uprzejmy obywatel otworzył drzwi pierwszego powozu i uchylił kapelusza. Z pojazdu wyszła jakaś kobieta i uśmiechnęła się do tłumu błyskiem równych zębów. Eve zacisnęła małe pięści i obejrzała się za siebie, lecz Dave Denver zniknął z ganku i nie było go nigdzie widać. Eve pomyślała, że oczy Loli Monterey przeczesują szeregi zgromadzonych mieszkańców Sundown, z więcej niż przelotnym zainteresowaniem, ale jeśli kobieta była rozczarowana wynikiem tej inspekcji, to była zbyt dobrą aktorką, aby to okazać. Stary Leverage mruknął:

— Na Jodeya, ta dziewczyna jest ładna, Eve. Znacznie przerasta Sundown.

Eve skinęła głową, czując ukłucie bólu w sercu. Burzliwa, ekstrawagancka bywalczyni sal tanecznych sprzed trzech lat, powróciła ze swych podbojów, z pięknymi manierami i dumną pewnością siebie. Jej kruczoczarne włosy mieniły się w słońcu, a szczupła, spiczasta twarz, ujawniająca satynową gładkość hiszpańskiej krwi, kryła w sobie poruszającą godność prawdziwego piękna. Wchodząc po schodach z tą samą gracją, która wydźwignęła ją z ubóstwa i kiepskiego otoczenia, zatrzymała się, odwróciła i ponownie uśmiechnęła się do Sundown. Miękkie i ochrypłe słowa przerwały ciszę z dziwną witalnością.

— Jestem w domu - i bardzo się z tego cieszę.

Po czym weszła do hotelu, zaś reszta trupy operowej podążyła za nią. Obok niech przeszedł jakiś obwoźny sprzedawca, wołając coś serdecznie do swych przyjaciół. Na końcu orszaku kroczył niezwykle wysoki mężczyzna o szczęce, nosie i oczach Anglika. Wyglądał na strasznie zmęczonego, znudzonego i zdziwionego. Przy drzwiach zatrzymał się, by zadać jakieś proszące pytanie jednemu z przechodniów, a ci, którzy znaleźli się najbliżej niego, pochwycili pełny powiew powolnej i bogato niewyraźnej mowy, świeżo przywianej znad mglistych brzegów Albionu.

— Mój przyjacielu, w jednej z moich szelek pękł szew. Czy mógłby mnie pan skierować do miejscowej pasmanterii?

Tłum się rozchodził. Leverage odwrócił się do córki.

— Sądzę, że będziesz chciała zobaczyć dzisiejsze przedstawienie, co?

— Tak — odparła Eve — ale dlaczego, u licha, wspomniałaś o tym przy Davidzie? Przez to poczułam się tak mała, jak...

— Dobry Boże, dlaczego? — zaczął się dopytywać zdumiony Leverage. — To nie żadna zbrodnia.

— Myślisz, że chciałabym, aby pomyślał, że czekam na jego zaproszenie? I nie powinieneś przy nim wspominać o Loli, tato.

Leverage pokręcił głową.

— Kobiety mnie dobijają. Niech mnie diabli, jeśli tak nie jest. A teraz taki dzieciak jak ty musiał wstąpić w ich szeregi. W takim razie, zostaniemy na noc.

— Pójdziemy prosto do domu — poprawiła go Eve — żebym mogła się przebrać. Nie chodzi się na przedstawienia w prostych bawełnianych sukienkach w kratkę, a poza tym jest jeszcze Mama.

— Popatrz, popatrz — uśmiechnął się Leverage. — Nie zapominaj, że najważniejsza ceremonia, jaką do tej pory przeszłaś, czyli narodziny, nie wymagała żadnego ubrania. A ja spotkałem się z trzema senatorami i gubernatorem, mając na sobie jedynie kombinezon z czerwoną flanelową łatą na siedzeniu. Ale możesz pojechać do domu i wrócić, choć Mama z pewnością nie będzie chciała. Wiem z doświadczenia, że lepiej się z nią nie spierać. Poczekaj tylko, aż porozmawiam żeby Joe Peake cię zabrał. Ja muszę zostać w mieście, na spotkaniu Stowarzyszenia.

Eve uśmiechnęła się do ojca i wyszła na ulicę, zostawiając werandę opustoszałą z wyjątkiem dwóch rozlazłych dżentelmenów, którzy jakimś sposobem byli świadkami wszystkich ostatnich emocjonujących wydarzeń, z wygodnego punktu obserwacyjnego bujaków na werandzie.

— Buck — spytał Wango, — co to za szelki, o których miauczał ten Anglik?

— Gdzieś słyszałem, że ci goście nazywają szelkami paski na których wiszą spodnie — odpowiedział Meems.

— Do diabła, czy to nie dziwne? A co to w ogóle jest ta pasmanteria?

— Twoja kolej, na rozwiązywanie zagadek — odparł Meems. — Ja już swoje zrobiłem.

— No cóż, — warknął Wango, — on chyba nie myśli sobie, że ktoś tutaj będzie się zajmował takim obcym szajsem.

— Lola bez wątpienia wyglądała ślicznie — wygłosił refleksję Meems.

— Taaa. Zdaje się, że Denver też tak uważa.

— Zamknij się — napomniał go Meems bez żaru. — Nie wyciągaj trupów z szafy.

— Chyba nie zebrało ci się na moralizowanie? Wybacz więc, że żuję w twojej obecności tytoń. Zastanawiam się jednak, jakim cudem dzisiejszy dyliżans przejechał bez żadnych emocji. Wiesz przecież, że w skrzyni Wells-Fargo powinny być w tym kursie pieniądze.

— Nie melodramatyzuj, Wango. Kto przywiózłby pieniądze do takiej dziury jak Sundown?

— Coś tam słyszałem — stwierdził leniwie Wango. — No cóż, może Lou Redmain dzisiaj zaspał.

Buck Meems podniósł się z głębin swego fotela, popatrzył na swojego partnera przenikliwym wzrokiem i zimno oznajmił:

— Na twoim miejscu, Pete, wziąłbym szpulkę nici i zaszył to coś, co nazywasz jadaczką.

— No cóż...

— Zamknij się — rzucił zwięźle Meems. — Strasznie trudno jest znaleźć odpowiedniego partnera, a ja nie chcę aby cię zestrzelili, dopóki nie odzyskam tego, co mi jesteś winien. A co do tego dżentelmena, którego nazwisko tak nieostrożnie wymieniłeś na głos - nie rób tego więcej. Nie znasz go. Nigdy o nim nie słyszałeś. Niech lepsi od nas martwią się o tę sprawę. Ty i ja jesteśmy skromnymi ludźmi, którzy muszą toczyć walkę o każdy kolejny oddech.

— W każdym razie nadchodzą kłopoty — kontynuował Wango.

— Nadchodzą piekielne kłopoty — zgodził się z nim Meems. — Po to właśnie spotyka się Stowarzyszenie. Dlatego widziałeś Dave'a Denvera przechadzającego się po ulicach, wyglądającego na tak twardego, jak zawsze kiedy tylko go widziałem. Ale ty i ja jesteśmy poza tym, rozumiesz? A może muszę przeliterować ci te słowa?

— Och, dobrze — odetchnął Wango i spojrzał bokiem na swojego partnera. — Co powiesz na drinka?

— Dzięki za zaproszenie — oznajmił Meems i natychmiast wstał.

— Nigdy nic nie wspominałem o zaproszeniu.

— Miło z twojej strony, za propozycję zapłaty za mnie — uciął stanowczo Meems. — Chodź.

Rozdział II

Ostrzeżenie przed burzą

Dave Denver i Al Niland stali koło jednego z narożników stustopowego baru Grogana aby, jak to było w zwyczaju, wychylić poobiednią szklaneczkę czystej whisky. Ludzie z Sundown wlewali się do środka, brali alkohol i rozmawiali bez pośpiechu. Denver rozejrzał się po sali, kiwając tu i ówdzie głową ranczerom, których nie widział w czasie zimy. Niland nachylił się bliżej ku niemu.

— Widziałeś tego samego gościa, którego i ja dostrzegłem wysiadającego z trzeciego dyliżansu?

— Stingera Danna?

— Tego samego — chrząknął Niland. — Od kiedy zaczął płacić za przejazdy?

— Może zajeździł wszystkie swoje dobre konie na śmierć — zasugerował Denver.

— Ktoś tu sporo jeździ nocami, to pewne — zadumał się Niland. — To zabawne, jak to hrabstwo reaguje na oznaki kłopotów. Przez całą zimę było spokojnie. Nic się nie działo. Nagle ludzie zrobili się odrobinę płochliwi i przestają głośno rozmawiać. Podziemny telegraf zaczął działać. Rozejrzyj się po sali i zobacz, jak wielu ludzi rozmawia stojąc bardzo blisko siebie, starając się wyglądać przyzwoicie. Nigdy nie widziałem, by tego rodzaju oznaki zawiodły. Wkrótce coś się zacznie.

— Co prowadzi nas z powrotem do osoby Stingera Danna — wycedził Denver. — Właśnie wchodzi, żeby się napić. Gdzie się podziewał przez kilka ostatnich tygodni?

Niland rzucił krótkie, szybkie spojrzenie na mężczyznę o krzepkiej sylwetce i surowych czerwonych policzkach, zmierzającego w stronę baru; Stinger Dann patrzył prosto przed siebie i nie zwracał uwagi na nikogo, co było charakterystycznym sposobem jego poruszania się przez życie.

— Nigdzie się nie ogląda, a wszystko widzi — mruknął Niland. — Nie wiem, gdzie on się podziewał, Dave. Powiedz mi, gdzie był Redmain, a ja wtedy powiem ci, gdzie był Dann. W tym samym miejscu. Prawdopodobnie przyjechał tutaj, aby reprezentować interesy swojego ukochanego szefa na spotkaniu Stowarzyszenia.

Dave Denver zachichotał.

— To pewnie właśnie ta nerwowa myśl, która prześladuje Lou Redmaina.

— Tydzień temu za Sky Peak były kłopoty. Ludzie Willa Wire'a wpadli pewnej nocy na ołów, gdy wracali do domu na skróty, przez swoje ranczo.

Denver zastanowił się nad tą wiadomością.

— To już trochę bliżej Sundown, co? Zwykle chłopcy urządzają swoje rabunki gdzieś dalej.

— Mogą nadejść czasy, kiedy będziemy musieli trochę postrzelać na własny rachunek — prorokował Niland.

— Najpierw poczekajmy, aż te wilki zawyją nam pod oknem. W tej chwili wydaje mi się, że słyszę tylko wiele próżnego gadania. No dalej panie Steers, wygląda pan na bardzo smutnego. Ktoś ci nadepnął na odcisk, Steve?

— Jak diabli — chrząknął Steve i sięgnął po butelkę.

— Ekspresyjne, acz niezbyt jasne — ironicznie skomentował Niland. — Ktoś musiał zranić twoje uczucia do tego stopnia, że chyba co najmniej zaoferował ci pracę.

Niewielki piaskowo-włosy Steve Steers wypił swoje lekarstwo i wzdrygnął się.

— Chyba nigdy nie będę miał chwili spokoju, panowie. Pomyślcie tylko. Chciałbym wziąć udział w dzisiejszym przedstawieniu, tak po prostu, przez wzgląd na stare czasy. Ale Debbie wyjechała z wizytą w okolice Mogul, ze swoimi bliskimi, więc nie mogę jej zabrać. A gdybym odważył się pójść sam, zobaczyć Lolę Monterey, wymówkom nie byłoby końca. Nie panowie, nigdy nie będę miał chwili spokoju.

— Przylep sobie sztuczne wąsy — zasugerował Niland.

— Odpadną — stwierdził żałośnie Steve Steers. — Takie już mam szczęście. A ktoś taki jak Miz Jim Coldfoot z pewnością by mnie zobaczył i pobiegł naskarżyć Debbie.

— Miłość — zauważył świętoszkowatym tonem Niland, — to potężny oczyszczacz moralny dla śmiertelnika.

Denver, stojąc nieco z boku i obserwując Steve'a poważnym wzrokiem, stwierdził beztrosko:

— To zależy od człowieka, Al. Sądzę, że aby oczyścić Steve'a, miłość musiałaby być silniejsza od kwasu solnego.

— Miłość — odparł Steers. — Ha-ha.

Niland mrugnął na boku do Denvera.

— Steve, jak się ożenisz, będzie lepiej.

— Albo gorzej — jęknął Steve. — Napijmy się jeszcze tych kocich szczyn.

Stinger Dann wychodził niepewnym krokiem z baru. Na środku sali rzucił szybkie spojrzenie w stronę, gdzie stał Dave Denver, a jego prymitywne, zimne oczka zdawały się błyszczeć wyraźnym wyzwaniem. Gest był tak wyraźny, że w saloonie Grogana zapanowała cisza, zaś dwaj ludzie stojący za Denverem, odsunęli się. Denver ani drgnął. W odpowiedzi na wyzwanie rewolwerowca w jego oczach rozbłysło mocniejsze światło, a surowe rysy Dave’a wyraźnie stwardniały. Dann ruszył w dalszą drogę i opuścił salon.

— To miało wszelkie znamiona pierwszego zagrania, na otwarcie — powiedział cicho Niland. — A nie mówiłem ci, że w okolicy pali się grunt?

— A niech się tam pali — zadymał się Denver. — Ja pilnuję swoich spraw i dobrze się przy tym bawię. Może nie zawsze tak będzie, ale na razie poczekamy, zobaczymy.

Cal Steele wjechał do saloonu. Z nerwowym uśmiechem podszedł do swych kompanów.

— No cóż, możecie mi pogratulować.

— Gdzie byłeś? — spytał Steve Steers.

— Ożywiłem kilka bardzo przyjemnych wspomnień — odparł Steele. Nalał sobie drinka i skinął szklaneczką w stronę pozostałych, stojąc prosto; niezaprzeczalnie miał w sobie wychowanie i ogładę, których brakowało innym. Gdzieś w swej nikomu nieznanej i starannie skrywanej przeszłości żył w jakimś łagodnym i wykształconym środowisku, a ślady tego widoczne były w jego manierach, czynach i rysach twarzy, które tak łatwo przechodziły od wesołej radości do pełnego goryczy cynizmu. — Piję, chłopcy, za piękno, za talent, za wieczny płomień, jakim jest kobieta - za Lolę Monterey!

Zarówno Niland, jak i Steers spojrzeli z lekkim niepokojem na poważnego Denvera. Ten jednak skinął głową.

— Jak zwykle, Cal, jesteś bliżej prawdy niż jakikolwiek inny człowiek, którego kiedykolwiek znałem. Dokładnie opisałeś Lolę. Ona właśnie taka jest.

Cal odstawił szklaneczkę i położył rękę na ramieniu Denvera.

— I na co zda się prawda, czy piękne gadanie? Psujesz nam wszystkim zabawę, Dave. Ona mnie tu przysłała. Chce cię zobaczyć.

Oczy Denvera uśmiechnęły się.

— I to jest rozkaz.

— Spotkanie stowarzyszenia zaczyna się za parę minut — mruknął Niland, spoglądając na Steele'a.

— Do zobaczenia na nim — powiedział Denver i wyszedł. Niland zwrócił się do Steele'a. — Byłoby lepiej, gdybyś nie przynosił takich wiadomości. Dave nie należy do tych, którzy powinni chłodzić stopy w stawie Loli. To dla zupełnie innego rodzaju ludzi.

Cal Steele pokręcił głową w zamyśleniu.

— Znam Lolę. Jest taka jak ja. Niezależnie czy buja w chmurach, czy pełza w błocie, nigdy nie jest spokojna, nigdy szczęśliwa, łatwo ją rozgniewać, łatwo zranić. I — uniósł wzrok — choć jest najbardziej samolubną kobietą na świecie, oddałaby życie za mężczyznę, którego zechce pokochać. Brzmi trochę dziwnie, co chłopcy? Wiem. Ona jest taka jak ja. I tak się składa, że wiem, iż chce Dave'a.

— Spadaj — prychnął Steve.

— Powiedziała ci? — spytał sceptycznie Niland.

— Nie jestem ślepy — mruknął Cal Steele z zasnutą cieniem twarzą. — Choć czasem wolałbym być. Sam jej pragnę. Cholernie zabawne, co? Wypijmy za Dave'a i Lolę.

Niektórzy z co bardziej niecierpliwych ranczerów zmierzali już do budynku teatru operowego, który został wyznaczony jako miejsce spotkań Stowarzyszenia, gdy David Denver kierował się w stronę hotelu. Usłyszał, jak jeden z nich mówi dosyć gniewnym tonem:

— Nie obchodzi mnie, kto to jest, ani jak silna może być jego dzika banda, musimy to zatrzymać. Zbyt wielu ludzi jeździ po nocy. Jeśli nie

mają ochoty w nocy spać, to zafundujmy im coś, co na wieki wieków wywoła trwały sen.

Jednakże ta grupa jako jedyna wydawała się przejawiać ochotę do gadania; pozostali zachowywali pełne zadumy milczenie, oszczędzając słowa na formalne wystąpienia. Kiedy Denver szedł naprzód, jego spojrzenie omiatało Sundown powoli i z celowym zastanowieniem, zaś umysł rejestrował te i inne szczegóły z fotograficzną wyrazistością, która w chwilach wytchnienia pomagała mu tworzyć bystre osądy na temat ludzi oraz wydarzeń. Stinger Dann zajął stanowisko pod ścianą Palace, w cieniu nadwieszonej galerii. Koło stajni dyliżans Ysabel Junction szykował się do podróży powrotnej. Eve Leverage wyszła swym chłopięcym krokiem ze sklepu i uśmiechała się do całego świata. Denver wszedł do hotelu i wszedł po schodach z chmurnym niepokojem na policzkach. Idąc korytarzem, zatrzymał się przy numerze jeden - najlepszym pokoju w mieście - i usłyszał, jak w środku Lola cicho coś nuci. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę, a potem zapukał. Nucenie ustało, a głos dziewczyny uniósł się z ochoczym, gardłowym "wejść". Denver pchnął drzwi przed sobą, przeszedł przez nie i zamknął.

Nie mógł zdawać sobie sprawy, że kiedy tak stanął, przyglądając się jej z półuśmiechem, z buntowniczo zmierzwionymi włosami na głowie i ponurym błyskiem emocji w głębokich studniach oczu, dokładnie odpowiadał temu niezmiennemu obrazowi mężczyzny, jaki nosiła w sobie przez trzy ostatnie lata; nie mógł też wiedzieć, że jego bezceremonialne: „Oto jestem, Lola”, był to dokładnie ten zwrot, którym, jak czuła, przywitałby ją David Denver. Wiedział jednak, że dawna ślicznotka Palace stała się dojrzałą piękną kobietą. Stała na środku pokoju, z delikatną koronką przysłaniającą piersi, z włosami związanymi z tyłu, z wargami ściągniętymi jakby w uśmiechu lub do płaczu. Dojrzała piękność, lecz wciąż ta sama, pełna życia Lola Monterey, wciąż z dziwnym, niezgłębionym blaskiem w oczach, oprószonych aksamitną barwą. Wystawiła podbródek, zaśmiała się cicho, a potem chwyciła wargę między zęby.

— A więc jesteś, Davidzie. Spoglądałeś na mnie groźnie, kiedy odeszłam. Teraz też się krzywisz. Czy to wszystko, co dla mnie masz?

— Pewnie inni mężczyźni mówili ci już, że jesteś piękna, co Lola?

— Pewnie tak. Ale nigdy nie słuchałam innych mężczyzn tak, jak słucham ciebie. Wiesz o tym.

— Więc ja to powiem. Coś cię zmieniło, na korzyść. Coś jest w tym twoim ciele...

— Może to niedola. Mówią, że jest czymś dobrym dla ludzi. — Podeszła do niego, przejechała mu opuszkami palców po ustach i położyła je Denverowi na policzkach. — To ode mnie dla ciebie. To jest moje powitanie - myślę, że wiesz, że zawsze tak będzie. Słyszałam tysiące szarmanckich zapewnień od mężczyzn, w których szarmanckość wątpiłam. Dobrze jest znać człowieka, w którego nigdy nie zwątpiłam i w którego nie zwątpiłabym, nawet gdybym miała ku temu powody. Usiądź. — Przełożyła mu rękę przez łokieć i poprowadziła go do krzesła, po czym usiadła naprzeciw niego.

— Ty nie zmieniłeś się nic — kontynuowała szybko. — Cieszę się z tego… i jest mi przykro.

Jego twarz rozpogodziła się, a w oczach pojawił się uśmiech.

— To zabrzmiało zupełnie jak ty.

— No cóż, czyż nie jest miło wrócić do domu i znaleźć tu te same niezmienne rzeczy? To mnie uszczęśliwia. Ale wciąż jesteś zły, wciąż nieszczęśliwy, wciąż wściekły na samego siebie. To mnie smuci.

— Porozmawiajmy dla odmiany o tobie, Lola.

Pokręciła smukłą głową tak energicznie, że jadeitowe kolczyki zatańczyły na jej satynowej skórze.

— Niech inni ludzie mówią o mnie. Ty i ja będziemy rozmawiać o tobie. Wiesz o mnie wszystko. W ciągu tych trzech lat nie pojawiło się nic nowego do dodania. Wciąż jestem tą głodną małą dziewczynką z Palace, której ciało nigdy nie dorosło do jej temperamentu. Dobrze ci się powodzi, Davidzie?

— Ranczo się rozrosło — przyznał.

— Masz teraz na ranczu duży dom, zwrócony w stronę kanionu Starlight, i nocami siedzisz na werandzie i spoglądasz samotnie na prerię.

— Kto ci to powiedział? — dopytywał się Denver.

— Cal Steele opowiedział mi o wszystkim, co ci się przydarzyło w ciągu trzech lat. Wiem o bliźnie na twoim policzku, o złamanej ręce, o walkach, jakie stoczyłeś. Znam więc historię Davida Denvera, hodowcy bydła, dżentelmena. Od biednego Cala, który wolałby mówić o nim i o mnie.

— Cal — odparł Denver — jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Jest w tobie zakochany, Lola. Nie mogłaś znaleźć lepszego człowieka...

Szybki uśmiech Loli przerwał jego słowa.

— Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Davidzie!

Nagle obudził się w nim jego dawny temperament. Wielkie dłonie Denvera zacisnęły się.

— Dlaczego uciekłaś, Lola?

Odpowiedź przyszła szybko i prosto.

— Ponieważ za mocno cię kocham!

— Więc dlaczego, na Boga, wróciłaś?

— Bo… — powiedziała niewiele głośniej niż szeptem, — bo za mocno cię kocham.

— Lepiej nam było osobno. Cała ta walka i niedola...

Natychmiast stanęła w płomieniach.

— Czyż tego nie wiem? Urodziłeś się po to, by mnie ranić. I zawsze będziesz to robił. A ja zawsze będę próbowała odnaleźć uśmiech w twych nieszczęśliwych oczach! Zawsze, nawet gdy porwiesz moją dumę na strzępy! Ja jestem tylko żebraczką, proszącą o coś, czego myślę, że nigdy nie dostanę! Lola Monterey żebraczką! Davidzie, mój drogi, nie narodziła się jeszcze kobieta, która kiedykolwiek będzie w stanie cię zatrzymać. Żadna kobieta nigdy nie będzie w stanie złagodzić tego smutku i goryczy. Lecz…

Złapała oddech i spojrzała na niego. Nie odezwał się, tylko przyglądał się jej.

— ...lecz byłam w stanie sprawić, że zapominałaś o sobie i myślałaś o mnie, choćby przez krótką chwilę. Potrafię cię przytulić, sprawić, że się uśmiechasz. To mi wystarcza - to więcej, niż byłaby w stanie osiągnąć jakakolwiek inna kobieta. Widzisz... wciąż mam nadzieję.

Wstał, mówiąc łagodnie.

— Chyba wolałbym dać sobie odciąć rękę, niż słuchać tego co mówisz. Lola, Sundown jest już za tobą. Dzisiaj wieczorem zagrasz dla nas. Jutro wyjdziesz. I dla nas, to będzie koniec. Nigdy więcej już cię nie zobaczę. Pamiętam Lolę Monterey z Palace i nie sądzę, bym chciał oglądać Lolę Monterey z...

— Będziesz tam dzisiaj wieczorem, Davidzie — wtrąciła cicho. — Znam cię lepiej niż ty sam.

— Nawet jeżeli, to nie będę na tyle blisko, by się pożegnać. Więc powiem to teraz.

Ona jednak pokręciła głową.

— Nie. Dzisiaj wieczorem zaśpiewam. Od jutra zespół będzie działać beze mnie. Zostaję tutaj, Davidzie. Myślałam o tym już od roku. To postanowione. Myślę, że mogłabym zajść jeszcze wyżej w swojej pracy. Kocham ją. Ale bardziej kocham coś innego, więc Sundown znów będzie dla mnie domem.

— Popełniasz błąd.

Podeszła do drzwi i dotknęła jego ramienia koniuszkami palców.

— Zawsze je popełniałam, Davidzie. I zawsze będę popełniać. Czy nie mówiłam ci, że jestem żebraczką? Żebracy nie mogą wybrzydzać. Kiedy jestem zraniona, co zdarza się tak często, muszę się uśmiechać i myśleć, że wyrosłam z niczego i powinnam się cieszyć. Kto chciałby oglądać płaczącą Lolę Monterey? Lecz często zastanawiam się, jak wygląda szczęście. Może kiedyś się tego dowiem, a może nie. Teraz jednak już idź. A dzisiaj wieczorem, kiedy usłyszysz jak śpiewam, pamiętaj, że śpiewam dla ciebie.

Delikatny nacisk jej palców sprawił, że znalazł się w holu. Mignęły mu tylko jej aksamitne oczy, okrągłe i błyszczące, a potem drzwi się zamknęły i ciężko zszedł po schodach na ulicę. Ktoś zaczął coś do niego mówić. To pułkownik Fear Langdell szedł obok niego krok, mówiąc wprost.

— Puśćmy wszystko w ruch. Czekałem na ciebie, aż przyjdziesz. Spodziewam się, że wpłyniesz na wielu ludzi o słabych sercach, Dave. Prawdę mówiąc, spodziewam się nawet, że przejmiesz przywództwo w tym nieprzyjemnym zadaniu. Dla ciebie pojadą z nami ludzie, którzy nie pojechaliby dla nikogo innego.

Dwóch mężczyzn przeszło do teatru i w przez to Denver nie zauważył Eve Leverage, która przejeżdżała w powozie prowadzonym przez Joe Peake'a. Ale Eve widziała go, jak wychodzi z hotelu, podobnie jak wcześniej widziała, że wchodzi do środka. Zdawała sobie też sprawę z tego, gdzie spędził ostatnie chwile. Siedząc sztywno wyprostowana i surowa obok Peake'a, wpatrywała się ponuro w pochyłe zbocza okolicznych wzgórz, powtarzając sobie w kółko: „Ta stara historia o nich to prawda. To wszystko prawda. Ale jakie to ma znaczenie? Nie obchodzi mnie to! Nie mogę znaleźć w Davidzie żadnej winy!”.

W teatrze znajdowało się około sześćdziesięciu ludzi, część z nich byli to właściciele ziemscy, część zarządcy, a kilku należało do co bardziej odpowiedzialnego elementu handlowego Sundown. Niland, Steele i Steers siedzieli razem, a gdy Denver zajął miejsce obok nich, Niland rzucił mu nieco ironiczne spojrzenie.

— Za chwilę będą mieli pełne gęby — szepnął cynicznie — gadaniny o ochronie interesów tego hrabstwa. Założę się o dziesięć dolarów, że Langdell wspomni o świętym prawie konstytucji i świętości własności prywatnej.

Dave Denver skinął głową i obrzucił zebranych poważnym spojrzeniem. Nie rozmawiali zbyt wiele; siedzieli raczej sztywno wyprostowani, z wystającymi szczękami i złożonymi rękoma. Wyglądali jak ludzie, którzy już ustalili swoje poglądy i wyciągnęli wnioski. Denver wiedział, że bez względu na to, jakie argumenty padną, i bez względu na to, jak duża będzie sprzeciwiająca się mniejszość, Stowarzyszenie podejmie tylko jedną decyzję. Na tę myśl zmarszczył z uporem brwi. Częścią jego samotnej, buntowniczej natury była pogarda dla działań w masie. Nienawidził sposobu, w jaki wielcy hodowcy zręcznie i natarczywie narzucali swą wolę szeregowym członkom Stowarzyszenia, jak wywierali presję na mniejszych właścicieli, rozpowszechniali plotki i jeżące włos na głowie opowieści o szerzącej się przestępczości, aż cały region, od Sky Peak po Rim oraz od Ysabel Flats po Mogul Hills, ogarnął strach i podniecenie. Dominujący w jego duszy indywidualizm nie znosił tego i dlatego Dave wpatrywał się nieprzychylnym spojrzeniem w pułkownika Feara Langdella, gdy ten stanął na scenie i władczym gestem uniósł rękę.

— Ponieważ jest to specjalne spotkanie Stowarzyszenia — oznajmił Langdell zimnym, zaciętym głosem — proponuję, abyśmy zrezygnowali z odpowiedniej formy i protokołu.

Wniosek został przyjęty. Al Niland poruszył się niespokojnie i chrząknął. Wielokrotnie ścierał się z Langdellem, również prawnikiem, w sądzie i nie darzył go sympatią. Langdell, zaangażowany we wszelkiego rodzaju transakcje gruntowe i przedsięwzięcia handlowe, nigdy nie rezygnował z reprezentacji ścisłego konserwatyzmu hrabstwa i rzadko przepuszczał okazję, aby nie nazwać Nilanda gorącogłowym. Stojąc na scenie, sztywno wyprostowany, oszczędny w gestach i pewny siebie, Langdell powiódł swą ostrą, bystrą twarzą po sali, aby zbudować wyczekującą ciszę. W tę ciszę wbił swoje słowa, jak ostre oszczepy.

— Być może jako przewodniczący nie powinienem przyjmować prawa do wyrażenia celu tego spotkania. Czuję jednak, że wszyscy jesteśmy świadomi, iż sensem tego spotkania jest natychmiastowe przejście do jednej kwestii i rozstrzygnięcie jej raz na zawsze. Pozwolę sobie powiedzieć, że pytanie to brzmi: co zamierzamy zrobić z godnym potępienia i coraz bardziej aroganckim bandytyzmem nieuczciwych elementów, które atakują hrabstwo Yellow Hill? Przez dwa lata siedzieliśmy bezczynnie i pozwalaliśmy, by przestępczość rozrastała się pod wpływem fałszywego przekonania, że każdy człowiek ma prawo do popełniania różnego rodzaju wybryków, zanim się uspokoi. Mówię o fałszywym przekonaniu, ponieważ tacy ludzie nigdy się nie ustatkują.

Własność jest własnością, niezależnie od tego, czy znajduje się w budynku, czy porusza się na racicach. Prawo właściciela jest absolutne i nigdy nie powinno być naruszane. Jak wygląda bilans ostatnich dwóch lat? Czterech ludzi zostało zastrzelonych, około tysiąca sztuk bydła zaginęło, przestępczość się zorganizowała, a każdy szlak i trasa dyliżansu w hrabstwie stały się niebezpieczne dla spokojnych podróżnych. Doszło do trzech napadów na dyliżanse, a jeden z woźniców został zamordowany, ponieważ miał odwagę stawić opór przestępcom, i twierdzę, że powinniśmy postawić takiemu człowiekowi pomnik. Zamiast tego, co robimy? Łapiemy kilku pojedynczych bandytów, zaś sentymentalna ława przysięgłych osądza ich i wypuszcza na wolność, aby znów grasowali. Tak więc, co mamy zamiar z tym zrobić?

— Zapomniał o konstytucji — szepnął żartobliwie Niland. Cal Steele siedział rozparty w fotelu z zamkniętymi oczami i wyrazem lekkiego znudzenia na twarzy. Fleabite Wilgus, niezwykle bogaty właściciel rancza Gate, zerwał się na nogi i zaczął mówić coś skomlącym głosem, z czego mało kto był w stanie cokolwiek usłyszeć. Obdarty i brudny, wyglądał gorzej niż najbardziej niedbały jeździec w okolicy Sundown. Jedno z wygłaszanych przez niego zdań przebiło się do całego audytorium.

— Jestem miłym człowiekiem, jak wszyscy wiedzą. Ale gdybym mógł, nie darowałbym złapanemu złodziejowi i nie marnowałbym czasu na odprowadzanie go do więzienia. Taki jestem.

Steve Steers pochylił się z oburzeniem do przodu i mruknął.

— Miły, co? Pracowałem przy jego stadzie przez tydzień i nie powtórzyłbym tego za wszystkie pieniądze świata. Tak naprawdę, wyliczał nawet cukier na stół i zwolnił jednego z kucharzy za upieczenie trzech dodatkowych plastrów bekonu.

— Mój drogi — stwierdził Niland sardonicznie — nie rozumiesz skromnych obowiązków bogatego człowieka wobec jego majątku. To święta sprawa.

Następny wstał Leverage i ten nie marnował słów. Wszyscy lubili Leverage'a i słuchali go uważnie.

— Kiedy byłem dwadzieścia lat młodszy, w tym kraju nie istniało żadne prawo i mieliśmy całe stado ludzi sprawiających kłopoty. Był tylko jeden sposób na rozwiązanie tego problemu – sznur i broń. Przyznam szczerze, że niezbyt mi się to podobało, bo niektórzy całkiem dobrzy ludzie byli łączeni ze złymi i bardzo się ucieszyłem, gdy w Yellow Hill pojawiły się legalne możliwości. Nadal wolę drogę prawną - kiedy działa. Lecz wydaje się, że teraz nie działa ona zbyt dobrze, i to już od jakiegoś czasu. Nie oceniam sędziów ani stróżów prawa, lecz muszę szczerze powiedzieć, że w ławie przysięgłych zawsze znajdzie się jakiś człowiek, który zawiesi sprawę, a ja mam swoje własne zdanie na temat tego, jak do tego dochodzi. Tak więc, skoro wpływy leżące poza prawem pozwalają na omijanie sprawiedliwości, moje przekonanie jest takie, że wpływy leżące poza prawem muszą tę sprawiedliwość przywrócić. Na wypadek, gdyby nie było to wystarczająco jasne, mam na myśli straż obywatelską!

Rozległy się gwałtowne i natychmiastowe oklaski. Ktoś krzyknął:

— I szubienicę na miejscu schwytania!

Leverage wyglądał na zamyślonego.

— Tak uważam. Nie lubię odbierać życia w ten sposób. Lecz jedna lub dwie duże dawki tego lekarstwa, w znacznym stopniu mogą wyeliminować konieczność dalszego stosowania takich rozwiązań. Potem ograniczmy naszą pracę do łapania i uznawania bandyty za winnego, a wyrok niech wyda sąd.

Fee z „Flying F" wypowiedział się krótko. Shortridge, kolejny wielki właściciel, był równie zwięzły, lecz o wiele bardziej gwałtowny. Potem nastąpiła cisza, podczas której Fear Langdell czekał na dalsze wojownicze mowy. Denver zdał sobie sprawę, że Langdell oczekiwał jakiejś bojowej przemowy, która zjednoczyłaby wszystkich i faktycznie wprowadziła propozycję straży obywatelskiej w życie. Leverage, przez swą lekką nutkę rozsądnego wahania, właśnie wyraźnie przegapił okazję do wzniecenia ognia, zaś narastające opóźnienie, w jakiś sposób rozmywało spotkanie. Langdell rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniego człowieka. Jego wzrok padł na Denvera.

— Dave, długo milczałeś. Wstań i powiedz, co myślisz.

— Po prostu słucham — odparł Denver.

— Teraz niech inni słuchają — wszedł mu niecierpliwie w słowo Langdell. — Oczekujemy, że przemówisz.

Denver wstał, czując na sobie zaciekawione spojrzenia trójki swoich kompanów. Niland zrobił się nerwowy, Steve Steers nachylił się do przodu, lecz Cal Steele miał dziwnie ściągnięte policzki i porzucił pozę senności.

— Może oczekujecie, że przemówię — stwierdził chłodno Denver — ale nie możecie oczekiwać, że pójdę bezwolnie za dyrygentem tego chóru. Nie leży to w mojej naturze. Przyznaję, że większość waszej gadaniny to prawda i przyznaję, że trzeba się bronić. Z przykrością jednak stwierdzam, że nie widzę tej straży obywatelskiej i nie będę w niej uczestniczył.

— Dlaczego nie? — warknął gniewnie Langdell.

— Gdyby to mnie ktoś okradł — kontynuował Dave — osobiście ruszyłbym za nim w pościg i osobiście wyrównałbym rachunki. Nie prosiłbym o to nikogo innego. Nie zrzuciłbym takiego obowiązku na barki całej społeczności. Nie prosiłbym innego człowieka, bym mógł się nim wysługiwać, i niech mnie diabli, jeśli ja zgodzę się zostać sługusem dla paru ludzi, którzy absolutnie są w stanie utrzymać swój teren w czystości.

— Boisz się ołowiu, co? — spytał sarkastycznie Langdell.

— Dobrze zna pan moje czyny — odparł cicho Dave — i nie zgadzam się z tą uwagą. Czy jest pan gotów za to odpowiedzieć, pułkowniku Langdell?

Powoli wycedzone pytanie padło w kompletnej ciszy. Langdell dosyć gwałtownie poprawił swoją poprzednią uwagę.

— Nie miałem na myśli nic osobistego, Denver. Ale popełniasz błąd. To nie jest sprawa dla jednego człowieka. Cały kraj jest tym zainteresowany.

— Ja nie jestem. Żadnej z moich krów nikt nawet nie tknął. Zresztą nikt w promieniu dziesięciu mil od Sundown nie został napadnięty. Jak dotąd nocne jazdy miały miejsce w Sky Peak. Dlaczego tamtejsi dżentelmeni sami nie zajęli się tym wieszaniem? Nie rozumiem całej tej zasłony dymnej, którą ostatnio wyrzucają niektóre grupy ludzi. Ta straż

obywatelska jest zbyt niebezpieczna. Doraźne komitety nigdy nie wiedzą, kiedy przestać i nie zawsze kierują się dobrym osądem. Przyznaję, że napady na dyliżanse wydarzyły się bliżej nas - ale to jest zdecydowanie sprawa dla szeryfa. A jeśli obecny się nie sprawdza, to dlaczego nie zatrudnić innego? To także kwestia, która mnie zastanawia.

Rozległ się głos z tyłu sali.

— Na Boga, nie wiem, czy przełknę te uwagi, Denver!

To był szeryf Magnus Ortez. Denver zwrócił się do niego.

— Jest pan urzędnikiem publicznym i możemy publicznie dyskutować pana postępowanie, Ortez. A ja nigdy nie wygłaszam uwag, których nie jestem gotów poprzeć.

Rozpalił długo tłumiony gniew pokrzywdzonych ranczerów i tych w wojowniczym nastroju. Teatr zaczął drżeć wraz z narastającym zgiełkiem. Tu i ówdzie Denver widział ludzi, którzy siedzieli nieruchomo i odmawiali przyłączenia się, lecz czuł, że nieświadomie zagrał na rękę Langdellowi, że posłużył mu za bicz na opornych. Langdell z triumfem wykrzyknął kolejne pytanie:

— Wierzysz w rozpieszczanie tych bandytów? Wierzysz w to, że brak uczciwości może przejść?

— Wierzę w pilnowanie własnego nosa, dopóki inni mnie nie zmuszą do zmiany sposobu postępowania. Ja sam, zajmuję się swoimi sprawami. Niech inni robią to samo. Co do tej nieuczciwości, to kwestia otwarta. Całkiem spora liczba bardzo szanowanych obywateli na Zachodzie, dorobiła się uczciwej fortuny na paru sztukach zabłąkanego bydła. Nie uważam się za właściwego sędziego do oceny czyjejś uczciwości. Jeśli postawi się milion dolarów przed człowiekiem, który byłby w stanie po nie sięgnąć - to kto wtedy będzie taki cholernie uczciwy? Chcieliście wysłuchać, co mam do powiedzenia – tak więc spełniłem wasze życzenie.

— Proponuję — wykrzyknął jakiś głos — załóżmy komitet straży obywatelskiej i wyznaczmy przywódcę, który ma sobie wybrać ludzi, pracować na swój sposób i otrzymać od nas pełną akceptację oraz wsparcie!

— Popieram!

— Głosujmy to!

Wstali, żeby głosować. Denver i jego trzej koledzy pozostali na swoich miejscach: Steers był może trochę niezdarny, ale całkowicie lojalny wobec Denvera; Niland z pogardą patrzył na tę całą sprawę; Cal Steele z zamkniętymi oczami i całkowicie bierną twarzą. Niland mruknął:

— Oni poszaleli, jak wariaci!

— Przeszedł! — wykrzyknął Langdell. — I składam ten wniosek, nawet jeśli nie jest to moja sprawa! Namawiam Jake’a Leverage’a, aby został szefem strażników z absolutną władzą i wszystkimi naszymi zasobami, które możemy zdobyć!

— Głosujmy!

Głos Leverage’a daremnie próbował przebić się przez narastający tumult. Stowarzyszenie, po pojawieniu się wreszcie propozycji bardziej agresywnego kursu działań, poddało mu się.

— Owczy pęd — wykrzyknął Niland, uśmiechając się.

— Wszystko, co dzisiaj powiedziano o bandytach, jest słuszne — mruknął Denver — lecz jest w tym coś złego i nie jestem w stanie tego wyprostować. Wiem tylko, że ja nie wezmę w tym udziału.

Cal Steele otworzył oczy i stwierdził krótko:

— Masz rację, Dave.

— Robię to samo, co wy, chłopcy — potwierdził Steers. — Mnie tam wszystko jedno.

Wrzawa ucichła. Leverage był już na nogach.

— Nie prosiłem o to — powiedział. — Nie podoba mi się również ta odpowiedzialność. Ale nie należę do osób, które jęczą i płaczą, a potem kryją się, gdy ktoś wezwie ich na pomoc. Chcę tylko powiedzieć, że dam z siebie wszystko, zrobię wszystko, co w mojej mocy i zbiorę moich ludzi. Chcę waszego wsparcia. I nie chcę, żeby ktokolwiek z was stał się moim wrogiem, nawet jeśli nie aprobujecie mojego postępowania. Będę tak uczciwy, jak tylko będę w stanie.

— Na tyle sprawiedliwy, na ile mu pozwoli stado — mruknął Denver i skierował się do wyjścia z sali. — Nie mogłem znieść tego widoku starego capa, Jake'a Leverage'a — wyjaśnił innym, kiedy do niego dotarli.

Podszedł do nich szybko starszy mężczyzna i cicho przemówił do Denvera.

— Wszedłbym w to, gdyby pan to zrobił – powiedział. — Ale zmienił pan zdanie zarówno moje, jak i paru innych osób. Proszę więc pamiętać, że ma pan wsparcie.

— Dzięki — powiedział Denver i przyjrzał się ulicy.

Stinger Dann nadal stał pod galerią Palace, ponury i obojętny. Jego widok spowodował że Denver popatrzył na sytuację z innego punktu widzenia i zaczął się uważniej rozglądać. Koło kuźni kręcił się jakiś dziwny jeździec i jeszcze jeden człowiek, którego znał tylko z reputacji pozyskanej u Grogana. Sposób rozstawienia tej trójki spowodował u niego złączenie brwi.

— Myślę, że czas na drinka — zasugerował Niland.

Cal Steele otrząsnął się z czarnego nastroju.

— Każda pora jest dobra na drinka.

Przy wejściu do Grogana poważnie naradzali się Meems i Wango, a Meems mrugnął mocno do Denvera.

— To coś niemożliwego, to nawet nie jest naturalne, ale fakt pozostaje faktem.

— W porządku — zgodził się Denver. — Rozgryzę to. O co chodzi?

— Ten Anglik ma nazwisko, które stanowi najbardziej kontrowersyjne określenie ze wszystkich przezwisk, jakie kiedykolwiek słyszałem. Starczyłoby tego dla dwu ludzi. Gotowy, Pete?

— Aha, strzelaj!

Meems wziął głęboki oddech.

— Almaric…

— St. Jennifer… — wyseplenił z kolei Wango.

— Crèvecoeur…

— Nightingale!

Cal Steele powtórzył to sobie dosyć delikatnym tonem.

— Almaric St. Jennifer Crèvecoeur Nightingale. Jego ojciec i matka musieli go nie kochać. Skąd się o tym dowiedziałeś, Buck?

— Jest w rejestrze hotelowym — zapewnił Meems. — Trzeba było dwu linijek, żeby to wszystko zapisać.

— Wydaje mi się — wymruczał Cal Steele — że będziemy musieli przeprowadzić operację chirurgiczną na tym nazwisku i sprowadzić je do swojskich zachodnich proporcji. Może zostanie z nami przez jakiś czas i wątpię, czy Sundown byłby w stanie ugryźć oryginał. — Przymknął na chwilę oczy i uśmiechnął się blado. — Tak, rzeczywiście. Nieunikniony skrót to byłoby… Jenny's Nighty[1].

Grupa ryknęła śmiechem. Nagle rozchichotany Denver uniósł głowę, słysząc swoje imię. Doktor Williamson podjechał wzdłuż chodnika swoją bryczką.

— Dave, czy wybierasz się jakoś szybko na swoje ranczo?

— Pomyślałem, że zostanę tu na noc — odpowiedział Denver. — Ale jeśli czegoś chcesz, po prostu o to zapytaj.

Doktor, zwietrzały i pokryty patyną wieloletniej służby, porządnie przeżuł tytoń.

— No cóż, jeden z jeźdźców Fee jechał wzdłuż rzeki Copperhead i zobaczył starego Jessona po drugiej stronie wody. Jesson rękoma przeliterował w powietrzu słowo „lekarz", bo rzeka robiła zbyt wiele hałasu, żeby cokolwiek usłyszeć. Więc jeździec przyjechał prosto do mnie. Kalkuluję, że to żona Jessona mnie potrzebuje. Już najwyższy czas. Copperhead ma dość wysoki stan i może nie dam rady się przez nią przeprawić, ale nie chcę tracić czasu na wybieranie dwudziestomilowego objazdu do mostu. Gdybym miał jakąś pomoc, mógłbym…

— Zaraz pojedziemy z tobą — powiedział Denver i wskazał na Steve'a Steersa. — Szybko to załatwimy. Zdążymy wrócić na przedstawienie.

Razem udali się do stajni po konie, a następnie pojechali za doktorem Williamsonem wzdłuż Prairie Street w stronę pofałdowanych wzgórz za miastem. Denver obejrzał się raz. Stinger Dann patrzył na niego. Dwaj pozostali – ci, których Denver zauważył że stacjonują przy stajni i barze Grogana – zmierzali w stronę rewolwerowca. Jakiś sygnał rozszedł się pomiędzy tą trójką. Potem zniknęli w Palace.

— Czekają na kogoś — zadumał się Denver. Mięśnie na szczękach mu stwardniały. — Być może na mnie. Dostaną swoją szansę dzisiaj wieczorem.

[1] Jenny's Nighty - Koszulka Nocna Jenny.

Rozdział III

Wzburzona Copperhead

Prairie Street wychodziła z Sundown i stawała się drogą dla dyliżansów Ysabel Junction, wijącą się na południe do stalowej wstęgi torów, tworzącej linię podziału między pofalowanymi wzgórzami hrabstwa Yellow Hill a otwartymi bezmiarami nizinnej prerii. W tym kierunku również, o wiele lig dalej, znajdowała się stolica stanu; mieszkańcy Sundown czasami odwiedzali stolicę i wracali z poczuciem, że odbyli długą podróż, tak bardzo odizolowane były tutejsze ziemie. Droga dla dyliżansów, już zmieniająca się w pył pod wpływem wczesnowiosennego słońca, nie została zbudowana przez ludzi, którzy dbali o łatwe rozwiązania; prowadziła prosto w górę zboczy i schodziła bezpośrednio do licznych małych dolin. Tam, gdzie taki śmiały atak był niemożliwy, biegła zygzakami wzdłuż górskich ścian lub omijała wysokie skały. Zawsze jednak kiedy był wybór, biegła trasą krótszą niż łatwiejszą, przypominając, że konie są tutaj tańsze niż czas.

Po trzydziestu latach praktyki dr Williamson bardzo dobrze poznał swój kraj. Siedząc w milczeniu na siedzeniu bryczki, z rozwianymi połami płaszcza, rozpędził zaprzęg do sztywnego kłusa i sprawnie pokonywał kolejne mile. Około pięciu mil od miasta porzucił drogę dla dyliżansów na rzecz szlaku dla bydła, który wiódł w górę porośniętego sosnami zbocza wzgórza; stwarzał on niebezpieczeństwo szybkiego zakończenia się, ale nasz dobry doktor wziął tylko kolejny kęs tytoniu i jechał dalej. W poprzek ich drogi leżało złamane przez wiatr drzewo; rozejrzał się szybko na boki w poszukiwaniu alternatywnego szlaku, a gdy go nie znalazł, popędził konie przez przeszkodę, a wóz tylko gwałtownie podskoczył. Przed nimi pojawiło się strome wzniesienie. Bez słowa Denver popędził wierzchowca ostrogą, podjechał do bryczki, zarzucił pętlę lassa na żelazny kątownik na desce woźnicy i wciągnął pojazd na wierzchołek. Ze szczytu wzniesienia można było dostrzec szereg niewielkich dolinek i obniżeń terenu, wciśniętych między wznoszące się dokoła wzgórza. Na bujnych łąkach pasło się bydło, tu i ówdzie stały domki, a daleko w dole w popołudniowym słońcu błyszczała tafla rzeki. W dół nie prowadził żaden wyraźny szlak, lecz drzewa rozsiane były rzadko, a teren równy. Denver wycofał się nieco, wciąż trzymając uwiązaną do bryczki linę, a doktor popędził w dół łącząc brawurę z mądrością, wybierając w biegu trasę, podczas gdy pojazd chwiał się i ocierał piastami kół o pnie drzew. Wkrótce u podnóża wzgórza pojawiła się droga i doktor pojechał nią. Denver ściągnął linę, i grupa ruszyła pełnym pędem naprzód. Rzeka Copperhead i dolina Copperhead leżały w dole, i po pięciu minutach szaleńczej jazdy dr Williamson

podjechał jak najbliżej do jej brzegu i zszedł sztywno z bryczki. Po drugiej stronie rzeki stała chata, a na brzegu jakiś człowiek chodził w tę i z powrotem, załamując ręce.

— To Miz Jesson, zgadza się — chrząknął lekarz. — Miesiąc temu mówiłem jej, że powinna przeprowadzić się do Sundown na wypadek czegoś takiego.

— Rzeka trochę szaleje — stwierdził Denver z powątpiewaniem.

— Tak też mówił mi ten człowiek od Fee — zauważył Williamson. — Ale objazd jest zbyt długi. Spóźniłbym się. Tam rodzi się dziecko i musimy się jakoś przeprawić.

— To zmienia postać rzeczy — odparł lakonicznie Denver. Powiódł wzrokiem po wzburzonym nurcie. Zwykle to miejsce było bezpiecznym i płytkim brodem o pochyłych, piaszczystych brzegach. Dziś Copperhead, wezbrała od deszczu i topniejącego śniegu, przemknęła w gwałtownej szarży przez położone w górze wąwozy i rzuciła burzliwie w to, co kiedyś było spokojnym korytem. Nawet gdy na to patrzyli, zęby nurtu wyrywały ogromne kawały brzegów i porywały je ze sobą. Jesson najwyraźniej krzyczał coś na cały głos, lecz nie przebijało się to przez głośny ryk i huk wzburzonej wody.

— Niech mnie diabli, jeśli widzę, w jaki sposób miałoby to cokolwiek zmieniać — wygłosił ponurą myśl Steve Steers. — Nie da się przejechać.

Uwaga Denvera skupiła się na rosnącej koło niego topoli.

— Gdyby udało się nam przywiązać linę do jednej z górnych gałęzi tego drzewa - i przerzucić linę na drugą stronę - może udałoby ci się zsunąć do Jessona małpim sposobem, Doc.

— Spróbujmy — stwierdził Williamson. — Na wozie mam pięćdziesiąt stóp liny.

Steve Steers wziął linę doktora i powiązał ją ze swoją. Denver dodał kolejny kawałek ze swojej.

— To daje około stu pięćdziesięciu stóp liny do wykorzystania.

— Dlaczego mamy uwiązać ten koniec w górze drzewa? — spytał Steve. — Solidniej byłoby u podstawy.

— Trzeba utrzymać ją wysoko nad wodą — wyjaśnił Denver. — Gdyby prąd złapał choćby skrawek liny, wyrwałby ręce człowiekowi, który próbowałby się jej przytrzymywać. Wchodź na górę.

Steve wziął koniec połączonej liny, wdrapał się do połowy wysokości topoli i mocno ją zawiązał. Denver w międzyczasie podszedł do brzegu i zaczął zwijać wolny koniec liny w pętlę. Jesson machnął rękoma i wszedł na kilka stóp do rzeki. Denver zamachnął się mocno sznurem i puścił. Jesson skoczył, ale lina nie zdążyła się rozwinąć, wpadła do wody i spłynęła w dół nurtu. Denver zaklął cicho, brnąc przez wodę dalej od brzegu, podczas gdy Steve wyciągnął linę z wody i podał ją swojemu partnerowi. Uderzenie prądu okręciło się wokół bioder Denvera, który zakołysał się pod wpływem tego ciosu. Jesson również wszedł tak daleko w wodę, jak tylko mógł. Po raz kolejny Denver włożył całą swoją siłę w rzut - i wiedział, że się nie uda. Jesson potknął się, przewrócił i końcami palców z trudem dosięgnął suchej ziemi, kręcąc głową jak szalony. Steve wciągnął ociekającą wodą linę, nic nie mówiąc. Denver wrócił na brzeg,

wpatrując się w chatę, tak bliską, a wciąż tak nieosiągalną. W tej chacie leżała Misery; jej życie migotało, gdy żelazne szpony natury ściskały je bezwzględnie. Po raz kolejny Denver stanął do walki z pierwotnymi, brutalnymi mocami tej krainy, tak jak robił to przez wszystkie lata swego życia, i po raz kolejny zacięty charakter mężczyzny, zarysował się wyraźnie na jego twarzy, zaś fiołkowe oczy rozbłysły posępną chęcią opanowania i pokonania tej przytłaczającej, nieodpartej siły, w cieniu której kroczą wszyscy ludzie. Palące słońce, śnieżyce, grząskie błoto, zasypane śniegiem szlaki, pragnienie, głód - walczył z tym wszystkim wytrwale, i teraz ponownie stanął wobec tego samego zawziętego, bezosobowego wroga, tym razem w formie wezbranej rzeki.

Podciągnął się na siodło i sięgnął po zwój liny.

— Spróbuję wjechać trochę dalej — powiedział do Steve'a.

— I tak nam się nie uda. To zbyt duża odległość.

Od strony drogi pojawił się jakiś jeździec, który pojechał tędy na skróty, i teraz ruszył w kierunku grupy ludzi. Steve mruknął coś pod nosem, ale Denver skinął głową z powagą. Przybysz był szczupły, gibki; czarny kapelusz ocieniał ciemną, trójkątną twarz – wyrazistą twarz o pozornie rozmarzonych lecz czujnych oczach. Oczy te przyglądały się rozgrywającej się przed nim scenie, szczegół po szczególe. Rozległ się przyjemny głos.

— Doberek, chłopcy. Co tam?

— Musimy pokonać rzekę, Lou — odparł krótko Denver i pchnął konia w nurt wody. Zwierzę wspięło się na tylne nogi i zatrzymało. Denver nastawił ostrogi i pchnął konia dalej, aż kipiąca powierzchnia wody zbliżyła się do brzucha zwierzęcia. Jesson znów był na miejscu. Denver odchylił ciało, aby wykonać długi zamach, wyrzucił linę wysoko i z dużą szybkością, po czym poczuł, że jego wierzchowiec traci równowagę. Nie pozostało nic innego, jak tylko pozwolić zwierzęciu na swobodne ruchy; zostało wybite z równowagi przez prąd i walcząc o utrzymanie się na śliskim piasku, zakołysało się i powoli zsunęło w dół strumienia. Prąd uniósł ich, a potem, w ciągu jednej chwili, człowiek i koń zaczęli bezradnie dryfować we wściekłej kipieli.

— Spokojnie — mruknął Denver i lekko nacisnął jednym kolanem. Koń zareagował, kierując głowę w stronę przesuwającego się brzegu. Steve biegł równolegle do nich; przybysz minął go, kręcąc liną. Denver uniósł jedną rękę jako cel do rzutu, lecz w tej samej chwili przeciwny prąd rzeki zepchnął jego wierzchowca w stronę brzegu. Denver poczuł, jak pony uderza nogami o dno, ślizga się i zyskuje pewniejszy kontakt. Ostrożnie wydostali się na ląd. Przybysz pokręcił głową.

— Kiepska sprawa.

— Posłuchaj — chrząknął Steve — pomyśl trochę. Jeśli wciągnie cię na głębinę, możesz równie dobrze zaśpiewać sobie hymn pogrzebowy. Musimy znaleźć jakiś inny sposób na przeprawę przez to cholerstwo.

— Mógłbym ja spróbować rzucić — wtrącił przybysz — ale skoro ty nie możesz dosięgnąć drugiego brzegu, ja też nie dam rady zrobić nic więcej.

— Z twoich ust, Lou — zauważył Denver, — to pochlebstwo.

— Dokładnie tak. Nie cierpię przyznawać, że ktoś jest lepszy ode mnie.

Denver wrócił do topoli i dał znak Jessonowi. Wyraźnymi gestami dał mu do zrozumienia, że chce, aby Jesson osiodłał konia i przyprowadził go nad rzekę; Jesson skinął głową i pobiegł za chatę. Denver zsiadł, zdejmując ze swojego konia siodło.

— Co teraz? — zapytał Steve.

— Mam inny pomysł. Prawie udało mi się dorzucić. Jeszcze pięć stóp i będzie po wszystkim.

— Taaa? — padła sceptyczna odpowiedź Steve'a. — Jeszcze pięć stóp i utoniesz. Nawet o tym nie myśl.

Denver przyjrzał się rzece.

— Tuż powyżej nas bije prąd wsteczny. Jeśli ktoś w niego wjedzie, zostanie zniesiony na znaczną odległość – znajdzie się na tyle blisko, że na pewno będzie w stanie dorzucić liną.

Steve wpatrywał się z niedowierzaniem w swojego towarzysza. Nowoprzybyły odjechał, aby sprawdzić tę możliwość. Steve odchrząknął.

— Powiem ci coś, Dave. Ramię którym rzucasz jest już trochę zmęczone. Przypuśćmy, że ja zrobię to, o czym myślisz.

— Ty właź na drzewo i miej oko na linę.

Nowoprzybyły przyjechał z powrotem.

— Szybko poniesie cię w dół rzeki, Dave.

— Też tak sądzę.

— No cóż, będę jechał wzdłuż brzegu z gotowym lassem.

— Jestem zobowiązany, Lou — powiedział Denver i podjechał na oklep do miejsca, z którego zamierzał wyruszyć. Steve podał mu linę, a następnie zarówno on, jak i nowoprzybyły ustawili się w takiej pozycji, aby utrzymać ją z dala od wody. Jesson pospiesznie podjechał z chaty. Denver zasygnalizował swoje zamiary, a Jesson odparł że rozumie. Wepchnął konia w nurt wody i obrócił go bokiem do Denvera, unosząc obie ręce nad głową.

Denver zawiązał pętlę na linie, jednocześnie trzymając część sznura od brzegu tak wysoko, jak tylko mógł. Steve i przybysz obserwowali go z uwagą; blade szczęki Williamsona mocno zacisnęły się wokół kawałka tytoniu. Denver wprowadził konia do wody i kazał mu iść prosto do przodu, aż woda dotknęła jego brzucha. Natychmiast pod naporem prądu zwierzę straciło równowagę, a Denver, chwytając się kolanami końskiego grzbietu, zaczął kręcić pętlą. Daleki brzeg przesuwał się z dziwną szybkością, pony zaczął się przewracać, a człowiek wiedział, że kiedy wykona ostatni rzut, zwierzę będzie zbyt mocno wytrącone z równowagi, aby kiedykolwiek ją odzyskać. Uniesione ramię Jessona znalazło się naprzeciwko niego, pętla wystrzeliła jak pocisk; Denver, rzucając się w nurt, aby nie dać się wciągnąć pod konia, zobaczył, jak Jesson w szaleńczym pośpiechu łapie i porywa pętlę. Potem Denver runął w dół jak kamień, z rykiem i hukiem wody w uszach.

Kiedy wynurzył się, wypluwając z siebie wodę, zobaczył w oddali kołyszący się koński łeb. Zobaczył też zamazany, panoramiczny pas brzegu i pędzącego wzdłuż niego Lou Redmaina. Potem jakaś odbita fala uderzyła go w twarz, zachwiała jego kontrolą i posłała na dno; wiedział tylko, że ręce i stopy szamoczą mu się w rzece nie znajdując punktu

oparcia. Po raz drugi wynurzył się na powierzchnię i walczył o utrzymanie się na niej, nie mogąc już nawet znaleźć brzegu. Białe groty włóczni przeszywały mu ciało, z braku powietrza. Coś uderzyło go w skroń; instynktownie uniósł rękę nad głowę, czując, jak przeciwny prąd odrzuca go do tyłu. Pomyślał, że Redmain spudłował, i podjął próbę rozjaśnienia głowy, a przynajmniej wypłynięcia na powierzchnię; ale ten sam przeciwprąd, który go zatrzymał, teraz go przewrócił, a on osuwał się w przedziwną noc tonącego umysłu. Z krańcowo stłumioną świadomością poczuł zaciskający się wokół jego ciała sztywny uchwyt. Kompletnie odruchowo owinął ręce wokół liny i po chwili został wyciągnięty na brzeg.

Nie zemdlał, lecz Williamson trzymał go, stojąc w rozkroku, i wyciskał mu z płuc wodę z Copperhead. W końcu palący głód powietrza ustąpił i Dave odetchnął pełną piersią. Williamson wstał.

— W porządku, Dave. Ty zrobiłeś swoje, teraz ja biorę się za resztę.

— Myślisz, że uda ci się przeciągnąć na drugą stronę po tej linie, Doc? — dopytywał się Steve Steers.

— Mam siedemdziesiąt lat — stwierdził Williamson — i robiłem już wszystko oprócz chodzenia po linie. Mam nadzieję, że nie jestem na to za stary. Ale niech mnie diabli, jeśli wrócę w ten sam sposób. Pojadę na jednym z koni Jessona dookoła, mostem. Dave, weź mój zaprzęg i powóz do siebie, a ja odbiorę je później.

W trakcie kiedy to mówił, przywiązał sobie torbę z lekarstwami do klatki piersiowej. Podnosząc się na nogi, Denver popatrzył na rzekę. Jesson wycofał konia z wody i naciągając linę, przeciągnął ją na wyższy odcinek brzegu. W ten sposób, jeśli uda się utrzymać naprężenie sznura, Williamson będzie mógł przeciągnąć się po nim na drugą stronę, suchą nogą. Doktor wsiadł na konia przed Lou Redmainem; ten ostatni wjechał do rzeki pod liną. Williamson wyprostował się, chwycił linę i podciągnął się, owijając ją wokół stopy i ramienia.

— Założę się — stwierdził nerwowo Steve Steers — że w tym momencie chciałby być bliższy swoim małpim przodkom.

Williamson, kołysząc się pod liną, poruszał się szybko i stopniowo dotarł do połowy nurtu. W tym miejscu lina opuściła się niżej, aż wiszący ogon płaszcza doktora spłynął po powierzchni pędzącej Copperhead. Jesson, trzymając drugi koniec przez róg siodła, najwyraźniej nie odważył się zbytnio naciągać liny; i wydawało się, że ma trochę kłopotów z utrzymaniem konia w miejscu. Williamson zatrzymał się, przesunął się kilka stóp poza środkowy punkt, wydawał się być zmęczony. Zatrzymał się więc ponownie, podczas gdy trzej obserwatorzy na zachodnim brzegu stali w głębokim milczeniu. Następnie doktor zaczął pełznąć dalej, stopa za stopą, minął najbardziej niebezpieczne miejsce i zdecydował się zejść do płytkiej wody przy brzegu rzeki, zamiast wciągać się aż na wysoki brzeg. Wydostał się na suchą ziemię i nie zatrzymując się, pobiegł do chaty.

Lou Redmain sięgnął po bibułkę do papierosów, rzucając Denverowi krótkie, bystre spojrzenie.

— Doc — mruknął — jest naprawdę w porządku.

— Powinni nazwać dziecko jego imieniem — stwierdził uroczyście Steve.

Denver zachichotał.
— Połowa dzieci w Yellow Hill nosi już jego imię.
— A jak on w ogóle ma na imię? — spytał Steve.
— Stephen Burt Williamson.
— Co? — wykrzyknął Steve. — Do diabła, przecież to moje imiona!
— Jasne — zgodził się Denver. — Ciebie też na ten padół łez sprowadził Doc.
— Niech mnie diabli!
Jesson odrzucił linę, która zsunęła się w nurt rzeki. Steve zwinął ją. Jesson wskazał coś na południu, po swojej stronie rzeki, a Denver, patrząc w tamtym kierunku, dostrzegł swojego konia pasącego się pół mili poniżej. Jesson wykonał jeszcze kilka indiańskich gestów i pojechał po jego pony.
— Co do tego zwierzęcia liczyłem, że szanse będą pięćdziesiąt na pięćdziesiąt — pomyślał na głos Denver. Lou Redmain zatrzymał się, dając Denverowi okazję do podziękowania. — Jestem zobowiązany. Kiedy uderzyła mnie twoja pętla, wchłonąłem w siebie już prawie cały płyn, jaki byłem w stanie znieść.
— Zawsze chętnie służę ci pomocą — odparł uprzejmie Redmain. — Albo Williamsonowi.
Steve udał się do powozu. Denver obserwował uważnie twarz Redmaina, gdy zadał nagłe pytanie.
— Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, Lou, ale Stinger Dann jest dziś w Sundown.
— Być może — odparł enigmatycznie Redmain — to ja go tam wysłałem. A może pojechał z własnej woli.
— Wygląda na to, że żywi urazę — kontynuował Denver.
— Nigdy go nie widziałem bez urazy na twarzy — stwierdził Redmain, krzywiąc wargi.
— Zastanawiałem się tylko — ciągnął Denver — czy przypadkiem nie jest ona skierowana w moją stronę.
— Nie posłałem go twoim tropem — szybko odpowiedział Redmain.
— To wszystko, co chciałem wiedzieć.
Ale Redmain drążył temat.
— Nie mam powodu ani ochoty sprawiać ci kłopotów, Dave. A jeśli ten przeklęty głupiec będzie chciał się wyrwać przed szereg, to zaciągnę go z powrotem na właściwe miejsce.
— Niech ma odrobinę zabawy — stwierdził trzeźwo Denver. — Zawsze uważał mnie za kogoś swojego rodzaju i równie dobrze można mu pozwolić na spróbowanie swoich sił. Nie lubię patrzeć, jak wokół mnie kręcą się jacyś ludzie.
— Nie będzie próbował z tobą pogrywać — oświadczył stanowczo Redmain. — Po pierwsze, ma robić to, co mu każę. Po drugie, jest dla mnie użyteczny i nie chcę, żeby ktoś go zastrzelił.
— Tak — zadumał się Denver, — zawsze czułem, że uważasz go za niezłą kartę.
Redmain zebrał wodze.
— Muszę jechać dalej. Przy okazji, czy ten zespół operowy jest w mieście?

— Lola - jest — oznajmił cicho Denver — i pewnie właśnie tego chciałeś się dowiedzieć.

Przez chwilę w oczach Redmaina mignął ciemny, dziki błysk emocji, a na jego wąskiej twarzy pojawiło się napięcie i bladość wokół nozdrzy: oto zabójca, człowiek bez współczucia i sumienia, szybko wyłaniający się spod zwodniczej maski manier. Lecz równie szybko Redmain opanował się i wbił w Denvera nieprzeniknione spojrzenie. Potem zawrócił i ruszył odjeżdżając od rzeki, kopyta jego pony zatętniły po ziemi szybkim krokiem. Steve dosiadł konia. Denver wrzucił siodło na bryczkę, zajął miejsce na koźle i ruszyli. Wspólnie wjechali na wyżej położony teren. Purpurowe cienie kładły się na grzbietach wzgórz; stukot kół zaprzęgu rozbrzmiewał daleko po cichych wąwozach. Noc opadała coraz niżej, niosąc ze sobą wszechogarniającą samotność i tajemnicę nieokiełznanego jeszcze kraju.

Była to bardzo pracowita pora roku, ale Denver wcześniej dał swoim ludziom pozwolenie, aby pojechali do Sundown na przedstawienie i związaną z nim zabawę. Kiedy więc wjechał w długą topolową aleję i dotarł do baraku sypialnego, zastał dziwnie nienaturalny spokój, panujący w kwaterach. Ludzie zjedli wcześniej posiłek i odjechali, zostawiając tutaj jedynie kilku bardziej pustelniczo nastawionych, którzy zdawali się cieszyć samotnością. Jeden z nich przerwał grę na skrzypcach wpół dziwnej melodii i wyszedł, aby przyjąć nadjeżdżających. W głównym domu świeciły światła, woda melodyjnie bulgotała ze studziennej rury, a nad podwórzem unosił się ostry zapach wzgórz. Denver wydał polecenie pracownikowi.

— Moje siodło jest z tyłu bryczki. Załóż je na tego siwego wałacha, Shad.

Idąc do domu, Denver i Steve zjedli szybką przekąskę; potem Steve wyciągnął się na fotelu w salonie, podczas gdy Denver ogolił się i przebrał. Nieco żartobliwie, piaskowo-włosy poganiacz pochwalił przemianę.

— Do diabła, Dave, zaczynasz odstawać od naszej klasy. Kiedy człowiek codziennie dopieszcza swoje wąsy, przestaje już być prostym człowiekiem.

— Mężczyzna w teatrze powinien prezentować czystą twarz, nieprawdaż? Idziesz?

— Cóż, wracam z tobą do Sundown — odparł Steve — ale nie wybieram się na przedstawienie. Na pewno nie. Debbie dopiero podniosłaby krzyk, gdyby się dowiedziała.

Denver zachichotał przez dym z papierosa.

— Jak na zaręczonego człowieka, chyba traktujesz życie zbyt poważnie. Dlaczego nie poczekasz aż się ożenisz, zanim zaczniesz tworzyć wokół siebie taką pogrzebową atmosferę?

Swobodna, nieprzenikniona twarz Steve'a zmarszczyła się w poważnej minie.

— Nic o tym nie wiesz. Kiedy człowiek się ożeni, to wie na czym stoi. Sędzia wydał na niego wyrok, węzeł został zawiązany i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. To znaczy, chodzi mi o to, że kiedy facet się żeni, to już jest w jakimś określonym punkcie. Ale te zaręczyny, co to w ogóle ma być? Nie jesteś ani jednym, ani drugim. W jednej chwili jest ci gorąco jak

w piekle, a w następnej robi ci się zimno. Nie wiesz, co powiedzieć, co zrobić i jak się zachować. Dave, to jest okropne.

— Kiedy odbędzie się ceremonia?

— Ha! — prychnął zakłopotany Steve. — To kolejna rzecz. Skąd mam wiedzieć? Słuchaj, czekają cię wielkie przeżycia, Dave. Zanim zadasz kobiecie odpowiednie pytanie, twoje akcje stoją wysoko. Nic nie jest dla ciebie zbyt dobre. Siadasz w najlepszym fotelu w salonie, jej ojciec częstuje cię najlepszymi cygarami, a panienka opiera się na twoim ramieniu, jakby nie mogła się obejść bez twojego wielkiego, przystojnego ciała. Ale potem – co się dzieje? Nagle stajesz się tylko przyszłym mężem. Dziewczyna traci rozmarzone spojrzenie i w głowie jej tylko ubrania, etykieta i tego rodzaju rzeczy; jej ojciec myśli o wydatkach i nie częstuje cię już więcej cygarami. Fotel w salonie zostaje odesłany na strych i nikt nie ma czasu zamienić z tobą słowa. Nie mam pojęcia kiedy to będzie. Przypuszczam, że pewnego dnia dostanę zawiadomienie, iż mam się stawić na uroczystość w takim a takim kościele, a poza tym po prostu wiszę na gałęzi i czekam aż ktoś mnie odetnie.

Denver zwrócił się łagodnie do swego przyjaciela.

— Nie chciałbym, żebyś odebrał to tak, że leję zimną wodę na to małżeństwo i w ogóle uważam, iż Debbie Lunt to świetna dziewczyna. Ale pamiętam, jak ty i ja jeździliśmy razem pięćdziesiąt mil na potańcówki i dobrze się bawiliśmy. Przypominam sobie też wypadek, kiedy zamieniliśmy uprząż we wszystkich zaprzęgach na podjeździe pod stodołą Fee. Zdaje się, że ostatnio straciłeś nieco wigor, Steve.

— Nie miałem żadnej własnej myśli, odkąd się oświadczyłem — zastanowił się Steve, pogrążając się w przygnębieniu. — Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. Teraz już nie jestem tego taki pewien.

— Więc, po co się żenić? — chrząknął Denver.

— No cóż, myślę o tym w taki sposób. Jak będzie wyglądało życie z Debbie za trzydzieści lat? Okropne - strasznie. Drżę na samą myśl o tym. Kąpiel co tydzień, żadnego palenia w domu, żadnego alkoholu, żadnego pokera, żadnego włóczenia się. Nic. Będzie tak: idź tu, Steve, i idź tam, Steve, i uważaj na błoto na butach, Steve. Tak samo: Steve, załóż szalik na szyję bo zimno i, Steve, kochanie, zajmę się twoją miesięczną wypłatą, więc przekaż mi ją i nie mrugaj tak do mnie oczami. O mój Boże!

— Skoro tak czujesz — stwierdził Denver — to dlaczego nie zerwiesz oświadczyn?

— No cóż — westchnął Steve — myślę o tym też w inny sposób. Jak będzie wyglądało moje życie za trzydzieści lat, jeśli jej zdobędę? Do diabła, Dave, nie ma innej kobiety, która by mnie chciała. Byłbym samotnym człowiekiem. Gnieżdżącym się w szałasie pełnym dziur. Sam cerowałbym sobie skarpety i gotował fasolę. Z nikim nie mógłbym porozmawiać i nikogo by nie obchodziło, co się ze mną stanie. Być starym, bezużytecznym człowiekiem, bez rodziny, to bardzo smutna rzecz. Tak więc zastanowiłem się. Drżę na myśl o małżeństwie z Debbie i drżę na myśl o tym, że ją utracę. Po dojrzałej refleksji oceniam, że bardziej drżę, gdy myślę o jej utracie. Dlatego dla mnie małżeństwo jest strzałem w dziesiątkę.

— Powinieneś się więc cieszyć, że wkrótce uda ci się doprowadzić sprawę do końca — zauważył sucho Denver.

— Taaa — mruknął Steve i powiódł wzrokiem po pokoju. W jego odpowiedzi czuło się kompletny brak entuzjazmu, coś w rodzaju śmiertelnego znużenia. — O, tak. A-ha.

— Chodźmy już — powiedział Denver, ruszając przodem do drzwi. Dosiedli koni i wrócili na szlak. Za ostatnimi topolami Denver zatrzymał się. — Słuchaj, chcę się trochę rozejrzeć, dla swoich własnych potrzeb. Rozdzielimy się tutaj. Ty pojedziesz krótszą drogą do miasta. Ja pójdę naokoło, objeżdżając Starlight.

Steve Steers natychmiast zrobił się czujny.

— Szukasz kogoś konkretnego?

— Nie, ale chciałbym wiedzieć, czy ludność hrabstwa Yellow Hill nie przenosi się dziś wieczorem jakoś bardziej masowo na drugą stronę Copperhead. Ten Stinger Dann trochę mnie prześladuje.

— To dobry pomysł — zastanowił się Steve, — i może przynieść owoce.

— Te owoce, jeśli w ogóle, będą przeznaczone wyłącznie dla nas — ostrzegł go Dave.

— Słyszałem cię już za pierwszym razem — stwierdził Steve. — Rozdzielmy się. I lepiej się pośpiesz, bo zanim dojedziesz na to przedstawienie, broda ci odrośnie.

Ruszył ostro po szlaku. Denver ominął kwatery rancza, wjechał na stromą ścieżkę i zanurzył się w mroku pasa sosen. Światła „D Slash" zamigotały i znikły; po chwili sosny rozbiegły się na boki zmieniając się w wyżynną, spowitą mgłą łąkę, ta zaś przeszła w wąski, zmierzający w górę wąwóz, który prowadził prosto na bardziej równy teren na południu. Denver, mając przed sobą stosunkowo pustą drogę, zwiększył tempo.

W trakcie jazdy przywołał w myślach dawną sprawę na przeprawie przez Copperhead. Od tamtego odległego dnia z dzieciństwa, kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że spokojny świat niesie ze sobą tysiące zagrożeń, zaciekle walczył z dominującymi przeciwnościami. Te zmagania ukształtowały go i zahartowały na całe życie, dlatego teraz, gdy był już dorosłym mężczyzną, David Denver spoglądał na dzikie siły natury jak poganin, nadając tym siłom niemalże kształty żywych osobowości. Zbyt długo z nimi walczył, żeby patrzeć na nie w inny sposób. Poczuł więc ponurą satysfakcję, po tym jak pokonał rzekę i wygrał kolejne starcie w swej odwiecznej walce z tą krainą. Kiedy jednak pomyślał, że gdyby nie szybkość i celność rzutu lassem Lou Redmaina, byłby teraz niczym więcej jak tylko strzępkiem bezmyślnego śmiecia, kotłującym się w mętnym nurcie wody, obudziły się w nim wszystkie buntownicze instynkty i skrzywił się groźnie w nocnych ciemnościach.

— Żaden człowiek nie jest w stanie przetrwać tysiąca ryzykownych zdarzeń — pomyślał sobie — a ja wykorzystałem już bardzo wiele swoich szans. Pewnego dnia ta kraina mnie dopadnie. Tak jak dopadła mojego tatę. Podobnie jak i innych. Myślę, że zawsze będę brał udział w jakiejś walce i w pewnym momencie noga mi się poślizgnie. Kiedy tak się stanie, będzie już po mnie.

Wiedział jednak, że nigdy się nie podda i nie przestanie rzucać do tej walki wszystkich swych sił.

Pogalopował w dół pochyłego terenu, mając po lewej stronie uśpione zbocza Kanionu Starlight. Z boku wyskoczyła droga dla dyliżansu i skręcił w nią, a szary wałach wyciągnął się w długim, swobodnym biegu. Niżej jak okiem sięgnąć preria przypominała spokojny ocean, a jej powierzchnię spowijała mgła. Gdzieś w górze wisiał księżyc, lecz jego blade światło odbijając się od wzburzonych warstw atmosfery tworzyło jedynie migoczącą koronę, która niczego nie oświetlała. Mgliste powietrze przeszyło jego koszulę, a nad drogą po której jechał leniwie unosiła się cała gama wilgotnych wiejskich zapachów. Gdzieś zaszczekał kojot, a daleko w dole zadźwięczał dzwonek krowy mlecznej jakiegoś osadnika. Podświadomie pod wpływem buzującego nowym życiem świata, nastrój Dave'a Denvera zaczął łagodnieć.

Przejechał przez pusty most, zaś tętent podkutych kopyt jego pony odbił się echem po okolicy. Pokonał odcinek długiej i płaskiej jazdy w dół, a następnie wspiął się na kolejne wzniesienie. Przy ujściu jakiegoś ciemnego wąwozu zatrzymał się, zsiadł z konia i oświetlił zapałką mokry boczny szlak. Ale nie było tam żadnych śladów, więc pojechał dalej; obok wzgórza Dead Axle, serpentynowym zjazdem do Sundown Valley, obok złowrogiej ściany Kopuły Shoshone. Gdzieś w oddali usłyszał tętent pędzących jeźdźców; natychmiast zjechał z drogi i zatrzymał się schowany w czarnej szczelinie kopuły. Dźwięk dochodził z zachodniej części doliny i nagle ucichł.

— Jadą przez odcinek miękkiej trawy — zdecydował.

W tej samej chwili jadący oddział dotarł do twardszego podłoża i popędził do przodu. Denver pochylił się i położył dłoń na pysku wałacha. Cień za cieniem, migały obok niego w odległości zaledwie dwudziestu stóp; milczące kształty jadące parami obok siebie i kołyszące się z szybkością ich przemykania. Spod okutego kopyta tu i ówdzie błysnęła iskra, i po chwili te nocne przelotne ptaszki rozpłynęły się w oddali, a odgłosy ich przejazdu zostały wchłonięte przez bezkresną noc. Denver miał znowu wolną drogę.

— Wyruszyli z Wells — pomyślał — a nie z Sundown. I jak zwykle dokądś zmierzają. Moje domysły były błędne. Redmain już ich wyprowadził z terenów Sky Peak. Jak zawsze, kiedy piorun uderza, robi to o wiele mil dalej. Mądry człowiek, nawet jeśli nie dobry.

Pogrążony w tego rodzaju myślach, wypuścił galopem wałacha i po pół godzinie zobaczył światła Sundown. Z teatru dobiegała muzyka; przedstawienie już się zaczęło. Zostawił konia przed barem Grogana, wszedł do środka i zastał Steve'a przy barze.

Rozdział IV

Dżentelmeńska gra

— **N**ic — oznajmił cicho Steve.

— Miałem więcej szczęścia — odpowiedział Denver.

Sam Grogan, apodyktyczny człowiek z fałszywym uśmieszkiem dobrodusznego charakteru na twarzy, ruszył wzdłuż baru, i Steve zmienił temat.

— Eee tam, mam iść oglądać przedstawienie, a co mnie ono obchodzi? Ja zagram w pokera. — Następnie, przypominając sobie, że to również jest jedna z tych rozrywek, w których od których zaręczony mężczyzna powinien trzymać się z daleka, pospiesznie się zastrzegł. — Chciałem przez to powiedzieć, że mógłbym spędzić prawie cały wieczór przyglądając się grze.

— Z pewnością zabrzmiało to strasznie twardo — zażartował Denver i wyszedł.

Zamiast udać się prosto na drugą stronę ulicy do teatru, wmieszał się niby przypadkiem w tłum bezcelowo kręcących się poganiaczy krów i w ten sposób został zaniesiony aż na werandę hotelu. Zatrzymał się tuż przed silnym światłem padającym z budynku i skrył się szybko w zaułku obok niego. Wkrótce ulicą przewinął się powoli jakiś mężczyzna, wszedł na werandę hotelu, a następnie do środka. Szybko wyszedł z powrotem i zatrzymał się, aby zapalić papierosa; w blasku zapałki Denver dostrzegł na jego twarzy wyraz zakłopotania.

— Tak myślałem — chrząknął pod nosem Denver. — To ten sam człowiek, którego Stinger Dann posłał po południu do stajni. Nie znam go. Redmain ostatnio ściągnął do swojej bandy dużo świeżej krwi. Ale teraz, co on tam wymyślił?

Mężczyzna szybko przeszedł przez ulicę i przepchnął się przez tłum, znikając z pola widzenia gdzieś w pobliżu Palace. Pod wpływem nagłego impulsu Denver wycofał się w głębszy cień, zatoczył szerokie koło i przekradł się tyłami domów stojących w północnym rzędzie miasta. Nagle przyciągnęły go nieodparcie na wpół otwarte drzwi teatru; Lola Monterey śpiewała, a gorące, pulsujące tony jej głosu zmiotły w otchłań niepamięci lata jej nieobecności i cofnęły jego umysł do czasów, gdy oglądał ją tańczącą w Palace - smukłą, szkarłatną postać rozcinającą mgiełkę dymu wypełniającą salę. Przypomniał sobie, że w jej piosenkach zawsze było coś, co uświadamiało mu, że życie jest krótkie i smutne; zawsze był w nich obecny ten chwytający za duszę urok, który poruszał go do głębi, oraz bezpośrednie spojrzenie jej ciemnych, błyszczących oczu, które sprawiało, że jego własna dzika krew zaczynała płonąć.

Na wpół zły, odsunął się od drzwi.

— Stare czasy, stare sztuczki. Zmieniła się pod pewnymi względami. Nie jest już głodną dziewczynką, na wpół przerażoną, na wpół dziką. Wywalczyła sobie pozycję, jest pewna siebie - jest dojrzałą kobietą. Ale jej serce wciąż jest takie samo. Kobiety takie jak ona nigdy się nie zmieniają.

Szmer głosów wymiótł mu te introspekcje z głowy. Gdzieś dalej w ciemności jacyś ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami, pośpiesznie. Denver ruszył na palcach do przodu, ominął ślepą ścianę Palace, zatrzymał się obok przyległego sklepu rzeźnika i cicho prześlizgnął się koło ostatniego budynku stojącego w północnym rzędzie miasta. Na dole znajdował się sklep z uprzężą, a nad nim biuro prawnicze pułkownika Feara Langdella, do którego prowadziły zewnętrzne schody. Buty stukały o stopnie. Rozmów było więcej.

— ...skąd, do diabła, mam wiedzieć?

— Powinieneś.

— No dobrze, nie wiem. I pewnie ktoś dostanie za to kulkę.

— Dostanie, jeśli nie przestaniesz obwieszczać całemu światu gdzie jesteśmy. A teraz idź tam.

— To zły pomysł, mówię ci!

— Rób, co ci mówię, albo wynoś się z tego terytorium. Myślałem, że jesteś twardy...

Denver przywarł do ziemi, ponuro rozbawiony; jeden z tych nocnych ptaszków zmierzał po schodach w stronę ciemnego biura Langdella, popychany twardym sarkazmem stojącego na dole mężczyzny. „Jeśli próbują zastawić pułapkę na Langdella" — pomyślał, — „to mają pecha. On zjadł zęby na tego rodzaju sztuczkach".

Człowiek dokonujący rekonesansu dotarł do górnego podestu. Skrzypnęło pokrętło klamki. Zapadła cisza. Denver uśmiechnął się w ciemności, a jego dłoń zamknęła się wokół leżącego luzem kamienia wielkości winogrona. Podniósł się na nogi i rzucił kamieniem w kierunku budynku, po czym ponownie padł na ziemię, gdy kamień uderzył o schody, rozbrzmiewając w ciszy głośnym stukotem, niczym lawina. Mężczyzna w biurze Langdella wybiegł na zewnątrz, wykonał potężny skok i uderzył o ziemię, wypuszczając powietrze.

— Na miłość boską...!

Obaj niezgrabnie rzucili się do ucieczki. Denver pospieszył z powrotem do najbliższego zaułka i wyszedł na ulicę w samą porę, by zobaczyć, jak Stinger Dann idzie chodnikiem z paskudnym grymasem na twarzy; zaś chwilę potem pojawił się mężczyzna, który śledził go w hotelu. Obaj weszli do Grogana.

— Tani sposób na dobrą zabawę — chrząknął Denver, próbując zrozumieć cel działań Danna. Podszedł do budynku teatru i wsunął głowę w drzwi, przyciągając uwagę najbliższego człowieka w zatłoczonym holu. — Dell, widziałeś tu Langdella?

— Tak. Jest gdzieś z przodu. Potrzebujesz go?

— Nie, dzięki — odparł Denver, wycofując się. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej go to interesowało. Stinger Dann nie był człowiekiem, który wykonuje ruchy bez żadnego celu. Myśląc tak, poszedł

dalej i wpadł na Jake'a Leverage'a, który natychmiast wyciągnął go z tłumu.

— Chciałbym się z tobą zobaczyć, Dave.

— Pożyczę ci każde pieniądze, wpłacę kaucję, ocechuję twoje bezpańskie bydło lub dostarczę ci poręczenia w banku — wycedził Dave. — Ale nie zrobię nic, jeśli chodzi o tę sprawę ze strażą obywatelską.

— Liczyłem na ciebie — stwierdził poważnie Leverage. — Jeśli mam być skuteczny, muszę mieć wsparcie. Ciebie też to interesuje.

— Wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat, przekazałem na spotkaniu — odparł Dave. — Słyszałeś przecież moje słowa.

— Powiedz mi wprost — zażądał Leverage — co jest takiego w tej sprawie, że nie chcesz się jej podjąć? Twój wpływ powstrzymał z dala od niej paru ludzi, a to nie jest w porządku.

— Nie lubię włóczyć się z całym tłumem tylko po to, by mieć towarzystwo — wyjaśnił Dave. — Poza tym, jak myślisz, dla kogo odwalasz tę brudną robotę, Jake?

— Dla Yellow Hill, dla Stowarzyszenia, dla mnie i mojej rodziny — odparł poważnie Leverage.

— I dla bandy dużych chłopców, którzy są w stanie sami poradzić sobie z własnymi problemami — dodał Dave. — To nie wydaje się w porządku. Z niechęcią patrzę, jak ściągasz na siebie całą wrogość brutalnej bandy, a tak właśnie się stanie, gdy w nich uderzysz.

— Co racja, to racja — odpowiedział Leverage, nieco zdenerwowany. — Nie wycofam się przy pierwszych kłopotach.

— To bardzo dobrze, ale duzi chłopcy już się z tego wycofali, cholernie szybko, i pozwolili ci odziedziczyć problem. Nie, proszę pana. Nie kupuję tego.

— Czy to wszystkie powody? — naciskał Leverage.

Denver zawahał się i spojrzał w stronę baru Grogana, zwężając oczy w zamyśleniu.

— Nie, nie wszystkie. Ale nigdy nie składam oświadczeń, których nie mogę udowodnić, a te inne moje powody są w tej chwili nie do udowodnienia. Powiem tylko, że nie jestem zadowolony z tego całego układu. I niech tak zostanie.

— Ujmę to tak — zauważył uczciwie Leverage. — Kiedy zaczną lecieć wióry, nie będzie miejsca na neutralność. Przewiduję to już teraz. Są dwa kolory do wyboru, czerń lub biel. I nie pozwól, by jakieś mgliste przeczucia skierowały cię na złą stronę. To przysporzyłoby ci kłopotów.

— Innymi słowy, mogę dostać po łapach za pilnowanie własnych, ściśle określonych spraw? — Twarz Denvera pociemniała. — Tak się składa, że to jest właśnie jedna z tych rzeczy w działaniach tłumu, które mi się nie podobają. Sam o siebie zadbam i dopilnuję, by zostawiono mnie w spokoju. Dotyczy to zarówno bandytów jak i każdego vigilanta, który próbowałby zmusić mnie do zmiany zdania.

— Dokładnie tego się obawiam — wykrzyknął Leverage. — Znam cię od dziecka. Jesteś indywidualistą, do skraju głupoty. Nigdy się nie uginasz. I przewiduję trudności. Przechodziłem już przez tego rodzaju wojny. Wiem, co się wówczas dzieje. Wszyscy ustawiają się za lub

przeciw. A jeśli ktoś się zawaha, ktoś inny zasugeruje, że stoi on po stronie bandytów. I wtedy zrobi się bardzo źle.

— Stado będzie z wyciem deptać mi po piętach, co? — zasugerował Denver, z ponurą i nieprzyjemną miną.

— Przewiduję to.

— W takim wypadku poczęstuję stado dawką ołowiu — warknął Denver. — Nie widzę żadnej różnicy między bandytą, który próbuje ukraść moje bydło, a płomiennookim fanatykiem, który próbuje wymusić zmianę mojego zdania.

Leverage pokręcił smutno głową i odwrócił się.

— Bez urazy, Dave?

— Nie między nami, Jake. Po prostu myślę o jastrzębiach, które wpadną w szał i będą chciały strzelać do każdego, kto im się nawinie pod lufę.

Leverage odszedł. Denver przez chwilę stał w miejscu, opanowując swój gniew. Nagle równa nić jego życia splątała się w węzły. Stając z boku, stał się jednocześnie celem dla obu frakcji. Co więcej, zastanawiał się, jak powinien postąpić z Jakem Leveragem, który był jednym z jego najlepszych przyjaciół. Wiedział o rzeczach, o których Leverage powinien też się dowiedzieć dla własnego bezpieczeństwa. Jednak mówiąc o tym Leverage'owi, stałby się stronnikiem strażników. Rozdrażniony skierował się do saloonu Grogana i kupił drinka. W tłumie zobaczył Steve'a siedzącego przy grze w pokera i podszedł, aby znaleźć miejsce; ale stół był pełny, więc zadowolił się tylko przyglądaniem się.

To było dziwne towarzystwo. Naprzeciwko Steve'a siedział Stinger Dann, który rzucił ponure spojrzenie na Dave'a Denvera i złożył trzymane w ręku karty. W grze brali udział Niland i Cal Steele, podobnie jak Buck Meems, zaś szóstym graczem był nowoprzybyły Anglik, Almaric St. Jennifer Crèvecoeur Nightingale, którego rumiane policzki i błękitne oczy wskazywały na pewne zakłopotanie grą. Cal Steele, cechujący się w każdych okolicznościach manierami dżentelmena, odłożył na chwilę swoje karty.

— Powinniście się poznać. Nightingale, to jest Dave Denver, właściciel rancza znanego jako „D Slash”. Dave, Nightingale kupił Wzgórza Bucket od zarządcy majątku starego Lindersleeve'a.

Nightingale podniósł się powoli i rozprostował swoją luźną sylwetkę do całkiem solidnej wysokości. Obaj uścisnęli sobie dłonie. Niewyraźne i zdawkowe „miło mi” Nightingale'a wydawało się nijakie, ale jego spokojne, pewne spojrzenie miało w sobie coś, co przyjemnie zaskoczyło Denvera.

— Za każdym razem, gdy będziesz potrzebował rady lub pomocy — kontynuował Steele — udaj się do Denvera. Przekazuję ci te informacje, ponieważ rozumiem, jak czują się nowicjusze. Sam nim byłem i uważam za szczęście, że poznałem Dave'a, który przeprowadził mnie przez pierwsze trudne chwile. — Steele uśmiechnął się, a jego przystojna twarz rozjaśniła się. — Więc jeśli wybrałem łatwą i złą drogę, to nie dlatego, że nie miałem dobrej rady.

— Jak amen w pacierzu — odparł Denver. — Nightingale, będziesz musiał nauczyć się odróżniać słowa prawdy u tego człowieka, od jego rzekomo humorystycznych tyrad. Widzę, że grasz w naszą grę.

Nightingale rozdawał karty i robił to dosyć niezręcznie.

— Poker? No wiesz, słyszałem, że to jest tutaj modne, więc zadałem sobie trochę trudu, aby kupić książkę jakiegoś gościa i przeczytać podstawy. Hoyle - tak nazywał się ten facet. Przeczytałem jego zasady dotyczące gry. Wydaje się prosta, choć zabawna.

Krąg obserwatorów zmarszczył brwi.

— Można to i tak nazwać — mruknął Steve. — Ja mam inne odczucia.

— Widzę, że bardzo zmieniłeś kierunki swoich postanowień — rzucił mu oskarżycielsko Dave.

Steve rzucił karty na stół, by zasygnalizować, że nie może otworzyć i wpatrywał się w Denvera.

— Taa. Debbie przyjechała do miasta, żeby zobaczyć przedstawienie. Skąd miałem wiedzieć, że ona się tu pojawi? Posłała po mnie. Poszedłem. Dostałem po głowie za to, że nie jestem umyty i dobrze ubrany. Pytam ponownie, skąd niby miałem to wiedzieć? Nie pozwoliła mi bym zabrał ją na przedstawienie, nie chciała być widziana obok takiego brudnego sukinsyna jak ja. Wyrzuciła mnie na zbity pysk. Ha!

Niland i Meems również spasowali, choć Meems wyraził głośny żal, że nie może otworzyć z czterema dobrze wyglądającymi treflami. Steele pokręcił głową, na co Stinger Dann, przeliczając stosik żetonów zdobytych od swoich przeciwników, który urósł solidnie przez kilka niepomyślnych dla nich rozdań, przesunął go na środek, w ustalonym otwarciu. Nightingale studiował swoje karty tak długo, że Stinger Dann rzucił mocno sarkastyczną uwagę.

— Czy Hoyle nie nauczył cię, jak czytać oznaczenia na kartach?

Nightingale przeprosił i wprowadził do gry swoje żetony, z miną człowieka odrobinę speszonego. Kwota była raczej niezła, wszyscy inni również podjęli ryzyko, i Nightingale powoli wyciągnął kciukiem karty z talii. Niland uznał że warto spróbować i przy swojej kolejce podjął walkę, studiując z uwagą Anglika, jakby znajdował w tum człowieku cechy, które intrygowały jego prawniczy umysł. Dann który otworzył, miał pierwszeństwo i już miał dorzucić ustaloną stawkę, gdy Anglik wykrzyknął żałośnie:

— Te piekielne sekwencje i kombinacje strasznie mi się mylą. Zatrzymajmy się na chwilę i wyjaśnijmy to sobie. Pytanie czysto hipotetyczne, rozumiecie panowie. Nie mam takiej ręki, ale jaką względną wartość ma pięć kart tego samego koloru i nie po kolei? To czysto hipotetyczne pytanie.

Ktoś z tyłu tłumu parsknął śmiechem, na co Dann warknął gniewnie:

— Jeśli pewne przeklęte małpy, nie przestaną dyszeć mi w kark, to je rozwalę! — Wycofał swoją wstępnie zgłoszoną stawkę w licytacji i warknął na Nightingale'a. — Chyba ty, licytujesz.

— Ale ja powiedziałem...

— Ta konkretna sytuacja, o której mówisz — wycedził Denver, czerpiąc sporą przyjemność z tej całej sceny — znana jest jako kolor i ogólnie

uważana jest ona za dosyć łatwą do otrzymania. Wśród uczciwych ludzi, takich jak tu obecni, przewyższa strita, ale nie fula.

Ciężkie spojrzenie Danna przesunęło się niebezpiecznie po twarzy Denvera i spoczęło na Angliku. Ten, czując na sobie ciężar zarówno graczy, jak i widzów, wyraźnie się speszył.

— Ale ja nie mam koloru, panowie — mruknął i wysunął swoją stawkę na środek.

Meems natychmiast spasował z przesadną uprzejmością.

— Wierzę ci na słowo, Nightingale. Nie mam jednak zamiaru zdobywać pewności w bardziej bolesny sposób.

Cal Steele uśmiechnął się szeroko i również rzucił swoje karty. Dann długo przyglądał się Anglikowi, coraz bardziej wojowniczo. W końcu rzucił karty na stół, nie pokazując nawet co dostał na otwarcie.

— Bierz pulę, ty! — warknął. — Nie cierpię grać z początkującymi, którzy mają głupie szczęście!

— Czy dobrze rozumiem, że pula jest moja? — spytał pokornie Nightingale.

Dann zaklął brutalnie i jednym gwałtownym ruchem ręki strącił żetony na kolana Anglika. Widzowie zamilkli, a niektórzy odeszli od stołu. Nightingale zdawał się nie zwracać uwagi na zniewagę.

— Jakie to dziwne — zauważył. — Zdaje się, że myśleliście, że mam kolor. — Położył na stole grzbietem w dół swoje pięć kart, które nie miały żadnej pokerowej wartości. Następnie sięgnął po swoje porozrzucane żetony.

Cal Steele wybuchnął śmiechem.

— To już nigdy więcej ci się nie uda, Nightingale! Ale to było dobre aktorstwo!

Niland skinął głową, jakby jego przypuszczenia się potwierdziły. Stinger Dann zaklął ponownie i sięgnął, by porwać rozłożoną dłoń Nightingale'a na strzępy.

— Do diabła, Angliku, nie próbuj robić ze mnie głupca!

W wyczekującej ciszy nagle padła zimna uwaga Denvera.

— Czy nie znasz lepszego sposobu, niż mieszać w głowie nieznajomemu, Dann?

Dann, wciąż siedząc, uniósł swą długą szczękę w stronę Denvera.

— Kto pana prosił o wtrącanie się w tę sprawę, panie Denver?

— Zwykle kieruję się w takich sprawach własnym osądem, jak dobrze wiesz — odparł chłodno Denver — i nie podoba mi się, że Nightingale mógłby uznać twoje pokerowe maniery, za zwyczaje panujące generalnie w Sundown.

— Jesteś cholernie dumny ze swoich manier, co? — zawołał Dann.

— Są znacznie lepsze niż twoje, żeby nie określić tego inaczej.

Pełne policzki Danna powoli purpurowiały, a jego wielka szyja zaczęła puchnąć przy kołnierzu.

— Może chciałbyś dać mi lekcję — zadrwił.

— Mogłaby ci się nie spodobać moja cena za naukę — odpowiedział Denver. Nie poruszył się, nie zdjął pięści z pasa. Wszystkie dźwięki w saloonie Grogana ucichły, nawet w najdalszych zakątkach sali i jakby na

czyjeś niewidoczne polecenie widzowie odsunęli się od stołu, pozostawiając szeroką aleję, w której obaj mężczyźni spoglądali na siebie. Siedzący przy stole pozostali na swoich miejscach, bardzo poważni. Policzki Cala Steele'a powoli poszarzały i próbował zwrócić na siebie uwagę Denvera.

— Kiedy ci zapłacę — wrzasnął Dann — to będzie długi, zimny dzień! Znasz mój stosunek do ciebie! To wiedza ogólnie znana i to ty jesteś za to odpowiedzialny! Kiedy tylko chciałbyś zrobić wyjątek, śmiało, proszę!

— Myślę dokładnie to samo — powiedział Denver. — Przez cały dzień kręciłeś się po Sundown, próbując coś rozpocząć. Nie wiem, co to może być. Ale mam już dosyć pilnowania cię. Zabiera mi to za dużo czasu, a ty nie jesteś tego wart. To dość tani sposób na zdobycie reputacji złego człowieka - wystawać na rogach ulic i gapić się na spokojnych ludzi. Jeśli więc masz coś przeciwko mnie, to sugeruję, abyś wstał z krzesła i ruszył naprzód.

Choć słowa były ciche, każde z nich padało na stół jak uderzenie bicza i rozniecało dziki, niezdyscyplinowany charakter Danna. Huk kopnięcia jego stopy w krzesło, rozniósł się po całym pomieszczeniu, a jego wielkie ciało poderwało się do przodu. W tym samym momencie Cal Steele wyskoczył przed niego, wołając:

— Przestańcie! — a ręka Steele'a powędrowała w dół, by powstrzymać Danna. — Przestańcie! To nie jest noc na zabawy z bronią!

Dann zaklął dziko i zamachem rąk odrzucił Steele'a na bok, ale moment ataku już minął. Nieruchoma postawa Denvera w jakiś sposób wyciszyła możliwość strzelaniny, podobnie jak jego kolejna sugestia.

— Zaryzykowałeś, Cal, ale może masz rację. Musimy jednak jakoś zadowolić dzisiejszego wieczora tego amatorskiego bandziora. Rozepnij pas, Dann, ja zrobię to samo. Dajmy chłopcom trochę rozrywki.

Dann zerwał z siebie pas i odrzucił go na bok, przetaczając się przez stół na środek pomieszczenia. Denver także zrzucił pas i ruszył mu na spotkanie. Ktoś wykrzyknął jakąś sugestię, która nie znalazła posłuchu. W tej samej sekundzie Stinger Dann wrzasnął:

— Zabiję cię - skręcę ci kark gołymi rękoma! — i rzucił się na Denvera.

Jego goła głowa uderzyła Denvera w ramię, a ostre uderzenie wstrząsnęło całą obręczą barkową Dave'a; wznosząca się pięść Denvera uderzyła w opuszczoną twarz Danna, odrzuciła mu głowę do tyłu i posadziła rewolwerowca na piętach; w tej jednej krótkiej chwili zawieszenia, Denver dostrzegł, że ze wszystkich otaczających go twarzy wyzierają na niego powszechne ludzkie namiętności; brutalność błyszcząca w żarłocznych oczach i rozchylonych wargach, strach szczypiący policzki tych, którzy byli słabego serca, a także drapieżne żądze i instynkty tych, którzy patrzyli, jak ich własne pragnienie niszczenia i zabijania odgrywane jest tu przez innych ludzi. Potem Dann rzucił się ponownie, bezlitośnie zbijając ciosy Denvera, lekceważąc je i odrzucając na bok. Ryknął. Jego gorący oddech buchnął w nozdrza Denvera, a czarna twarz zmieniła się w parę wielkich, przekrwionych oczu. Denver poczuł, jak kręgosłup trzeszczy mu pod naciskiem przeciwnika; przeszywający ciężar wbił się w łuk jego stopy; przechylił go do tyłu, zachwiał jego

równowagą. Wyleciał w powietrze, uderzając w sprężyste ciała gapiów, zbitych w ciasną masę. Silny ból przeszył mu ciało i zobaczył krew, swoją krew, rozlaną na podłodze. Brutalny ryk Danna rzucił mu kolejne wyzwanie. Otrząsnął głowę i podniósł się, odpierając następny bezlitosny atak.

Twarz Danna zmieniła się w karmazynowy, ociekający dysk, a jego ręce ponownie wyciągnęły się by zacisnąć miażdżący kości uchwyt. Denver zrobił krok w bok, walnął rewolwerowca w twarz, wymierzył cios mu w odsłoniętą skroń i uchylił się, aby zaatakować ponownie. Odpowiedź w skroń zdezorientowała odrobinę Denvera, który zatrzymał się, aby zlokalizować swego przeciwnika, przechylając głowę na potężnych mięśniach szyi. Nie było już sensu prosić Denvera o cokolwiek; uwolnił w sobie tygrysa, spuścił ze smyczy wszystkie te dzikie, pierwotne impulsy, które w nim buzowały i tłumione były przez łagodniejsze zasady społeczne. Dzisiejszej nocy stał się nie lepszy od człowieka z epoki kamienia łupanego, a w ferworze tej walki, karmazynowy cel głowy Danna, migotanie bladych twarzy dookoła, ostre wybuchy bólu, uczucie ustępującego ciała - wszystko to przebiegało mu przez umysł wyraźnie, ostro, radośnie. Jeśli nawet stał się nie lepszy od dzikusa, to dzięki Bogu wciąż był na tyle sobą, by stawić czoła tym dzikim instynktom i pokonać je. Dann odnalazł go niepewnym krokiem i pokuśtykał bliżej. Denver usłyszał swój śmiech - dźwięk ten przypominał zderzające się ze sobą postrzępione metalowe blachy. Odrzucił uderzeniem w bok szamoczące się ramiona, zdzielił wpatrzoną w niego twarz, zadał kolejny cios kołyszącemu się ciału i zatopił pięść w byczym karku, który odtoczył się od niego i upadł na podłogę.

Niczym człowiek wychodzący ze stanu uśpienia eterem, cofnął się krok do tyłu i patrzył, jak salon Grogana i wszystkie otaczające go obiekty stają się coraz bardziej wyraźne. Mgła w jego głowie opadła, ludzie stali się czymś więcej niż tylko niewyraźnymi kształtami, a on znów był Davidem Denverem, a nie ciałem skręcającym się pod wpływem impulsów surowej, jednokomórkowej woli. Dann przetoczył się po podłodze i zadrżał; podniósł się na kolana i stanął na nogi. Patrzył apatycznie na Denvera, nie odzyskawszy jeszcze jasności umysłu.

— Mówiłem ci, że lekcja manier może cię odrobinę kosztować — stwierdził Denver. — Moja rada jest taka, żebyś wyjechał z miasta i przez jakiś czas trzymał się z dala od niego.

— To błąd, którego nigdy już nie powtórzę — mruknął Dann bez cienia emocji w głosie. — Nigdy więcej nie użyję przeciwko tobie pięści, Denver. Spotkamy się jeszcze - nie popełnij błędu w tej kwestii. Ale to będzie spotkanie z bronią w ręku - pamiętaj o tym. — Stopniowo jad w jego głosie powracał. — Może zapłaciłem wysoką cenę, ale na Boga, będziesz żałował tej nocy do dnia końca swego życia! A w tym dniu pokażę ci, jak człowiek może wyrwać ci żywe serce i śmiać się, gdy będzie to robił!

— Kiedy będziesz wyjeżdżał dziś wieczorem — powiedział Denver — zabierz ze sobą te dwie przybłędy, którymi się opiekowałeś. Kręcą się gdzieś w pobliżu.

W tłumie pojawiło się zawirowanie wywołane przez niecierpliwie przepychającego się człowieka. Był to Lou Redmain.

— Skończyłeś z Dannem? — zapytał Denvera. — Miałeś z tego odrobinę przyjemności?

W saloonie Grogana znów ucichły wszystkie rozmowy i pojawił się chłód przeczuwanej walki. Denver skinął ponuro głową.

— Skończyłem. Jest twój.

— W takim razie, Dann — oznajmił Redmain, kiwając palcem na swojego człowieka w taki sposób, jakby przywoływał psa — wyjedź z miasta w ciągu dwóch minut. A jeśli jeszcze raz nie posłuchasz moich rozkazów, zastrzelę cię. No już, wynoś się. — Stanął twarzą w twarz z Denverem. — Chcę, żebyś wiedział, że to nie moja wina. Masz na to moje słowo.

Dann potoczył się przygotowanym dla niego przejściem przez tłum i zniknął za drzwiami. Denver, wiedząc, że każde jego słowo było wygłaszane w obecności wielu świadków i rozniesie się daleko, mówił z dużą rozwagą:

— Przyjmuję twoje słowo, Lou. Kiedy je dajesz, nigdy w nie nie wątpię. W tej chwili nie mam nic przeciwko tobie. Nie jesteś człowiekiem z którym mógłbym się dogadać - widzisz pewne sprawy zupełnie inaczej. Może nadejść dzień, kiedy nasze drogi będą musiały się rozejść. Do tego czasu jednak, możesz uważać mnie za osobę neutralną, pilnującą własnych interesów. Spodziewam się, że będę pilnować własnych spraw; spodziewam się również, że inni pozwolą mi tych spraw pilnować. Jeśli tego nie zrobią, to wszystko się zmieni. Wypijemy za to?

— Zgoda — powiedział Redmain. Podeszli do baru. Grogan rozstawił kieliszki i butelkę, po czym w idealnej ciszy wypili alkohol. Na trójkątnej twarzy Redmaina pojawił się lekki rumieniec, gdy odwrócił się do tłumu. Ponownie skinąwszy głową Denverowi, szybko opuścił lokal. Po jego wyjściu rozmowy wypełniły wnętrze jak powietrze próżnię. Pojawił się Nightingale, Steve Steers, Steele i Niland. Jasnoniebieskie oczy Anglika miały powściągliwy, zdystansowany wygląd.

— Dzięki — wycedził przez zęby — za interwencję w odpowiednim czasie. Wiesz, zazwyczaj potrafię zajmować się własnymi problemami. Zrobiłbym to również i dzisiaj wieczorem, ale sprawy potoczyły się tak cholernie szybko, że ledwo zdążyłem otworzyć usta, aby coś powiedzieć, a już było po wszystkim. Będę musiał trochę czujniej eee… trzymać palec na spuście. Zastanawiam się, czy w tych okolicznościach właściwym posunięciem nie byłoby wypicie odrobiny spirytusowego stymulantu? Co?

— Każda pora jest dobra na drinka — zauważył Cal Steele.

— Moim zdaniem twoja technika gry w pokera pochodzi z innych źródeł niż Hoyle — uśmiechnął się Denver.

— Rozegrałem już partyjkę czy dwie — odparł Nightingale, a Denverowi wydawało się, że gdzieś za tymi niezwykle lazurowymi oczami kryje się wesoły uśmiech.

— No to, za nasze grzeszki — zauważył Steve Steers i w ten sposób ochrzcili swoją przyjaźń.

— Czy bardzo źle wyglądam? — zapytał Denver.

— Kręgosłup możesz mieć trochę zwichrowany — odparł Niland — ale twarzy nawet ci nie tknął. Jednakże ta koszula już do niczego się nie nadaje. Zapnij wyżej płaszcz.

— Zapinam guziki i idę — zgodził się Denver. — Do zobaczenia w kościele.

— Nie znikaj stąd — poradził Steve. — Noc jest jeszcze młoda.

— Zanim się stąd wyczołgasz, włosy urosłyby mi do pasa — stwierdził Denver i ruszył przez salę, zesztywniały po otrzymanych ciosach. Nightingale popatrzył z zamyśleniem na jego kanciaste plecy i wygłosił cichą uwagę.

— Niezwykła kombinacja dynamitu, nieodpartej siły, dziewięciu głodnych lampartów i wybuchającego Wezuwiusza. Rozumiem, że był trochę zły na tego Stingera Danna. Mam rację?

— Mniej więcej się zgadza — odparł Cal Steele.

— Lubię tego gościa — stwierdził Nightingale trzy drinki później, — i ufam, że uczucie to może być obecnie odwzajemnione.

— Chwileczkę — wtrącił zimno Steve Steers. — Żaden mężczyzna nie może wygłosić takich słów w mojej obecności. Chciałbym, żebyś zrozumiał, że jestem damą.

Denver podszedł do konia i poprowadził go aż do hotelu, gdzie zastał zebraną rodzinę Leverage'ów. Jake Leverage zwrócił się do niego.

— Muszę zostać na noc, Dave, a Mama jest zbyt zmęczona, żeby tłuc się po nocy. Ale Eve mówi, że chce wrócić do domu.

— Jadę w tamtą stronę — odparł Denver — i przyszedłem zaoferować swoje towarzystwo.

— To trzy mile w bok, od twojej drogi — zauważyła Eve. — Mogę jechać sama.

— Czy byłby to pierwszy raz, kiedy wybrałem się z tobą w długą drogę do domu, Eve? — wycedził Denver.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem i podciągnęła kołnierz płaszcza, chroniąc się przed wkradającym się chłodem. Pani Leverage uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Tłum, po zakończeniu show, krążył wokół nich i nastąpiło ogólne przepychanie się, aby zrobić miejsce na werandzie. Lola Monterey przeszła szybko obok nich, uśmiechając się pomimo bladej i zmęczonej twarzy. Dave uchylił kapelusza. Ochryple rzucone przez Lolę „Dobranoc, Dave" uniosło się łagodnie nad zebranymi, po czym Lola zniknęła. Dave przywiązał swojego kucyka do wózka Leverage'a i pomógł Eve wsiąść na siedzenie, owijając koc wokół jej stóp. Kiedy usiadł obok niej i wziął lejce, pochyliła się bliżej niego, by powiedzieć odrobinę głośniej niż szeptem.

— Ona jest piękna, Davidzie.

— Zawsze tak uważałem — odparł i przyjrzał się uważniej jasnej, szczerej twarzy zwróconej ku niemu. — Ty też jesteś, Eve.

— Myślę — powiedziała, uśmiechając się żałośnie — że to będzie najprzyjemniejsza część całego wieczoru.

Zawrócił powóz na zatłoczonej ulicy i zjechał na bok. Na pożyczonym koniu podjechał dr Williamson, ze zmęczonymi oczyma.

— Dave, to był chłopiec, a Jessonowie kazali ci podziękować.

— Pewnie, kolejny młody Stephen, który ma zawojować świat — zadumał się Dave.

Williamson popatrzył na parę z poważną aprobatą.

— Eve, podciągnij wyżej płaszcz na szyi. Zimno dziś w nocy. Nie jedźcie zbyt szybko do domu. To piękny wieczór - dla młodych ludzi. — Odjeżdżając, dorzucił jeszcze jedno zdanie. — Nie, nazwali dziecko David, co uznałem naprawdę za stosowne.

— Pierwszy David nazwany po mnie — powiedział ze skrępowaniem Denver i ruszył w dół Prairie Street. Pochłonęła ich wilgotna, wirująca ciemność drogi dla dyliżansów. Eve poruszyła się lekko, a on objął ją ramieniem, by przytrzymać płaszcz - i zostawił je tam.

— Braterskie zainteresowanie, Davidzie? — spytała cicho Eve.

— Czasami nie jestem tego taki pewien, Eve.

— No cóż, to bez różnicy. To pomaga chronić się przed zimnem.

Wydało mu się, że uśmiechnęła się do siebie. Tak więc w niekrępującym milczeniu jechali razem dalej.

Rozdział V

Łatwa ścieżka zła

Kiedy Lola Monterey weszła po schodach i skierowała się w stronę swojego pokoju, z mroku na końcu korytarza wyszedł szczupły mężczyzna w czarnym kapeluszu.

— Chciałem się z tobą zobaczyć, Lola — oznajmił cicho.

Dziewczyna zatrzymała się z zaskoczonym sapnięciem.

— Lou, poruszasz się jak duch.

Zdjął kapelusz, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Duch z przeszłości - niezbyt przyjemnej przeszłości? — Ciemna, trójkątna twarz mężczyzny przyglądała się jej z szybko narastającą dumą. Oparła się o ścianę z półprzymkniętymi, biernymi oczyma. — Musiałem się z tobą zobaczyć — kontynuował.

Wskazała na drzwi.

— Wejdź więc do środka. Pięć minut, nie więcej.

Pokręcił głową.

— Nigdy bym tego nie zrobił. Jest już zbyt późno.

— Nic się nie zmieniłeś — zauważyła łagodnie. — Nadal mnie chronisz.

— Ty się zmieniłaś.

— Na lepsze czy gorsze?

— Na lepsze dla ciebie, na gorsze dla mnie. Kiedyś byłaś córką Petera Montereya, mieszkającą w rozpadającej się chacie, a ja karmiłem cię suszoną wołowiną, by podtrzymać ogień w twoich oczach. Teraz jesteś piękną damą i nie potrzebujesz już mojej pomocy. Może zapomniałaś jak to było?

— Nigdy! Dlaczego miałabym zapomnieć? Nie wstydzę się swojej przeszłości, Lou. Jestem dumna, że wychowała mnie ta piaszczysta pustynia. Jest tylko jedna rzecz, z której nie jestem dumna.

— Co to za rzecz? — spytał ostro i stanowczo.

— Ten wyjazd na zawsze. Powiedz mi, czy David ma poważne zamiary w stosunku do Eve Leverage?

Wyrazista twarz Redmaina pociemniała.

— Chciałbym to, na Boga, wiedzieć!

Jej świetliste oczy rozszerzyły się spoglądając na niego.

— A więc… to tu cię trafiło?

— Dokładnie tak — brzmiała jego krótka odpowiedź. — Pragnąłem tej dziewczyny, odkąd obcięła warkoczyki. Ona o tym nie wie. Nikt o tym nie wie oprócz ciebie, *chiquita*. I masz to zachować dla siebie.

— Tak samo jak ty kiedyś dotrzymałeś moich sekretów — obiecała mu, — dawno temu, kiedy walczyłam o to by być piękną i wspaniałą damą. Ach, Lou, przykro mi z twojego powodu. Ale on też nie jest szczęśliwy.

— Kto, Dave? Chyba nie. Ani ja, ani ty. Ani nikt inny na tym świecie, kto ma tyle rozumu, żeby dostrzec, jak pokręcona jest ta cała gra, i tyle gorącej krwi w żyłach, by walczyć.

— Nigdy się z nim nie kłóciłeś, Lou? — zapytała ze zmartwieniem w oczach.

— Jeszcze nigdy. Lubię tego człowieka na tyle, na ile istnieje we mnie chęć lubienia kogokolwiek, to znaczy w niezbyt dużym stopniu.

— Nie chcę, żebyś kiedykolwiek się z nim kłócił.

Wzruszył ramionami.

— Kto wie, co przyniesie przyszłość? Sprawy w Yellow Hill są dosyć mocno poplątane. Na razie, on i ja grzecznie się obchodzimy. Jak długo to potrwa, Bóg jeden wie.

— Strasznie zgorzkniałeś — zauważyła. — Co takiego mogłoby się wydarzyć, co sprawiłoby, że między wami pojawiłyby się problemy?

Jednak on tylko zaśmiał się krótko i zmienił temat.

— Musiałam się z tobą spotkać, choćby na chwilę. Jedną z niewielu rzeczy, Lola, na które patrzę wstecz z ogromną satysfakcją, jest fakt, że byłem twoim przyjacielem i nigdy cię nie zawiodłem. Myślę, że upłynie wiele czasu, zanim…

— Nie. Zostaję tutaj. Od teraz to ponownie mój dom.

Przez kilka chwil nic nie mówił, ale jego usta zacisnęły się, gdy obserwował zmieniający się kolor jej oczu.

— Myślę — powiedział w końcu — że wszyscy jesteśmy głupcami. Ale co z tego? No cóż, w takim razie do zobaczenia. A tymczasem nie wierz za bardzo w to, co o mnie usłyszysz. Dobranoc.

— Dobranoc, Lou.

Powoli zszedł po schodach na ulicę. Rodziny i grupy jeźdźców znikały, pozostawiając Sundown w rękach bardziej lekkomyślnych dusz; u Grogana było głośno, a fortepian Palace, wyciszony podczas występu, wysyłał w półmrok jakąś zawadiacką melodię. Wykonujący nocny obchód szeryf przeszedł obok niego, rzucił szybkie spojrzenie na Redmaina i odezwał się uprzejmie.

— Dobry wieczór, panie Redmain.

Redmain skinął głową, a krzywizna jego ust robiła się coraz bardziej sardoniczna. Dotarł do swego konia, wsiadł na siodło i ruszył w dół Prairie Street. Kiedy światła miasta zgasły za nim, jedno po drugim, uniósł głowę i zaśmiał się gorzko.

— Na Boga, życie jest takie zabawne, że przyprawia człowieka o płacz. Jeśli ona tutaj zostanie, dowie się, w co się zmieniłem – dowie się, że ze zwykłego nieodpowiedzialnego faceta stałem się oszustem, złodziejem, przywódcą bandytów – renegatem o wystarczającej reputacji, by szeryf zachowywał się wobec niego z uprzedzającą grzecznością! Wolałbym dać sobie uciąć rękę, niż pozwolić aby się o tym dowiedziała – ale tak będzie. Eve Leverage już o tym wie. Wszyscy, których chciałbym za przyjaciół, o

tym wiedzą. Dzisiaj już na całym świecie nie ma żadnej cholernej istoty, z którą mógłbym się spotykać jako zwykły, przyzwoity człowiek!

Szybko jechał drogą, mijając wolniej poruszające się cienie, które w ciemności były jedynie mglistymi sylwetkami. Dobiegały go senne obwołania, lecz on milczał, zarówno na skutek dumy, jak i celowo; bo w gęstniejących mrokach nadchodzącej nocy powrócił do typowych dla swej profesji cech zachowania – sekretności, szybkości i czujności. Świadomość, że tak gwałtownie zmienił swą rolę, podsyciła jeszcze jego gniew.

— Nikogo nie mogę za to winić, poza sobą samym. Sam wybrałem tę drogę i uważam, że odniosłem na niej pewne sukcesy. Skąd więc ten żal? Po co teraz osłabiać swą wolę i rezygnować z ogromnych nagród? Gardzę tymi, którzy się poddają; nienawidzę ludzi niepotrafiących dorosnąć do swoich talentów, czy to przestępczych, czy uczciwych. A jeśli w Yellow Hill nie ma już osoby, której mogłabym zaufać lub do której mógłbym zwrócić się o pomoc, to czemu nie cisnąć w diabły przeklętych resztek skrupułów, jakie ciągle we mnie tkwią i nie zmienić się w prawdziwego wilka? Czemużby nie?

Nieświadomie wykrzyczał to pytanie w mroki nocy, a stłumione echa odbijały się wzdłuż opadającej stromo w dół ściany Shoshone Dome niczym odpowiedź od losu. Zesztywniał w siodle, jadąc dalej; całe to wydarzenie wzbudziło w nim jego przesądy hazardzisty. Te mroczne cienie, w których spędził większość swego życia, właśnie mu odpowiedziały. To przemówiło jego ciemne przeznaczenie, był to jedyny wyraźny sygnał w całej jego pełnej niepewności karierze. Przebłyski świadomości przemknęły mu przez zwinny umysł; odniósł sukces i stał się potężny, ponieważ odszedł od ustalonych uczciwych metod. Wybił się, ruszył dalej, z każdym krokiem robiąc się bardziej odważny, bezwzględny i pewny siebie. Pozostała mu więc tylko jedna droga – doprowadzić to zimne i nieustępliwe dążenie ku swym celom, do ostatecznego końca. Nie ufać nikomu, nie kłaniać się przed nikim, nigdy nie pozwolić, aby w sercu zagościła mu życzliwość, nigdy nie pozwolić, aby jego umysł spętały jakieś obietnice.

Przemykał się szybko przez wilgotne, mgliste wiejskie tereny, przejechał u stóp Starlight i ruszył dalej na południe. W miejscu, gdzie droga dla dyliżansu zbiegała prostą, opadającą linią na otwartą prerię, zwolnił prędkość i skręcił w węższą ścieżkę, wijącą się między pogrzebowo mrocznymi cieniami sosen. W dół zbocza płynął strumień, a szlak robił się coraz bardziej stromy. Z położonej na szczycie chaty błysnęło w jego stronę światło; ktoś stanął przed nią i cicho zawołał:

— Kto tam?

— Dann już tu jest?

— Czeka na ciebie.

Zsiadł z konia, odprowadził go kawałek z boku chaty i wrócił, wszedł do środka, robiąc błyskawiczny krok w bok, tak by jak najkrócej wystawiać się widok z zewnętrz. Dwóch ludzi siedziało przy piecu, a trzeci, Stinger Dann, leżał na sąsiedniej pryczy, trzymając w dłoniach opuchniętą głowę.

— Następnym razem — rzucił Redmain — trochę pomyślisz.

Dann wstał.

— Następnym razem go zabiję!

— Nie, dopóki jesteś w moim oddziale, Dann. Masz się zachowywać. Będziesz wykonywał moje rozkazy i nie kiwniesz nawet palcem, jeśli ci tak każę.

— W takim razie — wrzasnął Dann, — odchodzę z tego cholernego oddziału!

Przez kilka pełnych napięcia chwil oczy Redmaina ciskały ogień w stronę pobitego rewolwerowca. Masywna sylwetka Danna zatapiała go niemalże w swym cieniu, a nacechowane złem rysy twarzy podwładnego sprawiały, że w porównaniu z nim smukły przywódca wydawał się niemalże dzieckiem. A jednak wola Lou Redmaina zalewała ciasne wnętrze chaty jak słoneczny żar.

— Nie ma mowy, abyś opuścił mój oddział, Dann. Związałeś się ze mną dobrowolnie. Uczyniłem cię partnerem w tym biznesie. Znasz wszystkie moje tajemnice. Nigdy nie zgodzę się na to byś odszedł. Utkwiłeś w tym na dobre.

Dann skulił się defensywnie. Arogancka, potężna siła wypełniająca go od środka, rozpadła się pod wpływem przemożnej siły Redmaina.

— Co ty próbujesz mi powiedzieć? Jestem wolnym człowiekiem! Nie jestem jakimś cholernym peonem, Lou! Przychodzę i odchodzę kiedy chcę!

— Jedynie wtedy, gdy ja ci na to pozwolę — burknął Redmain, a jego wąska twarz poruszyła się ze złości. — Mówię ci tylko, żebyś został albo poniósł konsekwencje odejścia. Zdecyduj się, tu i teraz. Mam dobre lekarstwo na podobnych tobie porywaczy stad. No więc, jak będzie?

— Nie jestem dzisiaj sobą — mruknął Dann. — Źle się czuję, czuję się wręcz okropnie. Nie wyżywaj się tak na mnie. Czy człowiek nie może od czasu do czasu spuścić trochę pary?

Redmain zaśmiał się pogardliwie.

— Cieszę się, że to ustaliliśmy. I chcę, żebyś raz na zawsze zrozumiał – nigdy nie wkurzaj Dave’a Denvera, nigdy nie rób sobie z niego żartów, chyba że ja wydam ci rozkazy co do tego. Co ci wpadło do głowy, że pomyślałeś sobie, iż jesteś w stanie wyciągnąć broń równie szybko jak on? Przecież, ty głupcze, on potrafi wsadzić kulę każdemu człowiekowi na tym terytorium, z wyjątkiem mnie. Gdyby Cal Steele nie przerwał twojej gry, byłbyś już zimnym trupem. A tak w ogóle, co robiłeś dziś wieczorem w Sundown? Nie kazałem ci żebyś tam jechał.

— Właśnie przyjechałem z Wells, żeby się trochę zabawić — wymamrotał Dann, unikając spojrzenia Redmaina.

— Kłamiesz — odparł chłodno szef. — Wpadł ci do głowy jakiś szalony pomysł. Próbujesz być twardy, żeby wzmocnić swoją pozycję. Gdyby nie stało za tobą moje nazwisko, Dann, już dawno ktoś wpakowałby kulkę w to twoje niezdarne cielsko. Nie będę więcej tolerował żadnych głupstw!

Dann zniósł tę słowną chłostę w milczeniu; pozostała dwójka wpatrywała się w podłogę. Redmain zwrócił się niecierpliwie do jednego z nich.

— Robota wykonana, Gus?

— Taaa — odparł Gus. — Zabraliśmy dwadzieścia krów i cieląt, przepędziliśmy je przez most i zatrzymaliśmy się niedaleko drogi. I co teraz?

Redmain zastanawiał się nad przez chwilę.

— Jak tylko ten ruch z Sundown się skończy, szybko wyprowadź je na drogę i zapędź do Tom's Hole. Dann, jedź ze wszystkimi i zatrzymaj się u nich w obozie. Nie wracaj do Wells, dopóki po ciebie nie poślę. Jutro chcę, żeby cielęta zostały oznakowane, a krowy miały przerobione znaki. Nie spieszcie się i zróbcie to dobrze.

— Jakiego znaku mamy użyć tym razem?

— Tego samego, którego użyliśmy ostatnio. — Redmain skręcił papierosa, zaciskając wargi. W jego oczach pojawił się błysk lekkiego podniecenia. — Jak dotąd zachowywałem się pół na pół. W połowie oszukańczo, w połowie uczciwie. To nie ma sensu. Żądam krwi. Weźmiecie jedną z tych krów i zmienicie znak na „D Slash" Denvera. Zrób to niezdarnie i po amatorsku, tak żeby każdy mógł to zauważyć. Jutro wieczorem zapędźcie ją na ziemie Denvera i zostaw tam.

— Podłożymy mu małe co nieco, co? — zawołał Dann.

Na zewnątrz chaty podniosły się jakieś głosy. Redmain ostrzegł pozostałych obecnych.

— Trzymajcie gęby na kłódkę, co do tej ostatniej sprawy. — Potem drzwi się otworzyły i wszedł kolejny mężczyzna, uśmiechając się sennie.

To był Cal Steele.

— Spóźniłeś się — powiedział Redmain.

— I co z tego? — wycedził Steele. — Mogłem być jeszcze później. Mogłem w ogóle nie przyjeżdżać.

— W naszej firmie musimy działać szybko — mruknął Redmain.

— A więc, przypisujesz swój sukces życiowy temu, że zawsze jesteś punktualny — zadrwił Steele.

— Dziesięć minut — przypomniał mu ponuro Redmain — może zadecydować o tym, czy przeżyjemy, czy zadyndamy na sznurze. Nie zapominaj o tym.

— Czy to takie ważne, żeby przeżyć? — sprzeciwił się Steele ze zmęczeniem. Wskazał palcem na Danna i oznajmił z gniewnym naciskiem. — A co do ciebie, mój przyjacielu, prawie rozwaliłeś sobie ten swój przeklęty łeb i żałuję, że Dave nie dokończył tej roboty. Będziesz musiał lepiej ruszyć głową, żeby zrobić frajera z tego gościa. Co więcej, gdybyś chciał go załatwić, ja załatwiłbym ciebie. Mówiłem ci już, że nie będę tolerował ludzi pogrywających z Davem Denverem. Jest moim najlepszym przyjacielem. Chociaż — i Steele przybrał ponurą minę — przestałby nim być, gdyby wiedział, jakim naprawdę jestem dwulicowym gnojkiem.

— A więc uważasz, że przyjaźń nie jest już czymś aż tak wspaniałym? — zauważył Redmain.

— Człowiek taki jak ja nie zasługuje na przyjaciół — mruknął Steele.

— Ani na nich nie zasługuje, ani ich nie ma — odpowiedział Redmain. — Dzisiaj wieczorem dokonałem tego samego odkrycia, Cal. I co nam to daje? Ciśnij w diabły wszystkie piękne uczucia i bądź tym, kim powinieneś być.

Steele zmarszczył brwi.

— Logicznym skutkiem takiego przekonania jest rozgłos wśród ludzi i prędzej czy później pościg depczący nam po piętach. A odskocznią do dalszej kariery w gazetach - drzewo bawełniane z przewieszoną liną.

— Nie dostaną mnie. Nie mają na mnie nic konkretnego. Ani na ciebie.

— Nic nie pozostanie tajemnicą na zawsze — mruknął Steele. — Rozgłos wśród ludzi wystarczy tobie lub Dannowi, ale we mnie pozostało wystarczająco dużo, abym potrzebował przyzwoitych przyjaciół. No cóż… jak wygląda bieżąca sytuacja?

— Wczorajszej nocy skubnęliśmy trochę wołowiny. Jutro oznaczenia zostaną zmienione na twoje i zatrzymamy ją w ukryciu, dopóki świeże oparzenia się nie wygoją. Potem zapędzimy ją na twoje ziemie. Tymczasem mam już dla ciebie około trzydziestu sztuk. Przeszły proces starzenia przez dwa miesiące. Jutro wieczorem każę je przepędzić na wyżej położone obszary twojej ziemi. Lepiej dopilnuj, aby wszyscy twoi ludzie byli gdzie indziej.

— Uważaj z tym przerabianiem znaków — ostrzegł Steele. — Nie chcę żadnych problemów.

— Gus to ekspert — odparł Redmain. — Nawet przy pomocy brzytwy i mikroskopu nie da się dostrzec różnicy. Nic ci nie grozi. Lepiej w tym roku dostarcz bydło wcześniej. Potrzebuję pieniędzy.

— Czyje bydło zabrałeś wczoraj w nocy?

— Foego — odpowiedział Redmain. – Nasza ostatnia operacja za Sky Peak. Przez następny rok będziemy pracować po tej stronie. Ten Anglik na niczym się nie zna. Oskubię go do czysta.

— Paskudna sprawa — mruknął Steele. — Lubię tego gościa.

— O takich rzeczach, powinieneś pomyśleć dawno temu — odparował Redmain. — Teraz już nie ma szans na zmiany. Pobrudziłeś sobie ręce.

— Myślę, że zdaję sobie z tego sprawę lepiej niż ty — stwierdził Steele i wstał, aby wyjść. — Słyszałeś, że Stowarzyszenie powołało samozwańczych vigilantów z Leveragem na czele?

Redmain roześmiał się.

— Nie mógł nagle zachorować? Dam mu niezły wycisk. Ten biedny głupiec nawet nie wie… — powstrzymał się. Obaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Steele powiedział:

— Jesteś ostrożnym człowiekiem i masz dobrze poukładane w głowie. Nie przećwicz sobie ręki.

Redmain zacisnął pięść i przemówił ze stłumioną radością.

— Mam zamiar się ograniczać, Steele!

— Bądź ostrożny. I zostaw Denvera w spokoju. Będę z tobą aż do tego czasu. Potem się wycofuję. Nie będę brał udziału w żadnym przekręcie przeciwko Dave'owi. — Steele wyszedł. Redmain przez dłuższą chwilę przyglądał się pozostałym ludziom.

— Do roboty, wszyscy. I trzymajcie gęby na kłódkę.

Wyszli, zostawiając go samego przy piecu, pogrążonego w mrocznych myślach. Jedną po drugiej, badał leżące przed nim możliwości; analizował człowieka po człowieku, ze swojego oddziału, jego silne i słabe strony, czy można było mu ufać, czy nie. Na tej podstawie zaczął kalkulować siły tych,

którzy stanęli przeciwko niemu, zestawiając swoją indywidualną siłę z siłą innych osób i swojego oddziału w stosunku do vigilantów. Nigdy wcześniej nie pozwolił swojemu umysłowi ulecieć tak bardzo, jak tej nocy, i nigdy wcześniej nie osiągnął tak jasnego obrazu mistrzostwa, jakie mógłby osiągnąć, gdyby tylko miał dość odwagi, aby uderzyć szybko i mocno. To go podekscytowało, podsyciło ukryte w nim ambicje. Z tego wszystkiego wyłoniły się wnioski. „Pewnego dnia będę musiał spotkać się z Denverem. Steele nigdy nie zaakceptuje tego, co zamierzam zrobić. Musi pójść do ziemi. Wkrótce.”.

Rozdział VI

Szepczące góry

Od czasu do czasu panie z okolicy odpowiadały na przelotne wezwania impulsów społecznych, i tego popołudnia kilkanaście z nich nieformalnie zebrało się w cieniu długiej, galerii werandy Leverage'a. Słońce, zniżając się ku zachodowi, zaczęło spływać ze szmaragdowych grzbietów wzgórz, ale wciąż rzucało jaskrawożółty blask na otwartą prerię, która ciągnąc się od podnóża wzniesień, ginęła w oślepiającej dali. Był już najwyższy czas, by zabrać swe robótki i wyruszyć w drogę do domu, ale panie ociągały się, niektóre z niechęcią myśląc o odjeździe, inne czekając aż przyjadą po nie ich mężczyźni.

— Mężczyźni — stwierdziła pani Jimowa Coldfoot, odgryzając nitkę — wszyscy są tacy sami i żaden z nich nie jest zbyt dobry. Kiedy patrzę na Yellow Hill i tak zastanawiam się nad noszącymi spodnie okazami, przypomina mi się sklep z dobrymi materiałami, które zostały już mocno przebrane.

Krąg pań uśmiechnął się, dobrze znając Jimową Coldfoot. Serce miała może i na właściwym miejscu, ale jej dociekliwy umysł drążył wszystkie sprawy, uszy nie przeoczyły niczego, a język chętnie rozprawiał się z każdą skandaliczną rzeczą.

— No cóż — zauważyła łagodnie pani Roberts, — śmiem twierdzić, że niektórzy z tych naszych biednych ukochanych, z ochotą powiedzieliby to samo o nas.

— Baliby się — zauważyła kwaśno pani Jim Coldfoot. — Wszystko, co mogą zrobić, to skromnie wyglądać i mruczeć pod nosem. Jak w kółko powtarzam Coldfootowi, jeśli ma ochotę sobie pomruczeć, to niech idzie za drewutnię i wymruczy się sam do siebie. Niczego nie da się ich nauczyć, do niczego nie chcą się przyznać. I będą kryli nawzajem swoje kłamstwa, jakby należeli do jakieś loży. Dziwne, że kobiety nie potrafią tak mocno trzymać się razem. Mężczyźni to, że nie doniosą na drugiego, nazywają honorem. Ja nazywam to powszechnym poczuciem winy.

— I co z tego? — chciała wiedzieć pani Casperowa Flood. — Kobiety mają przecież wybór: mogą brać mężczyzn albo zostawić ich w spokoju, prawda?

— Nie mamy na tyle dużo rozumu — odparła pani Jimowa Coldfoot. — Wyszłam za Coldfoota, bo zamęczał mnie na śmierć. Czasami myślę, że bardzo tego żałuje, choć niebiosa wiedzą, że jestem dla niego dobra.

Jedna z pań skryła twarz za kawałkiem przeszywanej kołderki i delikatnie zakaszlała. Deborah Lunt, która wróciła właśnie z okręgu Sky Peak, słuchała z szeroko otwartymi oczami tej druzgocąco szczerej

dyskusji starszych towarzyszek. Wyróżniająca się urodą dziewczyna miała zwyczaj lekkiego zaciskania ust, gdy była zszokowana lub niezadowolona.

— Uważam — oznajmiła stanowczo, — że kobieta nie powinna pozwalać mężczyźnie na zbytnią zażyłość. Nie będzie jej szanował.

Pani Jimowa Coldfoot popatrzyła na nią poprzez szkła swych okularów, z szybkim przypływem zainteresowania.

— Kiedy ty i Steve zamierzacie się pobrać?

Debbie zarumieniła się.

— Nie wiem, to znaczy data nie jest jeszcze ustalona.

— Nie pozwól mu zbyt długo pozostawać w zawieszeniu, jeśli nie chcesz go stracić — poradziła pani Jimowa.

Rumieniec Debbie pogłębił się.

— Nie trzymałabym go w zawieszeniu ani przez chwilę, gdyby nie chciał się ze mną ożenić. Nie jestem taka.

— Ha — nie zgodziła się pani Jimowa. — Słyszałam wiele, które tak mówiły. To nieprawda. Wszystkie z nas, siostry, walczą z całych sił o męża. Lessee, jesteś zaręczona od sześciu miesięcy. Nie, od sześciu i pół miesiąca. Pamiętam przecież, kiedy dotarła do mnie ta wiadomość. No cóż, to wystarczająco dużo czasu, by pozwolić komukolwiek na cierpienia. Powinnaś już podjąć decyzję. Bez względu na to, jak kiepski wydaje ci się teraz, będzie jeszcze gorszy, gdy spojrzysz na niego przy śniadaniu z wąsami w kawie.

Pogłębiający się rumieniec Debbie zmienił się w szkarłatny sygnał nadchodzącej burzy.

— Nie ma w nim nic złego! To wspaniały, dobry człowiek!

Eve, do tej pory milcząca, wtrąciła się delikatnie.

— Debbie, nie daj się zdenerwować pani Jimowej. Ona po prostu uwielbia zbijać nas z pantałyku.

— Ja tylko mam uszy i oczy — odparła zwięźle pani Jimowa. — W każdym razie, teraz, skoro wróciła Lola Monterey, nie ufałabym żadnemu mężczyźnie w okolicy. Ja…

Panie obrzuciły panią Jimową spojrzeniami i różnym poziomie ostrzeżenia i intensywności. Pani Casperowa Flood próbowała zmienić temat.

— Słyszałam bardzo zabawną historię o…

Lecz pani Jimowa wbiła już swe zęby w ofiarę i nie dała się powstrzymać.

— Nie da się zrobić czegoś z niczego. Lola jest córką Hiszpanki i białego mężczyzny, co już jest złe. Swojego fachu nauczyła się w sali tanecznej, co też w niczym jej nie pomaga. Śpiewała po całym świecie i Bóg jeden wie, że to również nie jest żaden powód do przechwałek. Przyznaję, że ma do tego smykałkę, ale dobry wygląd i ładne ubrania nic dla mnie nie znaczą, nawet jeśli przyprawiają o zawrót głowy każdego mężczyznę poniżej siedemdziesiątki.

— Ja myślę, że ona jest piękna — powiedziała cicho Eve, czując na sobie skupione spojrzenia całej grupy.

— Nie jesteś zmartwiona? — rzuciła wyzwanie pani Jim.

— Niby czym? — spytała niewinnie Eve.

— Na miłość boską — wykrzyknęła pani Jimowa — a czyim to niby mężczyzną jest Dave Denver?

— Czy to nie dziwne? Jakoś zapomniałam go o to zapytać.

Ten lekki przytyk spotkał się z aprobatą pozostałych pań. Ale pani Jimowa nie odróżniała przytyku od zaproszenia na kolację. Jej niespokojne spojrzenie omiotło chłopięcą, na wpół uśmiechniętą twarz Eve. Zadała niecierpliwe pytanie.

— Wyszłabyś za niego przy pierwszej nadarzającej się okazji?

Eve roześmiała się.

— We wtorki nigdy nie odpowiadam na tak bezpośrednie pytania.

Pani Jim odłożyła swoją robótkę, widząc zbliżającego się z bryczką Coldfoota.

— No cóż — westchnęła — przynajmniej jesteś dobrą aktorką. Choć to nie moja sprawa, uważam, że chyba oszalałaś, jeśli nie jesteś nim zainteresowana. Ale jeśli jesteś nim zainteresowana, to między nim a Lolą Monterey było wystarczająco dużo, by zapewnić ci wiele bezsennych nocy. Dziewczyny, naprawdę dziękuję wam za wspaniale spędzony czas. — Uśmiechnęła się do wszystkich pań i odwróciła do męża, który czekał skromnie w milczeniu.

— Spóźniłeś się — rzuciła z wyraźną złośliwością.

— Tak, Mamuśko — zgodził się Coldfoot i szarpnął za jedną ze swych szelek.

— Nie memłaj do mnie z tym tytoniem w ustach. Jeśli musisz go wypluć, to wypluj. — Energicznie wsiadła do bryczki i mocno się kołysząc wyjechali na drogę. Pani Casperowa Flood opadła na bujany fotel i roześmiała się tak mocno, że prawie się rozpłakała. Pani Roberts wstała, by zakończyć wizytę. — Po takiej scenie — zauważyła, — zawsze wracam do domu jako lepsza kobieta i gotuję coś specjalnego dla moich panów. Nellie, jedziesz ze mną?

Grupa rozpadła się. Kolejne bryczki zjeżdżały z drogi, by zabrać oczekujące żony. Pani Casperowa Flood wsiadła na siodło czekającego pony i galopem wyjechała z podwórza; a gdy ostatnie z nich odjechały, jakiś mężczyzna wyjechał za pobliskiego wzgórza, siedząc luźno i leniwie na koniu, i kiwnął ręką w stronę podwórza. Eve machnęła w odpowiedzi, na co Debbie Lunt okazała zaskoczenie.

— Masz strasznie dobre oczy, Eve. Kto to jest?

— Dave.

— No cóż, nie jestem zdziwiona. — Zmarszczyła z niecierpliwością nos. — Gdyby Steve się tak ociągał, wiedząc, że na niego czekam, z pewnością bym go upomniała.

— Nie, gdyby Steve był Davem — odparła cicho Eve — i nie, gdybyś ty była mną.

Dave przejechał przez podwórze i zatrzymał się obok werandy. Nie zsiadł od razu, lecz uchylił kapelusza i spojrzał pytająco na dwie dziewczyny.

— Oto obrazek, który wart był tej podróży — wycedził z wolna. — Ale, chwila, nie jest on całkiem idealny. Jedna z tych ślicznotek wygląda, jakby

była zbyt dumna, by na mnie groźnie popatrzeć i zbyt uparta, aby się uśmiechnąć. Debbie, nie ukradłem twojego Steviego.

Debbie zarumieniła się i wyzywająco wystawiła podbródek. W głębi serca trochę się bała Denvera, a trochę była zazdrosna. Ten strach, co dziwne, był strachem małej dziewczynki przed mężczyzną, o którego gwałtownych zdolnościach do walki mówiło się w okolicy od lat. Jednak, to nie było do końca tak; Debbie zawsze instynktownie starała się kryć swe uczucia, gdy spoczywało na niej jego intensywne, bezpośrednie i nieco ironiczne spojrzenie. Czuła, że on widzi przez nią na wskroś, szukając wartości jej duszy i stwierdzając ich brak. Jeśli chodzi o zazdrość, to nie podobała jej się myśl, że ktokolwiek mógłby wpłynąć na lojalność i uczucia Steve'a Steersa, a wiedziała, że Denver ma taką siłę.

— Żartujesz sobie ze mnie — powiedziała, gardząc sobą za to, że przeszła do defensywy.

— Ależ skąd, nie ja, Debbie. Nigdy nie wyśmiewam się z ładnych dziewczyn. A gdzież jest to ludzkie dynamo na kółkach - innymi słowy, pan Stephen Burt Steers?

— Powinien już tu być, żeby zabrać mnie do domu — oznajmiła Debbie z lekką nutką cierpkości w głosie. Dave popatrzył leniwie na Eve i między nimi pojawiła się nić zrozumienia. Eve wskazała na niego palcem.

— Zsiadaj z konia i zaczekaj. Widzę grupę ludzi wracających z prerii i tata pewnie w niej jest.

— Dlaczego pomyślałaś, że nie przyjechałem zobaczyć się z tobą, a nie z twoim tatą? - rzucił Dave, schodząc na ziemię.

— Znam cię na wylot.

— W ogóle mnie nie znasz — mruknął i usiadł na stopniach werandy. Debbie na próżno powiodła wzrokiem po pustej drodze i weszła do domu. Dave zachichotał, a Eve mrugnęła do niego okiem. — Nie — kontynuował Dave — w ogóle mnie nie znasz. Może nie jestem nastawiony tak cholernie po bratersku. Może moje intencje są honorowe, w innym sensie.

Podeszła do stojącego na werandzie stolika. Jej odpowiedź doleciała do niego rzucona przez ramię, chłodna i sceptyczna.

— Jestem pewna, że twoje intencje są honorowe, Dave — niezależnie od tego, jakie one właściwie są i w którą stronę zmierzają.

— Ta uwaga wygląda na prostą — zadumał się, — ale jest w niej pewien skryty przytyk.

— Nieważne. Oto filiżanka herbaty, zimnej jak lód, lecz dobrej na pragnienie.

Wziął filiżankę, zamieszał cukier i wypił. Eve usiadła obok niego.

— Słyszałam dzisiaj po południu, dlaczego Jessonowie nazwali dziecko po tobie.

Odrobinę się zarumienił, jako że był człowiekiem zamkniętym w sobie.

— Ten głupiec Steve...

— Czy nie wiesz już od dawna — wtrąciła spokojnie — że niewiele rzeczy, które robisz, umyka w Yellow Hill? Ludzie zastanawiają się nad tobą, rozmawiają o tobie - i zawsze będą to robić. Słyszałam inne rzeczy na twój temat - o Dannie i o wielu innych sprawach.

— Musiała tu być pani Jimowa Coldfoot — stwierdził.

— Tak.
— Myślę, że nie da się powstrzymać ludzi przed próbami snucia różnych domysłów na temat rzeczy, o których nie mają pojęcia — mruknął.
— Nie da się, Dave. Ale niektóre z tych domysłów są całkiem miłe. — Odetchnęła i dodała ze smutkiem: — Moje też są takie.
— Być może, że nie powinny być zbytnio miłe, Eve. Mówię to tobie - i nikomu innemu - ponieważ uważam, że powinnaś o tym wiedzieć. Nie uważaj mnie za strasznie złego człowieka. Ale nie uważaj mnie także za strasznie dobrego.
— Jakikolwiek jesteś, wątpię, by mogło to zmienić moją opinię o tobie — powiedziała i zmieniła temat. — Przyjechał tata, kilku chłopców i Anglik.
Grupa podjechała pod dom. Leverage wyglądał na niezwykle poważnego i zaniepokojonego; coś wstrząsnęło jego zwykłą pozą. Usiadł ciężko i zwrócił się najpierw do córki.
— Dopilnuj, żeby na stole od razu znalazł się jakiś kawałek chleba, Eve. Muszę znowu wyjechać. Dave, chodź ze mną do szopy. Chcę z tobą porozmawiać.
Oddalili się od domu.
— Przyjechałem ci powiedzieć, że moi ludzie znaleźli około dwudziestu zgub od ciebie — powiedział Denver. — Nie potrzebujemy zbytnio pomocy, a jeśli brakuje ci rąk do pracy, będę trzymał twoje sztuki osobno, dopóki mój teren nie zostanie przepatrzony, a potem je zapędzę do ciebie.
— Dzięki — chrząknął Leverage i zatrzymał się, rzucając spojrzenie za siebie. — Dave, obawiałem się tego od dłuższego czasu, a teraz to się stało. Otwarta wojna między nimi a nami. Rzucili nam wyzwanie. Zamierzają zrobić z tego krwawą masakrę. Lorn Rue został zabity zeszłej nocy na szlaku Henry'ego, około trzech mil na południe od Wells. Znaleźliśmy go godzinę temu.
— Był jednym z wybranych przez ciebie ludzi?
— Był. W jakiś sposób dowiedzieli o nim i zasadzili się na niego. Oznacza to dokładnie tyle… że w szeregach vigilantów jest już przeciek. Oznacza to również, że mają te ziemie tak dobrze obstawione, że wychwytują każdy nasz ruch. Rue został starannie wybrany żeby mieć oko na Wells; wyruszył w teren po zmroku. A mimo to go dopadli! To mnie martwi.
— Wysłałeś go tam, żeby obserwował, co mają zamiar robić bandyci?
— Chciałem złapać jakiś dobry, świeży trop — przyznał Leverage. — To ich gniazdo. Wyruszają z Wells, by kraść, i wracają do Wells, by się zabawić. To właściwe miejsce do rozpoczęcia działań. Ale — Leverage przejechał dłonią po zmęczonych policzkach — moja praca będzie bezużyteczna, jeśli nie uda mi się utrzymać wszystkiego w tajemnicy.
— Znalazłeś w pobliżu niego jakieś ślady?
Leverage pokręcił głową.
— Był dokładnie na szlaku. Pełno starych i świeżych śladów biegnących w tą i z powrotem. Wszystko się miesza; to nam nic nie pomoże.
— Musiał na coś wpaść — zadumał się Denver — i zastrzelili go, żeby zamknąć mu usta.

— Przeszukaliśmy okolicę we wszystkich kierunkach od jego ciała i nie złapaliśmy żadnego tropu.

— Jasne — odparł Denver. — Jeśli zbliżył się za bardzo do jakiegoś wybranego przez nich miejsca, odciągnęli jego ciało na znaczną odległość i porzucili.

— Nie pomyślałem o tym — chrząknął Leverage. — Niech to szlag, potrzebuję dobrego człowieka, żeby tam pojechał na zwiady.

— Rue był dobrym człowiekiem - dopóki żył — stwierdził sentencjonalnie Denver. — Na tym polega piekło tego biznesu z vigilantami. Rue zginął, bo szukał kogoś, kto ukradł cudze bydło. Nie miał w tej sprawie ani grosza. A ludzie, którzy powinni toczyć własne bitwy, w tej chwili zasiadają do dobrej kolacji. To nie w porządku, Jake. Wkrótce wszyscy będą żyli z bronią w ręku, bo Feesowie, Clandrysowie i Remingtonowie są albo zbyt bojaźliwi, albo zbyt leniwi, aby zadbać o własne sprawy. To parszywa rzecz!

— Nie lubię, gdy tak mówisz — zaprotestował Leverage. — To wspólna walka. Jeśli bandyci uderzą w dużych ranczerów i ujdzie im to na sucho, to uderzą też w małych.

— Grabieżcom nie uszłoby to na sucho, gdyby ci duzi ranczerzy się nie wycofali — odparł Denver.

— Chciałbym, żebyś zajął się tym ze mną — westchnął Leverage. — Nie ma nikogo innego, kto potrafiłby złapać ciepły trop, tak jak ty.

Denver zastanawiał się nad tym w milczeniu, utkwiwszy swe fioletowe oczami w dal.

— Rue był moim przyjacielem. Nie podoba mi się, że zginął. Niełatwo jest mi myśleć o tym, że inni przyjaciele również zginą. I nie jest łatwo wiedzieć, że ty sam możesz być następny.

— Ja jestem w tym i pozostanę — oznajmił Leverage z uporem. — Uważam to za swój obowiązek.

— Może ja też bym tak uważał, gdybym był w stanie ustalić dokładne źródło tego pomysłu na vigilantów — zadumał się Denver.

— Słuchaj — wtrącił z irytacją Leverage — czy próbujesz mi wmówić, że cała ta sprawa z vigilantami została zapoczątkowana po to, by rzucić zasłonę dymną na coś nieuczciwego? To szaleństwo. Przegłosowało to Stowarzyszenie. Żaden pojedynczy człowiek nie jest tu źródłem.

— Każdy pomysł zawsze ma swój początek - zazwyczaj w głowie jednego człowieka — odparł w zamyśleniu Denver. — I nigdy nie podjąłbym walki za żadną ideę ani za żadnego człowieka, gdybym nie wiedział więcej o wstępnym impulsie. Ale po co mamy się kłócić? Jeśli nie naruszy to przysięgi zachowania tajemnicy, chciałbym, żebyś mi powiedział, gdzie zamierzasz skoncentrować swoje śledztwo.

— Pojadę na teren Sky Peak.

Denver pochylił się do przodu.

— Powiem to tylko tobie i nikomu innemu. Nie rób tego. Złodzieje się stamtąd wycofali.

— Skąd wiesz? — dopytywał się Leverage.

Twarz Denvera rozjaśniła się w przebłysku humoru.

— Może nie jestem wystarczająco dobrym obywatelem, by dołączyć do publicznego oddziału, Jake, ale jestem przynajmniej na tyle dobry, by mieć uszy i oczy otwarte. I na miłość boską, nie jeźdź sam po okolicy. Nigdy. Za dnia, czy po zmroku.

Leverage wzruszył ramionami i wrócili do domu. Anglik siedział na schodkach, obracając w dłoniach kapelusz. Kiedy Leverage wszedł do środka, Nightingale popatrzył na Denvera.

— Wygląda na to, że w powietrzu unosi się posępna atmosfera, co przypomina mi, że potrzebuję uczciwej rady, której według Cala Steele'a jesteś mi w stanie udzielić.

— Dawaj — zachęcił go Denver, spostrzegając kolejnego jeźdźca, który pojawił się na zakręcie drogi. — Jestem dobry w wydawaniu pieniędzy innych ludzi i w marnowaniu ich czasu.

— Okazuje się — powiedział Nightingale — że wraz z ranczem odziedziczyłem jego załogę. To mili, zabawni chłopcy, ale wydaje im się, że Anglicy są dobrymi jeleniami dla wszelkiego rodzaju błyskotliwych sztuczek. Mam też - a raczej miałem - nadzorcę, któremu nagle przestała się podobać idea pracy pod kierownictwem cholernego obcokrajowca. Dosyć dziwny ptaszek. Już nie pracuje u mnie.

— To znaczy, że zwolniłeś Toughy'ego Pounda? — spytał Denver.

— No cóż… tak. Ale odrobinę nieformalnie.

Denver zachichotał.

— To byłoby podobne do Toughy'ego, gdyby tak od ciebie odszedł. Twardy gościu.

— On nie odszedł — sprostował Nightingale. — Odkuśtykał. Macie tu dosyć dziwne zwyczaje, jeśli chodzi o zwalnianie ludzi. Stwierdził, że nie ma zamiaru odejść, chyba że na kopach w siedzenie swoich spodni, i czy łaskawie chciałbym spróbować mu je wymierzyć?

— I tak zrobiłeś? — spytał Denver, uśmiechając się szeroko.

Anglik strzepnął popiół z papierosa.

— No wiesz, jeśli w tym kraju jest taki zwyczaj, to naturalnie musiałem się do niego zastosować. Czyż nie? Dlatego, aby ceremonia była skuteczna i właściwa, wsadziłem mu ze cztery kopniaki. Teraz potrzebuję nowego zarządcy. Z radością poddam się twoim sugestiom.

Denver przyglądał się zbliżającemu się jeźdźcowi.

— Potrzebujesz dobrego człowieka, który rozumie te strony i sprawy związane z bydłem. Kogoś, kto będzie w stanie samodzielnie wykonywać pracę na ranczu, a także będzie potrafił ustawić każdego zafajdanego poganiacza krów. Ponadto, co najważniejsze, szukasz gościa, który jest na tyle dumny, by wykonywać swoją pracę bez zbędnych rad z twojej strony.

— Czy jest taki człowiek w okolicy? — spytał Nightingale. — Jeśli tak, to oddam mu to cholerne ranczo i pójdę sobie łowić ryby.

— Oto ten człowiek — powiedział Denver, wskazując na zbliżającego się Steersa. — Wygląda dobrze, a jest lepszy niż na to wygląda.

Steve Steers przeszedł przez podwórze pobrzękując ostrogami i rzucając zaniepokojone spojrzenia na frontowe drzwi domu Leverage'a.

— Masz pracę — oznajmił mu Denver.

Oblicze Steve'a wyrażało konsternację.

— Cholera, Dave, właśnie miałem pracę do wykonania. Gdzie jest Debbie?

— Posłuchaj mnie, ty domowy pantoflarzu — oznajmił stanowczo Denver. — Oto ta praca. Jesteś teraz nadzorcą w firmie pana Nightingale'a w Bucket. Twoja pensja wynosi osiemdziesiąt dolarów. Zarządzasz ranczem i wszystkimi, którzy na nim są, miło i elegancko. Żadnego mieszania się w twoje sprawy. Ja odpowiadam za tę propozycję, a ty, do licha, masz się zabrać za robotę!

— Przyjmuję nominację — oznajmił Steve.

— No to, wszystko wydaje się ustalone — zauważył spokojnie Nightingale i wstał, by odjechać. — A teraz, eee, Steve - jeśli zadam ci na moim ranczu parę pytań lub wezwę cię na okazjonalną przejażdżkę na pony, ufam, że nie zostanę uznany za intruza. — Po tych słowach odjechał galopem.

Eve i Debbie Lunt wyszły z domu. Debbie podeszła do czekającego na nią wierzchowca i usadowiła się w siodle, zanim powłóczący nogami Steve zdążył jej pomóc. Spojrzała na niego słodko i z równą słodyczą zauważyła:

— Trochę się spóźniłeś, Steve.

— Tak, Debbie — mruknął.

Odjechali razem, Steve patrząc prosto przed siebie, dziewczyna sztywno wyprostowana i milcząca. Patrząc jak się oddalają, Eve pokręciła głową.

— To wyglądało bardzo podobnie do pani Jimowej i jej męża. Debbie nie powinna tak postępować, a Steve nie powinien jej na to pozwalać.

— Dziewczyna nie jest zła — zamyślił się Dave, — ale uważa, że musi trzymać mężczyznę pod butem, aby zmusić go do myślenia. Któregoś dnia przydepnie go trochę za mocno.

Eve była zaskoczona jego tak dogłębną znajomością Debory Lunt i powiedziała.

— Obawiam się, że wiesz o kobietach więcej niż powinieneś, Dave. Zostajesz na kolację?

— Chciałbym. Ale dzień już prawie się skończył, a ja chcę przepatrzeć kawałek mojego terenu, zanim zrobi się za ciemno. — Wsiadł na konia, na wpół zdziwiony, na wpół uśmiechnięty. — Eve, jesteś jak zwyczajowy drink u mężczyzny. Wydaje mi się, że zawsze się uspokajam i zapominam o smutku zmęczonego świata, gdy jesteś w pobliżu.

Otoczyła ramieniem słupek werandy i uniosła twarz; lekki powiew wiatru potargał kręcone włosy na jej skroniach i nagle w jej oczach pojawił się mroczny niepokój o przyszłość.

— Davidzie, to nie moja sprawa, ale jesteś zbyt silnym mężczyzną, by nie mieć wrogów. Bez względu na to, jak bardzo starasz się trzymać z dala od sporów w Yellow Hill, zawsze będziesz w niebezpieczeństwie. Wiem, jakie jest twoje stanowisko. Tata mi powiedział. I nie próbuję zmienić twojego zdania. Mówię ci jedynie, że nigdy nie będziesz w stanie trzymać się z dala od kłopotów - i chciałabym, żebyś był trochę bardziej ostrożny. Przez te kilka ostatnich miesięcy, prześladowały mnie straszne przeczucia, odnośnie togo, co może się wydarzyć.

— Wiem — zgodził się z nią, powoli cedząc słowa. — Z niechęcią patrzę, jak twój tata robi z siebie cel dla innych ludzi. Ale pamiętaj o tym, Eve: Bez względu na to, jak uparcie trzymam się z dala od tych spraw, zawsze jestem gotów pomóc rodzinie Leverage. Gdyby coś się stało twojemu ojcu, nie zasnąłbym, dopóki nie znalazłbym człowieka, który byłby za to odpowiedzialny. Nie zgadzam się z działalnością vigilantów i czasami nawet jestem w stanie współczuć tym biednym głupcom, którzy zarabiają na życie, kradnąc wołowinę. Ale jest pewna granica, której żaden z nich nie może przekroczyć, jeśli o mnie chodzi. Jeśli to zrobią, zajmę się tą sprawą. Nie z żadnym komitetem, lecz na własny rachunek.

— Nie musisz mi tego mówić — odparła. — Wiem o tym już od dawna. Dziwnie to mówić, ale czasami w nocy mam wrażenie, że jesteś gdzieś w pobliżu, gdzieś w nocnych mrokach, trzymając nad nami pieczę.

Popatrzył na nią ostro.

— Od jak dawna masz takie przeczucie? — zapytał szybko.

— Przez ostatnie trzy lub cztery noce. Dlaczego pytasz?

Pokręcił głową.

— Tylko tak sobie myślę. Do zobaczenia później.

Uniósł kapelusz i odjechał kłusem. Eve oparła się o słupek i obserwowała go z poważnym skupieniem. Długo potem, gdy dotarł do wyżej położonego zakrętu drogi i już miał jej zniknąć z pola widzenia, odwrócił się i uniósł rękę, a ona z radością odpowiedziała na jego pożegnalny gest. Gdy zniknął, ostatni promień słońca spłynął ze wzgórz, a purpurowy zmierzch spowił ziemię. Skierowała się do środka.

Dave Denver nie udał się od razu do domu. Zamiast tego pojechał krętą drogą przez kilka mil i opuścił ją, by wspiąć się na sąsiednie wysokie wzgórze. Z jego szczytu roztaczał się dobry widok na okoliczne wąskie doliny. Tu i ówdzie widać było dom, w innym miejscu stado bydła, a od czasu do czasu jakiegoś jeźdźca przemierzającego swój szlak. Jednak z tej wysokości, na której się znajdował, nie mógł uzyskać wyraźnego widoku na wzgórza; pozałamywany teren tworzył tysiące ciemnych, odizolowanych plam, a wyrastające grzbiety wzgórz wcinały się w krajobraz, by osłonić to, co znajdowało się za nimi.

— Idealne miejsce dla złodziejskiej bandy — zauważył Denver. — W tym kraju są jeszcze miejsca niezbadane i nietknięte stopą człowieka. — Zaciągając się papierosem rozmyślał nad ostatnią uwagą Eve Leverage. Intuicyjna prawda w niej zawarta zaskoczyła go; w ciągu ostatnich kilku nocy dwukrotnie odbył nocny patrol wokół ziemi Leverage'a. — Dwóch rzeczy — rozmyślał, — nigdy chyba nie zrozumiem, nawet jeśli dożyję tysiąca lat. Po pierwsze, różnych szeptów, które przemierzają ten kraj jak błyskawica. Po drugie, kobiecego umysłu.

Pozostały mu jeszcze krótkie ostatnie chwile wieczoru, więc wrócił myślami do pierwotnych rozmyślań. Po jego prawej ręce, czyli na wschodzie, biegła droga dyliżansów; po lewej ręce, położone dziewięć mil głębiej w tym porytym dolinami kraju, leżało Wells. W którymś miejscu renegaccy jeźdźcy Redmaina, wyjeżdżając z terenów Sky Peak, przekraczali główną drogę i kierowali się do złowrogiej skorupy miasta, które było ich twierdzą. Chciał znaleźć ślady ich szlaku, by zaspokoić

własną ciekawość i odpowiedzieć sobie na pytania, jakie z wolna formowały mu się w głowie.

— Poprzedniego wieczora wyruszyli na łowy — mruknął. — Co zabrali ze sobą z powrotem do domu? Mógłbym pojechać prosto do Kopuły i rozejrzeć się, ale wątpię, czy wrócą tą samą drogą, którą przyjechali. Wymagałoby to zbyt długiej jazdy po drodze dla dyliżansów. Osobiście sądzę, że skierowali się bardziej na południe.

Pchnął konia w dół dosyć stromego zbocza i wkrótce podążał krętym szlakiem, wijącym się z jednego wąwozu w górę grzbietu wzgórza i ponownie w dół do kolejnego wąwozu. Z grubsza zmierzał on równolegle do drogi dla dyliżansów, tylko był bardziej kręty. Przez cały czas obserwował miękką ziemię pod nogami konia. Przy każdych odnalezionych śladach kopyt, zatrzymywał się by je zbadać i odrzucić, i tak parł do przodu, aż ostrzegło go coraz bardziej słabnące światło. Wtedy porzucił metodę opartą na cierpliwości i zaryzykował szybki domysł.

— Gdybym to ja prowadził tę bandę w drodze do Wells, skorzystałbym z alei Sweet Creek - pod warunkiem, że nie obawiałbym się iż zostanę zauważony.

Sweet Creek biegło w innym kierunku. Zjechał w dół wąwozem, przekroczył kolejny grzbiet przez wycięcie przypominające łąkę i zmienił kierunek jazdy. Macki zmierzchu szybko wyłaniały się z koron drzew, a wąwozy zalewały kobaltowe cienie. Wiatr zelżał, gdzieś daleko na drodze dyliżansów usłyszał pisk hamulców, a potem zobaczył świeże ślady na miękkiej ziemi. Zatrzymał się.

Ślady należały do pojedynczej sztuki bydła, za którą podążał samotny jeździec; prowadziły z zachodu - z kierunku Wells - i zdawały się kierować na wschód. Rozważał to powoli. Jego teren znajdował się tuż za drogą dla dyliżansów i wszystko wskazywało na to, że któryś z jego jeźdźców znalazł zabłąkane zwierzę i zaganiał je z powrotem na właściwe terytorium.

— Ale kto to może być? — zadał sobie pytanie Denver. — Wszyscy chłopcy pracują dziś po stronie Copperhead.

Zmienił zdanie odnośnie dotarcia do Sweet Creek i podążył za śladami, które wspinały się w górę, przecinały drogę i podążały dalej. Latarnia ładunkowa mrugała z położonego nad nim zakrętu drogi; po zboczu wzgórza szumiał i bulgotał potok. Było już ciemno i stracił całkowicie z oczu ślad, którym podążał, ale jechał dalej i nie wahał się, dopóki nie dotarł do miejsca w wąwozie, w którym szlak się rozwidlał. Zsiadając, zapalił zapałkę i przyłożył ją do ziemi. Jeździec i krowa skręcili na północ, a kierunek północny oznaczał drogę do siedziby D Slash.

— To musi być jeden z chłopaków — zdecydował. — Ale kto, u diabła, się tu zabłąkał? Jeśli to nie jest...

Intensywne zapachy powiedziały mu, że jest już niedaleko za wyprzedzającym go jeźdźcem. Minął kolejny kilometr i w gęstniejącej mgle wychwycił słaby dźwięk. Docierając do wyżej położonego miejsca, zobaczył wyłaniające się z boku szerokie ujście Kanionu Starlight, a na przedzie tej długiej, rozległej przestrzeni, migały światła jego domu. Odgłosy jazdy z przodu były wyraźniejsze; prawdę mówiąc zdawały się do niego zbliżać, a nie umykać przed nim. Zdziwiony, utrzymywał stałe

tempo, nie chcąc zbyt szybko natknąć się na jednego ze swoich jeźdźców. W ciemnościach ludzie z D Slash mieli tendencję do nerwowości; sam ich tego nauczył.

Wyglądało na to, że jeździec ma problemy ze zbłąkanym zwierzęciem. Trzask bata dotarł do niego zupełnie wyraźnie, a po nim rozległ się gniewny pomruk. Zatrzeszczały zarośla; zupełnie bez ostrzeżenia krowa i jeździec znaleźli się tuż przed nim. Koń zarżał.

— Kto to? — spytał Denver.

— Co do diabła…!

Po skórze głowy Denvera przebiegł ostrzegawczy dreszcz. Gwałtownie wykrzyknął swoje imię i zjechał ze szlaku, po czym zawołał ponownie:

— Kim jesteś?

Rozdział VII

Nie ma ograniczeń

W odpowiedzi usłyszał huk wystrzału i zobaczył rozbłysk ognia z lufy. Zbłąkana krowa schowała się głębiej w zaroślach. Drugi wystrzał huknął mu w uszach, a mglista postać jakiegoś nieznanego mu człowieka natarła na niego konno, uderzając go bok w bok. Ręka jego przeciwnika wyciągnęła się i chwyciła go za płaszcz, przez chwilę nie było widać ani słychać niczego poza parskaniem dwóch koni, napierających na siebie, i dwoma mężczyznami, szamoczącymi się w uścisku. Broń Denvera została wyciągnięta; nieznany mężczyzna wyrwał się i wystrzelił, w tej samej chwili gdy Denver również otworzył ogień. Mężczyzna krzyknął, a Denver zobaczył, jak jego ciało zsuwa się z siodła i uderza z hukiem o ziemię, a końskie kopyta opadają na nie.

Denver zeskoczył i podszedł do niego, słysząc silne sapanie w próbie złapania oddechu. Potem zapadła cisza, a kiedy zapalił zapałkę, zobaczył twarz martwego mężczyzny, spoglądającą na niego z ziemi.

— Jeździec Redmaina — chrząknął bezgłośnie Denver.

Ścieżka zatrzęsła od tupotu stóp ludzi biegnących od strony zabudowań. Cofnął się i poczekał, aż znajdą się w odległości strzału. Potem zawołał:

— Tylko spokojnie, chłopcy.

— Co się stało?

— Natknąłem się na coś. Jeden z bandytów leży tutaj na ziemi. Rozejrzyjcie się po zaroślach. Pędził sztukę bydła po szlaku i dogoniłem go. Chcę się przyjrzeć tej krowie.

Okrążyli zabłąkaną krowę i wypędzili z zarośli. Ktoś zbliżył się do niej i zarzucił zwierzęciu pętlę na szyję. Denver podszedł i zapalił zapałkę, szukając znaku. Kiedy światło zgasło, zaklął z obrzydzeniem pod nosem.

— Dlaczego, do diabła, nie wpadłem na niego pół godziny temu? To fałszywka. Wzięli jedno ze zwierząt Fee i wypalili na nim mój znak.

— Bardzo słabo zrobione — zauważył jeden z ludzi. — Zbyt kiepska podróbka, aby kogokolwiek oszukać. Kim jest ten koleś?

— Jakiś obcy — powiedział Denver. — Redmain ma w tym roku całą masę nowych ludzi w swoich szeregach. Zabierzcie go i zanieście do domu.

— A potem, co, Dave?

Denver popędził konno ku zabudowaniom, stracił zdolność mówienia z wściekłości. Cała ta chłodna kontrola, która prowadziła go jak maszynę przez to wydarzenie, teraz zniknęła. Czarne demony jego porywczego temperamentu chwyciły go za gardło, wypełniły jego żyły płynną furią i

zmieniły go w szalonego, pozbawionego sumienia zabójcę. Odarły go ze wszelkich życzliwych uczuć, pozbawiły instynktu bezpieczeństwa, sprawiły, że mięśnie jego ciała dygotały jak w spazmie bólu. Zeskoczył z konia i wbiegł na werandę. Nie był już Davidem Denverem z normalnego życia, nie był odpowiedzialnym ranczerem, nie był roześmianym człowiekiem witanym przyjaźnie przez mężczyzn i kochanym przez kobiety. W tej chwili nie był już żadną z tych osób. Dziś rządziły nim bezlitośnie dominujące, długo tłumione instynkty. Dziś był Czarnym Davem Denverem.

Na jego drodze pojawiła się rozmazana twarz jednego z jego ludzi. Odepchnął go na bok i wydał rozkaz:

— Załóż moje siodło na szarego wałacha — i przeszedł przez salon do miejsca, gdzie stał stojak z bronią. Odpiął pas i odrzucił go na bok; i z wysokiego kołka zdjął inny pas i inny rewolwer. Zapiął go na biodrach, wyciągnął broń z pochwy, wysunął cylinder i zawirował nim przed miotającymi ogień, nakrapianymi płomieniami, fioletowymi oczyma.

W tym gładziutko wirującym kawałku metalu tkwiło zaklęcie, które powstrzymało jego pierwszą furię. Przez długi czas trzymał pistolet w dłoni, pochłonięty jego złowrogim pięknem, przebiegając wzrokiem po lufie broni i muskając zniszczone drewno, które czuło na sobie uścisk dłoni jego ojca i jego własnej. Ten rewolwer był narzędziem ostatniego wyjścia, a jego lufa wydała wyrok w niejednym procesie siły woli. Tej nocy Czarny Dave Denver chciał, żeby znowu w taki sposób przemówił. Z tą myślą wsunął do komór sześć nabojów, zatrzasnął cylinder i lekko wsunął broń na miejsce. Raz czy dwa wyciągnął ją z pochwy i odłożył, po czym przesunął pas nieco bardziej na biodrach. Następnie skierował się do drzwi. Jego zarządca stanął przed nim, ostrożnie, ale z determinacją.

— My też pojedziemy — oznajmił Lyle Bonnet.

— Zejdziecie mi z drogi i będziecie trzymać się z daleka — warknął Denver.

— No cóż, w takim razie pojedziemy za tobą.

— Macie zostać tutaj.

— Posłuchaj, Dave…

— Powiedziałem ci, co macie zrobić — powiedział Denver.

Zarządca spuścił wzrok i wycofał się. Denver wsiadł na konia, popędził po zboczu i ruszył szlakiem, którym właśnie przyjechał, zanurzając się w kanionie i zmierzając wzdłuż melodyjnie pluszczącego potoku. Na drodze skręcił pod górę, wałach sprężył się pod nim; gdzieś za wierzchołkiem pewnego szczególnego wzgórza, w całkowitym mroku nocy, wjechał na ciemną boczną ścieżkę i skierował się nią w dół. Wędrowała ona na zachód, trzymając się dyskretnie zarośli sosnowych i obniżeń terenu. Po chwili pojawił się Sweet Creek, skręcając z jakiegoś nieznanego, tajemniczego miejsca i płynąc dalej przez jakąś milę równolegle do szlaku Denvera, a następnie odpływając w bok, pokonując wzniesienie jakiegoś innego grzbietu, który zdawał się rzucać na świat jeszcze bardziej nieprzenikniony cień.

W miarę jak jechał, zanurzając się coraz głębiej w tę dziką krainę, zaczął się opanowywać. Pierwszy dziki wybuch namiętności już minął,

nocna mgła przebiła się przez niego i uwolniła jego przytłoczone zdolności krytyczne. Dzięki temu, w pewnym stopniu pozbył się części tej gwałtownej chęci zdeptania i rozdarcia na strzępy każdego, kto był odpowiedzialny za próbę podrzucenia mu sztuki bydła z przerobionym znakiem. Nie żeby jego pragnienie rozwiązania sprawy w jakikolwiek sposób osłabło; ale część nagłości tego pragnienia rozpłynęła się. Raczej krytycznie oceniał swój dotychczasowy sposób działania.

Wszystkie drogi prowadziły do Wells, a cała ta nocna aktywność wywodziła się z umysłu jednego człowieka – Lou Redmaina. Można było sobie jednak wyobrazić, że jakiś inny bandyta, działający w cieniu reputacji Redmaina, mógł spróbować sfałszować znaki na krowie. Można było sobie również wyobrazić, że za tym czynem mogła stać jakaś znacznie większa i dotychczas niepodejrzewana przez niego siła. Denver nie miał niczego na poparcie tego ostatniego przekonania, ale coś takiego chodziło mu po głowie już od chwili powstania vigilantów. Niematerialna, pozbawiona cienia oparcia w faktach czy jakichkolwiek obciążających działaniach, była to jednak kolejna z tych szeptanych informacji, które płynęły na skrzydłach wiatru.

— Ktoś, kto mnie nie lubi i zna moją porywczość – pomyślał – mógł podrzucić tę krowę. Wychodząc z założenia, że jeśli znajdą ją vigilanci, będę załatwiony, albo że jeśli ja odkryję ją pierwszy, to wykonam jakiś spektakularny ruch uderzający prosto w Redmaina. I to właśnie zamierzałem zrobić.

Czynnikiem osłabiającym siłę tego pomysłu był fakt, że z krową był jeden z ludzi Redmaina. Jednak nawet Redmain nie mógł liczyć na całkowitą lojalność wszystkich swoich popleczników. Intryga może podkopać każdą frakcję, uczciwą czy też nieuczciwą.

Ze wszystkich stron napływały sprzeczne odczucia. Z splątanej sieci domysłów nie było jasnej drogi wyjścia; i Denver, rozumiejąc to w swym obecnym, bardziej logicznym stanie umysłu, podjął decyzję.

— Ktokolwiek za tym stoi, Redmain czy ktoś inny, uważam, że nie powinienem być na tyle głupi, aby wchodzić do ustalonej gry. Lepiej rozwikłać tę sprawę, zanim połknę przynętę. Ta krowa to tylko jeden niewielki element w jakimś cholernym większym planie rzeczy.

Szlak dotarł do grani i ciemnej ściany drzew. Pod kątem prostym biegła przez las szersza droga - północny i południowy szlak Henry'ego. Denver zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać wiatru. Po kilku chwilach zeskoczył z siodła i przesunął rękami po ziemi, wyczuwając niezliczone wgłębienia kopyt. Jeszcze nie usatysfakcjonowany, wycofał się na pewną odległość szlakiem Sweet Creek, sięgnął po zapałkę i uklęknął przy samej ziemi; gwałtowny rozbłysk światła rozdarł zasłonę ciemności tylko na krótką chwilę i został przez nią pokonany, lecz mimo to przez cały ten czas widział zmieszane ze sobą ślady bydła i kowbojskich pony.

Kucając tam, osądził sytuację.

— Pewnej nocy pojechali w stronę Copperhead, zabrali trochę zwierząt i przyprowadzili je tutaj. Siedzą teraz gdzieś, w jakiejś odosobnionej i zapomnianej przez Boga dziurze. Lorn Rue znalazł się zbyt blisko tego

miejsca, został zabity i wywieziony. Tak więc, gdybym mógł wkroczyć w ten bałagan…

Odrzucił tę pokusę i wrócił na siodło, kierując się na północ, szlakiem Henry'ego. Czterdzieści pięć minut później zjechał z nierównego zbocza i pojawiło się przed nim kilka przyćmionych świateł wylewających się z groteskowo stłoczonych budynków. Wkrótce dotarł do końca krzywej ulicy, wzdłuż której naprzeciw siebie stało osiem lub dziewięć opuszczonych i podniszczonych budowli, każda z nich zdawała się lada moment zacząć ześlizgiwać ze stromego zbocza. To było Wells, niegdyś obóz górniczy, a teraz siedlisko malkontentów. Ponure, złe miejsce, nad którym wisiał wszechobecny mrok. Oczy Denvera błądziły po ulicy, widząc odrywające się od dziwnych otworów i zsuwające się cienie. Zaciskając usta, ruszył ulicą, podjechał koło wysokiego ganku i na niego wszedł. W popękanych, brudnych oknach migotało przyćmione światło, a przez wahadłowe drzwi dolatywała mieszanina ostrych dźwięków i nieprzyjemnych zapachów. Dźwięki zaczęły cichnąć, zaszurały krzesła, a ktoś przebiegł po skrzypiącej podłodze. Kiedy pchnął drzwi, rozsuwając je na boki, jego oczom ukazała się ciche i spokojne wnętrze.

Nigdy wcześniej nie odwiedzał Wells; nie był też przygotowany na szarą, pozbawioną blasku ponurość tego saloonu. Wszystkie światła były przygaszone, a swąd nieprzyciętych knotów dodawał cuchnącej, przesiąkniętej dymem atmosferze jego wnętrza przyśpieszającego bicie serca wrażenia niepokoju. Długi bar biegł przez jeden koniec pomieszczenia; w pozostałej części znajdował się piec, wiele krzeseł i kilka rozpadających się stołów. Szybki rzut oka Denvera ujawnił w środku około trzydziestu osób, w tym pół tuzina kobiet. Za barem stał czarny jak węgiel olbrzym, którego dłonie przenosiły ciężar tułowia na mahoniowy blat, mrugając i przyglądając się Denverowi. Jedna z kobiet roześmiała się, co zabrzmiało jak policzek wymierzony Denverowi prosto w twarz. Odsunął się na bok i powiedział do barmana.

— Poślij po Redmaina.

Barman wstrzymywał się z odpowiedzią przez długą, bezczelną minutę.

— Nie ma go tutaj.

— Kłamiesz — stwierdził spokojnie Denver. — Jego koń stoi na zewnątrz. Poślij po niego.

— Jeśli tak dużo wiesz, to sam go sobie znajdź, szanowny panie.

— Powiedz mu, że Dave Denver tu jest i proponuje spotkanie.

Barman ugryzł się w język. Dziewczyna wymknęła się cichutko przez drzwi, a w sali zapanowała taka cisza, że odgłos jej obcasów wchodzących po jakichś niewidocznych schodach, odbijał się pustym echem. Wokół Denvera unosił się gęsty, miazmatyczny powiew wrogości; widział ich błyszczące oczy, widział drapieżny głód ich pożądania. Jednak nic nie powiedzieli, a on stał oparty o ścianę, dopóki nie otworzyły się kolejne drzwi i spokojnie nie wszedł Lou Redmain.

— Cieszę się, że cię widzę, Dave — powiedział Redmain, którego trójkątna twarz rozmywała się w tytoniowej mgiełce.

— Domyślam się, że to jest pałac wodza, a ci panowie i panie, to trzon jego ludu — zauważył Denver.

Redmain pozwolił, aby żądło sarkazmu uszło niezauważone.

— Dla moich celów — odparł spokojnie — służą mi bardzo dobrze.

— Jeden z nich nie zdołał — stwierdził Denver, a w jego słowach wzbierał coraz większy chłód. — Jeden z nich wypuścił na moje pastwisko niewłaściwie oznakowaną krowę Fee i przerobił znak bardzo kiepsko. Ten człowiek do niczego ci się już nie przyda.

Pomieszczenie zaczęło szemrać stłumionymi rozmowami.

— Pochowaj głupca, a ja pewnego dnia zrewanżuję ci się za tę przysługę — powiedział Redmain, wciąż niewzruszony.

Jakaś część poprzedniego bezmyślnego, pochopnego gniewu ponownie wezbrała w Denverze.

— Mam rozumieć, że bierzesz na siebie odpowiedzialność za ten czyn, Redmain?

Redmain przeszedł przez salę.

— Posłuchaj, Dave — odparł, — jest wielu ludzi, którzy chcieliby, aby którykolwiek z nas usunął się im z drogi. Dla takiej osoby całkiem łatwo byłoby sprokurować taki incydent, prawda?

— To był twój człowiek.

— I gdyby żył, zabiłbym go! — zawołał Redmain, tracąc panowanie. Jego smukłe ciało zachwiało się. — Dałem ci słowo w Sundown, że będę się trzymał z dala od ciebie! I dokładnie to miałem to na myśli!

— To była krowa Fee — dodał Denver.

Wyraz twarzy Redmaina gwałtownie się zmienił.

— Niewiele ci umknie, co? No cóż, a co jeśli mam parę krów Fee? Nie mam ich wszystkich. To stworzenie mogło przyjść z każdego innego kierunku, równie dobrze jak z mojego terytorium.

— Mogło, ale tego nie zrobiło — brzmiała zwięzła odpowiedź Denvera. — Ono wyszło z tego terenu.

Redmain stał w milczeniu, uważnie przyglądając się Denverowi. Po chwili pokręcił głową.

— To też jest możliwe. Nie powiem, że mogę ufać każdemu człowiekowi, jakiego mam. Ty wiesz i ja wiem, że nikt z nas nie jest w stanie wiedzieć o wszystkim, co się tutaj dzieje. Od dzisiaj, ani ty, ani ja nie możemy zapobiec nieczystym zagraniom. Lepiej nie będzie. Będzie coraz gorzej. Ludzie za mną idą. I czy wiesz, czy nie, ludzie idą za tobą. Nigdy nie byłem na twoim tropie i powtarzam, że nigdy na nim nie będę.

— Nie jestem pewien, czy znam twoje ograniczenia — powiedział Denver w zamyśleniu.

— Nie mam ograniczeń. Jestem swobodny jak ptak.

— Kiedy człowiek tak mówi — odparował Denver — oznacza to, że nie wyznacza sobie żadnych granic. I niczego nie będzie szanował.

Twarz Redmaina pociemniała.

— Masz moje słowo — powtórzył. — Pamiętam, że piłeś ze mną, kiedy żaden innego hodowca bydła w tym hrabstwie nie chciał by widziano go ze mną w tym samym barze.

— Niech więc tak będzie — zgodził się Denver. — Jednak przyszedłem tutaj, aby Ci powiedzieć, że jestem w pełni przygotowany, by zadbać o

siebie i swoje interesy. Jeśli nadejdzie czas, gdy Twoje interesy będą sprzeczne z moimi, nie będę już mógł stać z boku.

— Nigdy nie będziemy się o to spierać — wtrącił szybko Redmain.

Ale Denver oznajmił bez ogródek.

— Przy twoim tempie działania jest całkiem możliwe, że pewnego dnia będziemy musieli się zetrzeć.

— Z niechęcią myślałbym o nadejściu takiego dnia.

— Może tak, może nie. Ludzie się zmieniają, czasy się zmieniają. Przyjechałem tutaj, aby dokładnie cię poinformować, jakie jest moje zdanie na ten temat. Jeszcze jedno, Lou. Jeśli Leverage pójdzie do ziemi, a ty będziesz za tym stał, ani niebo, ani piekło nie będą wystarczająco duże dla nas obu.

— Wątpię, by którykolwiek z nas zobaczył niebo na oczy. Piekło zaś jest wystarczająco duże dla wszystkich.

Ich rozmowa nagle się urwała, a napięcie związane ze spotkaniem zaczęło przytłaczać wszystkich obecnych w Sali, aż do poziomu niepokoju. Minęło kilka chwil, krzepki i potężny Denver wwiercał się wzrokiem w drobniejszą sylwetkę Redmaina z intensywnością, jakiej bandyta nigdy wcześniej nie doświadczył. Potem Denver ruszył w stronę drzwi.

— Jeśli zrzekasz się odpowiedzialności za tę sprawę — brzmiało jego ostatnie słowo — przyjmuję to. Nie przyłączam się do watahy przeciwko tobie, ponieważ coś mi mówi przez większość czasu, że przy innym rozdaniu kart, to ja mógłbym być na twoim miejscu, a ty na moim. Jednak kiedy człowiek wzbija się wysoko, jego cień pada na znaczne terytorium - czasami należące do innych ludzi. Zastanów się nad tym, Lou.

Redmain stał przy wahadłowych drzwiach saloonu i patrzył, jak Denver rusza i wyjeżdża z ulicy. Wokół jego ust i nozdrzy pojawiła się bladość, a jakaś straszliwa burza uczuć przeraźliwie nim wstrząsnęła. Odwrócił się na pięcie, na wpół przebiegł przez pomieszczenie, otworzył szarpnięciem wewnętrzne drzwi i zatrzymał się tylko po to, by unieść rękę przyzywającym gestem, w stronę wałęsającego się pomagiera. Człowiek wszedł szybko do na wpół ciemnego korytarza.

— Jedź za nim! — wysapał Redmain.

— Masz na myśli, załatw go.

— Nie, do cholery, jedź za nim! Zobacz, dokąd pojedzie!

— Dlaczego go nie dorwać, szefie?

— Ponieważ powiedziałem ci, żebyś tego nie robił! Ponieważ nie jestem gotowy! Ponieważ nie chcę, żeby zabijano go na moim terenie! Wynoś się już stąd! — I wciąż wstrząśnięty, wszedł po schodach do swojego pokoju i krążył po nim bez końca, podczas gdy narastający zgiełk z saloonu przebijał się do niego przyciszonym szmerem.

Rozdział VIII

Środki prawne

— Jeśli chcecie zobaczyć coś wspaniałego, cudownego i rzadkiego — obwieścił Steve Steers, wpadając do Grogana, — chodźcie do budynku sądu.

W sobotnie popołudnie u Grogana było tłoczno i gwarno. Panowie, do których Steve wygłosił swoją uwagę - Denver, Steele i Anglik – dyskutowali właśnie w jednym z rogów baru nad stanem narodu, z butelką ustawioną wygodnie pod ręką.

— W dzisiejszych czasach w Yellow Hill nikogo nie zainteresuje nic mniej istotnego niż morderstwo — odpowiedział Cal Steele. — Napij się z nami i zapomnij o smutkach.

— Chodzi o Fleabite Wilgusa i jego konia — wyjaśnił Steve.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? — odparł Denver. Za ogólną zgodą cała czwórka zebrała się i opuściła saloon. Zaraz po wyjściu na zewnątrz, wszyscy usunęli się z drogi i unieśli kapelusze. Obok nich przeszła Lola Monterey z czerwoną parasolką uniesioną nad jej kruczoczarnymi włosami, a jej oczy, uśmiechając się sprawiedliwie do nich wszystkich, nieco dłużej spoczęły na Dave'ie.

— Kolacja o piątej, Davidzie.

Uśmiechnął się.

— Będę z największą przyjemnością, Lola.

Przeszła dalej, a mężczyźni udali się do budynku sądu, Cal Steele zrzędził.

— Jak pan to wyjaśni, panie Denver? Zdaje mi się, że niegodziwcy zgarniają całą zabawę. Wybierasz się na tańce?

— Nic o tym nie słyszałem.

— Pójdziesz — prorokował Cal Steele. — W przyszłym tygodniu w szkole Copperhead. Zastanów się tylko, którą kobietę weźmiesz, żebym mógł zaprosić drugą.

Wmaszerowali przez drzwi budynku sądu i skierowali się do sali rozpraw, w połowie wypełnionej widzami. Tłocząc się pod ścianą, zobaczyli, jak Fleabite Wilgus podrywa się na nogi i przerywa prawniczą paplaninę.

— Niech mnie diabli, jeśli to rozumiem. Prawda jest taka, że to mój koń i zamierzam go zabrać.

— Niech pan nie będzie taki w gorącej wodzie kąpany — upomniał go John Coke, sędzia sądu w Sundown. — Płaci pan adwokatowi Langdellowi, więc pozwól mu mówić. A teraz, panie Tuggs...

Tuggs był małym człowieczkiem, wyglądającym na nieszczęśliwego i zabiedzonego, którego młodzieńcze lata już minęły. Rozłożył bezradnie powykrzywiane i zrogowaciałe dłonie.

— No cóż, panie sędzio, to już mniej więcej wszystko. Przyjechałem do miasta i zostawiłem swój wóz. Kiedy wyszedłem z New York Store, Wilgus wyprzągł mojego konia i chciał go gdzieś odprowadzić.

— Mojego konia — oznajmił Wilgus grobowym pomrukiem.

Tuggs przełknął ślinę i nic nie na to odpowiedział. Niland, który go reprezentował, zachęcił go:

— W porządku, Tuggs. Proszę mówić dalej. I co się stało?

— Podszedłem do Wilgusa i mówię: „Fleabite, nie masz prawa tak się bawić cudzą własnością. Oddaj mi mojego konia". Chwyciłem za uzdę. Fleabite na to odparł: „Spadaj, to mój koń!". Fleabite uderzył mnie w twarz i zabrał konia. Więc kazałem go aresztować.

— Niezły numer — wściekł się Fleabite Wilgus, — kiedy taki chudy, nic nie znaczący gnojek jak on może kazać aresztować człowieka, który jest w stanie wykupić go dziesięć tysięcy razy. Czy w tej społeczności nie ma żadnego szacunku dla pozycji społecznej?

Langdell spojrzał na swojego klienta i powiedział:

— Cicho, nie pomagasz sobie. — Odwracając się twarzą do sędziego, dodał: — Po co ciągnąć tę sprawę? Wilgus przyzna, że uderzył Tuggsa i zaakceptuje grzywnę. Jeśli chodzi o konia, to inna sprawa. Jeśli Tuggs nie przyzna, że zwierzę należy do Wilgusa, rozpoczniemy postępowanie o zwrot własności.

Sędzia nachylił się do przodu i skinął głową na Wilgusa.

— Dlaczego uważa pan, że to twój koń?

Wilgus wstał, mimo całego swego bogactwa w postaci ziemi i bydła, był zgarbionym, obdartym człowiekiem. Sprawiał wrażenie niezbyt lotnego. Odezwał się falsetem.

— No cóż, to nie ma nic do rzeczy. Zgubiłem tego konia cztery lata temu i od tamtej pory o nim nie słyszałem, aż do dzisiejszego ranka, kiedy zobaczyłem Tuggsa przyjeżdżającego do miasta. Rozmawiałem o tym z Tuggsem, ale nie chciał dać mi żadnej satysfakcji. Przyznaję, że trochę się pospieszyłem, ale to mój koń.

— Chwileczkę — wtrącił się Niland. — Zgubił pan tego konia cztery lata temu? Teraz prowadzi pan całkiem spore ranczo. Ile zwierząt przeszło przez pańskie ręce w ciągu tych czterech lat?

— Nie potrafię powiedzieć — wymamrotał Wilgus wymijająco. — Może trzy-cztery tysiące.

— I twierdzi pan, że rozpoznał tego konkretnego konia spośród czterech tysięcy, po czterech latach?

— Pewnie — oznajmił Wilgus. — Nigdy nie zapominam końskiego pyska. Tak czy inaczej, to był bardzo konkretny koń. Wiązał się z nim sentyment. Pielęgnowałem go, kochałem jak domowe zwierzę.

Denver nachylił się bliżej Anglika, chichocząc.

— Sprzedałby swoją babcię za byle grosz. Sentyment - pieprzenie.

— Co to wszystko ma wspólnego ze sprawą o napaść i pobicie? — zaprotestował Langdell. — Niech będzie grzywna. Tamtą sprawą zajmiemy się później.

— Jestem zainteresowany — oznajmił wysoki sąd. — Znam pana Wilgusa, znam pana Tuggsa i pamiętam tego konia. Ponieważ jest to sąd pierwszej instancji, uważam za swój obowiązek w każdej sprawie posunąć się tak daleko, na ile to będzie konieczne, aby zapobiec późniejszym sporom. Dlaczego mielibyśmy myśleć o procesie o zwrot własności, skoro zwykła rozmowa twarzą w twarz może wyeliminować takie działania? Tuggs, twierdzi pan, że to pański koń. Skąd pan go ma?

— Kupiłem go od handlarza — odpowiedział Tuggs. — Nie ma go już w okolicy. To było ze dwa lata temu. Może ma znak Wilgusa. Większość koni tutaj ma. Ale ma też inne znaki. Zapłaciłem za to zwierzę. Jest mój.

— Hm — powiedział sędzia. — Szeryfie, przyprowadź konia.

— Och, zaraz — zaprotestował Langdell, — on skopie meble.

Sędzia krótko rozważył sprzeciw i odrzucił go.

— Mówiąc na podstawie osobistych wspomnień o koniu pana Tuggsa, powiedziałbym, że jeśli to zwierzę będzie w stanie skopać meble tego sądu, to nie jest koniem, za jakiego go uważam. Przyprowadź go, Ortez.

Ortez, szeryf, odszedł. Po chwili na sali sądowej rozległ się cichy stukot, a po nim błagalny głos szeryfa.

— No dalej, malutki, to nie będzie trudne. Słuchaj, potępiona zatracona duszo, trzymaj łeb w górze! Tak, teraz podnieś nogę. Nie opieraj się na mnie - to ty masz być koniem, a nie ja! Wiem, że jesteś zmęczony, ale co do cholery mam zrobić? Henry… Henry, na litość boską, chodź tu i ściągnij ze mnie tego przeklętego zwierzaka!

Niebawem do sali wszedł spocony Ortez, ciągnąc za sobą długą linę. Następny w kolejności pojawił się Henry, również ciągnący linę. Na końcu przez drzwi przekuśtykał koń Tuggsa. Niewątpliwie był bardzo zmęczony. Rozstawiając szeroko nogi, przewrócił zmęczonymi oczyma i wydał z siebie ponury jęk. Koń był pomarszczony, miał zapadłe boki, był to koń będący ucieleśnieniem każdej haniebnej rzeczy, jaką koń nie powinien być. Jego uszy opadały bezwładnie, kolana przeszkadzały sobie nawzajem, a wargi drżały, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. Praktycznie jedyną oznaką życia, jaką okazał niedowierzającej sali sądowej, było kołysanie się w stronę ściany z przypuszczalnym zamiarem oparcia się o nią. Ortez ponuro ostrzegł wysoki sąd.

— Jeśli chce pan jakichkolwiek zeznań od tego konia, lepiej proszę zrobić to szybko. Muszę go stąd zabrać, zanim mi padnie.

— To stawia przed nami kwestię do dyskusji — zastanawiał się Niland. — Czy to w ogóle jest koń?

— No cóż — chrząknął Ortez — są konie i są konie. To tylko inny rodzaj konia.

— Musiał już urodzić się stary — dodał Niland. — Męczy mnie samo patrzenie na niego.

— Gdyby był w stanie siedzieć — oznajmił wysoki sąd — zaoferowałbym mu krzesło. Panie Tuggs, czy to jest zwierzę, którego używa pan jako zwierzęcia pociągowego?

— Jest w porządku — mruknął Tuggs. — Kiedy zaprzęgam go do ładunku na równym odcinku drogi, mogę nawet jechać na wozie. Oczywiście muszę mu trochę pomagać. Kiedy trafiamy na jakieś niewielkie wzniesienie, idę pieszo. Jeśli robi się stromo, to pcham. Muszę przecież mieć konia, prawda?

— Jakie są zapisy co do oznakowania? — zapytał wysoki sąd.

Ortez pokręcił głową.

— Jeśli jest jakaś firma, która w ciągu ostatnich trzydziestu lat nie umieściła na tym koniu swojego znaku, to nie zauważyłem jego braku. To chodzący katalog.

Denver podszedł do zwierzęcia i przesunął dłonią po jego pokrytym bliznami boku. W Krainie Bydła trzodę wołową znakuje się swobodnie i bez względu na wygląd, ale koń jest znakowany tak rzadko, jak to tylko możliwe. Zaczynając tuż nad popręgiem, zwyczajowym miejscem znakowania, Denver zaczął odkrywać historię wędrówek tego znużonego wierzchowca. Był koniem Fee, przebywał przez jakiś czas u Gallanta we Flying G. Potem przechodził z rąk do rąk - wszystko to zostało zapisane w wypalonych piętnach, które wędrowały w górę od popręgu do łęku, a następnie na zewnątrz wzdłuż boku – przeszedł przez Three Pines, Hogpen, Double Ought, Thirty Ranch, Bar Y, Broken Jug, XL, Lazy UT i Gate - znak Wilgusa. W rozmieszczeniu oznakowań nie było też żadnego porządku. Jedne obok drugich, zachodziły na siebie, dublowały się - dowodząc czegokolwiek lub niczego.

— Denver — zawołał wysoki sąd, — wyznaczę cię na biegłego sądowego. Co o tym myślisz?

— Chwileczkę — wtrącił Ortez. — Koń ma dwie strony. Jeszcze niewiele widziałeś. Podejdź i poczytaj sobie więcej.

Denver obszedł zwierzę i zachichotał.

— Moje pierwsze wrażenie jest takie, że jeśli ten koń miałby być poddany jeszcze jednemu znakowaniu, to trzeba będzie kupić innego. Wszystko, co mogę teraz powiedzieć o tym egzemplarzu, to tylko to, że ma więcej niż szesnaście lat.

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Wilgus — on nie ma więcej niż dwanaście lat. Po prostu wygląda na odrobinę zmęczonego.

— Pozwalam sobie się nie zgodzić. Znaku Lazy UT przestali używać szesnaście sezonów temu. Ten koń był w wielu miejscach i widział różne rzeczy. Prawdę mówiąc, praktycznie jest oryginalnym pasażerem Arki Noego.

Koń popatrzył na guziki płaszcza Denvera, skubnął jeden w spazmatycznym przypływie energii i kichnął. Ortez okazał niepokój.

— Wysoki sądzie, ten koń zupełnie nie jest sobą…

— A czy kiedykolwiek był? — wtrącił Niland.

— Tłum go podnieca. Powietrze jest złe. Muszę go stąd zabrać. Henry, pomóż mi.

Niland wstał.

— Biorąc pod uwagę fakt, że trudno będzie ustalić właściciela, dlaczego nie rozstrzygnąć sprawy rozsądnie? Niech Wilgus złoży na konia ofertę.

Tuggs raczej się zgodzi, niż będzie się procesował. Gdybyśmy tylko zdołali ustalić uczciwą cenę...

— To nie ma nic wspólnego z napaścią i pobiciem — powtórzył Langdell.

— Młyny bogów mielą na drobne skrawki — oznajmił sędzia. — Jeśli jesteś zdeterminowany, aby zakończyć tę sprawę z napaścią i pobiciem, to będę zobowiązany. Pan Wilgus zostaje ukarany grzywną w wysokości dwudziestu pięciu dolarów. Sprawa zamknięta. Przejdźmy teraz do oferty sprzedaży. Pan Wilgus chce tego konia. Pan Tuggs go sprzeda. Niland zaproponował ustalenie ceny.

— Włączając linę i kantar? — spytał Langdell.

— Z pewnością nie — odparł Niland. — Lina i kantar kosztują około sześciu dolarów. Kupujesz uprząż czy konia? Oferuję konia takiego, jaki jest, bez uprzęży, dostarczonego na ulicy w Sundown.

— On może uciec — sprzeciwił się Langdell.

Wysoki sąd ciężko popatrzył na adwokata.

— Panie Langdell, proszę nie dać się ponieść dzikiem fantazjom. Czy kiedykolwiek słyszał pan by ten koń biegł? Czy może pan przedstawić jakąkolwiek istotę ludzką, która widziała lub sądziła, że widzi u wspomnianego konia jakikolwiek ślad chęci ucieczki, czy to pod wpływem impulsu, czy po należytym namyśle? Jakie dowody może pan przedstawić, aby udowodnić, że ten koń w ogóle jest zaznajomiony z czymś takim, jak bieganie?

Z tłumu doleciały puste wyrazy poparcia.

— To prawda, stary.

— No cóż — zastanawiał się Langdell — możemy posunąć się do złożenia oferty, jeśli zgodzicie się dostarczyć konia na ranczo Wilgusa.

— Zaraz, zaraz — zadrwił Niland. — Na to ranczo jest jedenaście mil. Odmawiam udziału w tak niebezpiecznym eksperymencie. Koń jest w bardzo delikatnym stanie.

— Panowie, podejdźcie do siebie — zaapelował wysoki sąd. — Myślę, że powinniście spróbować znaleźć sprawiedliwy balans.

Langdell szepnął coś do Wilgusa i podjął nagłą decyzję.

— Bardzo dobrze. Daj nam pięć dolarów, Niland, a zabierzemy konia z twoich rąk.

Niland wzruszył ramionami z wyraźnym obrzydzeniem.

— Zapomniałeś, że koń jest cenny?

— Z jakiego powodu? — zadrwił Langdell.

— Twój klient tak twierdzi.

Wilgus na wpół wstał.

— Sentymentalnie, tak to rozumiem. Nie posunąłbym się do stwierdzenia, że chodzi o coś innego.

Niland naradził się z Tuggsem.

— Tuggs — oznajmił — jest gotów przyjąć od Wilgusa dwadzieścia dolarów gotówką albo innego zdrowego konia, takiego jak ten.

Langdell uniósł z niedowierzaniem brew, a nawet sąd wydawał się nieco zdezorientowany. Do sali rozpraw doleciały odgłosy problemów.

Szeryf doprowadził konia aż do tych trudnych stopni i teraz wyraźnie przygotowywał się na najgorsze.

— Henry, nie stój tak na dole. Jeśli zacznie schodzić zbyt szybko, zmiażdży cię.

— Sprowadźmy go zadem do dołu — zasugerował Henry.

— Nie, nie! Złamie sobie kręgosłup.

— W porządku. Łbem do przodu.

— To też nie jest dobry pomysł. Może sobie skręcić kark.

To pokonało Henry'ego; odezwał się sarkastycznie.

— Ognie piekieł, jak myślisz, na ile sposobów koń może zejść na dół? Słuchaj, wezmę wiaderko owsa i przytrzymam je tutaj. To go ruszy.

— Nie, nie! Chcesz, żeby ten koń zemdlał na miejscu?

— Cholera — wybuchnął Henry, — popchnij go i zobaczymy, co się stanie! — Sala sądowa domyśliła się, że Henry odchodzi, ponieważ wrzaskliwe skargi szeryfa wzbiły się pod niebiosa.

— Henry, nie zostawiaj mnie tak. Trzymam go i nie mogę puścić!

Wilgus podniósł się z miejsca.

— Robicie z tej sprawy wielki raban. To mój koń i chcę go mieć.

— Nie weźmiesz pod uwagę ugody? — spytał Niland.

— Nie zamierzam płacić ani grosza za to, co jest już moje — oświadczył Wilgus. — Przyznaję, że nie jest zbyt ładny i nie dałby rady uciągnąć piórka, ale chodzi o zasadę. Jeśli będę musiał się procesować, żeby go dostać, to właśnie tak zrobię.

— Zadaniem sądu jest dopilnowanie, by sprawiedliwości stało się zadość" — powiedział sędzia, mierząc wzrokiem Wilgusa. — Arbitraż nie powiódł się, więc teraz zobaczymy, czyja część ciała jest czyja. To jest pańskie prawo. Zamierza pan wnieść pozew?

Wilgus mruknął do Langdella, a prawnik przemówił w jego imieniu.

— Tak.

Ortez, utykając, wszedł do sali sądowej.

— Oparłem go o stajnię Grovera i zostawiłem — zabrzmiało zmęczone wyjaśnienie szeryfa.

— Jak sprowadziłeś go ze schodów?

— Sam spadł. I mam nadzieję, że już nigdy więcej nie zobaczę go na oczy.

Sędzia zmarszczył brwi.

— To nie wystarczy, szeryfie. Sąd nakazuje panu przejąć opiekę nad koniem w oczekiwaniu na ustalenie własności. Proszę zabrać go do stajni Grovera. Niech pan dopilnuje, by nie brakowało mu absolutnie niczego, jeśli chodzi o jedzenie, opiekę i wszelkie usługi medyczne, jakie zostaną uznane za konieczne. Krótko mówiąc, proszę zaopiekować się nim z miłosierdziem i współczuciem. Powód Wilgus wpłaci niezbędną kaucję. Następna sprawa.

Niland podszedł do Denvera, a Tuggs samotnie podążał za nim.

— Czy to znaczy, że nie będę mógł korzystać z konia? — dopytywał się. — Ale ja muszę mieć konia.

— Zostaw to — uspokoił go Niland. — Ściśle mówiąc, Tuggs, nigdy nie miałeś konia. Miałeś starszego wiekiem towarzysza. Wszystko się ułoży.

Ale Tuggs wpadł w żałosne przygnębienie.

— A skąd mam wziąć konia? Mój wóz stoi na środku ulicy.

Opuścili już salę rozpraw i stali na schodach. Niland popatrzył ze współczuciem na swojego klienta i uniósł wzrok na Denvera. Denver nagle skinął ręką na przechodzącego obywatela.

— Grover, podejdź tu na chwilę, dobrze?

Grover, właściciel stajni w Sundown, podszedł. Denver wyjaśnił mu sytuację.

— Każdy ma konia oprócz Tuggsa, a ty na razie masz jego zwierzę. Wystarczy, że sprowadzisz dobrego, sześćsetkilowego wałacha i zaprzęgniesz go do wozu Tuggsa. Jeden z moich ludzi przyprowadzi ci w zamian innego.

— Załatwione — odparł Grover i odszedł. Tuggs wybełkotał coś niezrozumiałego.

— Jest twój — wtrącił Denver — i nie mówmy już więcej na ten temat.

Tłum zawirował wokół nich, i Tuggs został porwany gdzieś dalej. Fleabite Wilgus wyszedł, mamrocząc coś do siebie. Steve Steers podążył w kierunku hotelu, rzucając zatroskane spojrzenia. Al Niland chichotał.

— To będzie niezła sprawa, Dave. Przejdzie do historii. Nawet jeszcze nie zacząłem.

— Do diabła, do czego zmierzasz, Al?

Al wskazał na odchodzącego Wilgusa.

— Jako adwokat staram się uzyskać dla Tuggsa uczciwą zapłatę. Jako człowiek chcę dać temu nieszczęśnikowi największego kopa w tyłek, jakiego nigdy nie dostał, a powinien był zarobić.

Cal Steele wyszedł razem z Langdellem i skinął na nich.

— Chodźcie z nami, dobrze? Chcę mieć świadków transakcji.

Cała czwórka przeszła obok Palace do końca ulicy, okrążyła ostatni budynek i weszła po schodach do biura Langdella. Langdell zaciągnął żaluzje przed bijącym słońcem i sięgnął po niezbędną butelkę i kieliszki.

— Jestem przekonany — powiedział do Nilanda, — że to będzie długa sprawa.

— Jest pełna możliwości — zapewnił go Niland z powagą — i pełna konsekwencji, które mogą odbijać się echem przez długi czas.

— Podejrzewam, że nie zostawisz kamienia na kamieniu — kontynuował Langdell.

— Jeśli znajdę jakikolwiek kamień, który nie zostanie przewrócony — zapewnił go Niland — zwolnię tego, który miał go przewrócić.

— Sprawiedliwości musi stać się zadość — oświadczył Langdell, unosząc kieliszek.

— Wymierzymy sprawiedliwość i innym — zgodził się wesoło Niland i wypili. Langdell usiadł na krześle, lekko się uśmiechając.

— Jako adwokat mojego klienta, bardzo zacnego człowieka — powiedział sucho — będę cię sprawdzał na każdym kroku, dopasowując świadka do świadka, dolar do dolara.

— Na Jerzego, to świetnie! — wykrzyknął Niland. — Dobrze wiesz, że cię nie lubię, a ty nie lubisz mnie. Ale na razie zachowując ten stan umysłu, powiem, że czasami jesteś w połowie człowiekiem.

Langdell zarumienił się.

— Przypuszczam, że przed śmiercią wszyscy musimy się zabawić, Niland. Jeśli zaś chodzi moją o niechęć do ciebie, to rzadko pozwalam, by ktoś stał się w moim umyśle na tyle wielki, abym tracił czas na marnowanie na niego emocji.

Niland chrząknął, a w jego słowa wkradł się sarkazm.

— Znowu wchodzisz na piedestał z kości słoniowej. Powinieneś częściej spuszczać ze smyczy swój humor.

Denver siedział i przyglądał się obu mężczyznom przez na wpół przymknięte oczy. Niland nigdy nie przebierał w słowach i nigdy nie omieszkał użądlić Langdella krótkimi pchnięciami beztroskiej, cynicznej prawdy. Langdell wpatrywał się w swojego przeciwnika z zaciśniętymi ustami i sztywną urazą. To były dwa absolutnie przeciwstawne typy ludzi. Denver bardzo dobrze rozumiał otwartego Nilanda, rozumiał i współczuł porywczej życzliwości i bystremu umysłowi przyjaciela. Jednak nigdy jeszcze nie przebił się przez dobrze strzeżoną maskę, jaką pułkownik Fear Langdell nakładał na swoje myśli. Czuł, że w głowie Langdella zawsze kryła się jakaś dalekosiężna myśl, jakieś głębokie uczucie.

— No cóż — wtrącił Cal Steele — jesteście poza sądem, więc po co się kłócić? Chciałem tylko, żebyście byli świadkami umowy, którą zawarliśmy z Langdellem. Sprzedaję mu trzysta pięćdziesiąt sztuk bydła.

— Podpiszcie tutaj — powiedział Langdell, przesuwając umowę na drugą stronę stołu i wskazując odpowiednie miejsce. Niland pospiesznie wpisał swoje nazwisko. Dave poszedł w jego ślady.

— Dlaczego nie sprzedajesz własnego mięsa wołowego? — zapytał Steele.

— Langdell sprzedaje pięć razy więcej niż ja — odpowiedział Steele, leniwie przyjmując czek od Langdella. — Łatwiej jest mi zarabiać w ten sposób, niż samemu zajmować się dostawami. Prawdę mówiąc, pewnego dnia zamierzam przejść na działalność stricte wypasową. Kupować, karmić i sprzedawać spedytorowi, takiemu jak pułkownik. Dobry interes.

— Dobry dla ciebie i dobry dla mnie — zgodził się Langdell. — Jak tylko będziesz chciał się znowu trochę pokłócić, daj mi znać.

— Będę w pobliżu może za jakieś dwa miesiące — powiedział Cal Steele i wstał. Zostawiając Langdella w biurze, cała trójka wróciła na ulicę. U Grogana Steele przechylił sugestywnie głowę. — Wypłuczmy kurz z gardeł, chłopcy.

— Nie licz na mnie, co do tego — odparł Denver. — Mam pewne dalsze sprawy. A na pożegnanie delikatnie zasugeruję wam, że to nie czas na picie.

— Ruszaj z Bogiem — mruknął obojętnie Cal Steele. — Zawsze jest dobry czas na picie. Zdecyduj się na tę dziewczynę, której się oświadczysz, Dave. Zrozum, jestem drugim najlepszym kandydatem po tobie, tak czy inaczej. Chodźmy, Al. Ty nie wpadłeś jeszcze w szpony religii.

Niland wszedł za Steelem do saloonu i zajęli poprzednie miejsce przy barze, sięgając po butelkę. Niland krytycznie przyjrzał się przyjacielowi.

— Jesteś głupcem — oznajmił. — Po co odsuwać się na bok, na korzyść Dave'a? Wiesz przecież, że on nie myśli o Loli.

— A skąd niby mam to wiedzieć? Skąd ty to wiesz? — Na twarzy Steele'a pojawiła się niezwykła trzeźwość. — Powiedz mi to.

— Wiem to, bo znam Dave'a — odpowiedział mu stanowczo Niland. — Może jeszcze nie podjął decyzji. Może wraca myślami do czasów, gdy on i Lola byli trochę młodsi, trochę bardziej dzicy i uparci. Może się zastanawia. Ale wiem, jaka będzie odpowiedź. Wróci do swego rodzaju. Lola to jedno. Dave to coś zupełnie innego. W głębi serca, Cal, jesteś bardziej w jej stylu niż Dave.

Steele popatrzył bystro na Nilanda.

— To nie jest taki zły pomysł. A tak w ogóle, to ile o mnie wiesz?

Niland szybko odparł:

— Nigdy nie wtykam nosa w czyjeś życie. Wiesz o tym. Biorę cię takim jaki jesteś.

— Hm — mruknął Steele. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni pozostawali w bezruchu. Potem Steele odezwał się, dość gwałtownie i dosyć smutno. — Tym niemniej jednak, człowiek nie jest w stanie utrzymać swego wnętrza w ukryciu, nawet gdyby zakleił sobie usta. Każdy czyn go obnaża. Jeśli chodzi o Dave'a, wolałbym poderżnąć sobie gardło, niż go zranić. Więc trzymam się z daleka. Słyszałaś, jak mu powiedziałem, że jestem kandydatem drugiego wyboru, prawda? No cóż, jestem. Przynajmniej, jeśli chodzi o niego. I będę nim tak długo, jak długo będę żył - z radością.

Dotknął tym jakiejś głęboko zagrzebanej myśli. Dopijając szklaneczkę, kontynuował.

— Niektórzy ludzie mają moc przyciągania innych. Niewielu. Dave to ma. Spójrz na nas. Mam lepsze wykształcenie niż on. Ty masz umysł, który sięga głębiej i dalej w prawdę niż jego. Ale co z tego? Dave jest lepszym człowiekiem niż my obaj razem wzięci. Dlaczego? Ponieważ nigdy nie odchodzi od płonącego światła sumienia. Nigdy nie odchodzi od siebie, nigdy się nawet nie zachwieje. Wielokrotnie widziałem, jak staje przed trudnym problemem i bez wahania podejmuje decyzję. Uważa się za sceptyka, tak jak my; to jeden z powodów, dla których tak nas lubi. Ale równie nieprawdopodobna byłaby jego zmiana w takiego pozbawionego celu w życiu głupca jak ja, jak to, że poleciałby na Marsa. Ma w sobie jakąś ogromną siłę, pchającą go zawsze prosto do przodu.

— Co prowadzi nas do kolejnej kwestii — chrząknął Niland, sięgając po butelkę. — W tempie, w jakim sprawy zaczynają się toczyć w Yellow Hill, jest skazany na to, by władować się prosto w opozycję. Jego neutralne stanowisko pozostawi go zdanego na własne siły - w jasnym świetle dnia, wystawiającym go na strzał.

Twarz Steele'a była niezwykle trzeźwa i dziwnie spięta.

— Posłuchaj, noc w noc nachodzą mnie najstraszliwsze wizje. Twarze spoglądające na mnie zza krwawej kurtyny. Brzmi jak szaleństwo, prawda? Budziłem się z twardego snu, ze strasznymi rzeczami dziejącymi się tuż na moich oczach. Słyszałem strzały i jęki ludzi. Czasami kurtyna się przerzedza i wydaje mi się, że widzę jedną z tych twarzy, i rozpoznaję

ją jako swoją własną. Czasami wydaje mi się, że widzę Dave'a. Czasem Lou Redmaina. Ale kiedy wyciągam rękę i już prawie mogę ich rozpoznać, krwawa mgła gęstnieje.

— Przestań — upomniał go Niland — bo dostanę dreszczy.

Oczy Steele'a pozostały jednak czarno zadumane.

— Zawsze byłem człowiekiem, który brał rzeczy takimi, jakimi były. Nigdy się zbytnio nie przejmowałem. Życie zawsze było łatwe i pełne słońca. Ale od dwóch miesięcy, w dzień i w nocy, czuję się, jakbym dryfował w stronę ciemności. Rozglądam się wokół siebie, słońce jest, gwiazdy są - świat jest taki sam jak zawsze. Ale ta ohydna czarna kurtyna wciąż się zbliża i zmierzam w jej kierunku. Kto wie, co się za nią kryje?

— Przestań — rzucił ostro Niland. — Wiesz, co ci jest potrzebne? Musisz pójść do Palace, poprosić jedną z dziewczyn, by usiadła obok ciebie, a potem ostro się upić.

— Już tego próbowałem — odparł Steele i z widocznym wysiłkiem otrząsnął się ze swojego ponurego nastroju. — Zapomnienie, które można kupić w Palace, trwa jedynie do wyjścia stamtąd. No cóż, urodziłem się w bogatej rodzinie, a doskonałe pastwiska były moim dziedzictwem. Lecz moja gwiazda jest niespokojna i czasami na niebie ciemnieje. Najjaśniejszym punktem w tym małym migotaniu istnienia, którym jestem, jest świadomość, że jestem przyjacielem Dave'a. Co się dzieje z tą butelką – przecieka, czy co?

— Palace jest po drugiej stronie ulicy, trzy drzwi dalej — zasugerował Niland.

Rozdział IX

Mroczne pragnienia

Przy sklepie z narzędziami Durbina hardware stał znajomy koń. Denver, natychmiast stanął, przebiegł spojrzeniem wzdłuż ulicy i dostrzegł Lou Redmaina. Przestępca stał w wejścia w zaułek, jego uwaga skupiała się na ganku hotelu. Denver wyszedł nieco z tłumu ludzi i znalazł to, co zainteresowało Redmaina. Na werandzie w fotelu na biegunach siedziała Eve Leverage, a obok niej Debbie Lunt i Steve Steers.

Nawet pomimo że dzieliło ich pięćdziesiąt stóp, Denver zauważył zmianę na ciemnej i spiczastej twarzy Redmaina. Formalna obojętność zniknęła, a w jej miejsce pojawiło się kompletne zaabsorbowanie. W jakiś niewytłumaczalny sposób przypomniało to Denverowi czasy wczesnego dzieciństwa, gdy opuścił dom ojca, wdrapał się na odległe wzgórze i po raz pierwszy ujrzał poruszający ogrom prerii. Nawet teraz dobrze pamiętał ten wstrząs zaskoczenia, gdy odkrył świat, o którym nic wcześniej nie wiedział, o którym nigdy nie marzył. Przez całe popołudnie leżał na brzuchu, przepełniony niejasnymi pragnieniami. Wydawało mu się, że Lou Redmain, wpatrujący się w drugą stronę ulicy, może przeżywać podobne zawirowania ducha.

Denver pokręcił głową i zrobiło mu się go żal. Wszystko, co reprezentował Redmain, było dla Eve Leverage odrażające i nienawistne. Ta zakurzona ulica równie dobrze mogłaby mieć tysiąc mil szerokości, tak wielka przepaść dzieliła umysły tych dwojga. Redmain nigdy nie będzie w stanie jej przekroczyć. Denver rozumiał, że Redmain zdawał sobie z tego sprawę; wiedział też, że dla Redmaina była to wiedza pełna goryczy.

— Biedny facet — chrząknął Denver. — Oto on, zbudowany jak reszta z nas, ma w sobie to samo co wszyscy, a mimo to nigdy do nas nie będzie należał. A jeszcze gorsza jest świadomość, że gdyby nie jego własna głupota, mógłby być takim człowiekiem, jakiego Eve by zechciała.

Rozmyślając o tym, Denver poczuł silne poruszenie, gdy zobaczył, jak stojący w zaułku Redmain nagle się wyprostował i ruszył prosto na werandę. Dotarł do schodów i zdjął kapelusz, zanim Eve go dostrzegła. Steve Steers wstał. Po chwili Eve skinęła mu głową, ani przyjaźnie, ani nieprzyjaźnie. Denver powstrzymał się przed podejściem bliżej.

— Zaraz, zaraz, to byłoby nie lepsze od podsłuchiwania. To nie moja sprawa. — Odwrócił się i poszedł do banku.

Dla Eve spotkanie to było bardzo nieoczekiwane. Nie mogłaby polubić Lou Redmaina. Brzydziła się bandytyzmem tak bardzo, jak tylko może to czuć kobieta, której bliscy mężczyźni są narażeni na niebezpieczeństwa związane z przemocą bandytów. Mroczna aura otaczająca Redmaina

przyprawiała ją o dreszcze. Mimo to podeszła do sytuacji z chłodnym dystansem, kiwając głowa w kierunku tego dziwnego gościa, którego oczy zdawały się ją pożerać. Wiatr potargał mu włosy, gdy stał na schodach w żołnierskiej postawie. Steve Steers odchrząknął niecierpliwie, ale Redmain nie zwrócił na niego uwagi.

— Przyjemny dzień — powiedział, a Eve była zaskoczona delikatną melodyką jego głosu.

— Był całkiem miły — odpowiedziała.

Wydawał się raczej wsłuchiwać w jej słowa niż ich znaczenie, a ona poczuła na sobie jego niemal głodne spojrzenie. Zarumieniła się lekko. Steve stał zupełnie bez ruchu. Debbie odsunęła się pogardliwie.

— Szukałem pani ojca — kontynuował Lou Redmain. — Powie mu pani, że widziałem kilka jego zabłąkanych krów za Sharon Springs?

— Powiem — odparła Eve. — I wiem, że chciałby, abym podziękowała panu za wspomnienie o tym.

— Otrzymałem już swoją nagrodę, panno Eve.

— Jak to?

— Rozmawiając z panią — odpowiedział, pochylając głowę.

— Wydaje się mi to, niewielką nagrodą — zadumała się. —

Pokręcił głową.

— Nie może pani wiedzieć, co sprawi przyjemność samotnemu mężczyźnie.

Pozwoliła, by zapadła cisza. Redmain przesunął się.

— Bez wątpienia wybiera się pani na tańce.

— Myślę, że tak.

Wydawało się, że zbiera siły, by złapać głębszy oddech.

— Gdybym przyszedł, zastanawiałabym się, czy zechciałaby pani z dobroci serca oferować mi jeden taniec.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Przepraszam, panie Redmain, ale nie zechciałabym. I nie miałam zamiaru ranić pańskich uczuć.

Przyjął odmowę beznamiętnie.

— Człowiek nigdy nie powinien wymagać zbyt wiele od świata, który daje bardzo mało. — Po czym łagodnie dodał: — Nie zraniła pani moich uczuć. Całkowicie to rozumiem.

Unosząc kapelusz, odwrócił się szybko i odszedł w kierunku wschodniego krańca miasteczka.

— Przecież — wykrzyknęła Debbie — powinnam była uderzyć go w twarz!

— Nie mów tak — upomniała ją Eve, wyglądając na zmartwioną. Ale uczucie to opuściło ją już w następnej chwili, gdy do schodów podszedł Denver i po chwili usiadł na krześle. Zmarszczyła na niego nos. — Davidzie, reklamuję się na tym ganku już od godziny. Co jest nie tak z moim urokiem?

Zaśmiał się.

— Przyszedłbym wcześniej, ale zobaczyłem, że ktoś inny odpowiada na ogłoszenie, więc poczekałem.

— To dlaczego nie przyszedłeś i nie wtrąciłeś się do tego? — spytała Debbie.

— Lubię każdemu dać szansę — odparł Denver.

— Myślisz, że miał duże szanse? — zapytała Eve.

— Nie-e, ale nawet biedak potrzebuje od czasu do czasu odrobiny blasku słońca.

— Czasami — oznajmiła Debbie — wydaje mi się, że mężczyźni w tym hrabstwie śmiertelnie boją się Lou Redmaina.

Eve zaczęła się niecierpliwić.

— Debbie, jak możesz mówić takie głupie, nierozsądne rzeczy!

— No cóż — odparła Debbie, — wszyscy wiedzą, że jest bandytą, a mimo to chodzi po mieście, jakby było ono jego własnością. Dlaczego nie został aresztowany?

— Brak dowodów — mruknął Denver. — Jedną z zabawnych rzeczy w wymiarze sprawiedliwości jest to, że trzeba ustalić winę człowieka, zanim będzie się mogło go ukarać. Pod tym względem Redmain jest wolny jak ptaki na niebie.

— Wszyscy wiedzą, że jest winny — ciągnęła temat Debbie. — To wystarczy.

— A więc postanowiłaś przystąpić do vigilantów — uśmiechnął się Denver. Szybko jednak spoważniał. — Wątpię, czy kiedykolwiek zostanie aresztowany. Wątpię, czy więzienie Sundown kiedykolwiek go zobaczy. Odjedzie jak wszyscy przestępcy - w siną dal, na wzgórza.

— Trzeba coś z nim zrobić — upierała się Debbie, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

— Coś zostanie zrobione — zapewnił ją Denver. — Tyle że rezultat może być dla ciebie niespodzianką i dużym wstrząsem.

— Ewidentny i oczywisty fakt i bez najmniejszej wątpliwości — wtrącił Steve.

Debbie zgasiła go jednym spojrzeniem i wstała.

— Steve, idę na zakupy. Pomóż mi nieść pakunki.

Denver obserwował ich z powątpiewaniem na twarzy.

— Niewątpliwie traktuje go szorstko, Eve.

— Myślę, że to niegodne. On wszystko z jej ręki znosi.

— Tak — zgodził się Denver. — Ale jest jedna rzecz, której ona nie wie o panu Stephenie Burcie Steersie. Kiedy w końcu postawi się, zrobi to na tyle stanowczo, że aż zahuczy.

Obaj siedzieli w wygodnej ciszy, bok przy boku, aż do czasu gdy słońce przesunęło się na zachód.

— Słońce przyjemnie świeci — powiedział.

— Ale wkrótce zajdzie.

— Nie, kiedy ty jesteś w pobliżu, Eve.

— Zabrzmiało to podejrzanie — stwierdziła sceptycznie Eve — ale podoba mi się.

Lou Redmain wyszedł z hotelu z zachmurzonymi oczyma. Zachowywał niewzruszony wyraz twarzy, aż za końcem ulicy skręcił na północ i

skierował się na zadrzewioną ścieżkę. W tym chwili, gdy nikt go już nie widział, pozwolił by nagromadzona uraza wylała się z niego.

— Parias, wyrzutek! Nie nadaje się do dotykania, nie jest wystarczająco dobry, by z nim tańczyć! Oto ja - Lou Redmain! Lepiej zniósłbym jej nienawiść niż litość, którą mi okazała! Dobry Boże, czyż nie jestem człowiekiem, jak inni? Czy nie mam w sobie tej odrobiny przyzwoitości, którą mogłaby dostrzec i docenić? Nie, nigdy! Obrałem swój szlak, i teraz muszę go przebyć samotnie. Jestem trędowaty i nie ma nadziei na zmianę. Niech ich wszystkich diabli!

Nawet wtedy, ogarnięty wściekłością, rozglądał się ostrożnie dokoła i chował pod sosnami. Na końcu ścieżki stał mały domek i podkradł się do niego ostrożnie, aż zobaczył stojącą w kuchni Lolę Monterey. Drzwi były otwarte i dochodził przez nie cichy, gardłowy szmer piosenki. Wynurzył się ze swego schronienia i szybko przeszedł przez otwartą przestrzeń. Usłyszała go i odwróciła się do drzwi, ale światło w jej oczach zgasło na widok przybysza. Przez jego ciało przebiegł zazdrosny, opiekuńczy gniew.

— Spodziewałeś się kogoś. Kto to ma być, Lola?

Pokręciła głową.

— Nie ty, Lou.

— Nie? Co ty tu robisz… jakie miejsce tu urządziłaś? Na Boga, ostatnią rzeczą, na jaką pozwolę...

— Przestań! Nie masz prawa tak mówić.

Zdławił w sobie gorycz.

— Przypuszczam, że nie. Ale kiedyś dobrze się tobą opiekowałem. Miałem na ciebie oko. Wygląda na to, że wciąż próbuję.

— I niby zapomniałam o tym? — spytała go. — Co się z tobą dzieje? Przychodzisz tu, awanturując się, jakbyś był szalony.

— Myślę, że wszyscy jesteśmy szaleni — mruknął. — Każdy jest szalony, jeśli chce traktować życie poważnie. Szalony jak diabli.

— Coś zrobiłeś — zauważyła.

— Zgadza się. Poszedłem i przed całym Sundown poprosiłem Eve Leverage o taniec w przyszłym tygodniu. I co dostałem? Żałosne!

— Myślałeś, że ona z tobą zatańczy, Lou?

Wpatrywał się w nią.

— Dlaczego nie? Co o mnie słyszałaś, Lola?

— Wiele, wiele rzeczy. Żadna z nich nie była dobra.

— I ty w nie wierzysz?

— Spójrz na mnie — powiedziała łagodnie — i powiedz mi, że żadna z tych historii nie jest prawdziwa.

Przyjął wyzwanie, ale nagle jej postać rozmazała mu się przed oczami i spuścił głowę, jęcząc.

— Czy muszę to robić? Lola, byłaś jedną z dwóch osób na świecie, co do których obawiałem się, że się o mnie dowiedzą.

— Muszę więc myśleć o tobie jako o człowieku, który kiedyś był porywczy i życzliwy, a teraz jest tylko wspomnieniem tamtego człowieka. Lou, jakim byłeś głupcem, odrzucając to wszystko, czym mogłeś być!

— A jaką to robi różnicę? — mruknął wyzywająco. — Nie urodziłem się po to, by podążać za stadem. Urodziłem się, by dążyć inną drogą - co w

tym złego? Kto ma prawo mówić mi, co jest złe? Nikt! Stado czyni coś dobrym - stado czyni coś złym! To wszystko. Jeśli nie biegnę razem ze stadem, nie wstydzę się tego. Ja sam jestem swoim własnym prawem. Jestem równie dobry, jak każdy inny!

— Próbujesz nadać polor chwały swoim słabościom. Nienawidzę czegoś takiego!

— Kim ty jesteś, by tak mówić? — odparł.

Uderzył ją mocno. Odsunęła się, odpowiadając powoli i smutno:

— Jakiekolwiek były moje wady, Lou, raniły tylko mnie. Żadnej innej żywej istoty na tym świecie.

Dudnienie dzięcioła zabrzmiało ostro i wyraźnie w ciszy późnego popołudnia. Redmain uniósł rękę w dziwnym geście ostateczności.

— Widziałem, że to nadchodzi. Nic nie mogło zapobiec temu byś się dowiedziała – o mnie. Nie ma już nikogo, kto miałby złudzenia co do tego, jakim jestem człowiekiem.

— Pamiętam, jakim człowiekiem byłeś kiedyś, Lou — przypomniała mu.

— Trzy lata temu - wtrącił szorstko. — Ludzie nie stoją w miejscu. Idą dalej. Są popychani do przodu. Nie mógłbym już być takim człowiekiem jak wtedy, nawet gdybym chciał. Ale najważniejsze jest to, że nie chcę.

— Przykro mi z twojego powodu.

— A mnie, nie! — warknął. — Stado nie może mnie złapać, nie może wcisnąć mnie w swoje idee i moralność. Nigdy mu się to nie uda. Zanim skończę, pokażę im wszystkim, co człowiek może zrobić kierując się własną wolą.

— Lou, nie możesz tak mówić.

Nie zważając kontynuował swoją myśl.

— Więcej już cię nie zobaczę, Lola. Nigdy więcej nie przyjadę do Sundown. To ostatni raz, kiedy jestem tu mile widziany. Przykro mi, że o mnie wiesz. Ale cieszę się, że będę pamiętał, iż był taki czas…

Widział w jej oczach błysk łez, gdy stanęła przed nim. Ze ścieżki dobiegł czyjś odgłos. Redmain wycofał się na skraj drzew. Do domu zbliżał się David Denver.

— Twój mężczyzna nadchodzi, Lola — powiedział ponuro. — Lepiej dobrze się nim opiekuj. Myśli, że jest neutralny, ale tak nie jest. Nie będzie mógł, nawet gdyby chciał. Nie pozwolę mu na to! Niedługo się spotkamy, a wtedy będziesz miała nad czym płakać. Na Boga, będziesz miała!

Schował się z widoku. Biegiem ruszył między drzewami, omijając szlak, i skierował się w stronę zachodniego krańca Sundown.

— W przyszłym tygodniu nie będę tańczył — dyszał. — Nie będzie mnie tam! Ale tego tańca nikt z nich nie zapomni do końca życia. Dopilnuję tego. Od teraz gram w tę grę stawiając wszystko, co jest warte. Od teraz niech sami o siebie zadbają!

Rozdział X

Morderstwo i muzyka

Szkoła Copperhead była dziś wieczorem miejscem spotkania wszystkich sprawnych mężczyzn, kobiet i dzieci, w promieniu czterdziestu mil. Dźwięki toczącej się zabawy wydobywały się z każdego otworu i unosiły w mroźnym powietrzu; światła błyszczały w każdym otworze, a żwawa melodia gitary i skrzypiec tętniła żywym rytmem. Mężczyźni krzyczeli radośnie, kobiety śmiały się, a ruch tłumu nie ustawał ani na chwilę, ponieważ Yellow Hill wierzyło w zabawę pełną energii.

Sama szkoła Copperhead nigdy nie zdołałaby pomieścić ich wszystkich, ale nie było takiej potrzeby. Szkoła była tylko niewielkim dodatkiem do ogromnej stodoły na siano, Caspera Flooda. Dzisiejszej nocy podłoga została uprzątnięta, wyczyszczona i nawoskowana, a jeśli podłoże było czasem nierówne, nikt się tym nie przejmował. Wokół, pod ścianami siedziały matrony, które nie znajdowały już pocieszenia w rzeczywistych ćwiczeniach fizycznych, patriarchowie, którzy potajemnie pragnęliby zabłysnąć jeszcze jako tancerze, ale powstrzymywała przez przed tym opinia rodziny, oraz dzieci - z których wiele spało na zaimprowizowanych łóżkach.

Północ minęła już dawno temu, a mimo to tańce trwały w najlepsze. Powozy odjeżdżały, przyjezdni wchodzili do środka. Na zewnątrz, pod drzewem, mężczyźni gromadzili się między tańcami, by wziąć udział we wspólnej zabawie, a tuż za drzwiami grupa poganiaczy bydła utworzyła nieunikniony sznureczek pozbawionych pary. W kolejnym kącie stodoły stał gigantyczny stół, który wcześniej jęczał pod ogromnymi kopcami kanapek, tłustych szynek, udźców wołowych i tuzinów ciast. Obecnie przypominał już nieco zdewastowane pole wielkiej bitwy. Jednak ludzie wciąż do niego przychodzili, gorąca kawa wciąż parowała z ogromnych, poczerniałych garnków, a skądś wciąż przynoszono jedzenie. Muzyka grała dalej, zaś tancerze wirowali pod błyszczącymi lampami.

— Najlepsza potańcówka — westchnęła pani Casperowa Flood, — jaką pamiętam. Czy Dave i mała Monterey nie wyglądają dobrze? Wygląda na to, że do siebie pasują.

— Ha — powiedziała pani Jimowa Coldfoot, która przyglądała się ciemnemu kątowi stodoły. — Powinni do siebie pasować. Wystarczająco długo ganiali za sobą. Ciekawe, z kim on się ożeni? Zauważyłem, że dość równomiernie rozdziela swą uwagę na tę Monterey i Eve. Dlaczego nie przyprowadził na tę potańcówkę Eve zamiast Loli Monterey?

— Dlaczego nie zapytasz o to Dave'a? — spytała ironicznie pani Casperowa Flood.

— Zrobiłabym to, gdybym wierzyła, że mi powie — odparła pani Jimowa, kompletnie nie zawstydzona. — Wszystko, co mam do powiedzenia, to tylko, że jeśli Eve Leverage go lubi i nie podoba jej się, że on się prowadza z tą drugą dziewczyną, to strasznie dobrze to skrywa, mała diablica.

Muzyka ucichła z końcowym wspaniałym akordem i pary zaczęły krążyć w poszukiwaniu miejsc do siedzenia. Stopniowo bliscy przyjaciele zbierali się w małe grupki. Wkrótce Denver, Steele i Steers ze swoimi partnerkami zgromadzili się przy stole. Podszedł Niland i przyłączył się do nich, a na końcu pojawił się Anglik z jedną z dziewcząt Fee. Anglik, jako jedyny z całego zgromadzenia, ubrany był w pełny strój wieczorowy. Jego rumiana twarz świeciła jaskrawą czerwienią nad idealną bielą sztywnej koszuli. Kłaniał się i schylał ze skrupulatną uprzejmością. Był uosobieniem miejskiego szyku i poloru.

W hołdzie dla Almarica St. Jennifer Crèvecoeur Nightingale'a krąg przy stole otworzył się, by go przyjąć, a jeszcze większym hołdem było to, że krąg ten zaczął żartobliwie komentować jego strój. Kiedy bowiem kraina bydła porzuca formalności wobec jakiegoś człowieka, stanowi to oznakę, iż został on zaakceptowany.

— Chciałbym tylko wiedzieć — zapytał Niland, wskazując na galowy strój, — czy to cudo przypinasz na sobie, czy zapinasz?

— Rozszerzmy to pytanie — dodał Denver. — Wchodzisz w niego, wciskasz się czy wkręcasz?

— Wiedzę zdobywa się stopniowo — oznajmił z powagą Nightingale. — Trzeba dziesięciu lat, by nauczyć się, pod jakim kątem nosić cylinder. Przecież, drodzy koledzy, każda krzywizna i krój są zalecane przez tradycję, uświęcone pamięcią. To, co widzicie przed sobą, to skumulowana mądrość dziesięciu pokoleń Nightingale'ów, zdobyta czasami w bardzo bolesny sposób. Mój pra-pra-pradziadek ze strony Jenniferów zdobył Podwiązkę za tę ogromną przysługę pokazania Jego Królewskiej Mości, jak usiąść na krześle bez zmarszczenia ogonów fraka. Pod Culloden, gdzie dowodził jeden z moich przodków, rozkaz rozpoczęcia bitwy został opóźniony o dziesięć godzin, dopóki szybcy kurierzy nie znaleźli dla mego czcigodnego przodka stokrotki, którą podczas bitwy miał nosić w dziurce od guzika. Wróg był tak dobrze obeznany z etykietą, że odmówił zaatakowania nas, dopóki mój przodek nie znalazł tej stokrotki.

— Eee! — podejrzliwie prychnął Steve Steers.

— Słowo daję — oświadczył Anglik, poważny jak grabarz.

— Nie daj się im nabrać, Nighty — wtrącił Steele. — Miałem coś takiego w dawnych czasach. To była dla mnie przyjemność, jak zresztą większość rzeczy - wtedy.

— Domyślam się, że nabrałeś do nich smaku — zadumał się Denver, — tak jak do oliwek czy bakłażanów.

Na skraju towarzyskiego grona wykryta została Pani Jimowa Coldfoot, krążąca bez celu w poszukiwaniu jedzenia. Widać było, że nie chciała przegapić żadnego słowa wypowiedzianego przez tych ludzi.

— Lubię oglądać mężczyzn w eleganckich garniturach — powiedziała Lola.

— Nic bardziej uroczego nie przychodzi mi do głowy — dodała Eve.

— No proszę! — wybuchnął Niland. — Na tym właśnie polega podstępny wpływ tego stroju. Nighty go nosi, kobiety się na niego nabierają, i wkrótce wszyscy będziemy musieli pójść jego śladem. Uważam, że to sprawa wystarczająco poważna dla vigilantów.

— Może — zaproponował Denver — wymówimy się na papierosa i zastanowimy się nad tą sytuacją?

— Czy aby na pewno chcecie tylko zapalić? — złośliwie spytała Debbie Lunt. Spojrzała na Steve'a, który ze skrępowaniem dołączył do odchodzących mężczyzn, podczas gdy reszta kobiet wybuchła śmiechem.

Zebrali się na podwórzu. Słychać było lekkie bulgotanie.

— Co gubernator Południowej Karoliny powiedział gubernatorowi Karoliny Północnej? — zapytał Steve. — Osobiście gardzę mocnymi trunkami, ale strasznie bolą mnie stopy.

— Nie rozumiem, czemu to niby miałyby cię boleć — odciął się Denver. — Cały wieczór deptałeś po cudzych stopach.

— Każdego innego człowieka zabiłbym za to jak psa — warknął Steve i zaczął kaszleć. — Whoosh! Ktoś walnął mnie od tyłu, i o mało co się nie udusiłem. Kto mnie kopnął w brzucho?

Anglik, który jeszcze nie do końca przyłączył się do grupy, został nagle złapany za rękaw.

— Ciii! — jednogłośnie oznajmiła para cieni i odciągnęła go na bok. — To my, Meems i Wango. Jesteś tu obcy i należy ci się coś miłego. Chodź tutaj. Przy tym wozie. Oprzyj się o niego, a ja przyniosę butelkę. Nie chcę, żeby ktokolwiek inny nas zobaczył, bo zaraz zjawi się mnóstwo ludzi.

— Ale... — zaczął Nightingale i został przyparty do boku wozu z serdeczną natarczywością.

— W porządku. Nie pozwól, by twoja hojność wzięła górę nad tobą. Wango i ja uważamy, że choć raz jesteśmy to winni obcemu. Oto najlepsza whisky, jaką można kupić za pieniądze. Napij się. Dużego łyka. Do diabła, pociągnij dwa-trzy łyki i zobacz, czy nie mamy najlepszej...

— Och, bardzo dobrze — zgodził się Nightingale i przyjął butelkę. Partnerzy stłoczyli się obok niego i poklepali go po plecach. Nightingale opuścił butelkę. — Czy to jest to coś, z czego jesteście tacy dumni?

— Czyż nie jest to najwspanialszy, najlepszy...

Anglik odetchnął z ulgą.

— Myślę, że wasze zaufanie do natury jest cholernie mocno chybione. Dzięki za ten środek do dezynfekcji i wybaczcie, ale dołączę do moich przyjaciół.

Meems i Wango poczekali, aż Nightingale przejdzie przez podwórze, po czym skierowali się w stronę swoich koni.

— Po tym wszystkim — powiedział Meems — myślę, że lepiej będzie, jeśli się gdzieś ulotnimy. Nigdy nie wiadomo, co zrobi zagraniczniak.

— Tak — zgodził się Wango. Obaj wskoczyli na siodła i skierowali się w stronę mostu na Copperhead. Wango odezwał się z powątpiewaniem. — Powiedz, Buck, myślisz, że to było naprawdę zabawne?

— Pewnie, że było zabawne — upierał się Meems. — Myślałem, że umrę ze śmiechu…

— To dosyć daleko od jakiegokolwiek dowodu na to, że to było zabawne — mruknął Wango. — Przypuśćmy, że on ma coś przeciwko temu?

— A, w cholerę, Anglicy się nie wściekają. Wyglądają tylko na urażonych.

— No cóż, może to było zabawne.

— Pewnie, że było. Ha, ha!

— Niech mnie diabli, jeśli to nie było zabawne! Ha, ha, ha!

Echo tego pustego śmiechu odbiło się echem po krytym moście i utonęło w ponurej ciszy. Z rejonu Sky Peak wyjechał jakiś jeździec, szybko pędząc po wiodącej w dół drodze. Meems i Wango, ostrożne ptaszki, zjechali z drogi bez słowa i zatrzymali się. Jeździec przemknął obok, ale zatrzymał się przy moście i spokojnie przejechał na drugą stronę. Meems i Wango pojechali dalej.

— Widziałeś go? — wyszeptał Wango.

— Taaa, widziałem.

— Tak się zastanawiam...

— Zamknij gębę. Wcale go nie widziałeś, rozumiesz? Ty i ja niczego nie wiemy. I tak będzie absolutnie świetnie.

— Rany, ale z nas ignoranci, co Buck?

— Jasne. Wątpię, czy jest na świecie dwóch innych facetów, którzy wiedzą tyle co my, a są takimi ignorantami.

Denver i jego przyjaciele wrócili z wolna do sali tanecznej. To Steve Steers, obchodząc Nightingale'a, pierwszy zobaczył, co się stało. Zaciskając usta, zaczął się przekomarzać z pozostałymi. Anglik podszedł do swojej damy i skłonił się uroczyście, a w tym czasie ze dwadzieścia osób wyszczerzyło w jego stronę zęby. Anglik poczuł, że coś jest nie tak i obrócił się, pokazując plecy zebranym na całej długości sali. Ktoś wrzasnął radośnie. Nightingale wykręcił szyję i zaczął rozglądać się po kolegach.

— Czy ja — zapytał, — wyglądam jakoś niecodziennie?

— Z kim ostatnio rozmawiałeś? — spytał Denver.

— Hm — sapnął Nightingale. — Czyżby ci nadzwyczajni goście, Meems i Wango, mieli jakiś ukryty motyw?

Ponownie ukłonił się swojej pani i z żelaznym spokojem zrzucił z siebie okrycie wierzchnie, odsłaniając wszystkie usztywnienia, sznurowania i rusztowania koszuli. Podniósł krytycznie tył marynarki. Przylegał do niego kwadratowy arkusz papieru, wilgotny od kleju, a w poprzek papieru widniał napis:

DO WYNAJĘCIA
KONTAKT: JAKE EPSTEIN
ELEGANCKI KRAWIEC

— A więc mnie podeszli — zauważył Nightingale, zrywając kartkę. I choć zachował najwyższą powagę, w jego lazurowych oczach zalśniło coś na kształt iskierek śmiechu.

Panie były oburzone. Denver roześmiał się od ucha do ucha.

— No cóż, przynajmniej wyjaśniliśmy sobie jedną kwestię związaną z tym sprzętem. On go nie przypina, on go zapina.

Cal Steele, uśmiechając się leniwie, powiódł wzrokiem po sali. Pokręcił głową, a jego twarz spowiła ciemność. Z trudem otrząsnął się z uśmiechu i mruknął do Eve:

— Przepraszam na chwilę.

Wyszedł ze stodoły.

— Ludzie — oznajmiła Eve — za dwie lub trzy godziny będzie już jasno. Większość naszych mężczyzn ma przed sobą cały dzień pracy. Powiedzmy, że pójdziemy już do domu.

— Myślę, że ja mam więcej pracy niż ktokolwiek inny tutaj — wtrącił Nightingale. — Unikam wchodzenia w drogę mojemu zarządcy.

Steve Steers zarumienił się i wyglądał na skrępowanego, podobnie jak przez większość wieczoru.

— Zawsze był upierdliwym łobuzem — wycedził Denver. — Problem w tym, żeby utrzymać go w pracy. Chodzi mi o to, że jest temperamentny.

— Czyż nie jestem wśród przyjaciół? — jęknął żałośnie Steve.

Debbie zaczęła go bronić cierpkim tonem, ale wrócił Cal Steele i zwrócił uwagę całego kręgu. Na jego twarzy widoczne było zmartwienie. Mówił bez zwykłej swobody, niemal wydzierając z siebie słowa.

— Wydarzyło się coś złego. Muszę wracać do domu. Teraz. Davidzie, czy mógłbym cię prosić, żebyś zaopiekował się Eve? Eve, moja droga, wynagrodzę ci to...

— W porządku — zapewniła go szybko Eve.

Denver przyglądał się przyjacielowi z uwagą.

— Potrzebujesz pomocy, Cal?

— Nie. Zupełnie nie. Ale muszę już iść.

Steve musiał ukoronować swoją wieczorną niedolę jedną wyjątkowo niefortunną uwagą.

— No cóż, masz teraz dwie dziewczyny, Dave. Co zamierzasz z nimi zrobić?

Stwierdzenie to samo w sobie było nieszkodliwe, ale przypomniało wszystkim od dawna zadawane w Yellow Hill pytanie, dotyczące Dave'a, Loli i Eve. W chwili martwej ciszy Steve dostrzegł swój błąd i praktycznie go sparaliżowało. Zrobił się matowo czerwony. To Eve, sama zarumieniona, rozładowała tę napiętą sytuację.

— Szybko to załatwimy — oznajmiła chłodno. — Niech Lola wróci dziś do domu ze mną.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała Lola, patrząc na Eve ciemnymi oczami.

Cal Steele obdarzył grupę krótkim, niepewnym uśmiechem.

— Dobranoc wszystkim. To był najwspanialszy wieczór mojego życia. I dopóki znów się nie spotkamy - niech was Bóg błogosławi, drogie dzieci.

Denver był wyraźnie zaniepokojony i ruszył za Steelem.

— Na pewno nie chcesz pomocy, Cal?

Ale Cal Steele pokręcił głową.

— Dave, stary, gdybym chciał, przyszedłbym przede wszystkim do ciebie. — Wewnętrzne napięcie myśli postarzało go; wpatrywał się w

Denvera jak człowiek zraniony i skrzywiony. — Pamiętaj o tym. Zawsze przychodziłem do ciebie jako pierwszego i jako ostatniego. Na razie.

Zniknął, pozostawiając po sobie cień kłopotów. Z imprezy zniknęła część blasku i za ogólną zgodą powoli pożegnali się i wyszli z sali. Denver wsadził Eve i Lolę do swojego pojazdu i podszedł do Steve'a.

— Słuchaj, kiedy będziesz wyjeżdżał z domu Debbie, może pojedziesz na ranczo drogą przez skały? Tylko po to, żeby sprawdzić, czy nic się nie dzieje na boku?

— Da się zrobić — chrząknął Steve.

Dave pospieszył z powrotem i zastał swojego zarządcę, Lyle'a Bonneta, kręcącego się w szeregu samotnych tancerzy.

— Zbierz chłopaków, których znajdziesz — powiedział do Bonneta — i jedź prosto do Starlight. Jeśli coś usłyszysz, rozejrzyj się. A teraz zmykaj.

Wrócił do bryczki, rozłożył koce wokół Loli i Eve i w milczeniu skierował się w stronę rancza Leverage’a. W trakcie jazdy wypowiedział ledwie kilkanaście słów, pogrążony w niespokojnych myślach. Pod domem Leverage'ów pomógł im zsiąść i zawrócił wóz. Chwilę stali na werandzie, jasnowłosa i chłopięca Eve, obok Loli, która tak często wydawała mu się pełna ognia i płomieni. Uderzyło go, że te dwa przeciwne charaktery miały dziś dzielić ten sam dom. Senne, rzeczowe „Dobranoc, Dave, idź do domu i prześpij się” Eve zabrzmiało przyjemną melodią w mrokach nocy. Lola powiedziała tylko „Dobranoc” powolnym szeptem, ale jakoś dotarło to do ucha Dave'a przez całą drogę przez podwórko. Na głównej drodze przyspieszył konia, niepokojąc się myślami o ściągniętej twarzy Cala Steele'a.

Eve zapaliła lampę i zaprowadziła Lolę do pokoju gościnnego.

— Zaśnij tak późno, jak chcesz. Rano zabiorę cię do miasta. Spędziłyśmy wspaniały wieczór, prawda?

Ciemne oczy Loli zalśniły.

— Dzisiaj rozładowałaś trudną prawdę i podziwiałam cię bardziej, niż kiedykolwiek myślałam. — Odrzuciła do tyłu głowę i odegrała scenkę z niefortunnym zdaniem Steve'a. — „No cóż, masz teraz dwie dziewczyny, Dave. Co zamierzasz z nimi zrobić?” Ale David nie mógłby na to odpowiedzieć, nawet gdyby chciał. On tego nie wie. Ani ty, ani ja.

Eve wyglądała na nieco bladą i zmęczoną.

— Od dłuższego czasu chciałam cię o coś zapytać. Czy te trzy lata nieobecności, pomogły ci jakoś? Z Davidem?

— Czemu pytasz?

Eve odpowiedziała powoli.

— Gdybym uważała, że mój wyjazd na jakiś czas coś zmieni, pojechałabym jutro.

— I wróciłabym następnym pociągiem ze strachu przed stratą — powiedziała Lola. — Wiem.

— Co byś zrobiła, żeby go usatysfakcjonować? — zapytała Eve.

— Widzisz, że tu stoję. Mogłabym być w tysiącu bardziej przyjemnych miejsc. Oto twoja odpowiedź. Poszłabym dla niego wszędzie, zrobiłabym wszystko. Rozumiesz to?

Ciało Eve zesztywniało. Przesłanie w oczach Loli, płomień uczucia odpychały ją. Lola zaśmiała się cicho.

— Ty byś tego nie zrobiła, prawda? Chcesz być dyskretna. Boisz się. Chcesz czegoś, nie płacąc za to.

— To nie jest miłość — powiedziała szybko Eve.

— Nie twojego rodzaju. Ale mojego rodzaju. Miłość jest wszystkim. Jest jak ogień, jak tortury, jak pragnienie. Trzeba być w połowie dzikusem, żeby to zrozumieć. Ja jestem w połowie dzikusem. Ty nie jesteś.

— Ale to nie jest miłość — powtórzyła Eve, przygryzając wargę.

— Nie twojego rodzaju — powiedziała Lola z nutą pogardy w głosie. — Pozwól, że ci wyjaśnię. David Denver jest zbyt silnym mężczyzną, by jedna kobieta mogła go utrzymać w całości dla siebie. Jest uprzejmy, ale kiedy ogarnia go czarny nastrój, potrafi zacisnąć pięści i niszczyć. Mówi łagodnie, ale zawsze z ogniem płonącym głęboko w jego wnętrzu. Nigdy nie będzie szczęśliwy, nigdy nie znajdzie wszystkiego, czego pragnie, w jednej kobiecie. A jednak mój rodzaj może go zatrzymać - na chwilę. Zrobię wszystko, by go mieć. Ale nigdy, przenigdy to nie wystarczy. Rzucam się w to z radością. Lecz on w końcu mnie zniszczy. Taka jest miłość. Nic o niej nie wiesz. Jedź na wschód, gdzie nic ci nie grozi.

— W ogóle go nie znasz — nie zgodziła się Eve.

Nastrój Loli zmienił się w jednej chwili.

— Oczywiście, że nie. Gdybym go znała, mogłabym go mieć! Co ty wiesz, czego ja nie wiem? Powiedz mi to!

— Czy nie jest trochę już za późno na takie rozmowy? — spytała Eve.

— Jesteś bardzo spokojna i mądra, co? Ty jesteś jedną rzeczą, ja inną. Może gdyby obie nasze natury znalazły się w jednej kobiecie, Dave przestałby się zastanawiać.

— Czasami — oznajmiła Eve z cieniem na twarzy - wydaje mi się, że jestem dwiema kobietami, i jedna z nich jest taka jak ty, ale nigdy nie może się wydostać na zewnątrz. Dobranoc.

Denver przejechał bryczką przez swoje podwórko i wyprzągł konia, zapędzając go do corralu. Lyle Bonnet zszedł z ganku głównego domostwa.

— Nic nowego? — spytał Dave.

— Nic — odparł Bonnet zaspanym głosem. — Jakąś godzinę temu za Starlight padło kilka strzałów. Ale powiedziałbym, że to jakiś facet wracał z potańcówki.

— Pewnie tak — zgodził się Dave. — Lepiej daj się zmienić.

Sam przeszedł przez główny pokój i usiadł na południowej werandzie domu. Z tego punktu widokowego mógł, w pogodny dzień, spoglądać w dół kanionu Starlight i dalej na otwartą prerię, na odległość trzydziestu mil lub więcej. Lubił tu siadać i czuć, że przez chwilę jest ponad gorączką świata. Dawało mu to poczucie spokoju. Lecz dziś nie potrafił tego spokoju przywołać. Przed oczyma wciąż miał dziwnie zniekształconą twarz Cala Steele'a. Yellow Hill szło na wojnę, to nie ulegało wątpliwości. W nocy

pojawiali się jeźdźcy, a ręka człowieka była nastawiona przeciwko ręce człowieka. Jake’a Leverage’a nie było na potańcówce, podobnie jak Lou Redmaina. Ci ludzie byli zajęci gdzie indziej. A za nimi na polowaniu było wielu jeźdźców.

— I tak już będzie — mruknął. — A jak długo będę mógł tu zostać i zajmować się swoimi sprawami? Bóg jeden wie. Gardzę bogaczami tak samo jak banitami. Kto może powiedzieć, że ścigany jest o wiele czarniejszy od ścigającego? Niech każdy odpowiada za swoje czyny i niech każdy walczy sam ze sobą. To jednak wkrótce stanie się niemożliwe. Więc co?

Starlight pulsował splecionymi, wirującymi cieniami; niebo było skryte za zasłoną mgły. Kraj wydawał się niespokojny. Denver, który szybko reagował na prymitywne nastroje ziemi, poczuł zmiany, jakby temperatura spadła o dwadzieścia stopni.

— Będę walczył w moich bitwach — powiedział do siebie. — Nieważne, z kim przyjdzie mi się zmierzyć. Nie chcę walczyć z Redmainem, ale jeśli trzeba, to trzeba. Wszystko, o co proszę...

Zesztywniał i odwrócił głowę lekko w stronę wiatru. Przez powolny szelest nocy przebił się obcy odgłos. Dochodził on z górnego szlaku - nieśmiałe, ostrożne kroki konia. Denver podciągnął spokojnie nogi, wstał i wślizgnął się do domu. Przygasił lampę i wyszedł na podwórze, kierując się w stronę niewyraźnego pnia sosny. Tuż nad tym miejscem zbliżał się jeździec, który z wyraźnym wahaniem skręcał od jednego zbocza do drugiego. Denver czekał cierpliwie.

Potem koń zatrzymał się, a z cienia dobiegł dziwny szloch, który przeszył nerwy Denvera dreszczem. Odszedł od drzewa i rzucił pytanie.

— Kto tam?

Nadeszła drżąca odpowiedź.

— Dave… oh, Dave…!

— Cal! — krzyknął Denver, pędząc naprzód.

— Dave, mój Boże, jestem postrzelany jak sito!

Denver dotarł do konia w chwili, gdy jego przyjaciel zaczął zsuwać się z siodła. Złapał Steele'a w ramiona, czując ciepłą krew na ubraniu przyjaciela.

— Cal, do cholery! Trzymaj się! Za chwilę będziesz mógł spokojnie poleżeć. Doktor Williamson zaraz tu będzie. Cal!

Denver potykając się przebiegł przez podwórze. Drzwi budynku sypialnego otworzyły się i na zewnątrz wybiegli jego ludzie. Ktoś pobiegł do domu i zapalił światło. Denver wmaszerował do środka, położył Steele'a na kanapie, rozrywając karmazynową, mokrą koszulę. Steele pokręcił przecząco głową i otworzył oczy, wpatrując się w Denvera.

— Nie ma sensu… tego robić. Jestem… postrzelany… jak rzeszoto.

Denver zaklął gorzko.

— Kto to zrobił, Cal? Na żywego Chrystusa, wyrwę mu serce!

Usta Steele'a zaczęły drgać.

— Powiedziałem ci, że przyjdę do ciebie pierwszego lub ostatniego, prawda? — mruknął. — Chciałem wyświadczyć ci przysługę, stary. Tak jak ty mi. Posłuchaj mnie...

Potem jednak Cal Steele już nic więcej nie powiedział i nigdy nie powie. Jego głowa osunęła się do przodu, a niewidzialna ręka śmierci spoczęła na nim, by odcisnąć wieczną pieczęć na tej pięknej twarzy.

Rozdział XI

Ślady

Dave Denver, w ciemnej godzinie poprzedzającej świt, poczynił przygotowania. Kazał osiodłać najlepsze konie i przyprowadzić je pod ganek. Otworzył schowek na broń i rozdał spoczywające tam karabiny, jednocześnie dzieląc swoich ludzi na trzy części: jedna miała patrolować teren, druga wrócić do pracy, a trzecia jechać pod jego dowództwem. Z grupy patrolującej posłał jednego człowieka do Sundown do doktora Williamsona, a drugiego na ranczo Steele'a. Resztę grupy rozesłał po różnych punktach na wzgórzach. Wszyscy zjedli pospieszne śniadanie. Grupa robocza rozeszła się niezadowolona, a gdy pierwsze szare światło poranka przebiło się przez mgłę, zebrał wybranych jeźdźców, wsiedli na konie i ruszyli w górę kanionu, by wytropić ślady kopyt konia Cala Steele'a. Lyle Bonnet, jadący tuż za nim, zaproponował pewną sugestię.

— Lepiej wyślij też kogoś, by powiadomił Leverage'a. To sprawa dla vigilantów.

Denver pokręcił głową.

— Nigdy nie poproszę kogoś innego o wykonanie brudnej roboty, którą sam powinienem zrobić. I wbij to sobie do głowy, Lyle, że nie chcę, aby ktokolwiek inny to załatwiał. Sam znajdę tego, kto zabił Cala i uśmiechnę się dopiero wtedy, gdy zobaczę go martwego.

Miękka ziemia pokazywała ślady ostatniej jazdy Steele'a przez ponad dwie mile prosto w górę kanionu.

W tym miejscu ślady skręciły w dół zbocza Starlight, przecięły dno kanionu i skierowały się wzdłuż drugiego brzegu. Denver zatrzymał się i zsiadł z konia. Tutaj Steele spadł z siodła. Na dywanie z liści widniała krew człowieka.

— Kiepsko mu szła ta droga z powrotem — mruknął Denver. — Nie wiem, jak mu się to udało. To jasne jak słońce, że nie miał już siły.

Za Starlight ślad wiódł zygzakiem przez las. Denver posuwał się powoli naprzód. Wyglądało na to, że jego przyjaciel zgubił się i z rozpaczy zdał się na konia. W lesie znajdowały się miejsca, w których pony krążył, szedł po swoich własnych śladach i ponownie wracał na prostą drogę w kierunku kanionu. W miarę upływu dnia, Denver zagłębiał się w ukryte doliny i sosnowe gąszcza strzegące działu wodnego Copperhead. Szlak Cala Steele'a zaczął robić się bardziej prosty.

— Już niedaleko — powiedział Denver. — Widzicie, na krótką chwilę odzyskał nad sobą kontrolę i udało mu się jechać we właściwym kierunku.

Trzydzieści minut później Denver zatrzymał się na wysoko położonej łące i wskazał na stratowaną powierzchnię ziemi. Ślady kopyt wypełniały

całą łąkę i pokrywały ją ziemią, jakby chciały zamazać jakąś złowrogą historię, która się tu rozegrała. W ten trudny do odczytania teren wbiegały ślady kuców, które gubiły się na stratowanej ziemi.

— Oto, gdzie to się stało — oznajmił Denver z błyskiem w oku. — Zobaczmy teraz, gdzie potem rozleciały się te wszystkie nocne ptaszki. Wróćmy do drzew i zatoczmy krąg. Trzymajcie się daleko od łąki, bo pogorszycie sytuację.

Lyle Bonnet, który już ruszył na poszukiwania, zeskoczył z siodła i schylił się.

— Tu jest kapelusz, Dave.

Denver podjechał i wziął kapelusz. Rzucił szybko okiem na opaskę przeciwpotną.

— Należy do Cala — odparł.

Gdy grupa odjechała, wrócił na środek łąki i próbował ułożyć z tego jakąś historię.

— Cal dostał ostrzeżenie — zastanawiał się. — Ktoś przyszedł na zabawę i dał mu cynk. Potem przyjechał tutaj, wpadł w tarapaty i po raz ostatni stanął do walki. Strzały, które słyszał Bonnet, musiały być tymi, które go trafiły. Padły z tego kierunku mniej więcej pół godziny po tym, jak opuścił potańcówkę. Oznacza to, że nie tracił czasu. Nie zastanawiał się, tylko od razu wyjechał w teren. Innymi słowy, wiedział, gdzie jest ta banda - albo posłaniec to wiedział. A kim był ten posłaniec?

Wrócił Lyle Bonnet.

— W grupie musiało być ze dwudziestu ludzi. Zastosowali starą sztuczkę Apaczów. Postrzelali go jak rzeszoto, a potem się rozpierzchli. Wychodzi stąd tuzin lub więcej śladów, prowadzących praktycznie do każdego miejsca na mapie.

— Tak — zadumał się Denver. — Ale zanim mogli odjechać, musieli przyjechać. Muszą być jakieś ślady prowadzące do tego miejsca.

— Tak. Według mojej opinii jechali razem znad Copperhead.

Denver przyjrzał się kapeluszowi Steele'a.

— Jest na nim krew. Krew na całym szlaku. Krew dobrego człowieka zrasza tę przeklętą ciemną krainę. Chodź, zaczniemy tropić. Nie ma sensu marnować tutaj czasu.

Razem ze swoimi ludźmi, przemknął przez łąkę i ruszył tropem nocnej wyprawy. Prowadził on w dół, na południowy wschód. Po plamach błota na krzakach zorientował się, że grupa jechała w szybkim tempie. Skąd? Prawdopodobnie znad rzeki. Lecz w tym miejscu teren wzdłuż rzeki był wyjątkowo trudny, co nasuwało mu myśl, że bandyci wyruszyli z terenów Sky Peak i przejechali przez most. To również wydawało się mało prawdopodobne. Sala taneczna znajdowała się zbyt blisko mostu, aby w czasie ostatniego wieczora. możliwy był niezauważony przejazd jakiejkolwiek dużej grupy.

Bystry umysł Lyle'a Bonneta podążał tym samym tokiem rozumowania.

— Musieli wyruszyć z południa, Dave, i ominąć szkołę w pewnej odległości od niej.

— Być może — zgodził się Denver. — Ale mogło też być inaczej. Może byli na ziemi Steele'a albo Nightingale'a i zatoczyli pętlę jadąc w kierunku łąki. O północy byli na tyle blisko tego terenu, że jakiś przyjaciel Steele'a mógł ich zauważyć i ostrzec Cala. Ta łąka jest na mojej ziemi, ale blisko terenów Cala. Może dostał ostrzeżenie, że kradną jego bydło i pojechał, by zebrać ludzi. I zamiast tego natknął się na nich na mojej ziemi.

— Brzmi mało prawdopodobnie — zauważył Bonnet. — Zeszłej nocy było strasznie ciemno. Albo dobrze wiedział, gdzie są, albo robili sporo hałasu. Żaden szlak, którym mógłby wracać do domu, nie zaprowadziłby go w pobliże tej łąki. Zastanawia mnie, dlaczego nie dał o tym komuś znać, zamiast jechać samemu.

Denver pokręcił głową, nic nie mówiąc. Cal Steele był człowiekiem o zmiennych nastrojach i nigdy nie do końca dającym się zrozumieć. Tajemnica otaczała ostatnie godziny jego życia, część tajemnicy, która od niedawna unosiła się nad całym hrabstwem Yellow Hill.

Dotarli do końca śladu, dojechawszy do szutrowej drogi łączącej Sundown Valley z ranczami wzdłuż Copperhead. W tym miejscu szlak banitów opuszczał miękkie podłoże na zboczu wzgórza i wkraczał na drogę, zlewając się ze wszystkimi innymi śladami przejazdu po niej.

— Przyjechali z ziemi Steele'a lub Nightingale'a, zgadza się — stwierdził Bonnet po długich oględzinach. — Ale nie to chcemy wiedzieć. Nasze pytanie brzmi, dokąd udali się później. Może wyślemy dwóch-trzech chłopców z powrotem na łąkę i wytropimy kilka z tych rozlatujących się myszołowów? Prędzej czy później znaleźlibyśmy miejsce, w którym grupa znów się spotkała.

Denver przypalił papierosa.

— Nie, jest łatwiejszy sposób, Lyle. Gdyby to był tylko jeden lub dwóch ludzi, musielibyśmy szukać od początku i rozwikłać tę zagadkę, którą znaleźliśmy. Ale kiedy jest ich dwudziestu lub więcej, nie mam wątpliwości, kogo szukamy. W Yellow Hill jest tylko jedna taka duża banda.

— Masz na myśli Lou Redmaina — zadumał się Bonnet. — Jeśli zastanawiasz się, nad zrobieniem tego o czym myślę, to poślij kogoś po resztę ludzi. Nas ośmiu, to za mało.

Jeszcze przez dłuższy czas Denver siedział w siodle, wpatrując się w drogę. W końcu stanął przed kryzysem, co do którego od dawna miał nadzieję, że nigdy nie dojdzie. Żyć i pozwolić żyć innym - to była podstawa wszystkich jego myśli i czynów. Nie chciał brać udziału w osądzaniu, co jest dobre, a co złe. Jednak mimo wszystko nie mógł uciec przed wyraźnym głosem sumienia. Musiał toczyć własne bitwy, musiał wspomagać swoich przyjaciół. Nieważne, że oznaczało to koniec pokoju, nieważne, że oznaczało to, iż Yellow Hill zostanie rozerwane na strzępy i spowite dymem prochowym.

I tak się stanie, gdy zawróci ludzi i ruszy na zachód tą drogą. Był zbyt mądry, by uważać inaczej. Nieuchronnie siła, którą reprezentował, zderzy się z siłą, za którą stał Lou Redmain, i w tym konflikcie nikt nie mógł przewidzieć, jaki będzie wynik. Na ponurą ironię zakrawało to, że stanął na granicy czegoś, co potępił na spotkaniu Stowarzyszenia. Odrzucił

quasi-prawną możliwość uderzenia na Redmaina, a teraz miał na niego uderzyć bez cienia formalnej sankcji. To była wojna, to była przemoc, stojąca jedynie o jeden stopień wyżej od przestępczych działań samego Redmaina. Bez względu na tło tych wydarzeń, mogły one skutkować użyciem twardej ręki sprawiedliwości, ten fakt pozostawał faktem, a David Denver był zbyt szczery wobec siebie, aby to przed sobą kryć.

Nie myślał jednak o wycofaniu się. Przez wiele miesięcy widział, jak przemoc rozdyma się aż do ogromnej kulminacji. Widział to całkiem jasno i dał do zrozumienia, że ma nie być uważany za partyzanta którejkolwiek ze stron, chyba że naruszone zostanie jedno i jedyne zastrzeżenie. No cóż, zostało ono naruszone. Cal Steele nie żył. Gdzieś tam Lou Redmain przygotowywał się do kolejnego ataku. Dla człowieka, który deklaruje, że dla niego nie ma żadnych ograniczeń, nie może być półśrodków, nie może być żadnej granicy przyzwoitości. Redmain będzie szedł dalej, od jednego aktu przemocy i bandytyzmu do drugiego, z coraz większą pogardą dla prawa. Nigdy się nie zatrzyma - aż do śmierci. W umyśle Davida Denvera problem stał się jasny i prosty. Wyrzucił papierosa i zwrócił się do swoich ludzi.

— Uznaję, że jestem odpowiedzialny za to, co się stanie i za wszystkich, którzy zostaną poszkodowani. Wiecie, co się stanie. Nie poproszę o wyruszenie ze mną nikogo, kto myśli inaczej niż ja. Niech wypisze się z tego teraz, zanim zaczniemy.

Zapadła krótka skrępowana cisza. Lyle Bonnet zmierzył ludzi trzeźwym spojrzeniem i przemówił w ich imieniu.

— Skoro mamy już za sobą tę ceremonię, nie marnujmy więcej czasu.

— W porządku…

Zza zakrętu dobiegł odgłos jazdy kawalkady ludzi. Była to załoga Steele'a z Hominy Hoggiem na czele. Grupa zatrzymała się.

— Jechaliśmy spotkać się z wami koło Starlight — wyjaśnił Hominy. — Co mamy w programie?

— Jedziemy na drugą stronę Sundown Valley — powiedział Denver.

— Im szybciej, tym lepiej — chrząknął Hominy. — Myślałem, że to będziecie chcieli zrobić. Właśnie dlatego przyjechaliśmy z załadowaną bronią, wszyscy.

— Nie wiedzieliście o tym, co się stało, zanim wysłałem do was człowieka? — zapytał Denver.

— Nie. Steele wyjechał sam około ósmej wieczorem. Powiedział, że prawdopodobnie wróci do domu dosyć późno. To ostatnie, co widzieliśmy i słyszeliśmy, dopóki Ben nie przybył z twoją wiadomością.

— Czy któryś z was nie przyjechał na potańcówkę i nie przekazał mu wiadomości? — dopytywał się Denver.

Hominy Hogg wpatrywał się w niego pustym spojrzeniem.

— Nikt, o kim bym wiedział. Prawdę mówiąc, żaden z naszych ludzi nie pojechał na potańcówkę. Steele wydawał się mieć na głowie jakieś kłopoty i kazał nam trzymać się blisko kwater.

— Wiele bym dał, żeby dowiedzieć się, kim był ten człowiek — odpowiedział powoli Denver. — Poprowadził Cala na rzeź i zniknął. Zrozumcie, chłopcy, że zaczynamy coś poważnego i może minąć sporo

czasu, zanim skończymy. Jeśli ktoś myśli, że to tylko wakacje, to lepiej niech się wycofa.

— Po co niby przyjechaliśmy? — odparł Hominy. — Ta sprawa prowadzi do jednego dżentelmena. Dalej więc. Ty myślisz, a my strzelamy. Tak długo, jak będzie trzeba.

Denver zatoczył koniem i ruszył, a jego ludzie ustawili się parami za nim. Galopowali w górę i w dół, krętą żwirową drogą, trzydziestu ciężko uzbrojonych i zdeterminowanych jeźdźców. Minęli ujście Starlight i wjechali na drogę dyliżansów Sundown-Ysabel Junction. Przejechali przez most z desek w Sweet Creek i mozolnie pokonywali zakręty, aż w końcu dotarli do równego odcinka, nad który cień rzucała Shoshone Dome. Tutaj Denver skręcił przez miękkie łąki Sundown Valley i wjechał na mroczną ziemię graniczącą z Wells.

Przez całą drogę Denver zastanawiał się nad zagadką nieznanego informatora Cala Steele'a. Któż inny niż członek jego własnej załogi mógłby pojawić się w nocy, aby go ostrzec? A gdy już to zrobił, zniknął z pola widzenia? Jeśli ten człowiek wiedział coś o przestępcach i uważał to za wystarczająco ważne, by dotrzeć do Cala Steele'a, to dlaczego nie wrócił ze Steelem i nie zaangażował się w tę samą walkę? Być może to zrobił. I uciekł, gdy Steele poległ. Dlaczego więc człowiek ten nie pojechał powiadomić innych, zamiast zniknąć z pola widzenia? Czy został ranny i wczołgał się w jakieś zarośla, by umrzeć? A może był zdradzieckim przyjacielem Steele'a, który świadomie doprowadził go do zguby? Było to możliwe, choć Denverowi wydawało się dziwne, że Steele tak łatwo dał się złapać w pułapkę. Steele mieszkał na tym terytorium wystarczająco długo, by rozumieć wszystkie tego rodzaju sztuczki.

Lecz te wszystkie spekulacje przytłaczał jeden niewytłumaczalny fakt, który podważał każdą możliwą hipotezę. Steele odjechał bez żadnej pomocy, nie zwierzając się nikomu. I odjechał w bardzo niespokojnym stanie umysłu. Tylko poważny wstrząs mógł spowodować bladość i zmarszczki na policzkach tego łatwo podążającego przez życie człowieka. Za każdym razem, gdy Denver wracał myślami do końcowej sceny w Sali tanecznej, odczuwał dziwny chłód, przeczucie zła. Jego umysł zmagał się z czarną zasłoną niepewności. Na krótką chwilę zasłona rozsunęła się i Denver ujrzał coś, co go odpychało i usztywniało. Wyrzucił z siebie przekleństwo. Lyle Bonnet szybko znalazł się obok niego.

— Widzisz coś?

Denver pokręcił głową i zacisnął szczęki. Oderwał się od bolesnych rozmyślań i z widocznym wysiłkiem skoncentrował zmysły na otaczającym go materialnym świecie. Poczuł nagły strach przed ponownym naruszeniem tej zasłony.

Lyle Bonnet znów pojawił się obok niego.

— Zamierzasz uderzyć bezpośrednio, Dave? A może otoczymy ich pierścieniem?

Dopiero wtedy Denver zdał sobie sprawę, jak bardzo pochłonięty był swoimi myślami. Pokonali pięć kilometrów niemal niezauważalny sposób. Znajdowali się w rozszerzającej się sosnowej przesiece, która wychodziła na poznaczoną nierównościami polanę na zboczu wzgórza. W tym miejscu,

drzemiąc w pełnym słońcu, stały brzydkie budynki Wells. Na ulicy nie było żadnego ruchu. Za ogólną zgodą grupa zatrzymała się.

— Wygląda mi to trochę podejrzanie — zauważył Bonnet. — Cholernie pusto. Nie chciałbym wpaść na ołów.

— Nie ma nawet dymu z kominów — zauważył Hominy Hogg.

Nerwy Denvera naprężyły się, wszystkie zmysły odzyskały ostrość. W jednej chwili w jego mózgu zapisał się każdy szczegół przykurczonych budynków, krętej ulicy i pokrytej nierównościami polany na zboczu wzgórza. Wręcz czuł ciężar wiszącej, dusznej ciszy emanującej z tego miejsca i niemal żywy odblask okien skierowany w jego kierunku.

Denver szybko rozdysponował siły.

— Weź połowę swoich ludzi, Hominy, i okrąż szczyt wzgórza. Potem wyjdź spomiędzy drzew i pędź prosto w dół. Lyle i sześciu innych pójdzie w prawo, zatoczy łuk i przygotuje się do wejścia na ulicę od tamtej strony. Ja poczekam tutaj. Hominy ma najdłuższą trasę. Kiedy wyjedzie już na pusty teren, reszta z nas odpowiednio ruszy.

Hominy chciał mieć absolutną pewność co do zamiarów Denvera.

— Na wypadek, gdyby nie do końca byli zdecydowani na walkę lub pokój, jaki będzie nasz sygnał?

— Jeśli Redmain jest tam — oznajmił Denver — nie ma wątpliwości, co zrobi. Spalił za sobą mosty i jest odcięty. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko walczyć.

— Ale w przypadku...

— Nie ma innego wyjścia, ani dla niego, ani dla nas — wtrącił Denver z nagłym zniecierpliwieniem. — Zbierać się!

Dwie grupy zniknęły między drzewami; Denver czekał z zimną cierpliwością. Już raz przyjechał do Wells, gotów do rozliczeń. Lou Redmain mówił spokojnie, na znak przyjaźni przypominając dane słowo, ale przez cały czas nie myślał o dotrzymaniu ani jednej sylaby. Tego dnia będzie zupełnie inaczej. Wódz banitów stracił prawo do składania obietnic. Nie istniała żadna zasada ludzkiego zachowania, na której mógłby oprzeć zaufanie do siebie. Nie pozostało mu nic poza instynktem dżungli i tą pożądliwą iskrą dominacji, która czyniła go o wiele bardziej niebezpiecznym niż jakąkolwiek inną drapieżną bestię. Podczas gdy niższe zwierzęta posłuszne były nieuniknionemu cyklowi życia swojego gatunku, człowiek renegat był posłuszny jedynie swym własnym impulsom, a nie sposób było przewidzieć, jakie one mogą być, nawet z godziny na godzinę.

Surowa pustka miasta stanowiła wyzwanie dla czujnych oczu Denvera. Metodycznie przeczesywał każdy kąt, każdą stertę śmieci, każdą zacienioną szczelinę. Niektóre drzwi były zamknięte, inne uchylone. Ulica wydawała się oczyszczona na potrzeby zasadzki, ale jeśli Redmain tam się krył, nie było żadnego znaku, który mógłby o tym ostrzec Denvera. Zastanawiając się nad tą sprawą, popatrzył w bok i zobaczył ludzi Hominy'ego zbliżających się od strony wysokich drzew. Natychmiast chwycił wodze i wyjechał na polanę, a jego ludzie rozstawili się wachlarzowato po obu jego bokach. Hominy przyspieszył tempa i rozmieścił swoich ludzi tak, by zaatakować Wells od tyłu. Lyle Bonnet, mając mniejsze pole manewru po drugiej stronie miasta, postanowił

przyspieszyć i dotarł na ulicę przed pozostałymi. Denver przejechał obok pierwszego budynku i wskoczył na wysoki ganek saloonu. Ostrożność rozwiała się. Krzyknął nagle.

— Rozproszyć się! Rozwalić drzwi! Nie gromadźcie się!

I wbiegł do saloonu o krok przed Lyle'em Bonnetem, z bronią uniesioną do góry, by osłaniać swoje wejście. Nadjeżdżający jeźdźcy wsparli go, i przebiegł kilkanaście stóp, zanim się zatrzymał, zaskoczony tym, co zastał.

Nie było obrony, żadnych bandytów ustawionych wzdłuż ścian. Za barem kulił się czarny olbrzym, nic nie mówiąc. Tuzin starszych mężczyzn i sześć lub siedem kobiet zebrało się ponuro na drugim końcu lokalu i wpatrywało się w niego z apatyczną nienawiścią. Na wpół spodziewając się podstępu, obrócił się wokół siebie. Słyszał jednak, jak pozostali członkowie jego wyprawy biegają od budynku do budynku, wykrzykując głośno. Hominy ryknął dzikie wyzwanie.

— Gdzie jest ten śmierdzący pirat? Wypierdalaj tu!

Kobieta zaśmiała się ochryple i pogardliwie.

— Musiałby pan wstawać wcześniej rano, żeby kogokolwiek tu znaleźć, panie Denver!

Obrócił się w stronę ponurej grupy swoich ludzi.

— Gdzie oni są?

— Chciałbyś wiedzieć, co? — odparła kobieta. — Idź i sobie poszukaj!

Skierował się do tylnych drzwi, przeszedł przez nie szybkim krokiem i znalazł się w holu. Schody prowadziły na ciemne górne piętra. Bonnet i kilku innych ludzi, ruszyło za nim.

— Ostrożnie - mruknął Bonnet – jesteśmy jak na cholernej patelni!

Denver uderzył lufą pistoletu w balustradę i wsłuchiwał się w echo rozbrzmiewające w pustce na górze. To go przekonało. Ruszył po schodach po trzy naraz, dotarł na drugie piętro i zobaczył kolejne drzwi prowadzące do holu. Jego ludzie rozbiegli się w obu kierunkach, otwierając te obskurne pokoje. Jeden pokój, na końcu, wydawał się większy niż pozostałe i Denver wszedł do środka. Łóżko było pościelone, a kufer i jakieś rzeczy osobiste wskazywały na to że pokój był zajęty, ale z otwartych szuflad biurka i porozrzucanych rachunków z kufra domyślił się, co zrobił Redmain.

— Rozproszyli się — powiedział do nadchodzącego Bonneta. — Zabrali swoje wyposażenie podróżne i odjechali. Redmain wie, że nigdy nie byłby bezpieczny, mając to miejsce za kwaterę główną.

Opuścił górną część kufra i wpatrywał się w napis "L.R." wypalony w drewnianych żebrach. Bonnet dostrzegł w tym ponurą ironię.

— Wielka szycha ma swoją prywatną grzędę, co? Na Boga, od teraz będzie spał w nieco gorszych warunkach.

Denver usłyszał tylko część komentarza swojego zarządcy. Znalazł przyklejoną do ściany połowę strony z książki z tym kawałkiem wiersza:

W tajemnicę jest wszechświat przed nami spowity,
Słów tej wiecznej zagadki nie znamy ja ni ty,
Szepty jakieś za zasłoną o tobie i o mnie,

Ale gdy zasłona spadnie, gdzieżeśmy — ja i ty?[1]

Denver zerwał kartkę ze ściany i zgniótł ją w czerwieniejącej pięści.

— Biedny, potępiony głupiec! Czego to nie robi tego rodzaju człowiek z kroplą uczciwej krwi w żyłach? Nie mówcie mi, że nie potrafi rozróżnić, co jest dobre, a co złe. On zna różnicę. Będzie kroczył krętą ścieżką z ogniem w sercu, tylko dlatego, że zbyt dobrze zna tę różnicę! A to jest facet, na którego poluje się jak na szczura, strzela się do niego, głodzi, doprowadza do ostateczności i obala! On dobrze o tym wie!

W drzwiach pojawiła się zdyszana, wyzywająco wyglądająca kobieta; ta sama, która tak pogardliwie potraktowała go wcześniej. Wciąż miała w sobie ślady urody.

— Nie możecie trzymać swoich brudnych łap z dala od jego rzeczy? — zawołała. — Wynoście się stąd! Nigdy nie złapiecie Lou Redmaina, grzebiąc w jego kufrze! Zostawcie go w spokoju.

— To też pani pokój, proszę pani? — zapytał Denver.

— A jeśli tak, to co?

— Proszę przyjąć moje przeprosiny — odparł poważnie Denver. — Nie mam w zwyczaju wchodzić do pokoju damy. Nawet jeśli ma on zostać zniszczony. — Minął ją i zszedł po schodach.

Podążała za nim.

— Co to ma znaczyć?

Ponownie przeszedł przez saloon i zastał Hominy'ego, który czekał, ponury i niespokojny.

— No cóż, nie ma ich tutaj, to jasne. A co z tymi pozostawionymi klamotami? Może spakujemy je, zabierzemy do Sundown i pozwolimy hrabstwu zająć się nimi przez jakiś czas? Inaczej wyślą o tym wiadomość do Redmaina i się rozniesie. Kiedy wróci...

— Nie wróci — przerwał mu cichym tonem Denver.

— Nie jestem tego taki pewien.

— Nie. Nie będzie miał do czego wracać. Wyprowadzamy go z okolicy na dobre.

— Do czego pan zmierza? — dopytywała się kobieta.

Denver podniósł głos, mówiąc w stronę niespokojnych gospodarzy bandy przestępców.

— Macie pięć minut na wyniesienie swoich rzeczy za drzwi. Spalę miasto.

— Niezły pomysł — chrząknął Bonnet. — Nigdy wcześniej nie paliłem miasta. To coś nowego w mym krótkim, lecz słodkim życiu.

— Lou cię zabije! — zawołała kobieta.

— To jedna z dwóch możliwości — stwierdził Denver. — Druga jest taka, że to ja mogę zabić jego. Myślę, że zostały pani tylko cztery minuty. Nie chcę spalić żadnej z pani możliwości, więc radzę się pospieszyć.

Reszta jeźdźców wyszła za nim na ulicę.

[1] Omar Chajjam, „Wybrane czterowiersze Omara Chajjama", tłum. Andrzej Gawroński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów, 1933.

— Podpalcie w czterech lub pięciu miejscach jednocześnie — powiedział Denver. — To miejsce jest suche jak słoma, a więc wszystko pójdzie jak z płatka.

— Gotowe? — spytał Bonnet.

— Daj tym biedakom szansę, Lyle.

Czarnoskóry barman wyszedł z saloonu z pustymi rękoma.

— Przybyłem tu bez niczego i bez niczego odejdę. Nie przyjmuję od pana żadnych przysług, panie Denver.

— Szkoda — wycedził Denver. — Ale może zrobi mi pan jedną przysługę. Może zaniesie pan dla mnie wiadomość do Redmaina?

— Nic dla pana nie robię, panie Denver. Nigdy.

— I dobrze. Byłby pan zbyt powolny. Widzę konie w tamtej stodole i wóz. Proszę zaprząc wóz i wyprowadzić resztę zwierząt.

Mieszkańcy tego skazanego na zagładę miasta wylegli z budynków. Denver zjechał na kraniec ulicy i siedział spokojnie w siodle. Jego uwaga powróciła do stajni i odezwał się do najbliższej osoby.

— Temu dużemu chłopcu zbyt dużo czasu zajmuje zaprzęgnięcie wozu. Zejdź tam i daj mu powąchać koniec twojego lassa.

Zamiast jednego, trzech mężczyzn ruszyło galopem, aby wykonać polecenie. Denver wyczuł wśród swoich ludzi niepokój i wiedział, że chcą skończyć zadanie i odjechać. Zwlekał jednak tak długo, aż uznał, że wszyscy zabrali swoje rzeczy. Zbliżyli do niego, nędznie ubrani, co wzbudziło w nim lekkie współczucie. Bezładnie kręcili się na krańcu ulicy. Ze stajni wyjechał wóz z zaprzęgiem, a olbrzym popędził zwierzęta do biegu. Na szyi miał trzy pętle, a przed sobą trzech jeźdźców, którzy grozili, że wywleką go z pojazdu. Denver podniósł rękę i liny opadły. Olbrzym zatrzymał wóz i rzucił spojrzenie w stronę Denvera.

— Na Boga, zginiesz za to w cierpieniach!

— Bez wątpienia ktoś będzie cierpiał — zabrzmiała lakoniczna odpowiedź Denvera. Skierował rewolwer w niebo i oddał pojedynczy strzał ostrzegawczy dla kogokolwiek, kto mógłby jeszcze kręcić się w budynkach. Następnie zawołał do swoich ludzi czekających na rozkaz. — Spalcie to.

Kobieta, która miała na tyle ducha, by mu się przeciwstawić, rzuciła się na jego konia.

— Nadejdzie dzień, w którym będziesz tego żałował! — zawołała.

Nagle Denver schylił się, jedną ręką odpychając ją w bok. Rozległ się głuchy, zaskakujący odgłos wystrzału. Prawa ręka kobiety została wykręcona do góry, odsłaniając trzymaną w dłoni broń. Denver chwycił ją i odrzucił daleko na bok, ale nawet wtedy zachował spokój.

— Nie mogę powiedzieć, bym panią za to winił — mruknął. — Gdybym był na pani miejscu, pewnie zrobiłbym to samo.

Zapach dymu zaczął unosić się nad ulicą. Wijące języki ognia lizały poręcz werandy. Kobieta krzyknęła do niego.

— Teraz wiem, dlaczego nazywają cię Czarny Dave! Nazywasz siebie człowiekiem, a robisz coś takiego?

— Jak pani ma na imię? — dopytywał się Denver.

— May! — zawołała kobieta, plując w jego stronę.

— Ładne imię. Pasujące do dziewczyny, jaką wyobrażała sobie pani matka. Wciąż jest w pani duma. Chciałaby mnie pani zabić, prawda? Za co? Dla mężczyzny, który nie jest wart nawet kawałka pani palca. Długo już pani żyje w tej nędznej dziurze, co? Żadnych wygód, żadnego bezpieczeństwa, nic wesołego. A wszystko, co ma pani do pokazania, to ten tobołek z ubraniami na ramieniu. Została pani nieźle oszukana.

— Kim ty jesteś, żeby mi o tym mówić? — zawołała. — Rozkoszujesz się tym, że skrzywdziłeś paru biednych głupców, którzy nie są w stanie skrzywdzić ciebie! Powinieneś zostać zachłostany na śmierć!

— Myślę, że prawda zaczyna kolec w oczy — odpowiedział. — Nigdy się pani tak nie czuła, kiedy pani znajomi wracali z mordowania, prawda? Wiedziała pani, że Lou Redmain był mordercą, prawda?

— I co z tego? Sam nim jesteś, ty psie!

— Zgadza się — stwierdził powoli Denver. — O takim samym czarnym charakterze i brudnych rękach, jak każdy inny. Kiedy człowiek zaczyna coś takiego, zapomina o swoim sumieniu i zamyka umysł. Zanim skończę, pani i pani podobni, a także wielu innych ludzi, będzie mnie uważać za gorszego niż jakiegokolwiek innego człowieka. To jest wojna, dziewczyno. I celowo zapominam, że kiedykolwiek istniało coś takiego jak uczciwy człowiek w waszym plemieniu rzezimieszków. Wsiadajcie do wozu i wynoście się stąd. Nie obchodzi mnie, w którą stronę.

Z suchych jak próchno budynków buchnęły płomienie. Ludzie, którzy podłożyli ogień, przebiegli przez ulicę, osłaniając się przed narastającym żarem. Denver popatrzył ponuro na czarnego olbrzyma.

— Mówiłem, że będzie pan zbyt wolny. Redmain, gdziekolwiek jest, zobaczy moją wiadomość już za kilka minut. Chodźcie, chłopcy.

Zebrał swoich ludzi i popędził w stronę lasu. Lyle Bonnet przykucnął w odległym zakątku drzew, gdzie przyciągnęła go ciekawość.

— Myślę, że ta banda uderzyła na tereny za ranczem Leverage'a. Wskazują na to ślady.

— No cóż — odparł Hominy — tak czy inaczej wypaliliśmy szczura. To jeden szczegół.

— Tylko w jednym miejscu, w którym nie będziemy musieli go już szukać — zgodził się Denver. — Ale to jeszcze długie polowanie. Redmain ma talent do tych spraw. Podjedźcie tutaj i słuchajcie mnie uważnie. Chcę, żeby wszystko zostało zrobione dokładnie tak, jak wam powiem.

Popatrzył za siebie. Gdy jechali sosnowym szlakiem, mówił coś do Hominy'ego i Bonneta przyciszonym tonem.

Rozdział XII

Ognie w mrokach nocy

Mniej więcej w środkowych godzinach popołudnia Denver przejechał Prairie Street i zatrzymał się przed saloonem Grogana. Zsiadł z konia, poluzował lekko popręg siodła i ruszył w stronę saloonu, ale na progu zatrzymał go dźwięk jego imienia. Odwrócił się i zobaczył wychylającego się z okna na drugim piętrze Feara Langdella.

— Dave, mógłbyś wpaść na chwilę do mojego biura?

Denver przeszedł przez ulicę i okrążył ostatni budynek po tej stronie. Kiedy wdrapał się po schodach i wszedł do małego, gorącego biura, zastał Langdella krążącego wokół pomieszczenia. Bez zbędnych wstępów prawnik rozpoczął nerwową przemowę, całkowicie odmienną od jego zwykłego opanowanego stylu bycia.

— Dobry Boże, człowieku, nie miałem ani chwili wytchnienia, odkąd twój jeździec przyjechał z wieścią, że Steele został zabity! Rozmawiałem z nim w tym pokoju niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Omawialiśmy nasze plany na kilka następnych miesięcy. A teraz tak po prostu go nie ma. Kto go zabił, Dave?

— Ziemia była pełna śladów — odparł Denver. — Duża grupa. Użyj własnego rozumu.

— Podjąłeś już decyzję co do zabójcy, prawda? — dopytywał się Langdell, zatrzymując się na środku pokoju.

— Tak.

— Zawsze trzymałeś język za zębami, Dave — chrząknął Langdell. — Wobec mnie nie musisz być taki ostrożny. Wiesz za czym się opowiadam. Wiesz, że idę ręka w rękę z Leveragem.

— Mimo tego wolałbym, żebyś kierował się własnym rozumem — stwierdził Denver. — Moje przypuszczenia mogą być błędne.

— I co z tego? — odparł Langdell. — Widzę, że uważasz je za wystarczająco dobre, by działać na ich podstawie.

— Kto ci powiedział?

— Ta banda głąbów przybyła tutaj prosto z Wells. Zostaną wyrzuceni z miasta przed zachodem słońca, jeśli będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

— Daj im spokój, Fear. Nie będziemy z nimi walczyć. Strzelamy do grubej zwierzyny, a nie do wróbli.

— A więc spaliłeś Wells?

— Tak — przyznał Denver beznamiętnym tonem.

Langdell wyrzucił swoje cygaro przez okno.

— Czy to nie jest jakiegoś rodzaju czystka?

— Jeśli nawet — odparł Denver — to gotów jestem ponieść wszelkie konsekwencje. Mój sposób prowadzenia spraw polega na tym, że podejmuję decyzję, a potem działam. Nie zwołuję zebrań obywateli hrabstwa i nie próbuję przerzucać odpowiedzialności na innych. Gdyby wielcy ranczerzy już dawno temu przestali jęczeć i zajęli się swoimi brudnymi sprawami, Cal Steele żyłby dzisiaj.

Twarz Langdella przybrała kwaśny wyraz.

— Z jakiegoś dziwnego powodu — wyrzucił z siebie — sprzeciwiasz się każdemu mojemu pomysłowi. Muszę ci powiedzieć, że mi się to nie podoba. Oczekuję od ciebie więcej, Dave.

— Kiedyś oczekiwałeś, że poprowadzę vigilantów — zauważył Denver. — Ale teraz, gdy robię to, co logiczne, czyli uderzam w Redmaina gdzie tylko mogę, ty się wycofujesz. Czego ty w ogóle chcesz?

— Wiem, wiem. Ale to co innego. Narażasz się na zarzut bezprawia.

— Nie widzę żadnej szczególnej legalności w działaniach vigilantów — odparł cynicznie Denver.

— Oni mają aprobatę każdego ważnego ranczera w Yellow Hill — argumentował Langdell. — Mają za sobą poparcie Stowarzyszenia.

— W takim razie moje działania powinny mieć taką samą aprobatę. Nie robię ani mniej ani więcej niż strażnicy.

— Zupełnie odmiennie — upierał się Langdell. — Działasz jako jednostka. Gdyby znalazł się ktoś na tyle wredny, by wykazać należytą postawę prawną, mógłby wytoczyć ci proces.

— Na twoim miejscu — odparł Denver — zapomniałbym na chwilę o prawie. Ostatnio jest tu pod tym względem dość kiepsko.

— Do diabła — wykrzyknął Langdell — próbowałem tylko zwrócić twoją uwagę na pewną rzecz, dla twego własnego bezpieczeństwa. Teraz wyszło na to, że wycofuję się rakiem z moich publicznie głoszonych przekonań, a tak nie jest. Ale skoro zamierzasz ścigać Redmaina, powinieneś zająć się tym razem z Leveragem.

— Nie zgadzam się.

— Dlaczego?

— Ja wiem, co robię i dlaczego to robię. Co więcej, znam ludzi, którzy ze mną jeżdżą. To więcej niż mogę powiedzieć o vigilantach. Nadal uważam, że jakaś nieznana partia lub partie ścierają się z vigilantami. Nie zamierzam im pomagać. Ja walczę po swojemu.

— Co za przeklęte nonsensy! — wtrącił Langdell, kręcąc gwałtownie ręką. — Powinieneś być mądrzejszy, Denver! Kwestionujesz moją uczciwość. Dobry Boże!

Prairie Street przejechał z brzękiem wóz z grupą jeźdźców. Denver wstał i podszedł do okna. Leverage, wraz z kilkunastoma mężczyznami, tworzył coś w rodzaju eskorty wozu, który prowadził Doc Williamson. Na jego spodzie leżała przykryta kocami postać. Denver odwrócił się gwałtownie.

— Nieważne, jak załatwię tę sprawę — oznajmił. — Istotne jest, że ścigam Redmaina. I dopadnę go, nawet jeśli przez to popadnę w ruinę. Nie myśl, że tego nie zrobię!

— Rób jak uważasz — chrząknął Langdell. — Skoro spaliłeś jego siedzibę, co będzie dalej?

— Nie wiem — mruknął Denver.

— Chciałeś powiedzieć, że nie powiesz — sprostował Langdell.

— Niech będzie tak, jeśli wolisz.

Powrócił dawny zimny, twardy formalny Langdell. Denver uniósł ramiona i odwrócił się, by wyjść, zatrzymując się na odgłos kroków kogoś szybko wchodzącego po schodach. Do pokoju wszedł Leverage. Widząc Denvera, kiwnął mu energicznie głową.

— Dobry chłopak, Dave. Słyszałem, że spaliłeś Wells. Teraz możemy pracować razem. Pozwól, że oddam ci tę moją przeklętą robotę. Jestem za stary. Myślę, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni postarzałem się o dziesięć lat.

— Daj spokój — przerwał mu Langdell. — Dave chce być wielką ropuchą w swojej własnej małej kałuży. Wątpi w cnotę wszystkich oprócz siebie.

— Być może — odpowiedział lakonicznie Denver. — A może po prostu nie jestem stworzony do tego, by wisieć na końcu czyjegoś sznurka. Chrześcijańskie miłosierdzie zostawiam tobie, Fear. Wygląda na to, że nim ociekasz.

Leverage natychmiast wyczuł napiętą sytuację. Wszedł do biura z nadzieją, ale kiedy zobaczył, że Denver wciąż nie zmienił zdania, ta nadzieja zniknęła. Pośpieszył jednak, aby rozładować napięcie.

— No dobrze, wydaje mi się, że dotarłem do Redmaina. Jeździłem po piętnaście lub szesnaście godzin bez przerwy. Podobnie jak paru moich ludzi. I mamy świeży trop.

— Gdzie? — spytał Langdell z błyskawicznym zainteresowaniem.

— W górach, za moją ziemią. Po drugiej stronie szlaku Henry'ego, na wysokich łąkach. Doszły mnie słuchy, że wraz z częścią swojej bandy zamierza dziś w nocy pojechać do doliny. Zamierzam wciągnąć go w zasadzkę i odciąć mu drogę.

— Zrób to — warknął Langdell i zacisnął wargi.

— Nie chcesz do mnie dołączyć, Dave? — zapytał Leverage.

— Zajmę się tym trochę inaczej — odparł Denver. — Lepiej, żebyśmy działali osobno. Ale dla własnego dobra, nie ufaj plotkom i nie wchodź w żadne pułapki. Redmain ma indiańskie zdolności do tego rodzaju czary-mary.

— Chyba potrafię o siebie zadbać — odparł Leverage z cieniem urazy w głosie.

— Bardzo przepraszam — powiedział Dave. — Nie będę ci już więcej doradzał. Może się dziś zobaczymy, a może nie. W każdym razie będę gdzieś w pobliżu twojego terytorium.

— Żebyśmy nie wpadli na siebie, przez pomyłkę — ostrzegł go Leverage.

Na progu wejścia Denver zatrzymał się i odwrócił, chwytając lodowate, skupione spojrzenie Feara Langdella i w ten sposób zyskał pewność, że ten człowiek jest do niego osobiście wrogo nastawiony. Wracając na ulicę,

zastanawiał się nad tym. „Dziwne połączenie prawości i bigoterii. Gardzi każdym, kto się z nim nie zgadza.”

Zabierali ciało Steele'a do mieszkania Doca Williamsona. Denver skręcił do Grogana. Część ludzi Leverage'a podążyła za nim do baru. Było dla niego oczywiste, że wiedzieli o jego ostatnich poczynaniach i chcieli się dowiedzieć, czy zamierza przyłączyć się do vigilantów. Górska etykieta zabraniała otwartego pytania, ale mimo to było to widoczne w ich oczach. A więc pijąc drinka, odwrócił się i odpowiedział na nie w okrężny sposób.

— Powodzenia chłopcy — powiedział i wyszedł od Grogana. Wkrótce wyjechał z miasta.

Pozostawił za sobą niezadowolenie.

— Co jest, do cholery, z tym gościem? — dopytywał się jeden z vigilantów. — Zbyt dumny, by z nami rozmawiać?

Inny z grupy natychmiast stanął w obronie Denvera.

— Tylko spokojnie, Breed. Ma dość rozumu, by zachować swoje myśli dla siebie. Gdybyśmy przestali ogłaszać nasze zamiary całemu światu, może od czasu do czasu złowilibyśmy jakąś rybkę. Nie martw się o Dave'a Denvera. On coś planuje, mogę się założyć.

Grogan podszedł do nich. Po chwili chrząknął.

— Zabawna sprawa. Wchodzi, zostaje pięć minut i zaraz wychodzi. Czy to ma jakiś sens?

— Gdyby nie miał w tym jakiegoś celu — odparł obrońca Denvera — to by go tu nie było. Znam Dave'a.

— Tak, tylko na czym polega jego pomysł? — zapytał Grogan.

— Twoje przypuszczenia są równie dobre jak moje — zabrzmiała szybka odpowiedź drugiego mężczyzny.

Szczupły, niewielki człowieczek o oliwkowej cerze, wyszedł z Palace, wsiadł na karego pony i po cichu opuścił Sundown. Okrążył miasto, przeciął drogę dla dyliżansów pół mili za znikającym już Denverem i wjechał na mniej uczęszczany szlak. Dwadzieścia minut później, gdy Denver zmierzał płaskim odcinkiem za Shoshone Dome, ten człowiek stanął na wzgórzu i obserwował, a nieco później rozpoczął samotną grę w długie podchody.

W międzyczasie Denver również rozpoczął jakąś tajemniczą grę. Kilka mil za Shoshone Dome zatrzymał się przy drodze, zsiadł i podszedł do pniaka. Odrzucił luźno leżący kamień i znalazł kawałek papieru. Było na nim nabazgrane kilka słów. Ołówkiem dopisał własną linijkę tekstu, podpisał się inicjałami i odłożył kartkę z powrotem. Następnie popędził w górę i w dół pełną zakrętów ścieżką, aż dotarł do mostu Sweet Creek. Tutaj jeszcze raz powtórzył swój pierwotny występ, pod belkami mostu; i znów ruszył główną drogą, która wpadała do doliny Sundown. Wkrótce dotarł do wyjścia Starlight. Zamiast jednak zawrócić do domu, zatrzymał się, aby przyjrzeć się dalej położonym odcinkom drogi. Wypełniało ją bydło i ludzie, wyłaniając się ze szlaku na wzgórzach. Ruszył naprzód w spokojnym tempie i znalazł pół tuzina ludzi z rancza Feara Langdella

pędzących na południe około dwustu sztuk bydła. Podjechał do niego zarządca Langdella - długi, szczupły mężczyzna o wesołym dyszkancie.

— Przejechaliśmy przez twoje terytorium, Dave — powiedział zarządca. — Chcesz przejrzeć tę gromadę w poszukiwaniu bezpańskich zwierząt?

— Stanę tylko trochę z boku i popatrzę, jak przechodzą — odpowiedział Denver. Odjechał na pewną odległość, usunął się trochę na bok i zapalił papierosa. Zarządca podjechał za nim.

— Strasznie późno wyruszyliśmy. Nie zdążymy dziś na kolej. Ładne zwierzęta na rynek, prawda?

Spojrzenie Denvera przebiegło fachowo przez rząd przechodzącego bydła, odczytując oznakowania. Większość bydła nosiła oryginalny znak Langdella, ale w nieregularnych odstępach czasu pojawiały się woły, które Cal Steele sprzedał Langdellowi do dalszej dostawy; można je było rozpoznać po małej kopii znaku właściciela - którą każdy nosił na biodrze. Denver nagle rzucił papierosa i wepchnął swojego pony w kolumnę bydła, zbliżając się do ogromnego zwierzęcia z rozłożystymi rogami i czerwoną pręgą na kremowym łbie. Pochylił się, przejechał dłonią po znaku i uważnie przyjrzał się sposobowi oznakowania. Kiedy wycofał się z kolumny, zarządca Langdella znów był koło niego.

— O co chodzi, Dave? To wół Steele'a, którego kupiliśmy w zeszłym tygodniu.

— Aha. Chciałem się tylko bliżej przyjrzeć temu paskudnemu zwierzakowi. No dobra, nie widzę tutaj nic co by należało do mnie. Do zobaczenia później.

Stado ruszyło dalej, wrzaski i krzyki przycichły. Do czasu gdy ludzie i zwierzęta pozostawały w zasięgu wzroku, Denver utrzymywał swoją pozycję, ledwie poruszając mięśniami. Ale wyraz jego twarzy powoli się zmieniał, zmarszczki się pogłębiały, usta zaciskały. W jego umyśle pojawiła się nieprzyjemna prawda.

Ten wół w zeszłym roku nosił na grzbiecie znak Fee. Był tego pewien, ponieważ pamiętał, że zwierzę zabłąkało się do jego stada. Przepędził je z powrotem przez most Copperhead na terytorium Fee. Co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Niezaprzeczalnie ta sama sztuka Fee trafiała teraz na rynek ze znakiem Cala Steele'a.

Oczywiście takie rzeczy zdarzały się od czasu do czasu, nawet w uczciwy sposób. Bydło sprzedawano innym hodowcom, a w sporadycznych przypadkach błędnego oznakowania podczas spędu wymieniano się inwentarzem, aby naprawić błędy. Ale fakt, który obalał każde z tych możliwych wyjaśnień, polegał na tym, że ten konkretny wół stracił swój znak Fee. Znak Steele'a obwieszczał całemu światu, że wół pochodzi od Steele'a. Istniała tylko jedna odpowiedź – przerobienie znaku, staranna i fachowa robota. Jego oczy nie wychwyciły żadnych podejrzanych zabiegów, lecz badająca dłoń wyczuła lekką szorstkość i zróżnicowanie zewnętrznych grzbietów. Mimo to, gdyby nie znał tego wołu z widzenia, uznałby go za oryginalny produkt Steele'a. A ponieważ zarówno Steele, jak i Fee używali jako dodatkowego oznakowania tego samego lekkiego podcięcia na uszach swojego bydła, odmieniec przeszedłby kontrolę każdego przypadkowego obserwatora.

Odetchnął głęboko, żałując, że dostrzegł tego wołu. Wmawiał sobie, że są przecież inne wytłumaczenia. Jednakże zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że bez względu na to, jakie wyjaśnienie wymyśli, by chronić pamięć o przyjacielu, u podstaw tego fałszerstwa leżała czyjaś zdrada. Czarna tajemnica tej krainy rzuciła swój cień nawet na człowieka, którego kochał ponad wszystko.

Zesztywniał w siodle. Obok niego zaszeleściły zarośla. Jakiś człowiek, zupełnie niewidoczny, przesunął się bliżej i odezwał się do niego przyciszonym głosem. Denver opanował się już po pierwszym spojrzeniu w bok, i skierował wzrok beznamiętnie wzdłuż drogi.

— Dave, Joe Hollis, z miejsca, w którym się ukrywał, widział jeźdźców przejeżdżających przez szlak Henry'ego. Przekazał tę wiadomość wzdłuż linii. A Lyle Bonnet zlokalizował grupę Redmaina w jednej z wysokich kieszeni górskich, około siedmiu mil na zachód od siedziby Leverage'a. Wyglądało na to, że czują się swobodnie. Zdjęli siodła.

Denver odparł poruszając tylko kącikiem ust.

— Jedź z powrotem. Zbierz chłopaków tam, gdzie szlak z tyłu ziemi Leverage'a prowadzi do szlaku Henry'ego. Będę kilka godzin po zmroku. Ale powiedz Lyle'owi, żeby nie spuszczał ich z oczu. Jeśli się ruszą, jedźcie za nimi. W takim przypadku zostawcie jednego człowieka na skrzyżowaniu, żeby się ze mną spotkał, i jeszcze jednego lub dwóch wzdłuż linii, żebym wiedział, dokąd jechać. Ruszaj i bądź ostrożny. Ktoś mnie obserwuje.

Pchnął konia ostrogą drogą do Starlight i szybko ruszył pod górę. Dwie mile od drogi głównej zobaczył świeży ślad na miękkiej ziemi, przecinający w poprzek kanion. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy przejechał przez dziedziniec D Slash i zsiadł z konia. Wpędził konia do corralu i dołączył do resztek załogi przy stole.

Ci niestrudzeni strażnicy domu nie mieli nic do zgłoszenia. Objechali dolny róg obszaru D Slash i stwierdzili, że wszystko jest w porządku. W środku popołudnia pojawił się Steve Steers z małą grupką zabłąkanych sztuk D Slash. Powiedzieli mu o śmierci Steele'a.

— Myślałem, że mnie zastrzeli, gdy mu o tym powiedziałem — opowiadał Dan Russell. — Nigdy nie widziałem, żeby ten facet się tak wkurzył. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś, a ja powiedziałem, że może będziesz w domu na kolacji. Odjechał naładowany jak nietoperz z piekła rodem. Nie zawracał sobie głowy czterema krowami i wołami, które dla niego mieliśmy.

Denver skinął głową.

— Ciężko go to uderzyło. Porzuciłby każdą inną pracę, by dołączyć do tego pościgu. Ale nie może opuścić Nightingale’a. Założę się, że jest wkurzony jak diabli.

— No cóż — wtrącił Russell — czy nie nadszedł czas, byśmy my też wzięli w tym udział? Kurde, należy nam się trochę zabawy. Jaki procent…?

— Dziś w nocy — odpowiedział Denver, — chłopcy, zostajecie tutaj. Zapalcie wszystkie światła. Róbcie dużo hałasu. Niech ktoś siedzi w głównym domu - jakbym to był ja. Baldy, złap dla mnie wałacha. Trzech-

czterech z was pójdzie do kuchni i pomoże Si przygotować całe mnóstwo kanapek. Zawiozę je do grupy na wzgórzach.

— A może mamy jeszcze zrobić na drutach parę szalików? — chrząknął Russell, pełen niezadowolenia. — Jeśli to nie jest przeklęte...

W drzwiach jadalni pojawili się Steve Steers i Al Niland. Denver wstał od stołu i wszedł z nimi do salonu, ostrożnie zamykając drzwi.

— Minęliśmy się o dziesięć minut w Sundown — powiedział zwięźle Steve. — Wsiadłem na konia, gdy tylko dostałem wiadomość.

— Wracaj do swoich spraw, Steve.

— Czy to wszystkie rady, jakie dla mnie masz? — rzucił wyzywająco Steers. — Jedziesz dziś wieczorem? Więc ja również. I Al też.

— Posłuchaj głosu rozsądku. Nie możesz zostawić Nightingale'a na lodzie. Myślisz, że to romans tylko na jedną noc? Nie. Nikt nie wie, kiedy to się skończy. Nie powinieneś włóczyć się po wzgórzach, zostawiając tereny Nightingale'a szeroko otwarte dla Redmaina. Wiesz o tym.

— A więc to w taki sposób mam stanąć po stronie moich przyjaciół? — odparł Steve z goryczą.

— Chyba powinienem ci walnąć w główkę — stwierdził Denver. — Zawsze byłeś dzikim myszołowem. Nigdy nie było pracy, której nie rzuciłbyś w jednej chwili. Cóż, nadszedł ten jeden raz, kiedy musisz zmierzyć się ze swoją pracą. To nie jest kwestia tego, co chcesz robić. To kwestia tego, co jest najważniejsze. Jesteś zarządcą na ranczu i od ciebie zależy, czy nie zostanie ono okradzione.

— Śmiało, wbij mi jeszcze jedną szpilę — chrząknął ostro Steve. — Co mi tam krowy jakiegoś Anglika stojące na szali z Calem Steelem? Och, niech mnie diabli, przyznaję że masz rację!

— Tak, ma rację — wtrącił Niland. — W tej sprawie z Redmainem jest coś więcej, niż tylko to, żeby ją zamącić. Może on chce, by wszyscy ruszyli za nim w pościg. Nigdy nie wiadomo, co ten jego bystry umysł z siebie urodzi.

— Dokładnie tak — zgodził się Denver. — I to również ciebie wyklucza na jakiś czas z jakiejkolwiek jeżdżenia. Mam coś, czym chciałbym abyś się zajął.

— Ja?

— Chciałbym, żebyś powęszył w okolicy Sundown i dowiedział się, jak długo Steele sprzedawał bydło Fearowi Langdellowi.

Pozostali dwaj wpatrywali się w Denvera niemal ze zdumieniem. Steve Steers był po prostu zdziwiony; zaś Al Niland swym o wiele bystrzejszym umysłem od razu dotarł do niewypowiedzianych powodów pomysłu Denvera. Ale pomimo tego i pomimo faktu, że Denver był jednym z jego najbliższych przyjaciół, parsknął.

— Dlaczego? Czy wiesz coś o jakichś transakcjach, które ci się nie podobają?

Denver wziął głęboki oddech.

— A co ty o nich wiesz, Al?

Niland pokręcił głową.

— Nigdy nie wtrącałem się w sprawy Steele'a. Jeśli masz coś na myśli, powiedz mi.

— Odłóż na chwilę na bok swój zawód prawnika — mruknął Denver. — Widziałem w twojej twarzy coś innego.

— Nigdy nie osądziłbym człowieka na podstawie jakichś swoich bezpodstawnych wrażeń — odpowiedział bardzo powoli Niland. — Cal miał zwyczaj dostawać czasem napadów depresji. Zdarzało mu się powiedzieć kilka bzdurnych rzeczy. Ale nie ma o czym mówić.

Steve w końcu nadążył za tokiem myśli przyjaciół.

— Hej, hej, chłopaki, co wy próbujecie wykombinować?

— Tego, co powiem, nie wolno nikomu powtórzyć — powiedział Denver. — To musi umrzeć tutaj, rozumiecie? Nigdy więcej nie wolno powiedzieć ani słowa - nawet jeśli ukrycie tego wymagałoby popełnienia krzywoprzysięstwa.

— Nie musisz tego mówić — przypomniał mu Niland.

Denver stanął prosto przed nimi.

— Dzisiaj po południu w dostawie Langdella znalazłem wołu. Steele sprzedał mu go w zeszłym tygodniu. Miał oryginalne piętno i znak zastępczy Steele'a. Żadnego innego oznakowania. Ale w zeszłym roku była to sztuka Fee. Rozpoznałem ją. Nie ma szans na pomyłkę.

Dla człowieka z krainy bydła nie wymagało to żadnych dalszych wyjaśnień. Niland i Steers milczeli jak zaklęci. Było rzeczą naturalną, że Steers, będąc człowiekiem absolutnie lojalnym, miał na twarzy wyraz wstrząsu i wiary; i równie naturalny był fakt, że Niland, ze swoją wiedzą o ludzkich błędach, powoli kiwał głową. Przez otwarte drzwi na dwór, zawiewał delikatny wietrzyk. Jego ludzie krążyli po podwórzu. W powietrzu unosiło się czyste jak dzwon pohukiwanie sowy. Denver kontynuował:

— Analizowałem tę sprawę w przód i w tył i ciągle dochodzę do wniosku, który mi się kompletnie nie podoba. Można to próbować wyjaśnić na inne sposoby. Być może w załodze Steele'a jest jakiś oszust, który dla własnego zysku obkleja inne zwierzęta znakiem Steele'a. Ale w jaki sposób miałby to robić? Nie widzę takiej możliwości. Możliwe jest również, że to Redmain wykonał tę robotę, w nadziei, że zostanie wykryta i zdyskredytuje Steele'a. Jednak wątpię w to. Ta zmiana znaku z Fee na Steele'a była absolutnie mistrzowską robotą. Nie zauważyłbym tego, gdybym w zeszłym roku osobiście nie musiał przepędzać tego wołu.

— W takim razie — wtrącił Niland — jakie jest wyjaśnienie?

— Niezależnie od tego jakie — powiedział szybko Denver — zachowamy je dla siebie. Na zawsze. Cal Steele nie żyje i ma prawo do zachowania czystej reputacji. Będzie ją miał, choćbym miał wywrócić Yellow Hill do góry nogami. Ale w jakiś sposób maczał w tym paluchy Redmain. I chciałbym dowiedzieć się trochę więcej o powiązaniach Feara Langdella. Czy kupował bydło od Cala Steele'a, wiedząc o fałszowaniu znaków, czy nie?

Twarz Nilanda zaczęła się rozjaśniać.

— Gdybym mógł przybić tego człowieka do krzyża po tym wszystkim, co zrobił w imię sprawiedliwości, oddałbym za to swoje miejsce w niebie! Zastanawiam się, czy to właśnie dlatego złożył do sędziego wniosek o powierzenie mu funkcji wykonawcy testamentu Steele'a? Aby ukryć...

— Nigdy nie mów tego na głos — ostrzegł Denver. — Ale musisz się tam dostać i jakoś dowiedzieć.

Jeden z ludzi pojawił się we frontowych drzwiach.

— Koń dla ciebie jest gotowy, Dave.

Sowi sygnał wartowniczy ponownie rozległ się jak echo. Denver uniósł głowę, zdając sobie sprawę z tego dźwięku.

— Tak więc, obaj macie dużo pracy — kontynuował. — Chyba nigdy nie poznamy całej tej historii. Steele już nam nie opowie swojej wersji. Redmain etap rozmów zostawił już za sobą. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko ścigać go i nigdy nie dać mu spokoju. To właśnie proponuję zrobić. Jak…

Przerwał i podszedł do drzwi. Pohukiwanie sowy stało się zbyt natarczywe. Przechodząc przez ganek, zszedł w ciemności podwórza. Hukanie rozległo się ponownie, na sąsiadującym wzgórzu. Idąc w jego kierunku, dotarł do pochyłości. Przez kotarę ciemności przebiło się pytanie.

— Denver?

— Kto to?

— To my - Meems i Wango. Chcemy się z tobą zobaczyć.

— To chodźcie tu jak uczciwi ludzie. Po co ten cały hokus-pokus?

— No cóż — odparł uroczystym tonem Meems — mamy dosyć przyzwoity szacunek dla naszych skór. Przychodzimy, ale nie w świetle reflektorów. To, co mamy do powiedzenia, ma charakter prywatny, zgoda?

— W porządku.

Obaj podeszli naprzód.

— Zachowasz źródło tych informacji dla siebie? — nalegał Meems.

— Powiedziałem, że tak zrobię.

— Twoje słowo nam wystarczy. To nie jest sprawa żadnego z nas, rozumiesz? Ale ty jesteś stroną w tej walce i nie wypadało nam się powstrzymywać. Tylko nie zdradź nas i nie proś o zeznania. Kiedy skończymy mówić, spłyniemy. Rozumiesz?

— Wyrzućcie to z siebie — chrząknął Denver.

— Zeszłej nocy właśnie wychodziliśmy z tańców, kiedy z ciemności wyjechał jakiś facet. Widzieliśmy go jak jedzie przez most i dalej, aż do budynku szkoły. Stamtąd już nie wrócił. Ale kiedy usłyszeliśmy o Steele'u, dodaliśmy jeden do jednego. Może jest to dwa. Być może to ten facet wyciągnął Steele'a z tańców.

— Kto to był?

Meems westchnął i pozwolił by cisza nieco się przeciągnęła.

— Podam ci to imię — powiedział w końcu — a ty możesz działać na podstawie tej informacji. Ale jesteś jedynym człowiekiem na tym Bożym padole, dla którego zrobiłbym coś takiego. I zapomnij, kto ci to powiedział.

— Zgoda — powiedział Denver.

— To był Stinger Dann — mruknął Meems, a gdy tylko wypowiedział to imię, obaj przyjaciele wycofali się i zniknęli z pola widzenia. Denver słyszał, jak pośpiesznie odjeżdżają.

Sam ruszył do domu na wpół biegiem. Niland i Steers dostrzegli blask światła na jego twarzy i podeszli bliżej.

— Poznałem właśnie nazwisko człowieka, który wyciągnął Steele'a z tańców. To był Dann. Niezależnie od tego, co łączyło Cala z Redmainem, myślę, że wyruszył z tej szkoły z zamiarem ochrony mojego stada. Pamiętajmy, że został zastrzelony na mojej ziemi, a ludzie Redmaina tam byli. Próbował chronić mnie przed tą bandą zabójców.

— Nie wierzę, żeby nie miał nic wspólnego z Dannem czy... — zaczął bez przekonania Steve. Ale przerwał mu Niland.

— To tylko część tej historii. Bez względu na to, jak bardzo był wplątany w plan Redmaina, nadal stanąłby w obronie ciebie lub kogokolwiek z nas. Cholera, Dave, to Redmain musiał wciągnąć go w to brudne bagno!

— Gdybym tak nie myślał — brzmiała trzeźwa odpowiedź Denvera, — nie siadałbym teraz na konia.

— Bądź cholernie ostrożny — chrząknął Steve Steers. — Nie cierpię tego zostawania w domu.

Denver już siedział na wałachu. Ruszył po zboczu wzgórza na szlak, przejechał kilkaset jardów znaną trasą i gwałtownie skręcił w boczną, niewyraźną ścieżkę. Teren piął się od wąwozu do wąwozu, a przyćmione gwiazdy nie zapewniały żadnej widoczności. Mimo to popędzał wałacha, nagle wypadł na drogę Sundown-Ysabel Junction i ruszył pełnym galopem. Pokonał kilka ostrych zakrętów, przejechał przez most Sweet Creek i dalej pomknął równym odcinkiem, który prowadził do Starlight, a stamtąd na otwartą prerię. Niecały kilometr przed Starlight skręcił w prawo i równie szybko przejechał przez gęste sosny. Wtedy mrok rozjaśniły mrugające światła rancza i podjechał do bramy Leverage'a. Zgrzyt zawiasów zabrzmiał jak alarm. Zbliżając się do ganku, został obwołany przez niewidocznego strażnika.

— Kto to?

— Denver. Gdzie jest Jake?

— Powiedz mi, a ja tobie, może będziemy wiedzieć.

— Możecie do niego dotrzeć?

— Przykro mi.

Frontowe drzwi domu otworzyły się. Stanęła w nich Eve obramowana świecącym żółtym prostokątem.

— To ty, Davidzie? Wejdź.

Denver wyszedł na ganek.

— Niestety nie mam czasu. Próbuję znaleźć twojego tatę.

Usłyszał, jak bierze głębszy oddech.

— Czy to ważne?

— Eve — zawołał szorstko niewidoczny strażnik — nie powinnaś stać w blasku światła.

Dave wyciągnął ją na zewnątrz i zamknął drzwi.

— Uważam to za ważne.

Ściszyła głos.

— Wyszedł stąd przed kolacją - sam. Myślę, że pojechał szlakiem Henry'ego z vigilantami. To wszystko, co wiem.

Ponownie rozległy się ostrzegawcze słowa strażnika.

— Nie powinnaś nikomu przekazywać żadnych informacji, Eve. Skąd mamy wiedzieć, czy można?

Ale Eve też miała temperament.

— Clyde, ucisz się! Zajmujesz zbyt dużo miejsca.

— Może odnajdę jego ślady — powiedział Denver. — Jadę w tamtą stronę.

— Davidzie, czy coś się dzieje?

— Może — odparł Denver.

Jej dłoń spoczęła na jego ramieniu.

— Och, Davidzie, gdybym tylko była mężczyzną! Nie po to, by strzelać i niszczyć, ale po to, by stanąć u twego boku. Wszystko jest lepsze od tej niepewności.

— Nie martw się. Twój tata ma ze sobą sporą gromadę ludzi.

— Myślisz, że tylko o niego się martwię? — spytała cicho dziewczyna.

— Niech ci za to Bóg błogosławi — mruknął Denver. — Zawsze wydawało mi się, że bardzo dobrze radzę sobie na samotnym szlaku. Ale kiedy mówisz mi coś naprawdę pocieszającego, to jest to bardzo miłe. Zostaje ze mną na długo. Myślę, że człowiek nigdy nie zdaje sobie sprawy, czym jest samotność…

Zdusił resztę słów i odwrócił się.

— Nie ma teraz czasu do stracenia. Nie martw się.

— Nigdy nie powinieneś jeździć sam po zmroku — powiedziała Eve.

Już siedział w siodle.

— Jeśli twój ojciec wkrótce wróci, powiedz mu, że Redmain znajduje się na wysokiej łące, na wschód stąd, około siedmiu mil. Niech uważa na pułapki. Redmain nigdy nie atakuje bezpośrednio. Jest na to zbyt podstępny.

— A ty, Dave?

— Powiedziano mi dzisiaj — odparł ponuro, — że jestem takim samym dzikusem jak Redmain. Myślę, że nic mi się nie stanie. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia, Davidzie.

Okrążył dom i wypadł na zachodni szlak. Kilka prętów od domu Leverage'a szlak zaczął się wybrzuszać wraz ze wznoszącym się zboczem. Oczyszczone z drzew łąki skończyły się, a on znów jechał w otchłannych cieniach lasu. Około dziesiątej w nocy dotarł do szlaku Henry'ego, wyczuwając koło siebie obecność człowieka. Cicho wypowiedział słowa, które padły w zupełną ciszę.

— No dobrze.

— Denver? — spytał ochrypły głos.

— Taaa. Kto tam?

— Hank Munn.

— Którędy?

— Dalej na zachód. Lepiej jedźmy.

— Prowadź.

Munn wyłonił się zza drzew, przejechał przez szlak Henry'ego i ruszył na zachód, a Denver za nim. Szlak był wąski, bardzo kręty i najeżony gałęziami, które opadały nisko, omiatając ich, gdy przejeżdżali. Munn

znosił uciążliwe kaprysy szlaku, dopóki nie pojawiła się niewielka polana. W tym miejscu zmienił kierunek, pospieszył przez otwartą przestrzeń, by po kolejnej nagłej zmianie kierunku, zjechać w dół przesiąkniętej mgłą doliny. Konie rozbryznęły wodę, przejeżdżając przez strumień i z napiętymi mięśniami wjechały na stromy brzeg. W pewnej chwili Munn zatrzymał się na czarnym pustkowiu i odchrząknął.

Nie było odpowiedzi. Munn przejechał kilkaset metrów. Znów zakaszlał. Z zarośli wyjechał wartownik.

— Munn?

— Tak. Co cię skłoniło do przesunięcia pikiety?

Nie było odpowiedzi. Munn zajął drugie miejsce, podczas gdy nowy wartownik poprowadził ich dalej. Kolejne zakręty, kolejne boczne dróżki przez sosny, ale przez cały czas wspinające się w kierunku jakiegoś wysokiego punktu; wysokiego punktu, na który nagle natknęli się po stu metrach nieustannej wspinaczki. Przed nimi rozległo się wyszeptane obwołanie. Zbliżyli się jacyś ludzie. Z niewielkiej odległości odezwał się głos Lyle'a Bonneta.

— Dave?

— Co tam masz, Lyle?

— Podjedź tutaj. Tutaj. Spójrz w dół.

Denver zatrzymał konia obok Bonneta i zobaczył daleko w dole punkcik ognia, migoczący w kłębiącej się mgle, rozjaśniający się, przygasający i drżący z dziwnym efektem przypominającym migotanie.

— Obóz Redmaina — wyjaśnił Bonnet. — Obserwowałem go przez ponad cztery godziny. Widziałem ich jak chodzili, dopóki nie nadeszła mgła. Teraz widać tylko ogień. Wszyscy chłopcy są tutaj. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Rozdział XIII

Otoczeni

— Wysłałeś kogoś tam na dół? — zapytał Denver.

— Rozstawiłem chłopców dookoła wzdłuż szczytu zbocza, ale nikogo nie wysyłałem na zwiady do tej niecki. Bałem się, że stracę tego człowieka, a nie chciałem wywoływać przedwczesnej walki. Prawdopodobnie te zarośla usiane są ludźmi.

— Może być. Munn, gdzie jesteś? Przejedź się po chłopcach i zbierz całą grupę tutaj. Ja pójdę na dół. Potrzebuję jeszcze jednego człowieka.

— Stoi tuż koło ciebie — oznajmił Bonnet.

Denver zatrzymał się na tyle tylko, by wydać rozkazy.

— Jeśli usłyszycie jeden strzał, ruszajcie. Jeśli usłyszycie więcej niż jeden strzał, również ruszajcie, ale nie traćcie czasu. W przeciwnym razie czekajcie tu na nas.

Odwrócił się od kotliny. Bonnet mruknął.

— Trochę po lewo - tam jest dobre miejsce, żeby zejść na dół.

Razem z nim Denver odłączył się od głównej grupy, skręcił w coś, co wyglądało na wygodną ścieżkę i natychmiast zanurzył się w czarnym i samotnym świecie. Ścieżka prowadziła to w jedną to w drugą stronę, opadając z wyższych miejsc do wypłukanych przez wodę dziur i z powrotem. Ognisko obozu bandytów robiło się coraz jaśniejsze, a mgła przerzedzała się. Bonnet szepnął mu do ucha.

— To jedno z trzech wejść do kotliny. Powinno być strzeżone

Denver przyjął ostrzeżenie i zrezygnował z prostej drogi. Przekradając się wśród drzew, okrążał blask ogniska, aż uznał, że wykonał około ćwierci drogi wokół niego. Oddech Bonneta dyszał i cichł astmatycznie. Dalej Denver ruszył do przodu dłuższymi, chwiejnymi spurtami. Gęsty wał drzew przesłaniał blask ognia. Zatrzymał się jeszcze raz, czekając, aż Bonnet go dogoni. Bonnet wysapał:

— Już niedaleko.

Denver przedarł się przez drzewa, by znaleźć się na gładkim brzegu dna niecki. Pięćdziesiąt metrów dalej obozowy ogień rozbłysnął właśnie wspaniałą kaskadą iskier. Jakiś człowiek rzucił na nie naręcze drewna i szybko wycofał się w ciemność.

Ten ruch wzbudził w głowie Denvera nagłe podejrzenia. Gdzie były konie i ludzie z bandy Redmaina? Z pewnością nie było ich nigdzie w tym konkretnym krańcu niecki. Dotknął ramienia Bonneta i rozpoczął szybki marsz wokół krawędzi lasu. Zobaczył konia i przykucniętego obok niego człowieka. Stopniowo podszedł bliżej. Końcówka papierosa kucającego, żarzyła się słabym blaskiem; koń lekko drgnął. Przez dłuższy czas Denver

nie ruszał się z miejsca, próbując przeniknąć wzrokiem mrok za mężczyzną. Nic jednak nie widział. Pod każdym względem ten człowiek wyglądał na samotnego obserwatora. W miarę jak mijały kolejne minuty, Denver coraz bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. Redmain wystawił im przynętę i wymknął się.

Można było z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek. Redmain w jakiś sposób dowiedział się o siłach, które wyruszyły przeciwko niemu i pod czarnym płaszczykiem nocy poprowadził swoją własną grę. Denver wpatrywał się w strażnika ognia. Dotknął kolana Bonneta i szepnął:

— Zostań tutaj.

Zataczając łuk między drzewami, zaszedł bandytę od tyłu. Dzieliło ich sto stóp. Długimi, sprężystymi krokami dotarł do konia dokładnie w chwili, gdy ten się szarpnął. Mężczyzna poderwał się na nogi i chrząknął.

— Kto to?

Denver wycelował w niego rewolwer.

— Ręce do góry.

Przestępca zachwiał się, jakby próbował pozbierać nerwy. Ale sposobna do walki chwila minęła błyskawicznie. Był zgubiony i wiedział o tym. Jego ręce uniosły się.

— Krok w tamtą stronę — chrząknął Denver. — Odwróć się. Stój spokojnie.

Jego wolna dłoń wystrzeliła i wyrwała broń z kabury bandyty. Schował ją za pasem. Przestępca wyśmiał go z nagłym ożywieniem ducha.

— Guzik ci to da.

— Masz szczęście, że uniknąłeś tego, co cię czeka. Jest tu ktoś jeszcze?

— Myślisz, że bym powiedział, gdyby byli? — warknął bandyta.

— Ty jesteś tylko grzecznym chłopczykiem, co? — odciął się Denver. — Podejdź do ognia, żebym cię widział.

Bandyta był posłuszny. Miał dziwną twarz, którą Denver skomentował następująco.

— Kolejny wymuskany wielbiciel broni z innych terenów. Redmain musi mieć młodą armię.

— Ale wystarczająco liczną, by obedrzeć cię ze skóry, gdybyś tylko z nami zadarł — stwierdził chłodno banita.

— Wkrótce będziemy mieli okazję się przekonać — stwierdził Denver. — Ale ty raczej nie weźmiesz już w tym udziału.

— Więzienie w Sundown mnie nie zatrzyma — rzucił wyzwanie bandyta.

— Twój bilet nie starcza aż tak daleko — zabrzmiała lakoniczna odpowiedź Denvera. To powstrzymało bandytę. Jego zęby zgrzytnęły, a kości twarzy naprężyły się pod napiętą skórą.

— Więc taki jest twój styl, co? — mruknął.

— Wygląda na to, że lubisz takie życie. Więc nie marudź kiedy trzeba za nie zapłacić. Chodź, Lyle. Jest sam.

Bonnet szybko podszedł do ogniska.

— Lepiej się przeorganizujmy, Dave. A może by tak posłać tego osobnika do piachu?

— Dokąd pojechał Redmain? — zapytał Denver, kierując pytanie do przestępcy.

— Nie powiem.

— Masz nikłe szanse żeby uniknąć sznura — ostrzegł go Denver. — Mów. Gdzie on jest?

— Przyjmuję swój pogrzeb i niech was diabli! Po pierwsze, nie sypię, a po drugie, nie spodziewałbym się litości ze strony Czarnego Dave'a Denvera, nawet gdybym powiedział wszystko co chcecie. Sam sobie powiedz, co tam chcesz.

— Oj-oj — odparł Bonnet. — A co powiesz na pas na głowie? To może pomóc trochę rozluźnić myśli.

Przestępca stał ponury i wyzywający. Denver zastanawiał się nad nim.

— Kto powiedział Redmainowi, że Leverage szuka go dziś w nocy na szlaku Henry'ego?

Przestępca wyrzucił głowę w górę i roześmiał się ironicznie.

— Może chciałbyś wiedzieć, co wie Redmain. Powiem ci…

Z południa doleciała seria wystrzałów. Denver zaklął i uniósł swoją broń ku niebu, wystrzeliwując pojedynczy pocisk. Ponownie nocny wiatr przyniósł echa kłopotów. Tym razem strzelanina była bardzo silna. Bandyta szarpnął się do tyłu, krzycząc.

— Oto twoja odpowiedź, ty przeklęty gadzie! Zrobimy w tym kraju, co zechcemy, zanim z nim skończymy!

— Co u diabła! — warknął Bonnet, spoglądając na Denvera.

— Leverage — odparł Denver z intensywną goryczą, — wpadł w pułapkę.

Wystrzelił ponownie, wysunął cylinder rewolweru i zastąpił w nim zużyte naboje. Podszedł do konia przestępcy, rozwiązał linę i potrząsnął pętlą nad głową tego człowieka. Bandyta zaprotestował.

— Dobry Boże, nie rozrywaj mnie na kawałki tym sznurem!

Na polanie zaroiło się od ludzi Denvera. Hank Munn podjechał galopem do ogniska, prowadząc konie Bonneta i Denvera. Denver przywołał go do siebie.

— Ty weź tego ciemnego ptaszka, którego złapaliśmy i odprowadź go na moje ranczo. Powiedz chłopcom, żeby go gdzieś zamknęli.

— Po co się z nim męczyć…

— Otrzymałeś instrukcje — powiedział Denver, wskakując na siodło.

Bez ostrzeżenia pchnął konia ostrogą pomiędzy pnie drzew. Wypadł na ścieżkę i wyprostował się; koń ciężko pracował pod górę. Dotarł na szczyt zbocza i przez chwilę z trudem przedzierał się przez zarośla. Koń oszczędził mu poszukiwań, roztrącił kopytami krzaki i dotarł do szerszej ścieżki. Ruszył więc w kierunku południowym, a jego ludzie ustawili się za nim rzędem; naglące wezwanie Bonneta, by zacieśnić odległości, zostało powtórzone jeszcze dalej przez Hominy Hogga.

Nie była to strona Yellow Hill, z którą byłby dobrze zaznajomiony. Znał ten teren tylko w tym sensie, że każdy poganiacz bydła ma w głowie przybliżoną mapę konturową wszystkiego, co leży w promieniu pięćdziesięciu lub stu mil od macierzystego terenu. Zmysł orientacji podpowiadał mu, że porusza się równolegle do szlaku Henry'ego, który

biegł gdzieś w ciemności na wschodzie; uszy mówiły mu, że kieruje się w stronę przeciągającej się walki na południu.

Strzelanina była coraz wyraźniejsza, narastała i słabła do poziomu rozproszonych salw. Na podstawie zmieniającego się tempa kanonady, Denver był w stanie niemal zobaczyć walkę w myślach - nagłe zwarcie się sił, ruch i wirowanie, gwałtowne wciskanie się za osłony i skryte szukanie przewagi w czarnej jak smoła nocy. Redmain idealnie zgrał swoje manewry w czasie. Mógł tego dokonać tylko dzięki dokładnym informacjom na temat stron, które wyruszyły przeciwko niemu. Dowodem na to był fakt, że zostawił płonące ognisko i odjechał, by rozpocząć starcie. Najwyraźniej Leverage wpadł w pułapkę i teraz walczył o życie. Leverage był solidnym człowiekiem. Ale ani przez chwilę nie mógł się równać z błyskotliwością Lou Redmaina. Nie było na to szans.

Jechał długim i prostym podjazdem. Lyle Bonnet wyciągnął się na koniu, od szyi do ogona, i krzyknął:

— To już niedaleko! Wydaje mi się, że walczą w pobliżu Peachey's Burn! Jeśli tak dalej będziemy jechać, wpadniemy prosto w ogień krzyżowy! Co ty na to, żebyśmy zatrzymali się tuż przed uderzeniem?

Denver zesztywniał w siodle. Przez cały czas jego wytężone uszy skupione były na ostrych echach; ze wstrząsem dotarło do niego, że obecnie słyszy dziwną ciszę. Strzelanina ustała. Mrok szlaku rozszerzył się w szary krąg. Bonnet zawołał ponownie.

— To polana tego starego pustelnika. Zostało nam już tylko pół mili...

Mała polana została nagle zalana hałasem. Z drugiej strony wysypali się jeźdźcy. Denver zawołał:

— Zatrzymać się! — i został otoczony przez swoich ludzi, którzy nadjeżdżali ze szlaku. W jego grupę uderzył rozdzierający huk karabinu. Denver krzyknął. — Leverage - przestań strzelać!

Ze strony rosnącej masy jeźdźców pojawiło się wyzwanie.

— Do diabła z Leveragem!

Po czym nastąpiła lawina ołowiu.

— Redmain! — krzyknął Denver i popędził konia. — Rozproszyć się i dać im do wiwatu!

— Chodź tu, to dostaniesz za swoje, Denver!

Zapanowało szalone zamieszanie. Denver ze swymi ludźmi był ściśnięty łokieć w łokieć; jeźdźcy Redmaina rzucili się do przodu. Widział, jak szybko przemieszczają się przez otwarty teren; otworzył do nich ogień z bliska, wołając ostrzegawczo.

— Rozproszyć się! Rozproszyć się!

Bandyta i jego ludzie pędzili wzdłuż obrzeży łąki. Każdy zdany był na siebie, a w centrum kilkunastu z nich spotkało się w straszliwym starciu wręcz. Wydawało mu się, że słyszy Redmaina, ale nie był tego pewien. Za to ryki Danna były zbyt dzikie, by można je było przegapić. Wyciągnął swojego pony z wiru i przedarł się nieco dalej.

— Dalej, D Slash! Za mną!

Zaraz po tym, jak rzucił to wezwanie, z masy przeplatających się postaci wyskoczył jeździec i ruszył na niego. Obłok dymu prochowego zasłonił mu twarz. Wykręcił w bok, strzelając do kołyszącego się celu.

Rozległ się krzyk, straszliwe rzężenie oddechu; zarówno jeździec, jak i koń zniknęli gdzieś w chaosie. Denver ruszył naprzód, czując za sobą swoich ludzi. Ale cel, ku któremu zmierzał, przesunął się. Przesunął się i wycofał. Dann ryknął ponownie, gdzieś głębiej w lesie, a ludzie Redmaina niczym zjawy zniknęli błyskawicznie między drzewami. Hominy Hogg pognał za Denverem.

— Znam ten szlak — zawołał. — Jedźmy!

Denver znów usłyszał Danna, kilka jardów w lewo; pogalopował między pniami sosen i wpadł na skręcającego jeźdźca. Wyciągnięta ręka uderzyła go z góry, o centymetry minęła jego głowę i uderzyła go lufą rewolweru w udo. Zacisnął lewą dłoń na rewolwerze, uderzył własną bronią i usłyszał trzask kości. Jego przeciwnik sapnął i próbował się wyswobodzić. Oba konie rzucały się. Denver owinął prawy łokieć na wielkiej głowie przeciwnika i ciężarem swego ciała ściągnął mężczyznę z siodła; lewą ręką wyrwał mu broń, po czym pozwolił mu upaść na ziemie i puścił się pędem dalej.

Spotkanie trwało nie więcej niż dwie lub trzy minuty, lecz w tym czasie zarówno ścigani, jak i ścigający znaleźli się już daleko z przodu. Denver przedzierał się przez zarośla, natrafił na świeżo ścięty las, którego gałęzie nie pozwalały mu przejechać, i skręcił, by go ominąć. Wciąż nie mógł znaleźć żadnego szlaku. Od czasu do czasu rozlegał się wystrzał. Jeźdźcy rozproszyli się po całym rozległym terenie. W końcu koń odnalazł jakąś bardziej wyraźną ścieżkę i ruszył nią. Denver uznał, że jest odciągany zbyt daleko na północ i próbował skręcić w drugą stronę. Lecz każda próba zmiany kierunku jazdy prędzej czy później doprowadzała go do jakiejś bariery. Po powrocie na szlak postanowił wrócić na polanę i zacząć od nowa. Obrócił się wokół siebie i usłyszał przed sobą szelest. Kolejny jeździec zagrodził mu drogę.

— Kto to? — powiedział cicho mężczyzna.

Denver miał wrażenie, że tamten wycelował w niego broń.

— Ty mi powiedz, a ja powiem tobie — odpowiedział ponuro.

— Nie znam twojego głosu.

— Może jestem przeziębiony — mruknął Denver, czując, w którą stronę to zmierza. Każdy człowiek z D Slash znałby jego głos, choć niektórzy z załogi Steele'a mogliby go nie znać. Odwrotnie mogło być też tak samo. Było możliwe, że to pracownik Steele'a.

— No, no — chrząknął mężczyzna — nie możemy tu siedzieć całą noc. Miejmy to już za sobą. Ty zaśpiewasz, ja też. Spędziliśmy już wystarczająco dużo czasu w tych zapomnianych przez Boga gąszczach.

— Wydaje mi się — zauważył Denver — że nie lubisz tej części kraju.

— Może tak, a może nie. To zależy. Dla jednych dobra, dla innych nie.

— Daleko zawędrowałeś? — spytał Denver.

— W pewnym sensie tak. W inny sposób, nie.

— Jadłeś ostatnio coś porządnego?

Mężczyzna dokładnie przemyślał tę kwestię.

— Bracie, trafiłeś tu kulą w płot. Jadam od czasu do czasu.

— A tak w ogóle, to w jakiej części kraju jesteśmy? — naciskał dalej Denver.

— Chcesz wiedzieć, czy chcesz się dowiedzieć, czy ja wiem? — odparł ten drugi.
— Niech ci będzie. Teraz twoja kolej, kolego. Jeśli masz jakieś pomysły, jak przełamać lody, wysłuchajmy ich.
— A może jednocześnie zapalimy zapałki?
— Dobry pomysł — zgodził się Denver. — Policzymy do dziesięciu i zaczynamy.
— Niech mnie diabli, jeśli to zrobimy — powiedział mężczyzna, nagle zmieniając zdanie. — Zgodziłeś się zbyt szybko. Musisz mieć coś w rękawie. Nie, to odpada. Powiem ci tak, może po prostu zawrócimy i pojedziemy w przeciwnych kierunkach?
— Czy na pewno chcemy jechać w tych kierunkach?
— W jakich kierunkach? — odparł ostrożnie mężczyzna.
— A jakie kierunki masz do wyboru? — wycedził Denver.
— Dobry Boże, czy ja oszalałem?
— Musiałbym cię lepiej poznać, żeby to stwierdzić.
Denver przesunął się w siodle. Usłyszał skrzypienie skóry i w końcu poirytowany pomruk.
— Co ty tam robisz?
— Nic, bracie, zupełnie nic.
— Ja też właśnie to robię i nie podoba mi się to.
— Trzymasz broń wycelowaną we mnie?
— Nie.
— Łżesz jak z nut — powiedział Denver.
— Niech więc ci będzie — powiedział ten drugi i zaczął przeklinać. — Przypuśćmy, że tak? Gdybym myślał, że jesteś tym, za kogo cię mam, strąciłbym cię z siodła i wcale bym tego nie żałował. Hrabstwo Yellow Clay...
Denver opuścił rękę w dół. Dotknął rękojeści, chwycił i wyciągnął broń. Przerwał delikatnie.
— Jest pan jednym z importowanych rewolwerowców Redmaina, drogi panie.
— Skąd wiesz? Kim jesteś?
— Nazwa tego hrabstwa brzmi Yellow Hill!
To wyjaśnienie prawie kosztowało go życie. Kula zawadziła o rondo jego kapelusza, zanim jego pierwszy strzał zahuczał jak wibrujące echo strzału przeciwnika. Cień z przodu stał się tylko półcieniem, jego górna część rozpłynęła się. Usłyszał zduszony jęk; koń jego przeciwnika odskoczył i zatrzymał się. Denver przesunął się pięć metrów dalej, pochylił i zapalił zapałkę. Jeden błysk światła wystarczył. Na twarzy pojawił się mu pot.
— Wysokie stawki w tym hazardzie — mruknął, odrzucając pstryknięciem zapałkę.
To było wszystko. Zawrócił kuca i ruszył dalej szlakiem. Każdy ślad pościgu zginął już w oddali. Gdzieś między drzewami przemykali ludzie Redmaina, ponownie się zbierając, a gdzieś jego jeźdźcy poruszali się równie po omacku jak on. Po pięciu minutach dostrzegł rozwidlenie szlaku i wybrał drogę na południe. To był zły wybór, po jakichś trzystu jardach

szlak kończył się i odskakiwał w bok jak zając. Ze znużeniem przyjął ten skręt w bok. Dryfował więc, czując, że coraz bardziej oddala się na północny zachód. Po pewnym czasie przestał liczyć zmieniające się szlaki, a kiedy to zrobił, automatycznie się zgubił. Gdzieś około pierwszej lub drugiej nad ranem podsumował w myślach swoje kroki, wjechał w jakieś zapewniające osłonę zarośla, uwiązał krótko konia i zdjął mu siodło. Zawinął się w derkę, wycisnął sobie dziurę w ziemi na biodra i spokojnie zasnął.

Trening człowieka pracującego w terenie nie pozwala mu spać po świcie, a jego witalność budzi się odświeżona już po kilku krótkich godzinach odpoczynku, bez względu na to, jak wiele fizycznych cierpień przeszedł wcześniej. To było jego dziedziczne prawo i nigdy go nie utraci, dopóki nie porzuci tego dziwnego połączenia pełnej potu harówki i dzikiej wolności pracy w krainie bydła, i nie spróbuje jakiegoś innego zawodu. Regularność, wygody i przyjemności człowieka z miasta mogą same do niego przyjść. Ale już nigdy więcej nie obudziłby się tak, jak Dave Denver tego poranka, żywy, pełen energii, która go przepełniała; i nigdy nie zobaczy tego wspaniałego widoku, gdy pierwsze jasne promienie świtu rozpraszają szare mgły. Przez tysiące poranków, owinięty w pierzyny wyrzutek z krainy bydła, może przeklinać samego siebie, lecz patrząc z tęsknotą wstecz, będzie wiedział, że zostawił tam to, co w nim najlepsze.

Osiodławszy konia, Denver ponownie ruszył szlakiem. Na południu wciąż było ciemno. Ale przed nim i na północy szybko się rozjaśniało. Ścieżka poszerzyła się, wspięła znacznie wyżej, a w końcu całkowicie wyszła ponad drzewa i Denver stanął na krawędzi jednego z niezliczonych niewielkich zagłębień terenu, obramowanych wzgórzami. Ścieżka bez większych problemów, opadała ku dnu obniżenia. Pół mili dalej kotlina zwężała się do skalnej gardzieli. Wydawało mu się, że widzi szlak biegnący w górę grzbietu, na prawo od tej gardzieli, ale mgła, choć słabła, wciąż była na tyle gęsta, że zasłaniała mu widok.

— Tom's Hole — chrząknął. — Wielkie nieba, przeciągnąłem moją włóczęgę na pół drogi do Mogołów. I co teraz? Cofnąć się czy przejechać przez przesmyk?

Odwrót oznaczał konieczność pokonania trudnego terenu, o którym niewiele wiedział. Był jednak na tyle obeznany z geografią okolicy, że wiedział, iż za północnym krańcem przesmyku znajduje się droga wschód-zachód, która zaprowadzi go do Sundown Valley. Jego ludzie również znali tę drogę i było oczywiste, że ci, którzy stracili kontakt z główną grupą, prawdopodobnie podążą w tamtym kierunku, gdy tylko się zorientują gdzie są. Nie było sensu by decydowali się na dalsze włóczenie się po lesie.

Wiedział, że niektórzy z jego grupy dostali i martwiło go to. Ci, którzy spadli z koni na łące, musieli już być pod opieką, ponieważ pamiętał, że w ferworze pościgu kazał komuś zostać z tyłu. A zaraz się pojawi Leverage. Chciał jednak skompletować swój oddział i policzyć ich. Być może będzie musiał przeszukać las w poszukiwaniu paru zaginionych ludzi.

Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie jest Redmain. Cała jego praca przy tworzeniu rozproszonych pikiet do kontroli szlaków, poszła na marne

i trzeba będzie ją zacząć od nowa. Pierwszą rzeczą było zorganizowanie się i z tą myślą zanurzył się w przesmyku, podczas gdy smugi mgły zaczęły wnosić się znad ziemi jak dym z wulkanicznych fumaroli.

— Pierwsza runda należy do Redmaina — pomyślał ponuro. — Żonglował Leveragem i mną jak trzeba, uderzył dwa razy i uciekł. Gdzieś po naszej stronie jest przeciek szeroki na milę. Wiedział wszystko o ruchach Leverage'a i najwyraźniej znał także i moje, albo dobrze zgadywał. Żaden z moich jeźdźców nie powinien sypnąć; niektórzy z ludzi Steele'a mogli. Będę musiał trochę popracować. I będę musiał lepiej odrobić lisią robotę.

Przemknął po dnie zagłębienia terenu, celując w wyraźną ścieżkę na drugim końcu. Wysoko na jednym z brzegów zobaczył wyłaniającą się zza drzew łanię, a w następnej chwili zatrzymał się, dostrzegłszy swój błąd. To był mały pony. Z innej strony wyszedł człowiek i uniósł strzelbę. Ciszę poranka zburzył huk wystrzału. Pięć metrów przed nim wystrzelił strumień ziemi.

Sięgnął po swój przytroczony karabin i zeskoczył z siodła. Człowiek opuścił broń. Nad przesmykiem rozległ się kolejny huk. Leżąc na brzuchu, Denver omiótł wzrokiem krąg, nie mogąc zlokalizować drugiego napastnika. Metodycznie wycelował w kierunku pierwszego człowieka i wystrzelił, ale jego cel zniknął już z pola widzenia. Kolejny strzał trafił bezpośrednio pod jego koniem. Denver wskoczył na siodło, ostro wykręcił i rzucił się w tył do ucieczki. Natychmiast zobaczył, że drogę blokuje mu trzech lub czterech jeźdźców. Zawrócił ponownie i zatopił ostrogi w boku konia, pędząc w stronę północnego wylotu kotliny. Stanowił dobry cel, a na wysokim obrzeżu niecki wydawali się nagle pojawić wyborowi strzelcy. Otworzyli ogień, siejąc ołowiem wokół niego. Leżąc płasko w siodle, popędził pony w kierunku ochrony skał i był już sto metrów od nich, gdy zobaczył, że to wyjście również jest zablokowane. Pojawił się tam kapelusz i broń. Denver skręcił, wybierając jedyną wolną drogę, ścieżkę wspinającą się stromo koło skał. Zdał się na konia co do wyboru trasy biegu i wystrzelił w nowego przeciwnika serię pocisków. Dwadzieścia stóp dalej w górę, zmusił bandytę by się schronił pod osłonę, ponownie go ostrzeliwując. Wałach drżał z wysiłku, jaki wkładał we wspinaczkę; Denver przestał się martwić o inne karabiny wycelowane w niego od tyłu. Człowiek na dole, nie mając żadnej osłony od góry przed Denverem, zaczął uciekać na oślep. Ścieżka wznosząc się coraz wyżej, trzymała się samej krawędzi klifu. Jakieś pięćdziesiąt metrów w górze zrównała się ze szczytem obrzeża kotliny. Denver chrząknął:

— Dalej, malutki, to kolejny raz, kiedy udało nam się jakoś przez to prześlizgnąć — i spojrzał za siebie. Niewielka grupa ludzi pędziła galopem w pościgu za nim, przemykając się między skałami po ścieżce, którą chwilę wcześniej pokonał. — Jak, u diabła, przejechałem przez ten labirynt...

Wałach zawahał się. Denver odwrócił się z powrotem do przodu i uznał grę za skończoną. Szczyt ścieżki był zablokowany przez czekających bandytów. Wyraźnie widział ponurą, dziką twarz Danna, który patrzył wprost na niego. W takim miejscu, bez możliwości bezpiecznego odwrotu

ani ucieczki, Denver wrócił do rządzących nim pierwotnych instynktów. Zdzielił okrutnie wałacha, uniósł karabin i wystrzelił w czekających przestępców pozostałe pociski. Ich konie stanęły dęba, jeden z jeźdźców poleciał na łeb na szyję - i to było wszystko, co zdążył dostrzec. Wałacha trafiła kula, potknął się, a Denver przeleciał w powietrzu przez krawędź niecki. Uderzył się najpierw w ramię i poczuł, jak zimny strumień bólu przeszywa jego żyły. Potem, wciąż przytomny, runął w dół stromego zbocza, a luźne odłamki skalne grzechotały obok niego. Usłyszał jeszcze jeden strzał. Potem dźwięk, światło i czucie całkowicie zniknęły. Znalazł się u podnóża zbocza, a z jego głowy ciekła krew.

Rozdział XIV

Steve

W środkowych godzinach poranka, do Sundown przyjechało około tuzina poganiaczy z Bucket, dowodzonych przez samego Nightingale'a i Steve'a Steersa. Al Niland wyszedł właśnie z budynku sądu z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Słyszeliście może już coś?

Steve pokręcił przecząco głową.

— Wpadliśmy po drodze do D Slash. Było tam nie więcej, niż tylko paru chłopców. Denver do tej pory nie wrócił, ani żaden z jego grupy. Nikt nic nie słyszał.

— Wiesz o Leverage'u? — zapytał Niland.

— Spotkaliśmy po drodze gościa, który coś nam powiedział. Z tego co zrozumiałem, uderzył na Redmaina i nie wyszedł z tego najlepiej. Sam też trochę oberwał.

— Gorzej — wtrącił Niland. — Jest na wpół drogi do śmierci. Stary Jake myślał, że podkrada się do bandziorów Redmaina, kiedy Redmain przywalił mu z tej strony, z której Jake zupełnie się nie spodziewał. Vigilanci na chwilę się zawahali, ale Jake ruszył prosto na grupę Redmaina, krzycząc, by reszta się do niego przyłączyła. Oberwał naprawdę sporo razy. Może przeżyć, a może nie.

— Tak, ale nie to mnie tak bardzo martwi. Co, w imię Judasza, stało się z tymi vigilantami? Redmain uderzył i uciekł, tak? A oni usłyszeli kolejną strzelaninę, co nie? Powinni wiedzieć, że to Denver wkracza do akcji. Dlaczego nie pojechali za Redmainem?

— Słyszałem, że zatrzymali się, żeby pozbierać się razem — powiedział Niland. — Kiedy w końcu ruszyli za Redmainem, nie znaleźli nikogo poza jednym człowiekiem z D Slash, który został odcięty od innych.

— Agh — prychnął Steve z obrzydzeniem. — Kiedy tylko zobaczę jednego z tych vigilantów, powiem mu coś takiego, że mu w uszach zadzwoni.

— No cóż, powinniśmy się wkrótce dowiedzieć — stwierdził Niland i machnął kciukiem w stronę saloonu Grogana. Steve popatrzył pytająco na Anglika.

— Rób jak chcesz — powiedział Nightingale. — Będę przez parę chwil na spotkaniu Stowarzyszenia. Jeśli do tego czasu nie dowiemy się nic o Denverze, wrócimy na jego ranczo. A jeśli tam też nie będzie żadnych wieści, nie zdziwiłbym się, gdybyśmy wybrali się na małą przejażdżkę na miejsce, gdzie zniknął.

Steers i Niland patrzyli, jak przechodzi przez ulicę.

— To zagraniczniak — zauważył Steers — ale niech mnie, jeśli nie jest swoim chłopem. Cały ranek rozmyślałem o tej sprawie. Połowę czasu spędzam na wyplątywaniu go z liny, którą próbuje rzucić, a drugą połowę na próbach odgadnięcia, czy jego żarty są smutne czy zabawne. Prawdę mówiąc, nie wie na tyle dużo o krowach, by stwierdzić, czy można pokroić zwierzaka na befsztyk na kopytach i potem jeszcze wypuścić go z powrotem na wolność, czy co. Ale na pewno zna się na koniach.

— Co powiesz na tego drinka? — zasugerował Niland.

— Jasne, że tak — zgodził się Steve i odwrócił się. W tym momencie jego wzrok padł na kobiecą postać stojącą na werandzie hotelu. Natychmiast jakby coś ugodziło Steve'a Steersa w środek pleców, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Niland z wyrazu twarzy przyjaciela. Przełknął ciężko i wymamrotał. — To znaczy, nie, dziękuję. Muszę zobaczyć się z Debbie. — I ruszył w stronę werandy jak pies, na którego właśnie zagwizdano. Niland westchnął i poszedł sam do Grogana.

Sundown drżało z napięcia. Wiadomość o złym losie Leverage'a dotarła do miasta wcześnie, a wkrótce potem rozeszło się wezwanie na zebranie Stowarzyszenia. Mężczyźni jeździli i chodzili niespokojnie po ulicach, wymieniając się wiadomościami. Pewien człowiek pojechał Prairie Street, na zwiady. Wcześniej tego ranka jeden z poganiaczy Leverage'a przyjechał galopem, by wezwać Doca Williamsona, odmawiając rozmowy. Doc pospiesznie odjechał z tym mężczyzną.

Praktyczna klęska vigilantów wytrąciła Sundown ze stanu błogiego spokoju. Lou Redmain przestał być pomniejszym czynnikiem w okolicy; w ciągu jednego krótkiego wieczora zyskał rozgłos, a kiedy zbierający się ludzie rozmawiali o nim, odbywało się to ze skrytym powątpiewaniem zmieszanym z dogłębnym gniewem. Jeśli rozbił Leverage'a, jeśli zwerbował tak dużą bandę, że była w stanie przeciwstawić się zorganizowanej sile, to kto właściwie rządził Yellow Hill? Co mogło mu przeszkodzić w prowadzeniu wojny podjazdowej od jednego odizolowanego rancza do drugiego? Co bardziej strachliwi od razu to wyczuli i nabrali wody w usta, aby czerwony znak zniszczenia nie został umieszczony na drzwiach ich siedlisk; a Sundown stało się świadkiem zamierania swobodnych rozmów i nadejścia obcej temu miastu rezerwy. Zawsze bowiem na terenie, na którym prawo się rozpada, pierwszą zasadą jest reguła chronienia samego siebie.

Al Niland był u Grogana, rozmyślając nad tym, obracając w myślach także inne sprawy. Śmierć Steele'a spowodowała lukę w szeregach przyjaźni, która nigdy nie zostanie wypełniona. Gdyby również Denverowi coś się stało - Niland odrzucił tę myśl. Po prostu nie był w stanie zaakceptować założenia, że jakakolwiek katastrofa mogłaby kiedyś dosięgnąć Dave'a Denvera. Inni ludzie mogliby osłabnąć lub zbłądzić, jeszcze inni mogliby popaść w ruinę i śmierć. Byli tylko śmiertelnikami. Ale choć Niland miał logiczny umysł, jakoś nigdy nie mógł się zmusić do przyjęcia Denvera jako zwykłego człowieka. Denver zawsze wyczołgiwał się z dna najgorszej ruiny, z radosnym uśmiechem na twarzy. Krótko mówiąc, kariera Denvera stworzyła legendę jego osobistej mocy, z której trudno było się otrząsnąć. Niland miał na tyle analityczne skłonności, by

zdawać sobie z tego sprawę; wiedział też, że żaden człowiek nie potrafi spoglądać na Denvera bezstronnie. Ludzie albo go nienawidzili, albo mu ufali i podążali za nim z fanatyczną żarliwością.

— Dobry Boże — chrząknął Niland. — Przecież praktycznie przeprowadzam sekcję zwłok. Jedyne, co mogę powiedzieć, to tyle, że to będzie smutne miejsce, jeśli on poszedł do ziemi. Przed czym, niech Bóg nas broni!

Odwrócił się od baru i zobaczył wchodzącego Steve'a Steersa. Steve wyglądał na zmartwionego. Niland pomyślał: „Debbie popchnęła go o cal za daleko i trochę się z tego cieszę.”. Steve skierował się prosto do baru i uderzył dłonią w mahoń blatu.

— Szybko dawać te szczyny — zawołał.

Grogan, który nigdy nie lubił takich odniesień do swojego produktu, pchnął butelkę i szklankę w stronę poganiacza.

— Żadne prawo nie zmusza cię do picia mojego trunku, Steers.

Steve wyprostował się. Miodowa miękkość jego słów pieściła uszy.

— Grogan, mój drogi, często obserwowałem twoje dumne zachowanie i przypomina mi się koń, który założył koszulę i próbował jeść ze stołu w salonie. Płacę za twój alkohol i mam prawo go oceniać. Jeśli masz mi coś konkretnego do powiedzenia, wysłuchajmy tego.

Grogan wpatrywał się w niego, a brzegi jego oczu poczerwieniały. W tym człowieku zawsze było sporo okrucieństwa i nigdy nie zawahał się, by wyrzucić sprawcę kłopotów ze swego lokalu. Mimo to cofnął się przed Steersem.

— Ktoś musiał mocno nadepnąć panu na stopę, panie Steers.

— Tak czy inaczej, ja sam mam w tej chwili ochotę nadepnąć na czyjąś stopę. Al, napijesz się ze mną? Gardzę piciem w samotności.

— Jasne — odparł Niland. — Ale myślałem, że jesteś gorąco przeciwny alkoholowi.

— Ha! — prychnął Steve i bez wahania wziął swoją szklaneczkę. — Na tym właśnie polega problem ze mną. Ja nie mam już własnego rozumu. Nie wolno mi nic zrobić bez spojrzenia na listę i sprawdzenia, czy to właściwe. Rozkazy wydaje Debbie. Jej mamusia mówi mi, gdzie mam się udać. Jej ojciec dogryza mi za każdym razem. Nawet jedenastoletni szczeniak Luntów kopie mnie po kostkach. Mam ochotę przełożyć go przez kolano i spuścić mu takie lanie, że będzie je pamiętał do następnego roku przestępnego. Ale nie. Ja jestem tylko małpą o świdrujących oczach, która kręci się wokół domu Luntów i jest stale spychana z drogi. Ha! Grogan, przynieś mi szklankę, która nie jest w połowie wypełniona szumowinami. Chcę się napić.

— Nie wiem, czy nie lepiej zostawić cię samego — odparł Niland. — Pienisz się teraz przez cały czas.

— Słyszałeś coś nowego? — dopytywał się Steers, przyciągając do siebie butelkę.

— Nie. Nie widziałem nawet w mieście żadnego ze vigilantów.

Steers odwrócił się w stronę pomieszczenia.

— Vigilantów? Czy to nie jest coś, od czego można umrzeć ze śmiechu? Hej, czy jest tu ktoś z was, vigilantów? Chciałbym zobaczyć, jakimi strasznymi piekielnikami jesteście!

Nie było żadnej odpowiedzi. Bez dwóch zdań był na wojennej ścieżce. Jeden z jeźdźców Nightingale'a, widząc, że zarządca ma ochotę na kłopoty, szybko wymknął się z sali. Steers popatrzył bystrym wzrokiem na zgromadzonych obywateli.

— Żaden nie jest obecny, co? No cóż, sądzę, że wszyscy muszą być w domu w łóżkach, pielęgnując swoje połamane łuki. Gdybym ja zwiewał tak szybko jak oni, żeby uciec przed Lou Redmainem, też miałbym połamany łuk. Co więcej, nie miałbym dosyć odwagi, by wrócić do Sundown!

Niland w zamyśleniu zwrócił uwagę Steve'a na pustą szklankę.

— Po tak długiej wypowiedzi musiało zupełnie zaschnąć ci w gardle. W tych uwagach było prawdziwe gorąco. Przypominając o warunkach naszej przyjaźni, zasugerowałbym, że objąłeś nimi zakres nieco zbyt szeroki zakres gruntu. Przemyśl to.

— Przemyśleć? Wszystko, czym ostatnio się zajmuję, to tylko myślenie - o moich obowiązkach, o odpowiedzialności, o byciu dżentelmenem. I co mi to dało? Nic poza smutkiem. Nie stworzono mnie do myślenia. Zostałem stworzony do robienia pierwszej rzeczy, która przyjdzie mi do głowy. Po co wy wszyscy tak siedzicie? Niech ktoś sprawdzi, czy są wieści o Denverze. Ty tam. Rusz się.

— Wkrótce będziesz potrzebował pojazdu pancernego, żeby wydostać się z tego miasta w całości — przepowiedział Niland.

— O nie — stwierdził Steve, ociekając sarkazmem. — Wszyscy tutaj są wykończeni bieganiem. Powiąż to sobie, dobrze? Ucieczką przed Lou Redmainem, tym perwersyjnym małym szczurem z rozprutym brzuchem! Ucieczką przed nim i zostawianiem na lodzie człowieka, w porównaniu z którym żaden nie jest na tyle dobry, by lizać mu buty!

Niland odetchnął z ulgą. Ludzie Nightingale'a wślizgiwali się dyskretnie do salonu. Steve miał swoich ochroniarzy, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Zniżył głos, mówiąc do Nilanda.

— Powiedziała, że wyrzuci mnie jak niemodną koszulę, jeśli kiedykolwiek się upiję, Al. Tak, Debbie tak powiedziała. A teraz uważaj. Jest tysiąc razy za dobra dla takiego głąba jak ja. Ja jestem nienaprawialny. Myśli, że potrafi wyprostować krzywy gwóźdź. Cholera, ja nie chcę być naprawiany. Po prostu zostań ze mną i pij od czasu do czasu, kiedy będę się upijał. Grogan, przynieś jeszcze jedną butelkę tego skażonego płynu do naczyń.

— Nie mam czasu na picie, Steve. Coś się dzieje.

— Zawsze jest czas na picie — powiedział Steve, wpadając na dobrze zapamiętane zdanie Cala Steele'a. Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie, jakby duch ich przyjaciela stał leniwie między nimi i uśmiechał się. Twarz Steve'a zrobiła się nagle ciężka. — Wiem. No dalej. Nie możesz tarzać się ze mną w błocie. Znajdę sobie kogoś innego.

Odepchnął się od baru i skoncentrował na sali. Wysunął palec i być może zupełnie przypadkowo trafił na dwie dość chętne do współpracy postaci - Meemsa i Wango. Możliwe, że był to przypadek, choć panowie, o

których mowa, rzadko przegapiali darmowy posiłek i nigdy nie odmawiali drinka.

— Chodźcie tu! — krzyknął Steers. — Wy dwaj! Stańcie koło mnie. Kiedy ja będę pił, wy mi będziecie towarzyszyć. Widzicie?

— To nie takie trudne, jak się wydaje — zauważył Buck Meems. — Może lepiej pozwól nam się zrównać z tobą, zanim zaczniemy.

Steers zdawał się widzieć ich po raz pierwszy.

— Ach. Ludzkie gąbki. W porządku. Będę wiedział, że jestem pijany, kiedy zobaczę, jak wy, zawodowcy, zaczynacie się chwiać na nogach. Al… Al. Kiedy coś usłyszysz, wróć i daj mi znać.

Niland skinął głową, odezwał się cicho do jednego z poganiaczy Nightingale'a i wyszedł. To, co powiedział, brzmiało: „Niech żaden z was nie próbuje go powstrzymywać. W obecnym stanie mógłby sam wytrąbić zawartość saloonu. Nie zachęcajcie go do tego, wtrącając się.

Niland zatrzymał się, by przepatrzeć ulicę w poszukiwaniu nowych przybyszów i nie znalazł żadnego. Przeszedł do biura Doca Williamsona, ale było puste. Lola Monterey szybko wyszła ze sklepu New York i stanęła przed nim, a on uchylił kapelusza i odpowiedział na jej pytanie, zanim zdążyła je zadać.

— Ani słowa, Lola.

Widział, jak jej palce zaciskają się wokół paczki. Skłoniło go to do zaoferowania starego i wysłużonego zapewnienia.

— Brak wiadomości to dobra wiadomość. Nigdy nie było takiej dziury, przez którą Dave nie zdołałby się prześlizgnąć.

— Gdybyś znał Lou Redmaina tak jak ja… — powiedziała i nie dokończyła zdania.

Patrzył, jak odchodzi, i przyszła mu do głowy dziwna myśl o biblijnej Marii i Marcie. Drzwi budynku opery były zamknięte i pilnował ich poganiacz; pod wpływem impulsu skorzystał z przysługującego mu jako członkowi Stowarzyszenia prawa i wszedł do środka. Fear Langdell przygarbił się na scenicznym krześle. Na scenie zajmował miejsce jakiś niewielki ranczer, przemawiając bez przekonania.

— …Chcę, żebyście wszyscy zdali sobie sprawę, że nie mamy milicji, którą moglibyśmy wezwać, ani rangersów, których moglibyśmy ściągnąć. Jesteśmy tutaj, w największym, najbardziej surowym hrabstwie stanu, odcięci od reszty kraju. Zawsze musieliśmy sami toczyć własne bitwy i teraz też tak będzie. Niektórzy z was, gorącokrwistych, zapominają, że te wzgórza stanowią doskonałe schronienie dla przestępczej bandy. Weźcie i spróbujcie je wszystkie zlikwidować. Gdybyśmy podeszli do tego z mniej ciężką ręką i o wiele mniejszą reklamą, nie zepchnęlibyśmy tych złych do jednego stada, w którym mogą wyrządzić nam największe szkody. Spoglądamy prosto w oczy kraju bezprawia. Lou Redmain ma nie mniej niż kolejna banda Hole-in-the-Wall. Gdybyście mieszkali w Wyoming, tak jak ja, wzdrygnęlibyście się za każdym razem, gdybyście o tym pomyśleli. Uważałem, że Leverage przynajmniej uciszy sytuację pokazem siły. Ale miałem nadzieję, że Denver ich rozwali, gdy tylko podejmie decyzję. Nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Jeśli on zginął, to nie wiem, jak

sobie poradzę z perspektywą życia na swoim, z żoną i dziećmi. Po prostu nie...”

Niland opuścił salę, chcąc zaczerpnąć powietrza.

— A więc śpiewają łabędzią pieśń dla Dave'a. Cóż, nie znają tego człowieka!

Lecz idąc korytarzem sądu i wracając do swojego biura, przypomniał sobie dziwną rzecz, którą kiedyś powiedział mu Denver. Chodziło o to, jak szybko złe wieści ogarniały hrabstwo Yellow Hill. Denver wskazał na niebo i powiedział: „To jedna z tych rzeczy, których nawet nie próbuję wyjaśniać. Nazwij to niewidzialnym telegrafem, jeśli chcesz. Ale wieści rozchodzą się w powietrzu. Wiem o tym. Czułem to. Indianie też to wiedzieli. Wiadomość o rozbiciu Custera dotarła do plemion oddalonych o trzysta mil na południe, zanim posłaniec zdążył pokonać trzydzieści mil. To kolejna część tajemnicy tego kraju. Szepczące Góry - nigdy nie było bardziej prawdziwej nazwy. Czasami wokół mnie rozrasta się presja, która jest jak duszący koc. Wiem, że w takie dni lepiej nie ryzykować. Gdzieś tam bije stary bęben czarownika, którego echo niesie się coraz dalej.

Niland zamknął drzwi swojego gabinetu i z wysiłkiem wyrzucił z głowy mroczne myśli. Niecierpliwie zapalił fajkę, otworzył szufladę i wyjął z niej długą skórzaną teczkę. Wyciągnął z niej pomiętą kartkę papieru, wygładził ją na stole i pochylił nad nią swoją szczupłą, twarz buntownika, tak jak robił to chyba z tuzin razy w ciągu ostatnich ośmiu godzin.

Znalazł ją w dziwnym zakamarku biurka Cala Steele'a, które przeglądał po tym, jak został mianowany wykonawcą testamentu zmarłego. Odłożyłby go na bok jako nieistotną, gdyby nie to, że gdzieś z tyłu głowy nieustannie miał pytanie, które implantował tam Dave Denver. Od tamtej pory zastanawiał się nad wypisanymi na tek kartce liczbami. Na lewym marginesie Steele najwyraźniej zaznaczył daty. Cyfry w środku najwyraźniej oznaczały sumy pieniędzy, a każda z nich następowała po dacie. Niland doszedł do wniosku, że są to wpływy ze sprzedaży bydła. Ale to, co przeczyło jego logice, to fakt, że na prawo od każdej sumy umieszczono cyfrę 3 jako dzielnik, a jeszcze bardziej na prawo od tego dzielnika zapisano dokładnie jedną trzecią pierwotnej sumy. Takich pojedynczych transakcji było kilkanaście na przestrzeni około roku.

Nic w jego późniejszych poszukiwaniach nie zadowoliło go do końca. W sądzie zarejestrowano dokumenty sprzedaży żywego inwentarza między Steele i Fear Langdell. Niektóre z nich ściśle odpowiadały datom na tej kartce papieru. Inne zdawały się tego nie robić. Przypadkowe rozpytywania nie wykazały sprzedaży bydła przez Steele'a żadnemu innemu ranczerowi w okręgu, ale hodowca bydła dokonał w ciągu roku czterech umiarkowanych dostaw do odbiorców w Salt Lake. I to było wszystko, co odkrył Niland.

Niland usiadł z powrotem i mocno wydmuchnął dym na stół. Ta cyfra 3 wciąż mu chodziła po głowie. Cal Steele nie miał partnerów. Nie miał żadnych krewnych w kraju. Nic w jego dokumentach nie wskazywało na rodzinę ani miejsce urodzenia. Za jego przybyciem do Yellow Hill kryła się jedynie cisza i tajemnica, której Steele nigdy nie złamał. Skąd więc ten podział pieniędzy na trzy części?

Szybkim gestem odłożył fajkę, schował kartkę do kieszeni i wstał.

— Panie wybacz mi! — mruknął. — Mogę pożałować tego, co znajdę.

Przeszedł przez zwykły proces otwierania i zamykania drzwi, wyszedł na ulicę i skierował się w stronę banku. Szybki przegląd sytuacji powiedział mu, że do Sundown nie dotarły jak dotąd żadne wieści. Niosąc ze sobą przytłaczające, złowieszcze obawy, wszedł do banku i spotkał Eda Storma, postawnego mężczyznę w średnim wieku, który odziedziczył instytucję finansową po wcześniejszych członkach rodziny. Na miejscu był również asystent Storma. Niland kiwnął krótko głową w stronę wewnętrznego biura i wszedł do środka. Storm wszedł za nim.

— Wyglądasz — zauważył, — jakbyś stał na szczycie Araratu dwa dni po powodzi, bez żadnego żarcia w zasięgu wzroku.

— No cóż, czuję się, jakbym został tutaj wezwany i nadal był tylko w połowie obecny. Ed, znasz mnie całkiem dobrze, prawda? Nie ma wielu rzeczy, których byś o mnie nie wiedział.

— To wykazuje wszelkie znamiona podrywu — uśmiechnął się Storm. — Widziałem, jak odrzucasz pięciocalowego pstrąga i odmawiasz strzelenia do łani. Nie ma w tym nic złego.

Niland nie zareagował na żart. Mówił urywanymi zdaniami, zdając się krążyć daleko od tematu.

— Etyka. Wszyscy mamy swoją etykę zawodową. To dobra rzecz na starcie życia. Wątpię jednak, czy żyje profesjonalista, który co jakiś czas nie łamie swoich ideałów. I to w absolutnie szlachetnych celach. Człowiek tworzy sobie ładny krąg ideałów, a życie zbija go bardziej płasko niż naleśnik. Kiedy już będę stary i pomarszczony, i spojrzę wstecz na krzywy szlak, który wyrąbałem sobie przez życie, myślę, że będę trochę smutny z powodu tych wszystkich pięknych myśli, jakie po drodze wyrzuciłem za burtę. Ale myślę też, że będę miał wtedy nadzieję usłyszeć, jak ktoś w zaświatach mówi: „Dobra robota, dobry i wierny sługo”.

"Teraz, gdy już skończyłeś tę gadkę, zarzuć pętlę — odparł Ed Storm.

— Mam zamiar zadać ci kilka pytań — kontynuował Niland z rosnącą energią. — To pytania, na które powinieneś odpowiedzieć tylko w sądzie, ale ta sprawa nigdy nie trafi do sądu. Umrze poza zasięgiem ciekawskich spojrzeń. Rozumiesz, Ed? Wiesz też, że nigdy nie szantażowałem człowieka, nigdy nie waliłem go po głowie żadnymi informacjami, które miałem przeciwko niemu.

— Strzelaj i zobaczymy, co będzie, Al.

— No dobrze. Nie zamierzam niczego wyjaśniać. Jeśli miałbyś jakieś pomysły na te tematy, wywnioskowane ze sposobu, w jaki się nudzę - to trzymaj je wyłącznie pod swoim kapeluszem. Po pierwsze, czy Lou Redmain miał kiedykolwiek konto w tym banku?

— To proste. Nie.

— Czy kiedykolwiek w ciągu ostatniego roku zrealizował tu jakieś czeki?

— Tak.

— Czy któryś z tych czeków był wystawiony przez Cala Steele'a?

Storm uniósł brwi.

— Nie.

— Przez Feara Langdella?
— Nie.
Niland przerwał, w zamyśleniu wpatrując się w sufit.
— Rozliczałeś czeki bankowe od Langdella dla Steele'a za sprzedaż wołowiny. Wiem o tym. Ale czy zrealizowałeś jakieś czeki od Steele'a dla Langdella?
— Nie-e — odpowiedział Storm z lekkim ociąganiem. Niland przyglądał się bankierowi. Nieświadomie ćwiczył swój prawniczy nawyk odczytywania warunków i zastrzeżeń kryjących się za odpowiedziami świadków.
— Posłuchaj… czy Cal Steele miał w zwyczaju wypłacać jednorazowo duże sumy pieniędzy?
— Tak… w gotówce.
Niland szybko przeszedł do sedna sprawy.
— Wkrótce po otrzymaniu czeków od Langdella?
Storm przestał się zastanawiać.
— Niekoniecznie tego samego dnia czy tygodnia. Ale miał skłonność do wyciągania dużych pieniędzy, gdy jego saldo znacznie się zwiększało. Z moich obserwacji wynika, że kiedy pobierał znaczną ilość gotówki, wybierał się w podróż na południe, do stolicy.
Myśli Nilanda podążyły we wskazanym kierunku. Wiedział, że Cal Steele często wyjeżdżał na kilka dni. Po tej refleksji próbował ustalić miejsce pobytu Langdella w tym samym czasie i miał wątpliwości.
— Ed, czy Langdell ma konto bankowe w stolicy?
— Och, tak. To byłaby dla niego konieczność, biorąc pod uwagę wszystkie jego inwestycje, które są mocno rozproszone.
— Czy po tym, jak Steele odbywał swoje podróże do stolicy, kiedykolwiek widziałeś, jak Langdell przelewa pieniądze z tamtejszego banku do twojego?
— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie bez zaglądania do zapisów — powiedział Storm. Pochylił się do przodu na krześle, obserwując Nilanda. Prawnik postanowił sprawdzić znaczenie uwagi Storma.
— Chciałbyś mi coś powiedzieć, Ed, co mogłoby mieć związek z tą kwestią?
Storm pokręcił głową.
— Udzielam tylko prostych odpowiedzi „tak” lub „nie”, Al.
Niland odchylił się do tyłu.
— Wiele bym dał, żeby zobaczyć pisemny rejestr stanu konta czekowego Feara Langdella z ostatnich sześciu miesięcy. Ale sugerowanie tego byłoby przestępstwem jak diabli.
Storm wstał bez słowa i wyszedł z pokoju. Kilka minut później wrócił ze stertą papierów w ręku. Położył je niedbale na biurku.
— Nie, Al, nie mógłbym przekazać ci rejestrów Langdella. Naraziłoby mnie to na wiele przykrości. Nigdy nie chciałbym stanąć przed sądem w roli świadka i przyznać się, że nawet ustnie przekazałem ci tego rodzaju rzeczy. Tak przy okazji, muszę teraz wyjść przed budynek na jakieś dziesięć minut. Czuj się jak u siebie w domu, Al. Nie będzie mnie przez dziesięć minut.

Obaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Storm wyszedł i zamknął drzwi. Niland nachylił się do przodu. Zobaczył, że papiery, które Storm zostawił na biurku, to księgi rachunkowe i rejestry czeków tranzytowych dotyczących konta Langdella. Wyciągnął z kieszeni pogniecioną kartkę. Od czasu do czasu dotykał ołówkiem jakiejś cyfry, ale kiedy dokładnie dziesięć minut później Storm wrócił, zastał Nilanda przygarbionego na krześle.

— Przepraszam, że tak musiałem wybiec. Chciałbyś wiedzieć coś jeszcze?

— Nie — odparł Niland.

— Cokolwiek zaszło między nami, to poufna sprawa.

— Chciałbym mieć przywilej przekazania tych informacji jednemu człowiekowi, Ed.

— Do diabła! — chrząknął Storm, marszcząc brwi. — Kto to jest?

— Denverowi — wyjaśnił Niland i dodał. — Jeśli żyje.

— Ufam tobie i ufam jemu. Teraz umyję sobie ręce.

— Czasami tego próbowałem — odparł Niland, wstając. — Ale jaki z tego pożytek? Nikt nie może prowadzić pożytecznego życia, nie brudząc sobie czasami rąk. Czego się spodziewasz po Sundown? Do zobaczenia później, Ed.

Na ulicy zastał nieco zmienioną scenerię. Przed saloonem Grogana stało wielu ludzi. Nikt nie wchodził i nikt nie wychodził, ale stojący przy drzwiach wydawali się być żywo zainteresowani odgłosami ze środka. Myśląc, że to Steve Steers wdał się w bójkę, przepchnął się łokciami przez tłum i wszedł do środka. Steve wygłaszał ponury wykład.

— Kiedy każę wam grać w karty, to macie to zrobić wtedy i ani minuty wcześniej. To zawsze była kiepska knajpa, pełna drobnych naciągaczy i prowadzona przez faceta o kleistych paluchach, który ma kręgosłup zrobiony z mydła. Meems, przestań się czołgać przy barze.

Niland podszedł, a Steve przestał przemawiać. Oba łokcie miał oparte o bar; kołysał się jak drzewo na silnym wietrze. Alkoholowe otępienie zamazywało mu oczy i nie rozpoznał Nilanda, dopóki ten nie zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki. Wtedy Steve zesztywniał i przypomniał sobie.

— Jakieś wieści?

— Żadnych.

— Powinienem był z nim pojechać — mruknął Steve. — Lepiej być martwym niż tak siedzieć i czekać. Napij się, Al.

Niland pokręcił przecząco głową.

— Jak bardzo musisz być pijany, Steve? Jesteś już prawie sztywny.

— To nie wystarczy — westchnął Steve. — Grogan, ten twój środek na robale to albo zgniła trucizna, albo twoja nędzna morda jest podwójna. Zawsze wiedziałem, że jesteś dwulicowy.

Grogan oparł się o półkę z butelkami, ciężko oddychając. Jedna jego dłoń spoczywała na leżącej na półce skórzanej pałce.

— Mam cię już dość, Steers. Moja twarz jest dla ciebie wystarczająco dobra, a mój alkohol jest uczciwy.

— Jedno i drugie nie jest ani jednym, ani drugim — zadrwił Steve. — Wybierasz się do mnie z łapami, co? Spróbuj, a złamię ci kręgosłup, ty wołu jeden.

Meems i Wango zaczęli się kłócić. Wszystkie talerze Grogana z darmowym lunchem, leżały przed nimi na barze, przerażająco spustoszone. Warstwa z kości kurczaka i nadgryzionych do połowy kanapek leżała na podłodze u ich stóp.

— Nie jesz nic poza białym mięsem? — dopytywał się Wango. — Skubałem te skrzydełka i szyjki, że aż mógłbym zapiać i odlecieć. Daj mi szansę.

— T-tak? Za każdym razem, gdy sięgam ręką, wpadam na twoje przeklęte łapsko. Zabieraj swój głupi łeb z talerza. To nie jest łóżko.

— Mówię ci raz na zawsze — przestań mi rzucać swoje kości pod nogi!

— Rzucam ochłapy świniom, Wango.

— Nie rzucaj mi więcej pod nogi kości!

— I on nazywa je nogami! — zachichotał Meems.

Steve sięgnął po butelkę.

— Walnijcie sobie to, wy sukinsyny. Czy nie ma nic, co by was powstrzymało, oprócz arszeniku?

Meems trząsł się jak porażony, gdy pił. Wango zbladł i także zaczął się trząść. Przedtem obie jego stopy znajdowały się wewnątrz mosiężnej poręczy; teraz próbując wymanewrować wokół niej, zaczął wiotczeć. Stopy mu się rozjechały, kolana ugięły, tylne rejony ciała uderzyły w poręcz, odbiły się i osiadły na podłodze. Meems, pozbawiony moralnego wsparcia, położył głowę na barze.

— Chyba mam już dość — wyjęczał. — Mój Boże, co za noc!

Steve wpatrywał się w partnerów.

— Nigdy nie byli dobrzy i nigdy nie będą. Ale jeśli oni wyglądają tak, jak mi się wydaje, to ja muszę być pijany jak świnia. — Jednym ruchem ręki wlał w siebie to, co pozostało w jego szklaneczce. — Teraz muszę ponieść karę. Zostań tu, Al, dopóki nie wrócę.

Uderzył ręką w znajdujące się przed nim drzwi, popatrzył na tłum i przeszedł przez niego. Potoczył się w stronę hotelu. Twarz miał spoconą, a oczy przesłonięte warstwą potu. Raz już myślał, że nigdy mu się nie uda dojść i przygarbił się, opierając się o belkę do wiązania koni; koń jednak cofnął się przed nim, co wzbudziło w nim na tyle dużą złość, by popchnęła go ona na ganek hotelu. Nie widział Debbie i wiedział, że nigdy nie da rady pokonać schodów. Rzucił więc kotwicę i zawołał.

— Debbie… hej, Debbie.

Po chwili stała nad nim, milcząca i nieruchoma. Trzymała podbródek prosto, ale w nagłej pasji obrzydzenia do samego siebie dostrzegł, że zranił ją tak, jak żaden inny człowiek nigdy tego nie zrobił. Głęboki błękit jej oczu przesłoniła chmura. Zhańbił ją, zbrukał, wychodząc na ulicę i wykrzykując jej imię. Szkoda została wyrządzona i do końca życia będzie tego żałował. Mimo to trzymał się swojego celu.

— Debbie — oznajmił, — jestem pijany.

W jej oczach pojawiło się coś innego. Mówiła cicho, a nie z cierpkim zniecierpliwieniem, do którego był przyzwyczajony.

— Widzę to, Steve. Może czekaliśmy już zbyt długo. Pierwszego dnia miesiąca zostaniemy małżeństwem. I już nigdy nie będziesz pił.

— Co takiego? Debbie… ale, Debbie, powiedziałaś…

Zniknęła. Steve odwrócił się i ruszył z powrotem do saloonu, przeszedł przez tłum i przez salę do baru. Na oczach Ala Nilanda wybuchnął.

— Mój Boże, Al, dlaczego kobiety nie podejmują decyzji i nie trzymają się ich? Przyszedłem tutaj i wydałem trzydzieści dolarów, żeby się tu upić, i nic z tego nie wyszło! Kobiety, dlaczego!

W salonie rozległ się narastający szmer.

— Ktoś tu jest! Zamknąć drzwi!

— Doktorze!

— Denver…

To nazwisko zostało powtórzone zamierającym tonem. Rozmowa ucichła. Steve odwrócił się powoli. Pierwszą twarzą, jaką zobaczył, była twarz Ala Nilanda, nieruchoma i blada. Potem dostrzegł postać w drzwiach, wysoką, szczupłą. Doc Williamson. Doc przesunął dłonią po czole i przerwał ciszę.

— Lepiej, żebyście o tym wiedzieli. Dave Denver nie żyje.

Wszyscy mężczyźni są dotknięci dziwactwem. Steve Steers obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z Groganem za barem. Określił Grogana w sposób taki, że żaden inny nie mógłby być gorszy. Grogan rzucił się po pałkę. Steve rozbił głowę mężczyzny butelką whisky i rzucił złamaną szyjką za upadającym Groganem. Nie widział nic poza czerwonymi smugami ognia i tylko zrządzenie Opatrzności przeprowadziło go przez drzwi. Piętnaście minut później jeden z ludzi Nightingale'a znalazł go rozciągniętego na ziemi z tyłu Palace, trzeźwego jak kamień. Płakał jak dziecko.

Rozdział XV

Gdy wzywają mroczni bogowie

Długa, szara kolumna jeźdźców prześlizgnęła się przez zielone zarośla i przemknęła przez drogę Sundown - Ysabel Junction. Ostatni człowiek w kolumnie zsiadł z konia, zatarł swoim płaszczem ślady kopyt w pyle i dogonił orszak. Następnie kolumna zniknęła wśród drzew na wysokim grzbiecie wzgórza w pobliżu Starlight Canyon. Kilka minut później dotarła na szczyt zbocza, zatrzymała się i odpoczęła. Lou Redmain podjechał samotnie do miejsca, pod którym rozciągała się droga, dolny kraniec Sundown Valley i łąki rancza Leverage'a. Odrzucił kapelusz na plecy, i jego palce zagniotły papierosa. Zapalił go i przerzuciwszy jedno kolano przez łęk siodła, rozpoczął powolny przegląd okolicy, z północy na południe.

Mimo pozornej swobody postawy, otaczała go aura jakiejś nerwowości, zwierzęcego niepokoju. Jego ubranie było wybrudzone, a od skroni do szczęki ciągnął się ciemny zarost. Zwykle, jeśli chodzi o schludny wygląd i dobór ubrań, Lou Redmain był niemalże jak kobieta. Obecnie wyglądał na zaniedbanego i ponurego, z powodu braku snu, rysy jego twarzy zdradzały go natychmiast. Samowola, niewierność, niepohamowane apetyty - te wady każdy mógł w nim dostrzec już na pierwszy rzut oka. Redmain nigdy nie był ani innym, ani lepszym człowiekiem niż ten, na którego teraz wyglądał.

A jednak zmienił się. Przez lata odmawiano mu pełnej wspólnoty z ludźmi z gór. Nienawidząc ich z tego powodu i nienawidząc siebie, ponieważ lepiej niż jakakolwiek inna żywa istota rozumiał widoczne w sobie smugi zepsucia, żył w stanie samotnego buntu, przeklinając społeczeństwo, do którego nie był w stanie wejść i którego nie mógł zniszczyć. Zdryfował do Wells, gardząc brutalnie zdegradowanymi istotami ludzkimi, które z konieczności musiał nazywać przyjaciółmi. Wells stało się jego miastem, a przestępcy jego poplecznikami. Nieuchronnie więc namiętności kierujące Lou Redmainem prowadziły go krok po kroku w stronę zorganizowanej przestępczości. Teraz stał na szczycie grzbietu wzgórza, rozpalony świadomością, że spotkał się z najlepszą siłą, jaką społeczeństwo mogło przeciwko niemu wysłać i podstępem doprowadził ją do klęski; zahartowany i desperacko niebezpieczny, wiedząc, że w trakcie czarnej nocy, która właśnie minęła, stracił wszelkie prawo do litości i publicznie naznaczył się jedynym piętnem, jakiego żadna istota ludzka nigdy nie będzie w stanie zetrzeć - morderstwem.

Jego spojrzenie powędrowało aż do ujścia Starlight. Z kanionu wyłonił się jeździec, skręcając na zachód; ktokolwiek to był, jechał powoli i zdawał się chwiać w siodle. Redmain wyszarpnął gwałtownie z płaszcza lornetkę i

przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drogę. Kąciki jego ust wyraźnie się zacisnęły. Następnie, posłuszny impulsowi, powiódł lornetką wzdłuż drzew otaczających wylot Starlight i dalszej trasy oczekującej jeźdźca, aż do miejsca, gdzie ciemne krańce wzgórz przylegały do drogi. Schował lornetkę i podjechał do odpoczywających ludzi.

— Wstawać i jedziemy — powiedział i nie czekając pogonił konia ostrogą. Przejechał przez sosny, ominął otwartą łąkę i wypadł na wąską ścieżkę. Jego ludzie rozciągnęli się za nim, szemrząc. Odwrócił się i przemówił z żądlącym spokojem.

— Skończcie te hałasy i przestańcie marudzić.

Dann podjechał bliżej.

— Nadjeżdża dyliżans?

— Nieważne — chrząknął Redmain.

Skręcił ze szlaku tak niespodziewanie, że Dann minął go i musiał zawrócić. Kilkaset metrów w głębi skalistej doliny Redmain zatrzymał się i nakazał grupie zebrać się razem. Od przodu znajdowała się zasłona drzew, a tuż za nią droga. Dobrze ocenił odległość, gdyż zza skał doleciały do nich odgłosy jazdy. Redmain mocniej ścisnął wodze, nakazał swoim ludziom pozostać na miejscu, a sam nagle wystrzelił spoza sosen. Eve Leverage, która jechała powoli i leniwie, zobaczyła go. Zerwała się do ucieczki. Koń wyskoczył do przodu, a jej pejcz śmignął w dół. Redmain roześmiał się, podjechał do niej i złapał za wodze. Nie wydając żadnego dźwięku, rozpaczliwie uderzyła go pejczem w twarz, zostawiając na niej wyraźny ślad, zanim wyrwał go jej z rąk. Na twarzy pojawił się mu dziwny, tryumfalny grymas.

— Lubisz mnie chłostać, co? Słowa czy pejcz, dla ciebie to wszystko jedno.

— Gdybym miała broń, zabiłabym cię!

— Biorąc pod uwagę obecny stan te okolicy — odparł spokojnie — powinnaś ją nosić.

Była trupio biała. Płakała. Miała zamglone oczy, zaciśnięte pięści i wydawało się, że walczy o oddech.

— Ty odrażająca, dzika bestio! Odejdź ode mnie, nie chcę cię nawet dotykać!

— Dobrzy, mili ludzie z Yellow Hill — oznajmił Redmain z zimną goryczą — nauczyli cię, jak widzę, odpowiednich rzeczy.

— Trzymaj swój język z dala od ludzi, którym niegodny jesteś się kłaniać! Modlę się, by Bóg cię zabił!

— Kiedy wasi mężczyźni wyruszają zabijać, jest to słuszne i właściwe. Kiedy ja używam broni w obronie własnej, nie jestem dla ciebie niczym więcej niż tylko krwiożerczym dzikusem. Pomyśl trzeźwo. Kiedy stado wyrusza, by niszczyć, jest tak samo szalone i nieludzkie jak wszystko inne na ziemi. Walczę, by żyć tak, jak chcę! By nie dać się zetrzeć tym przeklętym kołom młyńskim! Co w tym złego? Jestem człowiekiem i chcę robić to, co wielu innych ludzi chciałoby zrobić, ale nie mają do tego odwagi! Ponieważ nie chcę podążać za stadem i myśleć tak, jak ono myśli - z tego powodu stado mnie wyklucza. Czyni mnie celem! Jestem zwierzęciem, ale oni nawet nie dają mi przywileju sezonu ochronnego, tak

jak innym zwierzętom. Nie, ja muszę zostać zniszczony. A ty potępiasz mnie za to, że chcę żyć!

— Nie wierzę w żadne twoje słowo! — zawołała Eve. — Skradasz się w ciemności, kradnąc to, co należy do innych ludzi! Postrzeliłeś mojego ojca, nie pomnąc, że wiele lat temu stanął w twojej obronie i dał ci kolejną szansę po tym, jak ukradłeś kilka jego krów! I zabiłeś człowieka, który zerwał ze wszystkimi ranczerami w tym kraju, ponieważ chciał, abyś miał każdą możliwą szansę, jaką może dostać ludzka istota! Człowieka, który publicznie powiedział, że w ciebie wierzy - długo po tym, jak straciłeś prawo do wiary! Trzymaj się ode mnie z daleka - jesteś nieczysty!

Zastygł bez ruchu. Ale te słowa rozdarły go na strzępy, zniszczyły pozorny blask chwały, jaki zbudował wokół swoich krwawych czynów. W jego oczach pojawiła się wściekłość.

— Zdaje się, że jedziesz od Denvera. Byłaś tam, by opłakiwać bohatera wzgórz? Już nigdy nie założy na głowę swej cynowej korony!

Opuściła głowę i odwróciła ją od niego. Redmain roześmiał się ostro na widok jej cierpień.

— Myślałaś, że byłaś bardzo miła, okazując mi swą litość tamtego dnia w Sundown. Pokażę ci, co myślę o litości.

Owinął jej wodze wokół swej wolnej ręki. Szarpała się aby je wyrwać, ale Redmain odepchnął jej ręce.

— Nie ruszaj się, bo pożałujesz, że się urodziłaś.

Opadła na siodło.

— Nic nie może mnie zranić jeszcze bardziej niż już jestem zraniona — oznajmiła ponuro.

— Ładna gadka — zaszydził Redmain i ruszył drogą, na zachód.

Gestem ręki przywołał resztę grupy zza drzew. Nabierając prędkości, Redmain podążał drogą przez ćwierć mili, po czym ponownie wjechał między drzewa, tym razem od strony południowej. Po dwudziestu minutach jazdy przez las zatrzymał się i samotnie dotarł do przerwy w zieleni. Zabudowania rancza Leverage'a drzemały w promieniach słońca, i gdzieniegdzie tylko jakiś poganiacz pracował leniwie. Redmain machnięciem przywołał do siebie swą grupę i poprowadził ją dookoła, podjeżdżając do rancza z innej strony i zbliżając się do niego po cichu. Redmain chwycił wodze Eve i mruknął do czekających jeźdźców.

— Żadnej strzelaniny, chyba że to będzie konieczne. Okrążyć dom. Wyprowadzić wszystkich na podwórze i rozbroić ich. Dann, ty się tym zajmiesz. Ja wejdę do środka. Torper, ty obserwuj drogę, czy nikt tędy nie nadjeżdża. Ruszamy.

Wypadł na otwartą przestrzeń i popędził w kierunku głównego domu z Eve u swego boku. Jeden z Leverage'ów odkrył atak i krzyknął na całe gardło.

— Redmain! — Ludzie zbiegli się ze wszystkich stron. Dann zagrzmiał stanowczo.

— Skończcie z tym, bo zabijecie dziewczynę! Wychodzić, wy łajzy, i to szybko!

Redmain był na tyle pewny swej siły, że podjechał prosto do werandy, zeskoczył z konia i ściągnął Eve z siodła. Pani Leverage pojawiła się w

drzwiach i krzyknęła. Pobiegła do córki, uderzając Redmaina. Bandyta roześmiał się i puścił dziewczynę.

— Nic jej nie jest, kobieto. Gdzie jest Leverage?

Pani Leverage cofnęła się, rozkładając ręce na drzwiach.

— Nie zbliżaj się! Wyrządziłeś już wystarczająco dużo krzywdy!

Odepchnął ją na bok. Znając bardzo dobrze układ domu, udał się bezpośrednio do sypialni Leverage'a. Ranczer leżał między dwoma prześcieradłami, z ciałem poobkładanym poduszkami. Kiedy zobaczył Redmaina, odwrócił lekko głowę, a jego powieki zwęziły się. Pani Leverage podbiegła i rzuciła się przed łóżko.

Redmain uśmiechnął się lekko.

— Byłem ciekaw, Jake. Chciałem zobaczyć, co ci zrobiłam. Następnym razem może będziesz na tyle mądry, żeby pilnować swoich spraw. Przede wszystkim jesteś za stary, by tak ryzykować. Poza tym nie jesteś wystarczająco bystry, żeby mnie złapać. Znałem twój każdy ruch od dwóch tygodni.

— Ty mały szczurze o mokrej twarzy! — warknęła pani Leverage. — Zostaw Jake'a w spokoju! Wynoś się stąd i jedź sobie. Zawsze wiedziałam, że jesteś zdradzieckim kundlem, ale myślałam, że jest gdzieś granica. Po co tu w ogóle przyjechałeś?

— Żeby pokazać rodzinie Leverage'ów, że jeżdżę kiedy chcę i gdzie chcę — burknął Redmain. — Nic mnie nie powstrzyma.

— No to się pochwaliłeś. A teraz jazda stąd.

— Nie pójdzie wam tak łatwo — powiedział Redmain, okazując złośliwą przyjemność. — Jake był na tyle odważny, że przyjął przywództwo aby zetrzeć mnie na proch. Teraz dam przykład mieszkańcom Yellow Hill i pokażę im, co się dzieje z ludźmi, którzy próbują mnie skrzywdzić.

Zawrócił na werandę. Jego ludzie zebrali ludzi Leverage'a i zapędzili ich pod płot korralu. Dann wyszedł z baraku kowbojów z naręczem łupów. Redmain zatrzymał go.

— Dann, zostaw te śmieci. Wszystko z baraku kowbojów ma być wyniesione złożone na podwórzu. Wyciągnij wszystkie maszyny i wozy z szop. Zbierz to razem. Rozpal ogień i spal wszystko do cna. Wrzuć do ognia wszystko, co leży luzem i jest warte choćby centa.

Przerwał i przekrzywił głowę na bok, jakby spodziewał się usłyszeć, jak kobiety Leverage proszą o litość, ale w domu panowała cisza. Dann wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A co z meblami z dużego domu? A może spalić cały dom? To samo zrobili z Wells.

Redmain pokręcił przecząco głową.

— Rób, co ci powiedziałem, i to szybko. — Wrócił do sypialni. — Myślę, że jesteś niebyt daleko od śmierci, Jake, ale coś tam słyszałeś. Mała lekcja manier. Kosztować cię to będzie niezłą sumkę.

Nadal nikt mu nie odpowiedział. Wybuchnął gniewem.

— I chcę, żeby ta nauczka rozeszła się po okolicy! Na Judasza, chcę, żeby zrozumiano, że od teraz macie mnie zostawić w spokoju! Jestem silniejszy niż prawo w Yellow Hill! Od teraz to ja jestem prawem w tym

hrabstwie i będę jeździł gdzie chcę, bez przeszkód. Wszyscy macie mnie słuchać i to bez żadnych grymasów!

W korytarzu zahuczał trzask płomieni. Białe usta Leverage'a drgnęły. Pani Leverage nachyliła się i dotknęła go.

— Nie przejmuj się, Jake — wymruczała.

Ale Eve szybko wybiegła na werandę, żeby to zobaczyć. Redmain podążył za nią i wskazał na ogień trawiący zgromadzony dobytek.

— To są właśnie skutki litości — powiedział, przeciągając poszczególne słowa. — Kiedyś myślałem, że dla ciebie wszystko zaryzykuję i wszystko zrobię. Teraz jestem mądrzejszy. Nie chcę cię. Gdybym chciał, zabrałbym cię za sobą. Uczyniłbym cię taką, jak kobiety w Wells. Dlaczego miałbym się tym przejmować? Nie jesteś lepsza od nich. Zostanę przy kobietach z Wells. Przynajmniej są w tym szczere.

Zszedł z werandy, wsiadł na siodło i skinął na swoich ludzi, by zrobili to samo. Kiedy się zebrali, odwrócił się i uniósł kapelusz w stronę Eve z sardonicznym uśmiechem na ustach.

— I jeszcze jedna rzecz. Nie dam ci nawet tej satysfakcji byś myślała, że sam musiałem zabić Denvera. Nie musiałem tego robić. Nie znaczył dla mnie aż tak wiele. Kazałam to zrobić Danowi.

Eve odbiegła od drzwi i uniosła ręce po wiszący w środku karabin. Wszyscy bandyci byli odwróceni tyłem, a szerokie plecy Danna stanowiły cel, w który skierowała broń. Zamknęła oczy, pociągnęła za spust i rzuciła karabin wyzywająco na podłogę. Koń Danna zawirował i upadł. Natychmiast cała grupa rozpierzchła się na boki z wyciągniętą bronią. Lou Redmain zaszarżował na Danna na swoim pony, dokładnie w chwili, gdy ten zaczął unosić rewolwer przeciw Eve. Odrzucił Danna na bok, rewolwer wystrzelił, i pocisk przebił ścianę werandy. Kolejnym zamachem ręki Redmain odrzucił broń swego porucznika.

— Wynoś się stąd, ja się tym zajmę!

— Niech mnie zastrzeli — zawołała rozpaczliwie Eve. — Po co się teraz zatrzymywać, skoro zrobiłeś już to wszystko inne?

Redmain roześmiał się.

— Teraz pokażę ci, co się stanie z ludźmi Leverage, jeśli któryś z nich jeszcze raz strzeli do mojego oddziału! — oznajmił łagodnym tonem przez ramię.

Huknęła seria wystrzałów. Eve odwróciła głowę. Następnie renegaci zaczęli uciekać, zostawiając na podwórzu zastrzelone zwierzęta pod siodło, rancza Leverage'a.

Pół godziny później Redmain, głęboko na terenach koło Copperhead, zatrzymał się i dał koniom swojego oddziału szansę na oddech. Część bandy rzuciła się na ziemię, zaraz gdy tylko z nich zsiedli. Redmain, zamknięty w sobie i zdystansowany, udał się na ubocze i usiadł w osłoniętym miejscu. Wkrótce z zachodu wyłonił się jakiś przybysz i podjechał do kryjówki Redmaina.

— I co? — zapytał Redmain.

— Nie ma co do tego większych wątpliwości. Jeśli nie zginął od razu w Tom's Hole, to umarł po tym, jak zawieziono go do domu. Podczołgałem się w miejsce, z którego mogłem zobaczyć cały teren D Slash. Pochowali

go przed chwilą. Widziałem, jak trumna opadała do dołu i przykryła ją ziemia.

Redmain skinął głową i zawołał do Danna.

— Jedziemy.

Kawalkada ruszyła za nim, tym razem kierując się na północ, przez nierówne obniżenia terenu graniczące z rzeką, w stronę Sundown. Spojrzenie Redmaina zaczęło niecierpliwie wybiegać naprzód. Nagle uniósł rękę na znak zatrzymania się. Kolumna stanęła. W poprzek szlaku stał w wyczekującej postawie niepozorny, drobny mężczyzna o śniadoszarych włosach. Natychmiast podszedł do Redmaina.

— Już miałem dojść do wniosku — powiedział — że nie dasz rady.

— Robię to, co obiecałem, że zrobię — odparł ponuro Redmain. — Mów, co masz do powiedzenia.

— Kazano mi powiedzieć — wyrecytował bezdźwięcznie mały człowieczek — że Stowarzyszenie rozeszło się bez żadnej decyzji. Pomysł z vigilantami nie będzie kontynuowany. Nikt nie chce nim kierować. Mali właściciele nie chcą się przyłączyć. Wielcy postanowili więc zorganizować własne komitety jeźdźców, które obejmą ich własne tereny - nic więcej.

Na twarzy Redmaina pojawiła się złośliwa satysfakcja.

— Więc ich podzieliłem. Właśnie to chciałem zrobić. Coś jeszcze?

— Powiedziano mi, żebyś przez kilka dni kierował się rozsądkiem.

— Sądzę, że zazwyczaj robię to całkiem dobrze — zauważył Redmain sucho i nieco poirytowany.

Śniady posłaniec rzucił kose spojrzenie na Danna.

— Steers ogłosił, że zamierza cię dopaść, Dann. Był u Grogana i obrzucił cię mnóstwem obelg. Rzucił ci wyzwanie, byś spotkał się z nim gdziekolwiek i kiedykolwiek.

— Gnojek jeden — zadrwił Dann. — Uważa, że jest bezpieczny, obrzucając błotem człowieka, który nie jest w stanie wyjść mu na spotkanie w świetle dnia. A skąd on wie, że to ja kropnąłem Denvera? Właśnie to chciałbym wiedzieć.

— Takie krążą plotki w okolicy Sundown — dodał posłaniec.

— Wygląda na to, że nowe wieści rozchodzą się publicznie strasznie nagle — chrząknął Dann. — Do diabła ze Steersem. Nie przejmuję się nim.

Milczenie Redmaina zaczęło być znaczące. Jego oczy wpatrywały się w Danna z wyrachowaniem. W końcu odezwał się.

— To jest pomysł. Dlaczego nie?

— Co, dlaczego nie — chciał wiedzieć Dann.

— Jedź po niego.

Ton głosu Danna zrobił się wyzywający.

— To ty dowodzisz tym oddziałem, prawda? Dlaczego sam nie postrzelasz od czasu do czasu? Czy ja muszę robić wszystko?

— Boisz się Steersa? — spytał łagodnie Redmain.

Dann rzucił się na przynętę.

— Wiesz dobrze, że nie, Lou! Nie boję się żadnego człowieka, który chodzi po Ziemi!

— Spore terytorium — zauważył Redmain w ten sam chłodny i cięty sposób. — Na przykład mówisz tak, jakbyś chciał mnie też w to wliczyć. Czego oczywiście nie miałeś na myśli, prawda, Dann?

Dann wpatrywał się w oczy Redmaina, aż jego własne nabiegły krwią. Posłaniec poruszył się niespokojnie. Redmain uśmiechnął się samymi ustami.

— Mnie w to nie wliczasz, co, Dann?

Dann poruszył się.

— Zostawmy to — burknął i znalazł wymówkę, by popatrzeć na swoje stopy. — Jeśli naprawdę chcesz, żebym pojechał załatwić Steersa...

— Chcę. Poszukaj go. Wybierz czas i teren. Ale załatw go. Chcę, żeby Yellow Hill zrozumiało, że słyszę te wszystkie wyzwania i że odpieram wszystkie blefy. Sprawię, że to hrabstwo nie odważy się mówić o mnie głośniej niż tylko szeptem. Jedź po niego.

Odwrócił się do śniadego posłańca i przyjrzał mu się z chłodnym dystansem. Ten ostatni poczuł się zwolniony i bez słowa odjechał. Redmain odczekał kilka chwil i ponownie podjął rozmowę z Dannem.

— Chodzi o coś więcej. Stworzysz coś w rodzaju pobocznego przedstawienia, podczas gdy ja będę w górach, planując coś innego. Zbliża się jeszcze jedna wielka gra. Ten kraj jeszcze raz ucierpi z mojego powodu. Próbowali mnie załatwić i nie dali rady. Teraz myślą, żeby dać mi spokój. Na to też im nie pozwolę. Posunęli się za daleko. Pamiętam każdą zniewagę. Mam to wszystko wyryte w pamięci i zamierzam to spłacić. Co zrobili z Wells? Zniszczyli je! W porządku. Ja zniszczę Sundown, Dann! A potem odjadę z tej ziemi!

— Kiedy? — padło szybkie pytanie Danna.

— Nieważne. Wkrótce się dowiesz. Wsiadaj na konia i ruszaj. Masz następne trzy-cztery dni na znalezienie Steersa i wmanewrowanie go w sytuację bez wyjścia. Ja będę na terenach powyżej Sundown – co z oczu to z myśli.

Dann odwrócił się, dosiadł konia i pojechał na zachód, między drzewa. Redmain patrzył, jak odjeżdża, z okrucieństwem na trójkątnej twarzy. Podał Dannowi dwa powody, dla których miał odjechać w poszukiwaniu Steersa, ale nie podał trzeciego. Krótko mówiąc, byłoby dobrze, gdyby Dann zginął. Ten wielki mężczyzna stawał się zbyt niebezpieczny, zbyt pyszałkowaty, zbyt arogancki. Mógł zarazić innych, mógł zasiać zdradę. Steers, oczywiście, nie był tak dobrym strzelcem jak Dann, ale skoro wielki bandyta został wysłany sam, mógł zachować się głupio i zdradzić się - i w efekcie wpaść w jakąś pułapkę. Tak czy inaczej, Redmainowi zależało na tym, by ten człowiek nigdy nie wrócił już do jego grupy. Gdyby wrócił, nie zdąży nawet zsiąść z konia. W ten sposób Redmain definitywnie wymazał Stingera Danna ze swoich planów. Dał znak oddziałowi i pojechali. Kolumna zniknęła w zielonej gęstwinie.

Rozdział XVI

Kiedy człowiek rozmyśla

Jak na kogoś martwego, Dave Denver wykazywał osobliwe objawy. Leżał na swoim łóżku w D Slash, z rzędem podpierających go po obu stronach poduszek. Głowę miał owiniętą ogromną kulą bandaży, biegnących od szczytu głowy do klatki piersiowej i odsłaniających tylko posiniaczony nos, rozcięte usta i parę buntowniczych oczu. Jedno z jego ramion było unieruchomione i nie było widać nic poza czubkami palców, a w tej chwili kręcił nimi po kolei, w międzyczasie mamrocząc ochrypłym głosem coś o Słodkiej Adeline. To była innowacja; nie próbował tego przez poprzednie dwa dni, ale człowiek leżący plackiem na plecach spróbuje w końcu wszystkiego. Czasami rezultaty sprawiają satysfakcję. W tym przypadku do pokoju wpadł biegiem Lyle Bonnet.

— Co się stało, Dave?

Denver nie odwrócił głowy w jego stronę. Nie mógł odwrócić głowy. Ale przerwał śpiewacze popisy.

— Nic! Skąd ta cała piana?

— Wielkie nieba! — prychnął Bonnet. — Usłyszałem, jak jęczysz i szlochasz, i myślałem, że dostałeś jakiegoś spazmu.

— Śpiewałem sobie. Żadne prawo tego nie zabrania.

— Nie-e — zreflektował się Bonnet. — To znaczy, nie w przypadku prawdziwego śpiewu. Na twoim miejscu, chyba bym jednak gwizdał.

— Och, dobrze już — mruknął Dave płaczliwie. — Chciałem tylko sprawdzić, czy moja klatka piersiowa jest w porządku. Chyba jest. Widzisz te palce? Mogę nimi ruszać. Nic tam nie jest uszkodzone. Chciałbym, żeby doktor przyjechał. Chcę poznać werdykt w sprawie lewej ręki. Chciałbym móc wstać i poruszać nogami.

— Nie, i przestań już. Czy nie mam dosyć zmartwień na głowie, bez kłótni z tobą? Masz swoje polecenia.

— Aha, nie mam w tej dziurze więcej do powiedzenia niż zlew do naczyń — stwierdził Denver. — Lyle, zastanawiałeś się kiedyś nad cudami natury? Nie? To powinieneś. Musisz podnosić swoje wykształcenie. Ja - tak. Widzisz tę muchę na słupku łóżka? To Oscar. Chyba zawsze uważałeś, że muchy to paskudne owady, prawda? Mylisz się, Lyle. Oscar mnie kocha. Jeśli pocałował mnie raz, to jakby pięćdziesiąt razy. Ty uważasz pewnie, że muchy to brudne zwierzęta? Nieprawda. Oscar myje się co piętnaście minut. Skąd to wiem? Siada na moim nosie, żeby zrobić sobie kąpiel. Zwykła ceremonia. Najpierw podnosi lewą łapkę i uderza się w nos. Następnie macha drugą łapką w stronę swoich uszu…

— Muchy nie mają uszu — zauważył ponuro Bonnet.

— Czy nie wspomniałem ci, że ludzie mają bzika na punkcie much? Największe uszy, jakie kiedykolwiek widziałeś. Kiedy śpi, zakrywa nimi oczy. Obraca się jak pies. Na moim nosie, widzisz? Dwa-trzy razy. Potem przykuca i zaczepia się. Następnie kładzie uszy po sobie. Ma też kołysankę. Całkiem ładną, jak na muchę.

— Przestań poruszać głową.

Denver jęknął.

— Pewnego dnia tak normalnie przywiążę do ciebie puszkę, Lyle.

— Na Boga, chciałbym, żebyś to zrobił — mruknął Bonnet. — Jeśli dostanę jeszcze więcej kar, oszaleję. Odkąd przedwczoraj zorganizowaliśmy ten fałszywy pochówek, twoi przyjaciele nieustannie zwalają mi się na głowę, żeby zatruwać mi życie. Wygląda na to, że wszyscy chcieli zobaczyć cię martwego - to znaczy, chcieli powiedzieć coś w rodzaju „do widzenia" zanim zakryjemy trumnę. Powiedziano mi, że powinienem był umieścić cię leżącego, jako Eksponat A na wystawie. Powiedziano mi, że powinienem był zabrać cię na cmentarz w Sundown. Steve Steers był tak wściekły, kiedy przyjechał, że myślałem już, iż chce mnie zastrzelić. Dobrze, że doktor mnie wspiera, bo inaczej zostałbym oskarżony o pogrzebanie cię żywcem.

— Co Doc im powiedział?

— Mówi im, że jeśli w taką pogodę nie da się uchronić przed zepsuciem świeżej wołowiny, to czego oczekują po martwym człowieku?

— Niezła odpowiedź — zadumał się Denver, ale niezbyt miła.

— I jeszcze jedno — kontynuował Bonnet. — Może i jestem twardym orzechem do zgryzienia, ale nie mogę stać i słuchać, jak płaczą kobiety - tak jak Eve. Dave, mówię ci, że prawie się załamałem i powiedziałem jej prawdę.

Denver uniósł zdrową rękę.

— Wiem, wiem. Ja też źle się czułem, leżąc tutaj i słysząc ją tam. To coś, co będę nosił na sumieniu przez długi czas. Nie wiem, czy mi wybaczy, kiedy się dowie. Może nie miałem żadnego interesu w wykluczeniu jej z kręgu wtajemniczonych. To było ohydnie wyrachowane. Ale wydawało mi się wtedy - i wydaje mi się teraz - że nie ma sposobu, aby wciągnąć Lou Redmaina w pułapkę bez całkowitego odcięcia go od informacji. Jeśli będzie wiedział, że usunął z drogi Leverage'a i mnie, będzie skłonny do większego ryzyka. Tego właśnie chcę. I nie będzie szpiegował D Slash, żeby sprawdzić, co knuję. Musiałem sprawić, by wieści o mojej śmierci wyglądały na prawdziwe. Redmain nie jest głupcem. Przypuśćmy, że zaraz potem wpadłby na Eve. Albo przypuśćmy, że ma szpiegów w okolicy rancza Leverage'a, co przecież jest bardzo prawdopodobne. Gdyby nie martwiła się po mnie, od razu nabrałby podejrzeń. Nie, musiałem wybrać trudną drogę i niech Pan mi wybaczy, że to zrobiłem.

— Zamierzasz powiedzieć Steve'owi?

— Ani dziś, ani jutro. Jeśli szaleje, to jest najlepsza reklama mojego kopnięcia w kalendarz, jakiej mógłbym pragnąć. Nie martwię się o niego. Potrafi znieść ten cios.

— A co z Lolą Monterey?

Zapadła tak długa cisza, że Bonnet doszedł do wniosku, iż Denver nie usłyszał ostatniej kwestii. Dave wpatrywał się w sufit. Po chwili odezwał się, nie odpowiadając na pytanie - a Bonnet wiedział, że nie powinien więcej wspominać imienia dziewczyny.

— Myślisz, że oszukaliśmy Hominy'ego Hogga i tę bandę Steele'a?

— Powiedziałbym, że tak — odparł Bonnet. — Musisz sobie wyobrazić, że kiedy te wszystkie strzały przyciągnęły naszą uwagę do Tom's Hole i znaleźliśmy cię tam leżącego w rumowisku skał, nie byłaś w najlepszym stanie. Oczywiście coś tam się odzywałeś, ale nie było tego zbyt wiele. Więc kiedy dotarliśmy tutaj i umieściliśmy cię w sypialni, myślę, że ekipa Steele'a uznała to przyniesie wątpliwe rezultaty. W każdym razie, kiedy wyszedłem na werandę i powiedziałem, że umarłeś, pojechali do domu dobrze imitując, że są załamani.

— Prawdę mówiąc — wyjawił mu Denver — wpadłem na pomysł udawania martwego w chwili, gdy otrząsnąłem się z mgły i stwierdziłem, że wciąż żyję. Nie byłem ranny aż tak bardzo, jak to udawałem przed bandytami. Ufam prawie wszystkim z zespołu Steele'a, ale jest szansa, że któryś z nich gra na dwa fronty. Pomyślałem więc, że najlepiej będzie zrealizować ten pomysł. Dlatego nikt poza moimi ludźmi nie wie, że żyję. I tak będzie, dopóki nie złapię tropu Redmaina i nie będę miał szansy go dopaść. Zrobiłeś to, co ci kazałem?

— Co do ludzi? Tak. Wyjaśniłem sytuację. Chester Mack, Limerick Lane i Gallup postanowili odegrać rolę niezadowolonych, którzy odeszli z rancza. Mają pojawić się w Sundown i zasygnalizować, że ranczo się rozpada. Mack ma zostać w mieście i mieć uszy szeroko otwarte. Powiedziałem Limerickowi, żeby zaczął jeździć po wzgórzach, jakby szukał pracy. Gallup ma sobie załatwić jucznego konia i wyruszyć na wyprawę w poszukiwaniu złota - trzymając się górnej Copperhead. To by było na tyle. Co dalej?

— Nie możesz za dużo kręcić się po ranczu, Lyle. Mogą nas szpiegować bandyci.

Bonnet zmarszczył brwi.

— Jest jeden - albo był. Jakiś czas temu Lee rozglądał się po lesie od wschodu i znalazł miejsce, w którym ktoś wygrzebał trawę i zarośla. Najwyraźniej obserwował dom. Biorąc pod uwagę twoją bezradność, nie zamierzałem nic ci o tym mówić.

Denver zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Redmain może być gdzieś w pobliżu. Jest tylko jeden sposób, by się co do tego upewnić. Jutro rano wyruszysz z rancza, tak jakby w celu zebrania bydła. Przepatrzysz całkiem niezły kawałek terenu. Albo jeszcze lepiej - wyślesz dziś wieczorem kilku ludzi z zimnym prowiantem. Rozmieść ich w miejscach, w których będą pokrywać szlaki. Ten sam system, jak ten który wypróbowaliśmy wcześniej. Zadziałał wtedy, zadziała i teraz.

— To wszystko?

— Aha. Wynoś się stąd. Oscar traci cierpliwość. Nie widzisz, jak się wierci?

Ale ledwo wyszedł Bonnet, pojawił się Doc Williamson. Rzucił Denverowi profesjonalne spojrzenie.

— Przypuszczam, że rzucałeś się po całym łóżku i przeklinałeś wszystkich. Tacy jak ty zawsze tak robią.

— Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, już nigdy nie spojrzę na ten sufit. Zamierzam pomalować go w twarze, żebym mógł sobie z nimi rozmawiać. Umieszczę twoją twarz na środku i urządzę ci piekło. Poznaj Oscara.

— Szalony jak kapelusznik — zauważył Doc Williamson i odrzucił kołdrę. — A teraz, jeśli to cię zaboli, powiedz mi. W przeciwnym razie nie ruszaj się.

— Dobrze, że masz tu też Pete'a Atkinsa, którym musisz się opiekować — snuł refleksje Denver — bo inaczej nie wiem, jak udałoby ci się utrzymać wersję, że nie żyję. Tak, to moja stopa. Nie ma co do tego wątpliwości.

— Myślisz, że jesteś taki mądry? — odparł Williamson. — Sprawiasz smutek wielu dobrym ludziom - a niektórym w szczególności.

— Powiedzmy, że wynagrodzę im to później. To trudna gra, Doc, ale muszę w nią zagrać.

— Ktoś musi to zrobić — zgodził się doktor — albo to hrabstwo będzie w gorszym stanie niż wtedy, gdy przetoczyli się przez nie Indianie. Teraz będę trochę bardziej brutalny.

— To jak nazwiesz to, co robiłeś do tej pory? — dopytywał się Denver.

Zamknął oczy, podczas gdy Williamson podnosił najpierw jego jedną stopę, potem drugą, wykręcając kostki, zginając kolana, przez cały czas jego bystre oczy badały twarz Denvera w poszukiwaniu bólu. Po około dziesięciu minutach dotarł do usztywnionego ramienia; zdejmując bandaże, kontynuował poszukiwania, delikatnie uciskając palcami. Potem skończył i odchylił się do tyłu, z rozjaśnionymi oczyma.

— Po odbiciu się od każdej skały w Tom's Hole wciąż nie mogę znaleźć żadnych złamanych kości. Po co ci lekarz? Nogi są zdrowe, żebra wydają się w porządku, w ramieniu jest parę naderwanych ścięgien, ale nic więcej.

Denver uznał, że bardzo dobrze poradził sobie z tłumieniem szalonych emocji radości.

— A co z moją głową?

— Nad lewym uchem masz ranę na tyle dużą, że można by przez nią przepędzić parę mułów. Wypłukałem z niej tyle żwiru, że myślałem już, iż jestem poszukiwaczem złota. A jaką to robi różnicę? I tak nikt w Yellow Hill nie używa głowy na tyle często, aby to się liczyło.

— Więc mogę wstać?

— A kto tak powiedział? — burknął Doc, wrzucając do szklanki z wodą kilka paskudnie wyglądających tabletek.

— No cóż, jeśli nie jestem uszkodzony...

Williamson mlasnął z obrzydzeniem językiem.

— Słuchaj, Dave, gdybyś był koniem, zastrzeliłbym cię, ponieważ absolutnie nie nadajesz się do dalszej pracy. Ale ponieważ jesteś Denverem – przykładem najczarniejszej i najtwardszej rasy śmiertelnych głupców, jaką znam - powiem ci, żebyś przez tydzień poleżał sobie na

plecach. Potem możesz robić, co ci się podoba. I tak to zrobisz, więc równie dobrze mogę to powiedzieć. Wypij to i nie marudź, że boli cię brzuch.

Denver posłuchał i odstawił pustą szklankę, wzdrygając się.

— Jeszcze się przez ciebie rozchoruję. Ale słuchaj, skróć ten tydzień do jakichś trzech-czterech dni, Doc. Jako osobistą przysługę dla mnie.

— Nie jestem Bogiem — stwierdził Williamson, zamykając torbę. — Ale wpadnę tu jutro i zobaczę, czy jakieś okłady i masaże nie zredukują trochę tych siniaków. A teraz prześpij się odrobinę.

— Spać – tyle się już naspałem, że mógłbym się unosić na wodzie — mruknął żałośnie Denver. — Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

Williamson zatrzymał się w drzwiach.

— No cóż — zadumał się, — cieszę się, że nie było gorzej.

Był to z jego strony jedyny przejaw sentymentu, jedyne przyznanie się do głębokiej troski, jaką odczuwał w stosunku do człowieka, którego kochał. Zamykając cicho drzwi, wyszedł, by opatrzyć Pete'a Atkinsa, który podczas walki został postrzelony w nogę.

Denver wpatrywał się w sufit, kalkulując swój stan. Tydzień to dużo czasu, a on będzie bezradny, podczas gdy Lou Redmain pędzi przez wzgórza. Gdyby renegat przez chwilę pobawił się w oposa zimą, wszystko byłoby w porządku. Ale nie warto było o tym myśleć. Znał Redmaina. Ten człowiek był wulkanem aktywności. Zasmakował krwi i jak wszyscy zabójcy, niscy czy wysocy, będzie pożądał jej więcej. Redmain przechwalał się tamtej nocy w Wells - wydawało się, że minęły już od tego całe miesiące - iż nie ma dla niego żadnych granic. Nie wiedział wystarczająco dużo, by się zatrzymać i nie było żadnego zuchwałego planu, którego by się nie podjął.

Mucha, lub jedna z jej niezliczonych kuzynek, zatoczyła zgrabną pętlę w powietrzu i zatrzymała się na nosie Denvera. Denver zdmuchnął ją odruchowo. Następnie uniósł prawą rękę i zastanowił się. Nie miał środków do obrony. Ani do ataku. Jedna ręka była lepsza niż jej brak. A prawą rękę zawsze miał trochę lepszą od lewej, choć od dzieciństwa szkolono go w strzelaniu z obu. Machnął nią z jednej strony na drugą, czując sztywny opór bolących mięśni klatki piersiowej. Zmieniając taktykę, poruszył ręką w górę i w dół - i wprowadził jeszcze więcej mięśni w stan dyskomfortu. Wydawało się, że żaden centymetr kwadratowy jego ciała nie jest wolny od bólu.

— Musiałem się poturbować ze wszystkich czterech stron naraz — sposępniał. — Pamiętam, jak Dann trafił mojego konia. Pamiętam, że zjechałem z tego zbocza jak ktoś, kogo wezwano gdzieś w najwyższym pośpiechu. Odbijałem się. Tak, na pewno się odbijałem. Tak czy inaczej, odpłynąłem przy dźwiękach muzyki i werbli. Założę się, że Dann przez cały dzień stałby na szczycie tego wzgórza i robiłby sobie ze mnie cel, gdyby chłopcy wśród drzew nie usłyszeli odgłosów tej awantury i nie przybiegli. Tamtego ranka, gdy wszedłem do Tom's Hole, musiałem być ciągle w zasięgu huku wystrzału. Jest jeszcze jedna rzecz, którą Redmain rozgryzł do siódmego miejsca po przecinku. Przypuszczał, że wyjdziemy z zarośli i wrócimy do domu najkrótszą drogą. I tam się zasadził. Nie, na Boga,

tydzień to zdecydowanie za długo. On rozpocznie kampanię zniszczenia, zanim wstanę z łóżka.

Ten renegat miał niesamowity zmysł ataku i obrony. Denver był na tyle szczery, by przyznać, że jego własny umysł nie działał tak szybko jak umysł Redmaina. Redmain był jak ostry miecz, z błyskiem śmigający w tę i z powrotem, podczas gdy on, Dave Denver, był powolny w ruchach jak olbrzymia maczuga. Nie miał tego błysku, tego polotu; mógł więc zrobić tylko to, co robił zawsze: przeć uparcie do przodu, przyjmować razy i nie ustawać w dążeniu, by zadać nokautujący cios. Taka była między nimi różnica, i walka toczyła się w ten właśnie sposób. Dopóki jeden z nich nie zada drugiemu zabójczego ciosu. Nie było innego sposobu zakończenia tej sprawy. Śmierć.

Mucha wylądowała po raz kolejny. Denver spojrzał zezem na owada.

— Oscar, zaczynam być tobą zirytowany. Idź pobawić się z przyjaciółmi. — Wykonał wymach w stronę nosa, który to ruch spowodował napięcie całej masy dysfunkcyjnych ścięgien w jego ciele. Rozluźnił się z jękiem.

Cierpliwość nie należała do jego cnót, i kiedy Lyle Bonnet przyniósł kolację, Denver był ponury i rozdrażniony.

— Skręć mi jakieś pięćset papierosów, Lyle, i połóż je na stole. Próbowałem zrobić to jedną ręką i zmarnowałem trzy woreczki tytoniu.

— Mam ci wcisnąć to jedzenie łyżką?

— Nie — mruknął Denver — wolę sam rozlać swoją własną zupę na swoją własną brodę.

Bonnet zachichotał.

— Jakie masz wielkie zęby, babciu. Pójdę coś zjeść i zagonię połowę ludzi do zwijania wspomnianych papierosów. Nie ma rzeczy, której nie potrafilibyśmy zrobić w tej załodze.

— Idź i daj mi pomyśleć.

Bonnet zgrabnie to podchwycił. Uniósł sceptycznie brew.

— W każdym bądź razie, będzie to jakaś odmiana.

Uśmiechając się szeroko, wyszedł.

Kiedy wrócił godzinę później, Denver leżał w milczeniu na łóżku. Bonnet ułożył więc rzędem papierosy, rozłożył zapałki, zgasił lampę i na palcach wyszedł z naczyniami. Denver, który miał tylko zamknięte oczy, słyszał to wszystko, a przez ponurą kurtynę swego niezadowolenia poczuł ciepły blask uczucia. Bonnet był tak twardy i nonszalancko beztroski, jakim go stworzono, ale był człowiekiem. W środku nocy, kiedy przysypiał, usłyszał słabe kliknięcie zamka i ktoś wszedł do środka na chwilę.

Następnego ranka przez chwilę poczuł radość. Bonnet przyszedł, aby powiedzieć, że wysłał czterech ludzi, by rozstawili się w dogodnych miejscach, a resztę zabierał na ranczo, z wyjątkiem pięciu, mających wyruszyć na lipny patrol.

— Po co zostawiać tu tych pięciu?

Odpowiedź Bonneta była trochę zbyt niedbała.

— Och, po prostu żeby się tu kręcili.

Denver natychmiast zauważył jego podejrzane zachowanie.

— Wyrzuć to z siebie. Coś ci chodzi po tej twojej makówce.

— Cholera — chrząknął Bonnet i przyjrzał się swojemu papierosowi. — No dobrze. Jeśli chcesz wiedzieć, zostawiam ich dla ochrony. Redmain najechał ze swoją bandą na ranczo Leverage'a, wystraszył kobiety i ogólnie pysznił się. Eve - na Boga, muszę jej to przyznać - strzeliła do Danna, a Redmain spalił im mnóstwo sprzętu i powybijał wierzchowce pod siodło. To dlatego.

Ciało Denvera zesztywniało, jego błękitne oczy zaczęły ciskać płomienie. Bonnet pospiesznie mówił dalej.

— Do diabła, wiedziałem, że to tylko pogorszy sprawę! Przestań i uspokój się. Nie ma sensu rozrywać sobie tętnic. Wydałem rozkazy chłopakom, którzy zostają w domu. Obozują na werandzie, dopóki nie wrócę.

Denver zreflektował się, opanował gorący gniew.

— Widzę, co się teraz dzieje, Lyle. Nigdy nie zadowoli go zwykła zemsta. Boże, zmiłuj się nad ludźmi, których zdecyduje się skrzywdzić. Musimy wziąć się do roboty. I musimy mieć więcej ludzi. Dzisiaj pojedziesz do Steele'a. Porozmawiaj z Hominym. Powiedz mu, że brakuje ci rąk do pracy. Powiedz mu, że posiadłość D Slash będzie stać na dodatkowe płace. Wyciągnij od niego pięciu ludzi. Tym pięciu - wymienił ich z nazwiska - wiem, że można im ufać. Kiedy ich tu sprowadzimy, będziemy mogli ogłosić nowiny.

— Dobry pomysł. Do wieczora będę miał wiadomości.

— Lepiej, żebyś miał — odparł Denver.

Bonnet wyszedł. Denver czekał, aż usłyszy odgłosy siodłania koni. Wtedy przystąpił do działania.

Odgarnął pościel i powoli podciągnął kolana, poruszając nimi ostrożnie. Podłożył pod siebie zdrową rękę i obrócił się na pół. Skopnął na podłogę pół tuzina poduszek, przetoczył się na twarz i oparł stopy na dywanie. I znów, z pomocą swojej sprawnej ręki, odepchnął się i stanął prosto.

W głowie mu pulsowało, kolana lekko drżały. Ale wstał i było to coś wartego zanotowania. Podpierając się na łóżku, wpatrywał się z triumfem w znajome ściany.

— Oscarze — chrząknął — tylko na to popatrz i opowiedz swoim dzieciom. Może nie wyglądam za cywilizowanego osobnika z tymi podwiniętymi połami koszuli nocnej, ale chyba każdy ma prawo nosić bieliznę we własnej sypialni.

Kichnął, potęgując ból głowy. Drobinki pyłu rozleciały się po pokoju i zniknęły. Uspokoił się, poczekał, aż wzrok mu się przejaśni, i zdecydował, że nadszedł czas, aby wykonać kolejny krok. Wysunął więc stopę do przodu i wycelował w komodę. Nie było źle, z wyjątkiem jednego określonego stawu biodrowego, który zdawał się gryźć go przy każdym kroku. Doszedłszy do toaletki, popatrzył w lustro.

— Dobry Boże, czy to twarz?

Spod osłony bandaży widać wyglądało pół czoła z poprzecznym wzorkiem blizn, obdarty ze skóry nos, para opuchniętych ust i dwoje czerwonych, zaspanych oczu. Oczy przesunęły się sowim spojrzeniem, zrobiły się zdziwione i zimne. Denver odwrócił się.

— Wyglądam, jakbym nie trzeźwiał od czasu zastrzelenia Lincolna. Teraz jeszcze jeden ważny test. Jeśli uda mi się usiąść na tym krześle bez złamania kręgosłupa — powiedział.

Skręcił, kierując się w stronę łóżka. Nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł Bonnet z na wpół otwartymi ustami. Denver zatrzymał się w miejscu i uśmiechnął - krzywym, ukradkowym uśmiechem człowieka przyłapanego na kradzieży jabłek w sadzie. Bonnet zatrzasnął za sobą drzwi i uniósł dyndający mu na nadgarstku pejcz.

— Niech cię diabli, Davidzie Denver — zawołał ostro i gniewnie — wracaj do łóżka! Czy w twojej upartej głowie nie ma ani odrobiny zdrowego rozsądku? Jak myślisz, po jakiego diabła Williamson codziennie odbywa tu długą podróż? Nikt nie może ci nic powiedzieć? Wracaj tam! No już. Na dziewięćdziesiąt procent, będę musiał cię związać.

— Dobrze, dobrze, już idę — burknął Denver.

Siadanie było znacznie trudniejsze niż wstawanie. Podjął trzy daremne próby podniesienia jednej nogi i chciał stopniowo opuścić na łóżko. Bonnet stał obok, w kamiennym milczeniu. Denver zaklął i przygotował umysł na nieuchronny ból; zamachnął się dobrym ramieniem w stronę łóżka i runął do przodu, ciągnąc za sobą resztę ciała. Bardzo powoli chwycił otaczającą go kołdrę.

— No dobrze, Simonie Legree — powiedział, dysząc jak silnik — trzaśnij z bicza i zobacz, czy się wystraszę.

— Posłuchaj, Dave, chcę twojej obietnicy, że nie powtórzysz dziś tego wyczynu. Albo to, albo nie ruszę się z miejsca. Jestem już zmęczony zabawą w pielęgniarkę i nie mam zamiaru patrzeć, jak robisz coś, co ją przedłuża. Czy mam twoją obietnicę?

— Tak. Po co w ogóle wróciłeś?

— Miałem cholernie dobry pomysł, co kombinujesz. Widziałem błysk w twoich oczach.

— No dobrze, dzisiaj będę leżał spokojnie. Ale jestem zdrowym człowiekiem, Lyle. I jutro zamierzam znów ruszyć z kopyta. Williamson się myli co do tego tygodnia. Nie mogę czekać przez cały tydzień.

— Dlaczego nie?

— Zbyt dobrze znam Redmaina. Gdzieś tam gotuje się piekło. Nie wiem gdzie i nie wiem jakie. Ale wiem. Nigdy nie było w tym kraju takiego okresu kłopotów, żebym go nie wyczuł. Stare przeczucia. Coś się niesie na wietrze. Bębny czarowników już biją. A ja jestem na tyle dziki, by to wyczuć i usłyszeć. Idź już, Lyle. Zostanę dzisiaj w łóżku. Ale kiedy wyzdrowieję, spalę ten przeklęty mebel.

— Leż tam, ty przeklęta cholero — odparł Bonnet i wyszedł.

— Albo zastrzelę tego sokolika — zdecydował Denver — albo dam mu jedną czwartą udziałów w ranczu.

Jego ciało pulsowało stałym bólem. Zamknął oczy, ale to tylko doprowadzało go bliżej do bólu, więc otworzył je ponownie i wpatrywał się w sufit. Na tynku widniało pęknięcie, które przypominało mu trochę meandrujące koryto Copperhead. Odwrotny zakręt będzie mniej więcej przy dolnym wodospadzie. Pierwszą małą odnogą był Butte Creek. Weeping Woman wpadała tuż powyżej. Ale od tego miejsca pęknięcie

wykrzywiało się w niewłaściwą stronę, a Denver poczuł niecierpliwe pragnienie dostania się pod sufit i naprawienia błędu. Ponownie zamknął oczy i jęknął.

— Jeśli kiedykolwiek wstanę z tych pleców, to do końca życia będę spał na brzuchu.

Kiedyś uważał tę sypialnię za całkiem przyjemne miejsce. Po spędzeniu w niej kilku ponurych godzin doszedł do wniosku, że nigdy nie widział bardziej opustoszałego pokoju; i nagle dotarło do niego, że jego własne życie jest równie puste. W jaką grę grał przez te wszystkie lata i dokąd ona prowadziła? O co w ogóle walczył, dlaczego zbudował ranczo? Kogo obchodziło, poza nim samym, czy ma dziesięciocentówkę, czy fortunę? Do tej pory upływ dni i jego praca były czymś co mu wystarczało. Jego własna energia prowadziła go od świtu do zmroku. Wstawał i odjeżdżał w siodle, przemierzając szlaki, stojąc nad rozpalonym ogniskiem, uczestnicząc w zmaganiach z zakurzonymi, ryczącymi stadami. Jeździł do miasta, by obserwować swoje rachunki, spotkać się ze Stowarzyszeniem, napić się i pożartować wśród ludzi jego pokroju. A potem do domu, by najeść i spać. To było wszystko, co oznaczał dom na ranczu - miejsce, do którego przyjeżdżał i z którego wyjeżdżał. Nic więcej.

W tamtych dniach nie było czasu na refleksję, nie było potrzeby długich rozmyślań. On sam nie był też człowiekiem skłonnym do introspekcji. Własna witalność, własne zamiłowanie do surowego życia; prymitywna przyjemność deszczu zacinającego w policzki lub widok słońca wyłaniającego się gwałtownie pośród zalanego purpurą krajobrazu - te rzeczy wystarczały poganinowi. Wypełniały mu dni.

Aż do teraz. Obecnie dom był zbyt cichy, zbyt pusty. Kroki kucharza odbijały się zbyt głośnym echem. Z rosnącym niepokojem pomyślał, że jego własne życie było podobne - pełne dźwięków odbijających się echem w pustych kątach. Zaskoczyło go to, że w ogóle w sobie miał takie puste kąty. Myślał, że sobie świetnie radzi sam. Zaskoczyło go, że w jego ciele pojawił się dziwny niepokój. Właściwie to był on jak głód, głód czegoś, czego nigdy nie miał - czegoś, czego nawet nie potrafił umiejscowić.

Jego galopujące myśli przeskoczyły wstecz i przypomniał sobie wieczory, które od czasu do czasu spędzał u Leverage'a. Jake Leverage zdawał się łagodnieć i rozluźniać w murach tego przyjemnie ciepłego i wygodnego domu. Nie było tam żadnych pustych kątów. I w kolejnym nagłym skoku myśli Denver zobaczył Eve stojącą w drzwiach, uśmiechającą się swoimi spokojnymi oczami, zapach perfum na jej włosach lekko dolatywał przez zacienioną werandę i wprawiał go w zakłopotanie. Spokojna, chłopięca postać, otoczona śmiechem, a jednak była to ta sama Eve, która złapała za broń, by strzelić do Danna. Denver zacisnął pięści i popatrzył w sufit.

— Ta banda świń musi zostać zmieciona z powierzchni ziemi — mruknął. — Mogli ją skrzywdzić. Byłem największym głupcem Pana, stojąc z boku przez cały ten czas i pozwalając Redmainowi na pozyskanie dostatecznie dużej siły, by mógł to zrobić. Leverage miał rację. Nie robiło mu różnicy, czy za pomysłem mścicieli stały być może czyjeś nieuczciwe wpływy. Walczył o bezpieczeństwo swoich kobiet. Rola męża i ojca

pozwoliła mu to dostrzec. Ja tego nie widziałem. Jestem tylko półdzikim jeźdźcem, niczym więcej. Dobry Boże, jak ja bym chciał wstać na nogi!

Jego głowa tak ugrzęzła w tych myślach, że stracił poczucie tego, co próbował rozwikłać. Zamknął oczy, a dodatkowy wpływ poranka sprawił, że w końcu zasnął.

Kiedy się obudził, zaniepokojony i zaskoczony, w dużym pokoju rozlegał się dźwięk śpiewu. Śpiewu kobiety. Nie musiał zgadywać; tylko głos Loli Monterey miał w sobie tę ochrypłą, nieskończenie smutną tonację - tylko Lola miała moc tak zapamiętałego rzucania się w słowa, aż powietrze wibrowało jej osobowością. Piosenka była w języku hiszpańskim, a jej melodia zdawała się łączyć w sobie całą starożytną mądrość miłości, życia i tragedii. Kołysała się nieodparcie, opadała do szeptu i wznosiła się jak wyraźne wezwanie. I nagle urwała się, pozostawiając po sobie ciszę, ponurą i napiętą. Denver leżał bez ruchu. Szybkie kroki zastukały po podłodze dużego pokoju. Odezwała się.

— Davidzie.

Stała przy jego drzwiach, lekko muskając je dłonią. Denver patrzył na klamkę, zawieszony między pragnieniem wezwania jej a ponurą potrzebą milczenia. Ale nie miał okazji podjęcia decyzji. Lola ponownie zawołała „Davidzie!”. Drzwi się otworzyły. Zamilkła, wysoka, piękna i niezwykle poruszona. Potem rzuciła się do wnętrza pokoju i upadła obok niego, z głową na jego piersi, krztusząc się słowami.

— Davidzie – śpiewałam dla ciebie, gdziekolwiek byłeś! By przywołać cię z powrotem, ukochany! I wtedy zrozumiałam, że nie umarłeś!

Jedna z rąk pojawiła się w drzwiach i przepraszająco skinęła.

— Ona tylko chciała...

— Wynoś się stąd — powiedział Dave.

Położył rękę na jej miękkiej, lśniącej głowie. Przez chwilę nic nie mówił, wiedząc, że nic nie powinien mówić. Walenie jej serca osłabło, drżenie jej ciała ustąpiło i wyglądała tak, jakby spała, z rękoma zaciśniętymi na jego ramionach. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, bo jego myśli wędrowały starą, pełną goryczy ścieżką w przeszłość, a on zatracił się we wspomnieniach, które były jak ogień i płomienie, śmiech i kłótnia - jak światło słoneczne przebijające się od czasu do czasu przez burzowe chmury. Potem Lola wstała, przechyliła podbródek, a jej oczy uśmiechnęły się przez łzy.

— I tak żyję przez cały czas, Davidzie. Od bólu do radości. Nigdy równo, nigdy spokojnie. Dlaczego to zrobiłeś?

Pokręcił głową.

— Nie mogę ci powiedzieć, Lola. Powiem ci jedynie, że kiedy wyjdziesz z tego domu, musisz zachowywać się tak samo, jak wtedy, gdy tu weszłaś. Ani jedno twoje spojrzenie, myśl czy słowo nie może ulec zmianie. Jestem dla wszystkich martwy i taki pozostanę do czasu...

— Może być tylko jeden powód — powiedziała Lola, której spojrzenie nie opuszczało jego twarzy. — Masz nadzieję dostać Lou Redmaina.

Nie zdążył odpowiedzieć. Lola dorzuciła szybko.

— Lou jest śmiertelnie niebezpieczny.

— Nie jestem jakimś mli-mli, Lola. Czy kiedyś nie było tak, że określiłaś mnie twardym człowiekiem?

— Wiem, ale Lou nigdy w całym swym życiu nie dał nikomu uczciwej szansy - z wyjątkiem mnie. Jest w nim coś, co wypacza każdy dobry impuls. Powie ci, że jest twoim przyjacielem. Naprawdę chce być uczciwy i sprawiedliwy. Ale po chwili zwraca się w inną stronę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie przypomniałam sobie, od kiedy go znam. Oszukał cię na wzgórzach, prawda? Dave, zrobi to ponownie. A ty pójdziesz prosto przed siebie, jak zawsze, i...

— Nie z Redmainem — chrząknął Denver. — Walczę z nim równie nieczysto, jak on ze mną. Niczego nie oczekuję i niczego nie daję.

Milczała przez chwilę. A potem:

— Czy Eve wie...

— Panie wybacz mi, ale nie! Ona myśli, że nie żyję.

Bardzo cicho dodała pytanie:

— A co ze mną, Davidzie? Czy przyszło ci do głowy, że mnie to także może zranić?

— Myślę, że zawsze cię raniłem, Lola.

— Światło dnia — oznajmiła półszeptem, — zgasło. — Ale natychmiast się ożywiła. — Nie wolno mi tak dalej. Kto chciałby widzieć Lolę Monterey we łzach? Tylko kochane kobiety mogą sobie pozwolić na okazywanie nieszczęścia. David, mój drogi, wyzdrowiej. Irytujesz się, bo nie możesz wstać na nogi, bo nie jesteś już dawnym, przyzwyczajonym do dominacji, Davidem Denverem.

— Nie jestem pewien — zadumał się. — Leżąc tak na plecach, człowiek ma czas sobie trochę pomyśleć. Mały świat wokół mnie, nie wygląda już tak samo. Może byłem głupcem. Może zbyt długo jeździłem sam. To bardzo samotne życie.

— W takim razie jest jeszcze dla ciebie nadzieja — stwierdziła, a jej czerwone usta wykrzywiły się w kącikach. — I może nawet jakaś nadzieja dla mnie. — Pochylając się szybko, pocałowała go. — Za dawne czasy, Davidzie. Bądź grzeczny.

— Musisz zapomnieć, że żyję — ostrzegł ją. — Musisz ukryć swoje uczucia.

— A po co innego przez całe życie byłam aktorką? Czyż nie to właśnie muszę robić zawsze - udawać smutną, gdy jestem tak szczęśliwa, że chce mi się śmiać, i sprawiać wrażenie zadowolonej, gdy nie ma we mnie niczego poza bólem?

Wyszła, unosząc ze sobą wdzięk i żywe kolory. Pokój znów składał się z czterech odrapanych ścian.

Doktor Williamson, wróciwszy późnym popołudniem, zastał swojego pacjenta w stanie pełnego buntu.

— Musisz mnie poskładać do kupy — oświadczył Denver.

— Jak? — odparł sarkastycznie Williamson.

— A co mnie to obchodzi? Użyj prochów, drutu lub siekiery. Ale musisz to zrobić. Jesteś lekarzem, prawda? Więc bierz się do roboty.

— Za to — obiecał Williamson — będę cię masował tak mocno, że będziesz wrzeszczał jak umierający Komancz.

— Proszę bardzo. Spróbuj mnie zmusić do krzyku.

— Poczekaj, aż przyniosę ciepłą i zimną wodę.

Williamson właśnie zwijał swoje narzędzia tortur i wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle, gdy wrócił Lyle Bonnet. Bonnet uśmiechnął się.

— Dałeś mu popalić, Doc? Ten frajer wstał dziś rano z łóżka i próbował chodzić.

— Jasne, wszyscy szaleńcy tacy są — stwierdził Williamson.

— Jakie są wieści? — przerwał zniecierpliwiony Denver.

— Najważniejszą informacją jest to, że Steve Steers ogłosił swoje zamiary dorwania Danna i wyzwał go na pojedynek w dowolnym miejscu i czasie.

Denver zaczął kląć okrągłymi, ostrymi zdaniami.

— Cholerny idiota! Nie wolno mu tego robić - Dann jest dla niego za szybki. Musimy go powstrzymać. Słuchaj, pchnij człowieka do Nightingale'a. Użyj każdej wymówki jaką wymyślisz, żeby ściągnąć tu Steve'a. Przekażę mu nowiny. Nie chciałem tego robić przez kilka kolejnych dni, ale musimy go przyhamować, bo inaczej go zastrzelą. Pospiesz się.

Rozdział XVII

Pojedynek

Stinger Dann zasypał popiół z małego ogniska piaskiem i rozgarnął go. Światło słoneczne wpadało na polanę, zapach bekonu i kawy unosił się w powietrzu, a prawa ręka Redmaina przywitał czwarty dzień samotnych łowów, z narastającym przygnębieniem.

Dann miał dwa oblicza i żadne z nich nie było dla niego korzystne. Podczas starć, takich jak te z Denverem, pozwalał sobie na nieuzasadnioną, tygrysią furię, nigdy nie myśląc o swym bezpieczeństwie, nigdy nie zwalniając tempa w pragnieniu niszczenia i zadawania bólu. Lecz w obecnej sprawie ze Steersem był zupełnie innym człowiekiem, cierpliwie czekającym, nawet przez cały rok, na swoją szansę i unikającym każdego fałszywego ruchu. Mógłby wymusić pojedynek szybciej, ponieważ widział Steve'a Steersa dwa lub trzy razy z daleka i zdawał sobie sprawę z faktu, że to Steers ogłosił swoje stanowisko i rzucił mu wyzwanie. Za każdym razem Dann wycofywał się, sądząc, że to może być pułapka, lub uważając, że szanse są nierówne. Wstrzymywał się więc, czekając na moment, w którym Steers, zmęczony tą rozgrywką, stanie się nieostrożny. Dann wiedział, że w końcu trafi się taka okazja. Z tego powodu trzymał się wysoko położonych terenów, z dala od uczęszczanych obszarów, i zmieniał miejsca postoju każdej nocy. Czekał za Shoshone Dome, obserwując drogę dla dyliżansów. Zajął miejsce w ukryciu w pobliżu mostu Copperhead. Następnie, zmieniając stanowisko, zapadł w pobliżu rancza Nightingale'a. Lecz ze wszystkich miejsc, to było najmniej opłacalne. Steers nie wykorzystywał rancza jako bazy. Dlatego Dann przeniósł się na południe od Starlight i zajął swoją obecną pozycję, która położona była na zalesionym wzgórzu z widokiem na kraniec Sundown Valley, drogę dla dyliżansów, pół tuzina rozwidlających się szlaków i prerię.

Miał jeszcze jeden konkretny powód, by zwlekać. Nie będąc głupcem, wiedział, że nie można ufać żadnemu człowiekowi na stanowisku Redmaina; w tym świecie kryminalistów pies zjadał psa, bez żadnych skrupułów. Podczas samotnie spędzonych godzin, dotarło do Danna, że znalazł się praktycznie między Scyllą i Charybdą. Nie miał już grupowej ochrony przestępczej bandy. Musiał polegać na sobie, był odizolowanym bandytą, do którego można było swobodnie strzelać. A w jaki sposób zapobiec temu, by kula nie nadleciała z niewłaściwego kierunku - ze strony Redmaina? Takie rzeczy się zdarzały. Był cennym człowiekiem dla Redmaina, ale szef traktował go szorstko.

— Boi się mnie — chrząknął Dann do siebie, obserwując drogę w dole. — Dowodzi grupą i nie chce, żebym mu się wtrącał. Tacy ludzie im wyżej

są, tym bardziej się denerwują. To widać. Zaczął pilnować swojej głowy, a to nie jest zdrowe dla nikogo, kto stanie mu na drodze. Ale dałem się wrobić. Zlecając mi to, miał ukrytą myśl. To nie chodziło tylko o kwestię pozbycia się Steersa. Każdy mógłby dorwać tego zakichanego bydlaka. Dlaczego wybrał mnie? Tak, stał za tym jakiś pomysł, tego śliskiego szczura.

Słońce wzeszło wyżej, osuszając poranną rosę. Trzech jeźdźców Leverage'a objechało jedną stronę wzgórza, patrolując teren aż do Starlight, a następnie zatoczyło koło w kierunku swojego rancza. Dann poczuł przemożną chęć rozgonienia ich karabinem, tak bardzo był zdenerwowany. Momentalnie jego uraza wzrosła.

— Byłem frajerem, że pojechałem — powtórzył sam do siebie. — Kto wykonał całą ciężką robotę dla Lou Redmaina? Ja. Zasługi zebrał on. A mimo to zagrał na tyle dobrze, by ogłosić całemu światu, że zastrzeliłem Denvera. Powinienem był zostać. Zanosiło się na walkę między mną a nim, i wystarczyła tylko jedna kula, żeby go załatwić. To moja banda, nie jego. Boi się mnie, ot co. Cóż, skończę tę robotę i wrócę. Zobaczymy, kto jest...

Jego błądzące spojrzenie skupiło się. Za Starlight jakiś jeździec nieśpiesznym tempem jechał drogą Sundown - Ysabel Junction. Dann przypadł bliżej ziemi, przysuwając się nieco, by mieć zbliżającego się mężczyznę przez cały czas na widoku. Sięgnął po karabin, ocenił odległość od wzgórza do drogi i powoli zasunął rygiel na załadowanym pocisku. Próbnie przyłożył broń do ramienia. Ale w trakcie ćwiczenia kolejnych kroków, opuścił karabin i podbiegł, by spojrzeć na przeciwległe zbocze. Jeźdźcy Leverage’a wciąż byli w zasięgu wzroku. Dann przyglądał się, jak jadą, a na jego czerwonej twarzy pojawił się grymas. Następnie powrócił na pierwotne miejsce i przeczesał wzrokiem zielony las po drugiej stronie drogi, aż do ujścia Starlight. Kanion był trudnym terenem. Ziemia Denvera z ludźmi z Denvera, a samotny jeździec miał to wszystko za sobą, gdy gnał przed siebie.

To był Steve Steers. Dann rozpoznał go na pierwszy rzut oka. Steers jeździł trzymając specyficznie odchylone łokcie i wyraźnie kołysząc się w siodle; ponadto Steers miał ulubionego konia, umaszczonego jak koc - małego konia, który wysoko unosił nogi. Dann wycelował broń w Steersa, wciąż dyskutując z samym sobą. Trzeba było liczyć się z czymś takim jak chybienie celu, biorąc pod uwagę odległość; istniała również, zawsze obecna, możliwość pułapki. Dann nigdy o tym nie zapominał. Podczas gdy się tak ociągał, nie spuszczając wzroku ze Steersa, ten przejechał przez przesmyk między wzgórzami, zjechał po długim zboczu i znalazł się poza zasięgiem strzału. Dann zaklął powoli, zabezpieczając karabin. Patrzył, jak Steers rusza długim, prostym odcinkiem drogi, na południe.

— Jedzie do Junction — zdecydował Dann. — I to jest szansa, na którą czekałem. Gdy tylko opuści te wzgórza, dobrze wiem, że nikt mu nie pomoże. Teraz mam go tam, gdzie chciałem!

Zjechał po zboczu wzgórza na dół, przejechał przez drogę i ponownie się schował. Piętnaście minut później pojawił się na skraju prerii, z dala od Steersa, który w oddali zmienił się w podskakujący punkt. Ponad

pofałdowanym terenem, niczym aleja rozciągał się wąwóz, pod osłonę którego zjechał Dann, smagając konia batem.

Steve Steers nigdy nie jeździł gdzieś dalej, nie chłonąc nieświadomie szczegółów tego, co się wokół niego działo. To był element zwykłej nauki życia w górach. Ostatnio był szczególnie czujny z powodu wyzwania rzuconego Dannowi. Nie potrafił powiedzieć, czy Dann go ścigał, czy też nie, ponieważ krążąc konno po okolicy, w ciągu ostatnich czterech dni, nie znalazł nawet śladu potężnego bandyty. Dziś jednak przemierzał prerię w dość zrelaksowanym nastroju. Poza urwiskiem zwanym Sugar Loaves w połowie drogi do Junction i kanionem Mogul położonym nieco dalej, nie było miejsca, w którym bandyta mógłby się ukryć. Te dwie geograficzne pułapki na ludzi, zostawił za sobą bez żadnych incydentów. Raz, zauważył poruszający się obiekt, kilka mil na lewo od siebie, po czym nagle go zgubił, ale było to coś podobnego do statku widzącego inny statek na horyzoncie, więc nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Po dwóch godzinach drogi od Starlight, dojechał do Junction i zsiadł z konia, z trochę wysuszonym gardłem, trochę senny i niczego się nie spodziewając. Jedyną konkretną myślą, jaką miał w głowie, było wysłanie telegramu do Salt Lake do pewnego dżentelmena, który specjalizował się w pracy detektywistycznej w firmach zajmujących się bydłem. Omówił tę sprawę z Nilandem i zgodzili się, że mogłoby być przydatne, aby ten człowiek przyjrzał się dostawom Feara Langdella, gdy tylko tam dotrą, a zwłaszcza zbadał mięsną stronę znaków, po oskórowaniu wołów.

Szedł w kierunku zabudowań stacji, kontemplując całkowite osamotnienie tego punktu na mapie. Nad Ysabel Junction górował wiecznie przeciekający zbiornik na wodę, co stanowiło połowę powodów, dla których w ogóle istniał tu przystanek kolejowy. Druga połowa wiązała się z obecnością długiego szeregu corrali dla bydła i ramp załadunkowych, które biegły przez całą długość około tysiącosiemsetjardowej bocznicy. Znajdowały się tu również trzy barakowozy, obecnie całkiem opustoszałe, oraz kilka lichych szop. I to była scena nadchodzących wydarzeń. Steve przeszedł przez otwarte drzwi budynku stacji z rosnącym poczuciem zmęczenia. Telegraf ostro stukotał, w brzęczącym owadami powietrzu, ale kiedy przeszedł z poczekalni do połączonego biura i pomieszczeń mieszkalnych agenta stacji, nie zastał nikogo.

— Wspaniałe i pracowite życie — pomyślał, siadając na krześle. — Zwariowałbym, gdybym nie miał nic innego do roboty, poza obserwowaniem przejeżdżających pociągów. To i wypas owiec to dla mnie absolutne dno ludzkiej aktywności. Teraz zastanawiam się, gdzie się podział ten tyłkosiad?

Zawinął papierosa i oparł krzesło o ścianę, uznając, że łatwiej jest czekać, niż wyjść i wołać. Mucha zabzyczała mu wokół głowy i zamknął oczy. Telegraf trajkotał przez chwilę, po czym zamilkł. Świat był duży i było mnóstwo czasu, którego odpowiednia część minęła bezboleśnie, zanim Steve zdążył się zorientować. Telegraf zagrzechotał ponownie i chociaż Steve nie wiedział absolutnie nic o alfabecie Morse'a, wydawało mu się, że wykrył regularną sekwencję w sygnale. Powtórzenie jej sprawiło, że poczuł lekki niepokój; wstał, przeszedł wzdłuż ścian i

przestudiował porozwieszane na nich zdjęcia, w większości kobiet z magazynów. Niektóre nawet miały na sobie ubrania.

— Mamusiu — mruknął Steve, odrzucając kapelusz na plecy — przyjeżdżaj ratować swojego synka! Ten facet to ma gust.

Po chwili jednak nawet niezaprzeczalna nowość możliwości odbioru sztuki, osłabła. Steve zastanowił się.

— Jego kapelusz jest tutaj, jego płaszcz też jest tutaj, podobnie jak jego broń. Jest też fajka. No cóż, zdaje się, że ten facet ma więcej czasu niż ja, więc lepiej się rozejrzę. Zabawne, ale im mniej człowiek ma do roboty, tym trudniej go znaleźć w razie potrzeby.

Wrócił do poczekalni i wyszedł na wysypany żużlem podjazd. Na tle jasnego dnia nie było żywej duszy. Poza barakowozami i otwartymi szopami, na zewnątrz nie było żadnego miejsca, w którym agent mógłby się schować. Steve’a zaczęła irytować ta kosmiczna obojętność, która go otaczała. Otworzył usta i wydał z siebie ostry krzyk.

— Hej!

Żadnej odpowiedzi. Nawet echa. Wyglądało na to, że nie istniała żadna wystarczająco duża siła, która mogłaby naruszyć przytłaczającą pustkę. Steve popatrzył z namysłem na zbiornik wody.

— Ciekawe, czy może nie wszedł tam, aby wziąć kąpiel, i nie jest w stanie się wydostać? HEJ!

Zaklął łagodnie i ruszył w stronę meksykańskich barakowozów.

— No cóż, jeśli mam go znaleźć, to muszę go poszukać. Ale ten pomocnik, którego zatrudnia ta firma kolejowa, jest skandaliczny.

Jego buty głośno chrupały po żużlu, a potem wydostały się na miękki piasek. Najbliższy z barakowozów znajdował się sto metrów od torów, a pięćdziesiąt stóp na lewo od niego, wznosiły się chude żebra płotów pierwszej zagrody przeładunkowej. Steers sięgnął po tytoń i już miał chwycić garstkę w palce, gdy przez jego pogrążony w letargu umysł przebiło się ostre, zimne ostrzeżenie. Dłoń zamarła mu na woreczku z tytoniem, a nogi zachwiały się. Ale szybki niczym błyskawica impuls poruszył jego zatrzymujące się mięśnie i Steve ruszył dalej, utrzymując przez cały czas to samo tempo. Nie mógł już zawrócić do bezpiecznego miejsca w budynku stacji. Był teraz dużym, łatwym celem i nie widział innego bezpiecznego schronienia dla siebie, niż platforma załadunkowa, która w tej konkretnej chwili znajdowała się tysiąc mil od niego. Pot pokrył mu skórę, a potem odzyskał chłód i opanowanie. Czuł, jak jego twarz układa się w wyraz leniwej obojętności. Okno najbliższego barakowozu wpatrywało się w niego jak oko śmierci.

— Jesteś w pułapce, ty parszywy głupcze! — zawołał do siebie w duchu. — Jeden ruch z tego miejsca i jesteś martwy jak zeszłoroczna skóra węża! Mój Boże, dlaczego nie myślisz! Spokojnie, spokojnie - idź dalej - jeszcze trochę - jeszcze trochę! Jeszcze tam nie biegnij! Jeszcze - tam - nie - biegnij!

A kiedy tak się upominał i dławił w sobie impuls do paniki, wydawało mu się, że stoi w miejscu. Szczeliny między słupkami corralu przypominały szereg drwiących z niego ust. Cisza w Ysabel Junction stała się straszliwie przytłaczająca, gotowa rozerwać się z hukiem niczym ryk zagłady, gdy

odezwie się broń Danna. Każdy metr drogi, który zyskiwał do bezpiecznego miejsca, skracał również dystans między nim a niewidoczną bronią.

Mały głosik w jego mózgu w końcu powiedział wyraźnie: „Teraz!”. Steve odskoczył na bok, rzucił się w stronę corralu, skoczył ponownie i usłyszał wściekły huk broni z budynku sekcji. Upadł na ziemię, przetoczył się za podstawę corralu, wciągając do płuc mnóstwo pyłu. Pociski szaleńczo wbijały się w słupki, odrywały drzazgi, posyłały piasek w górę na metr ponad jego głowę. Steve przetrwał to. Strzały się skończyły. Dann krzyknął wściekle z szałasu:

— Sam tego chciałeś, Steers! Podnieś się to dostaniesz za swoje!

— W karabinie zabrakło nabojów — pomyślał Steve i poderwał się na nogi. Dann wyskoczył przez drzwi barakowozu i przebiegł przez otwartą przestrzeń na stronę corralu, zanim Steve zdążył odpowiedzieć. Bandyta sięgnął po rewolwer; posłał kolejną kulę w stronę ogrodzenia, ale ta rozerwała drewno za Steve'em.

— To jeden — mruknął Steve i wycofał się do tylnej linii corrali. Dann również się wycofywał, chowając się pod rampami załadowczymi. Steve podążał za nim. Dann zatrzymał się i padł na ziemię. Steve zrobił to samo.

— Jeśli chce mnie wciągnąć do tych corrali — chrząknął Steve, czując smak potu - to czeka go jeszcze jedna zgadywanka. Ale...

Czołgał się dalej i dotarł do wąskiego przejścia. Dann czekał tam i ponownie otworzył ogień. Steve cofnął się.

— To kula numer dwa i trzy - już prawie.

— Steers – będę czekał na ciebie na otwartym terenie, na zewnętrznym końcu!

Steers nic nie odpowiedział. Wysunął ramię na otwartą przestrzeń, ściągając czwartą kulę i usłyszał, jak Dann ponownie wycofuje się biegiem.

— Próbuje oddalić się na tyle, by załadować - niech go szlag!. — Zwlekał jeszcze tylko chwilę, dopóki nie zobaczył Danna między słupkami. Podniósł się i ruszył galopem przejściem. Dann zawrócił, wystrzelił i stanął. Steers pomyślał: — Znowu mnie namierzył. Wszystko ustawione i wycelowane. No cóż, i co z tego? — I wypadł z przejścia. Ostatnia kula Danna przeszyła na wylot płaszcz Steve'a, a wtedy Steve zatrzymał się i stanął twarzą w twarz z Dannem.

— Steers — oznajmił Dann, otwierając bębenek swojego rewolweru — skończyły mi się naboje. Jeśli chcesz być mężczyzną… — rozpoczął zdanie.

— Taa? — zabrzmiała bezbarwna odpowiedź Steve'a. Uniósł broń, wycelował i wystrzelił.

Dann wzdrygnął się i upadł na kolana. Próbował podtrzymać się rękoma. Ugięły się pod nim. Uderzył ramieniem o ziemię i przewrócił się na bok. Steve podszedł, patrząc na banitę bez śladu uczuć, bez większego współczucia czy troski, jak gdyby patrzył na leżący zwiędły liść.

— Umierasz, Dann?

— Spłacam dług - u Boga! — odetchnął Dann. Cała jego twardość zniknęła przed ostateczną szarością śmierci.

— To dobrze. Nie będzie trzeba marnować kolejnego strzału. Giń szybko. Nie cierpię na ciebie patrzeć.

— Wrobiony — wykaszlał Dann. — Ja. Popełniłem błąd. Posłuchaj… wyjaśnię to z Lou Redmainem. Posłuchaj. On zamierza spalić Sundown.

— Kiedy? — spytał Steve. Ale Dann był już martwy, a gdy jego mięśnie ustąpiły i osiadł na brzuchu, zdawał się pokręcić głową.

Steve odwrócił się do tyłu. Agent ze stacji stał w połowie w barakowozie, a w połowie poza nim. Zorientowawszy się w sytuacji, pobiegł w stronę stacji, wołając:

— Dann mnie tam trzymał, a ten przeklęty telegraf stuka już od pół godziny!

Przechodząc obok barakowozu, Steve zobaczył, że do środka został wciśnięty również koń Danna. Wyprowadził go i zostawił obok swojego. Automatycznie sięgnął po tytoń, po czym przypomniał sobie, że upuścił go za rogiem corralu. Cofnął się; kiedyś był to pełen wypchany woreczek, ale teraz nie pozostało nic poza kilkoma strzępami materiału i kulką tytoniu ze śladami jego palców. Odkopnął go i wszedł do budynku stacji. Nerwy szarpały agentem na sposób podobny do tańca świętego Wita.

— Odchodzę — powiedział Steve'owi. — Czy źle się czuję? Oczywiście, że źle. Ty też czułbyś się źle, gdybyś żył w budzie, w której nic się nie rusza poza pulsem twojej krwi, a potem nagle coś takiego wybucha ci prosto w twarz. Mam dosyć! To właśnie przyszło pocztą. Jedziesz do Sundown? No to bierz. Zaoszczędzisz trzy godziny czekania na dyliżans. To do Eda Storma w banku. Będzie chciał to wiedzieć. Przychodzi do niego dostawa pieniędzy na wypłaty.

Steve spojrzał na rozchwiane symbole na otwartej kartce papieru. Były tylko cztery i brzmiały następująco:

ABACUS SIN EULOGIZE HAROLD

— Skąd wiesz? — dopytywał się Steve.

— Bo wiem. A co z tym człowiekiem, Dannem?

— Tu jest coś, co chciałbym, żebyś przesłał dla mnie depeszą — powiedział Steve. — Zapisałem to.

— Słuchaj, nie zostanę tutaj z tym trupem na zewnątrz! Nie dotknę go!

— Oto wiadomość — powiedział Steve, kładąc ją na stole agenta. — A oto dwa dolary. A jeśli coś takiego cię denerwuje, przyjacielu, to Yellow Hill na pewno nie jest miejscem dla ciebie.

— Czy ty nie masz nerwów?

— Nerwów? — chrząknął Steve. Jego głos zaczynał robić się piskliwy. — Tak, ale nie jestem z nich dumny. Wcale mi nie pomagają. W tym kraju człowiek z nerwami nie ma większych szans na przeżycie, niż śnieżna kula w piekle.

— Ja o mało nie oszalałem — rzucił agent, wiercąc się na krześle. — Postawił mnie pod ścianą tego baraku, grożąc mi bronią! Słuchaj, on był zimny jak lód! Usłyszałem ciebie i byłem tam w środku, nie mogąc zrobić nic innego, jak tylko czekać na twoją śmierć!

— No cóż — stwierdził Steve — to całkiem proste. Umrzesz ty albo umrze on. I nie ma zbyt wiele czasu na decyzję, kto ma być kim. Jeśli przeżyjesz, to nie ma się czym martwić. W przeciwnym razie, też nie ma się czym martwić. Masz tu coś do picia, jakiś mocny trunek? Nie? W porządku, myślę, że dam radę wrócić do domu bez niego. Zostawiam ci konia Danna. Jeśli banda nie przyjedzie dziś w nocy, to zrobi to szeryf. Przekaż przez niego wiadomość.

Wsiadł na konia i ruszył na północ przez prerię, z oczami na wpół przymkniętymi od blasku słońca. Nieświadomie zaczął kołysać się w siodle, przesuwając ramię z boku na bok, wykrzywiając twarz i dotykając rękojeści pistoletu. Dopiero gdy jego ostrogi zaczęły wyginać pony w łuk, Steve zdał sobie sprawę z tego, co robi i surowo się zgromił.

— Dobrze, dobrze. Już po wszystkim. Po co znowu toczyć tę walkę? On nie żyje. Ja żyję. Nie trafił mnie dwunastoma pociskami, a ja zabiłem go jednym, czego nigdy się nie spodziewałem. Mógł mnie pokonać każdego dnia tygodnia, o każdej porze dnia. Gdyby stanął na środku ulicy, oznajmił się i poszedł naprzód po równym gruncie, już bym nie żył. Ale nie. Musiał zrobić z tego pewną sytuację. Musiał pójść za swoją podstępną, zdradziecką naturą. I tak oto jestem tutaj, cały i zdrowy - i starszy o milion lat.

W jego ciało wkradło się znużenie, siedział w siodle jak do połowy pełen worek jedzenia. Papierosy nie miały smaku, a jego zmysły nie chciały sięgać w otaczający go świat, jak to miały w zwyczaju. Nigdy jeszcze w swoim dwudziestopięcioletnim życiu nie czuł się bardziej zmęczony.

— Chyba dopadła mnie grypa — pomyślał, nie zdając sobie sprawy, że w ciągu kilku minut akcji w Ysabel Junction zużył energię odpowiadającą tygodniowi ciężkiej pracy. Jego myśli stały się tak ospałe, że minął Kanion Mogul, zanim wyrwały się z tego kanału rozumowania i przeskoczyły w inny.

— Nigdy nie myślałem — rozmyślał — że kiedykolwiek mógłbym stać nad człowiekiem i czerpać przyjemność z przyglądania się, jak umiera. Nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek dojdę do punktu, w którym będę trzymał broń, by oddać drugi strzał do umierającego, gdyby pierwszy nie wystarczył. Patrzyłem na niego bez większego uczucia, jakby był wężem. Cieszyłem się, że umiera i powiedziałem mu to. Człowiek musiał już zajść całkiem daleko, żeby zrobić coś takiego. Przyznaję, że muszę być inny niż myślałem. Gorszy czy lepszy - Bóg jeden wie. Ale nigdy już nie będę jeździł tak lekko i łatwo. Nigdy więcej. — A długo później, gdy wjechał na pierwszą krawędź wzgórz i poczuł na sobie cień sosen, dodał: — Jakie to ma znaczenie? Co dobrego zrobiłem? Denvera już nie ma. Redmain wciąż jeździ, a ja jestem tutaj.

Z wysiłkiem wyrwał się z tych ponurych rozmyślań. Dojeżdżał już do Starlight, zbliżając się do jeźdźca, który wyjechał spomiędzy zalesionych zboczy kanionu. Jeździec zatrzymał się na drodze i odwrócił w jego stronę, czekając. Steve przyjął to z podejrzliwością, lecz nie zwolnił tempa. Wkrótce odkrył, że był to Lyle Bonnet. Lyle podniósł rękę i ruszył naprzód, zatrzymując się przed Stevem. Na jego twarzy pojawiła się ogromna ulga.

— Ty pierzasty, zawszony skoczku leśny. Gdzie byłeś? I gdzie nie byłeś? Zajrzałem do wszystkich nor piesków preriowych, niedźwiedzich jam i dziupli w całym kraju. Szukałem cię. Powiedz człowieku!

— No to jestem — zauważył Steve i zamilkł.

Lyle Bonnet przyjrzał się uważniej swojemu rozmówcy. To nie był ten sam Steve. W jego bladoniebieskich oczach nie było ani krztyny humoru, a w tonie jego odpowiedzi nie pobrzmiewała żadna melodia. Ten człowiek, który siedział w siodle i wpatrywał się w niego ponuro, z zaciśniętymi ustami, był niesamowicie obcy, i Lyle Bonnet miał dziwne wrażenie, że widzi kogoś, kto był przeciwieństwem Steve'a.

— Tak, jesteś — mruknął Bonnet — i myślę, że nie ma dla ciebie znaczenia, że właśnie w naturalny sposób zdarłem kopyta sześciu koniom, próbując cię znaleźć. Wygląda na to, że nie spałeś od czwartego lipca 1887 roku. Gdzie byłeś?

— Miałem robotę — odparł Steve i ponownie zapadła cisza.

— Proszę, proszę — zauważył Bonnet. — Gadatliwy ptaszek. No dobrze, jedź ze mną na ranczo.

— Po co?

— Nastąpiły pewne zmiany — odparł wymijająco Bonnet. — Prawdę mówiąc, chodzi o coś w rodzaju spotkania w celu omówienia tematów, które przyniosą obopólne korzyści i zainteresowanie.

Steve zastanowił się i skinął głową.

— Jedźmy więc — powiedział tylko.

Bonnet poprowadził go w górę Starlight w szybkim tempie. W pewnej chwili oderwał się od Steve'a, zatrzymał się i odwrócił, by zobaczyć, jak Steers stał koło ściany kanionu, z głową uniesioną, jakby przepatrywał jej odległy wierzchołek. Steve jednak po chwili ruszył dalej i wkrótce dotarli na grzbiet z widokiem na podwórze D Slash. Tuż obok szlaku znajdował się świeży prostokąt ziemi oznaczający fałszywy grób Denvera. Steve minął go pośpiesznie, z twarzą jak z kamienia, i podszedł do ganku domu.

— Kto jest na tym spotkaniu? — chciał się dowiedzieć.

Bonnet niedbale machnął w stronę domu.

— Wejdź do środka.

Steve pchnął drzwi, zaczął przechodzić przez próg i zatrzymał się jak człowiek z przestrzelonym sercem. Na środku pokoju, podpierając się laską, stał Denver; Denver zaatakował go natychmiast, bez ogródek, surowo.

— Gdzie ty, na Boga, się podziewałeś,? Jaki masz interes w tym, żeby jeździć po okolicy jak szalony, rzucając wyzwania wszystkim twardzielom, jakbyś był Dzikim Billem we własnej osobie? Nie gap się tak na mnie. To niezła sytuacja, gdy człowiek w potrzebie nie może znaleźć swoich przyjaciół bez wysyłania całego oddziału ludzi. Wejdź i zamknij drzwi.

Bonnet był tuż za Stevem. Steve obrócił się na pięcie, odepchnął Bonneta z przekleństwem i przeszedł na drugi koniec werandy. Bonnet wszedł do środka.

— Wygląda na to, że za chwilę ktoś tu odetnie ci oboje uszu — zauważył.

Denver uśmiechnął się kwaśno.

— No cóż, musiałem mu coś powiedzieć, żeby odreagował to spotkanie, prawda? Przypuszczam, że będzie mi dokuczał i będę musiał przyjąć to z uśmiechem na ustach.

Z werandy dobiegł dziwny odgłos trąbienia.

— Co to? — spytał Bonnet, ruszając na zewnątrz.

Denver powstrzymał go.

— Nie, zostań tutaj. Steve właśnie wydmuchuje nos. Wygląda na to, że emocje wpływają na jego układ oddechowy. Gdzie go znalazłeś?

— Przyjechał z prerii, wyglądał jak ostatnie dziecko Izraela, jak jedyny ocalały z powodzi, jak facet, który zapomniał, jak się nazywa. Chodzi mi o to, że on mniej więcej tak wyglądał, jeśli mnie chwytasz.

— Częściowo i bardzo powoli — chrząknął Denver. — Trzymaj moją stronę i nie pozwól mu udawać biedaczka. Nadchodzi.

Steve stanął w drzwiach z kciukami wsuniętymi za pas. Jego twarz była ściągnięta w potężnym ponurym grymasie.

— A więc raczył pan powrócić, panie Denver? — oznajmił chłodno. — W niebie nie mieli skrzydeł, a do piekła nie chcieli cię wpuścić. Po prostu wielki, przerośnięty, żartowniś. Myślałem, że umrę ze śmiechu, gdy usłyszałem, że kopnąłeś w kalendarz. Słuchaj, Denver, nie masz żadnego tytułu żeby rościć sobie prawa do posiadania przyjaciół. Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze możesz sobie wracać do grobu. Wyobraź sobie co człowiek...

— To jakby jego głos — zauważył Denver, kiwając głową do Bonneta. — Ale ta twarz nie wydaje się mi znajoma.

— Mniejsza o moją twarz — warknął Steve. — Pańska nie zniosłaby zbyt wielkiej ilości światła dziennego, panie Denver.

— Pomyśl tylko, Bonnet — zasmucił się Dave. — Pomyśl tylko, co mówi ten człowiek, którego praktycznie wyciągnąłem z ubóstwa.

Steve krzyknął:

— Po co, na imię Jowisza, to zrobiłeś?

Denver uśmiechnął się – rzadko spotykany i ciepły uśmiech, który wyciągnął ze Steve'a urazę jak leczniczy okład.

— Wiem, że to boli. Ale ktoś musiał ucierpieć. Chciałem, żeby w całym kraju było głośno o tym, że nie żyję. I myślę, że byłeś całkiem dobrą tego reklamą.

— Więc nie można mi było zaufać? — burknął Steve.

— Miałeś swoją rolę do odegrania, Steve.

— Nigdy więcej tego nie rób — ostrzegł poganiacz. — Słyszysz? Nigdy więcej tego nie rób.

— W porządku — zgodził się Denver. — Mam szczęście, że mi się udało. Ale co to za głupoty, które o tobie słyszę?

— To bardziej kwestia roli, jaką miałem odegrać — odciął się Steve.

— Nie strzelaj się z Dannem — upomniał go Denver. — Kiedy wsadzimy go do więzienia, będzie tam siedział razem z resztą.

— Nigdy nie wsadzisz go do więzienia, Dave — oznajmił łagodnie Steve.

Bonnet i Denver przyjrzeli się Steve'owi uważniej. Bonnet spytał:

— Czy to dlatego przyjechałeś z prerii wyglądając, jakbyś połknął cytrynę?

— Spotkałeś go? — podchwycił Denver.

— Tak — mruknął Steve. — W Ysabel Junction. Zastawił pułapkę, a ja wlazłem w nią jak głupi dzieciak. Oddał dwanaście strzałów. Ja dopadłem go jednym. I śmiałem mu się w twarz, kiedy umierał.

W pokoju zapanowała cisza. Denver stuknął laską o podłogę, zaciskając usta.

— Podjąłeś ogromne ryzyko, Steve — powiedział w końcu.

— Zastanów się nad tym następnym razem, kiedy będziesz udawał martwego — odparł Steve. Potem na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech. Podszedł i uderzył Denvera w klatkę piersiową. — Ty dziki kocie, musieliby użyć dynamitu, żeby cię usunąć z tego padołu łez! No cóż, oto jestem - i co dalej?

Denver znów się uśmiechnął.

— Bonnet, nasz Stevie wrócił do domu.

— Słuchaj — dodał Steve — mam coś do powiedzenia. Dann umarł myśląc, że Redmain go wrobił. Więc wygadał się, a ty możesz wykorzystać to na swoją korzyść. Powiedział, że Redmain planuje uderzyć na Sundown i spalić je na popiół.

— Kiedy? — zapytali zgodnym chórem Denver i Bonnet.

— Umarł na moich oczach i nic nie powiedział.

Denver kulejąc krążył po pokoju.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie ukrywa się Redmain. Nikt z chłopców nie był w stanie odnaleźć żadnych tropów. Musimy się dowiedzieć. Musimy to zrobić szybko. Spalić Sundown? Jeśli to siedzi w jego głowie, to z pewnością nie odpuści, aż spełni swoją obietnicę. Nie Lou Redmain. Będzie niszczył wszystko, na prawo i lewo.

Steve włożył rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął telegram od agenta ze stacji. Przez chwilę nad nim się zastanawiał.

— A tak — mruknął. — Muszę pojechać z tym do miasta. Agent powiedział, że to coś dla Eda Storma. Mają przybyć pieniądze na wypłaty.

Denver stanął w miejscu jak wryty.

— Kiedy?

— To zaszyfrowane, ale agent wydawał się wiedzieć. Powiedział, że w sobotę.

Denver wziął głęboki oddech.

— No dobrze. Skoro nie możemy poznać daty ataku Redmaina, to ją wymusimy. Sprawimy, że będzie mu się opłacało przyjechać w sobotę - po przybyciu pieniędzy. Idź przekazać wiadomość Edowi. Potem przejdziesz się na parę drinków.

Steve podniósł rękę w proteście.

— Nigdy więcej nie chcę widzieć alkoholu.

— Wypij kilka drinków i odrobinę rozpuść język. Wspomnij o tych pieniądzach u Grogana. Wspomnij też o dacie. Wieści dotrą do Redmaina. Nie martw się o to. To cała przynęta, jaka będzie potrzebna, by rozpoczął atak.

— I co potem? — dopytywał się Steve.

— Wróć do Nightingale'a i zajmij się swoimi sprawami, dopóki nie dam ci znać, że masz przyjechać. Kiedy to zrobię, nie trać czasu.

— Co mam powiedzieć Edowi Stormowi? Nie spodoba mu się to.

— Al Niland zna Storma. Niech Al mu to wyjaśni.

— Co ma wyjaśnić? — chciał wiedzieć Steve. — I w związku z tym, czy to na mnie zrzucasz zadanie przekazania Alowi, że wciąż żyjesz? Czyż nie miałem już zbyt wielu kłopotów?

— Opowiedz Alowi całą historię. Ale zrób to w postronnym miejscu. A kiedy przestanie przeklinać, powiedz mu tak: Ma pójść do Storma i wyjaśnić, że wiadomość o dostawie pieniędzy wyciekła. Ma poprosić Storma, by nie podejmował żadnych kroków w kierunku dodatkowej ochrony banku, ani nie podejmował żadnych działań, które mogłyby wzbudzić podejrzenia. Wszystko ma się toczyć jak dotychczas. Ale kiedy Redmain przyjedzie tego dnia do miasta, będę tam z ludźmi.

Wtrącił się Bonnet.

— To już nie ma sensu, Dave. A co jeżeli, że Redmain nie zaczeka, aż pieniądze dotrą do banku? Powiedzmy, że zatrzyma dyliżans na wzgórzach?

— Jeśli postanowił zniszczyć Sundown — odparł Denver — to zrobi to. I wierzę, że zaczeka, aż pieniądze znajdą się w banku, aby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Spalić Sundown - dla mnie brzmi to jak marzenie szaleńca — stwierdził Bonnet. — Nie rozumiem na co on liczy, mając szanse jednorękiego Chińczyka.

— Wjedzie do miasta z ponad trzydziestoma ludźmi — odparł Denver. — Kto niby ma go powstrzymać?

Steve zgodził się z Denverem.

— Zorganizowana grupa zawsze ma przewagę. Ludzie w mieście będą siedzieć cicho i nic nie zrobią - mając nadzieję, że kłopoty same ucichną.

— Dokładnie tak — potwierdził Denver. — Pochowają się jak najszybciej. Redmain uderzy na bank, rozrzuci pół tuzina zapałek i ruszy w drogę. A kiedy wśród tych budynków wybuchnie poważny pożar, Sundown jest już załatwione.

— Nadal uważam, że widzisz to zbyt różowo — sprzeciwiał się Bonnet. — Pojedynczy przeciek i źle się to dla nas skończy.

— To jest ryzyko — przyznał Denver, zwężając oczy. — Ale to najlepsze, co możemy zrobić. Jeśli tego nie zrobimy, boję się konsekwencji. Lepiej już jedź, Steve. Robi się późno. I postaraj się wyglądać na smutnego.

— To nie będzie trudne — stwierdził Steve, — biorąc pod uwagę, że muszę powiedzieć Nilandowi, że żyjesz.

Bonnet wciąż miał wątpliwości.

— A jak zamierzasz dostać się w sobotę w pobliże Sundown, żeby cię nie zauważono?

— Na tym właśnie polega ryzyko — odparł Denver.

— Mogę wskazać większe ryzyko — zastanowił się Bonnet. — A mianowicie to, że będziesz próbował walczyć w obecnej formie. Głupota.

— Za czterdzieści osiem godzin będę zdrów jak ryba — stwierdził Denver.

— A za czterdzieści dziewięć możesz być martwy jak kamień — rzucił Bonnet z humorem. — Ten Redmain zawsze był na bakier z rozsądkiem. Dlatego myślę, że coś jest nie tak z tym całym planem. On nie wygląda dobrze.

Denver wzruszył ramionami.

— Albo Redmain popełnia błąd, albo ja. Wkrótce się przekonamy.

Rozdział XVIII

Pomyłka

Mały człowieczek o oliwkowej cerze, który tak skutecznie wtopił się w tło Sundown, siedział na ławce przy Palace i palił papierosa w czarnej bibułce, wypuszczając od czasu do czasu obłoczek dymu. Patrzył w gwiazdy, rozmyślając o czymś, na co pozwalały mu chytre i skryte myśli w jego małej główce; Popatrzył kolejny raz na zakurzoną, ozdobioną latarniami ulicę i zobaczył wjeżdżającego do miasta Steve'a Steersa. Bardzo ostrożnie mały człowieczek wypuścił dym z płuc, przykucnął i czekał. Steers poszedł prosto do banku, zastukał w okno i został wpuszczony; pięć minut później Steers wyszedł, zastanowił się nad wyborem między restauracją oraz saloonem Grogana, i uległ oczywistej pokusie. Mały człowieczek wstał, przeszedł przez ulicę koło ciemnego zaułka i wślizgnął się do salonu, przycupnąwszy pod ścianą. Steers pił. Obok niego stał Al Niland, kolejny obywatel, na którego mały człowieczek powinien mieć czas by go obserwować. Obaj rozmawiali. Mały człowieczek przysunął się do nich bliżej.

— Nie mogę się napić? — Steve zapytał Nilanda.

— Tylko się znowu w tym nie wykąp — ostrzegł go Niland.

Grogan nachylił się nad barem w jedwabnej koszuli o pasiastych rękawach.

— W ramach osobistej przysługi dla mnie, Steers, nie pij zbyt dużo alkoholu, a ja podam ci go za darmo.

— On nie jest wart swojej ceny, nawet za darmo — zauważył Steve i zarobił ponure spojrzenie. — Te pieniądze w banku. Zastanawiam się, kto je dostanie?

— Jakie pieniądze? — spytał Niland.

— Zostałem dzisiaj regularnym posłańcem Wells-Fargo — mruknął tajemniczo Steve. — Przywiozłem telegram z Junction do Storma. Zaszyfrowany, według agenta stacji. Do banku przychodzą pieniądze.

— Tylko tutaj nie wydawaj ani grosza — ostrzegł Grogan. — Nie ma sensu powtarzać tego ostatniego jamboree. Wziąłem od ciebie już całą forsę, jaką kiedykolwiek chciałem. Uznajmy, że wszystko jest w porządku. Ale nie próbuj tego więcej. Po prostu przyjmij radę życzliwego przyjaciela. O jakich pieniądzach mówiłeś?

— Życzliwego przyjaciela — chrząknął Steve. — Wbiłbyś mi nóż w plecy, gdybyś tylko mógł, Grogan. Wiem o tym. Ale nie martw się. Nie mówiłem, że to moje pieniądze, prawda? Należą do banku, albo będą należeć, kiedy nadejdzie sobota.

Niland odkrył dookoła tuzin zainteresowanych słuchaczy. Szturchnął Steve'a łokciem.

— Nie masz prawa rozgłaszać treści prywatnych telegramów, Steve. Dotyczy to zwłaszcza spraw bankowych. Nie wiesz o tym? Ucisz się i chodźmy na stek.

— Co w tym złego? —chciał wiedzieć Steve. — Bank to instytucja publiczna. Jego pieniądze, to wspólna kasa.

— Właśnie tak — zgodził się Niland. — Czasem nawet zbyt wspólna. Słyszałeś kiedyś historię o człowieku, który za dużo gadał? Słuchaj, idziesz na ten stek, czy mam ci go dostarczyć, na tacy kelnera?

Wywiązała się między nimi przyjacielska sprzeczka. Mały człowieczek wypił swój kieliszek do ostatniej kropli, zapłacił i wymknął się od Grogana tak samo niezauważony sposób, jak wszedł. Na ulicy zatrzymał się, by ponownie zapalić czarnego papierosa. Impuls, a może ostrożna chęć sprawdzenia tego, co usłyszał, skierowała go w stronę banku. Mijając budynek, zajrzał przez okno i zobaczył zamykającego interes Eda Storma; nieco dalej podszedł do konia Steve'a i nieśmiało potarł klatkę piersiową zwierzęcia, obwąchując skorupę potu i brudu. Po tych obserwacjach podążył boczną uliczką, ominął tyły Palace i wszedł na schody Langdella. Nasłuchiwał przez chwilę, przyłożył oko do dziurki od klucza, dyskretnie zastukał. Langdell nie zaprosił go, lecz mały człowieczek i tak wślizgnął się do środka, jednym szybkim ruchem.

Langdell uniósł wzrok znad biurka. Mały człowieczek mruknął:

— Potrzebuje mnie pan, panie pułkowniku?

— Nie. Wynoś się. Jestem zajęty.

— Myślałem, że jestem potrzebny.

Langdell wyprostował się, zsunął daszek ocieniający z oczu i wskazał małemu człowieczkowi, by stanął dalej od okien.

— No cóż, jeśli coś masz, to posłuchajmy.

— Dlaczego miałbym to robić? — odparł mały człowieczek i rzucił głodne spojrzenie na szafkę Langdella z butelkami. Wyglądało to na ceremonię, którą Langdell musiał znieść. Skinął głową, a wkrótce mały człowiek rozkoszował się pełnym kieliszkiem. — Ale coś wiem — dodał. — Steers jest w mieście.

— Nie warte drinka — stwierdził Langdell. — Wkrótce sam bym się o tym dowiedział.

— On i Niland spotkali się u Grogana.

— Co z tego?

— Steers rozgłasza fakt, że zaniósł telegram do Eda Storma. Pieniądze zostaną dostarczone w sobotę.

— Ten telegram — chrząknął Langdell —jest zawsze zaszyfrowany. Skąd on to wie? Jakie ma prawo o tym mówić, jeśli wie? Takie gadanie to głupia rzecz. To sprawa banku.

— Pomyślałem, że powiem.

— Nie biegaj do mnie z rzeczami, których nie mogę użyć.

— Nie chce pan, żebym wkrótce zobaczył się z Redmainem? — upierał się mały człowieczek.

— Nie — oznajmił Langdell. — Wynoś się. — Przysunął krzesło do biurka i pochylił głowę. Jego pióro coś zapisało i zatrzymało się w powietrzu; odepchnął krzesło, i zaczął wpatrywać się w małego człowieczka, który stał jak cień w kącie. — Skąd ci przyszło do głowy? — warknął Langdell.

— Co?

— Nie blefuj. Znasz Redmaina bardzo dobrze, prawda?

— Ponieważ nie wolno mi dużo mówić — odparł mały człowieczek — używam więc oczu i uszu, w znacznej mierze.

— Myślisz, że tego spróbuje?

— Jadł surowe mięso i lubi jego smak — odparł mały człowieczek. — Mógłby tego spróbować, gdyby mu o tym powiedziano. A w każdym razie, może by spróbował, gdyby mu kazać; albo kazać mu tego nie robić.

— Jesteś zbyt mądry — powiedział Langdell, marszcząc brwi. — Za dużo wiesz.

— Jeśli chce pan żeby to zrobił, lepiej pojadę się z nim zobaczyć. Jeśli pan nie chce, to też lepiej się z nim zobaczę. Co mam robić?

Langdell wstał i nalał sobie drinka; kiedy uniósł twarz, rozbłysło na niej zimne, morskie światło lampy.

— Zjadł za dużo tego surowego mięsa, żeby mi się teraz przydać. Będę musiał z nim porozmawiać. Nie mów mu nic o pieniądzach. Powiedz mu, że w piątek będę na przeprawie przez Fish Creek. Ma tam być.

— Tak myślałem, że chciałby pan się z nim zobaczyć — powiedział mały człowieczek i wymknął się. Drzwi zamknęły się bezszelestnie, pozostawiając Langdella na środku pokoju, wpatrującego się w pustą szklaneczkę.

Mały człowieczek znalazł konia w szopie na tyłach domu i wyjechał z Sundown. Dwukrotnie krążył, zmieniał kierunek i wracał na swój szlak. Dojechał do mostu, ale ominął go i przeprawił się przez potok w ciemnym miejscu. Przejechawszy ponad godzinę drogi od Sundown dostrzegł migotliwe światło obozu i zbliżył się do niego. Nie wahał się, nie szukał. W jednej chwili jechał w groźnej ciemności, a w następnej zeskakiwał z siodła obok ogniska, uważnie przyglądając się podrywającym się ludziom.

— Szef? — mruknął, podnosząc się na duchu papierosem. Nastąpiło długie opóźnienie. Ludzie mamrotali, rozległo się ciche wołanie. Wokół małego człowieczka wszyscy zakładali buty; w polu widzenia pojawił się Redmain.

— Któregoś dnia — stwierdził Redmain — ktoś cię tak podziurawi, że nie będziesz w stanie utrzymać w sobie nawet suchego siana. Za łatwo się tu przemykasz. Skąd wiedziałeś, że zmieniłem obóz?

— Wiedziałem — odparł mały człowieczek i zamilkł.

— Co się stało?

— Jest nowina — powiedział mały człowieczek. — Do banku przyjeżdżają pieniądze. Pewna osoba chce się z tobą spotkać przy przeprawie przez Fish Creek.

— Kazał ci powiedzieć o tych pieniądzach? — dopytywał się Redmain, a na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie.

— Nie. O pieniądzach mówię ci ja. Chcesz wiedzieć różne rzeczy, prawda?

Redmain wyciągnął rękę i przyciągnął małego człowieczka bliżej światła. Uważnie przyjrzał się jego biernej twarzy.

— Wścibski z ciebie szczur. Kto ci powiedział o pieniądzach?

— Słyszałem, jak Steers o tym mówił — oznajmił mały człowieczek. — Przywiózł wiadomość z Junction do Storma w banku. To było w saloonie. Steers trochę wypił.

— Pieniądze na wypłaty — zamyślił się Redmain i zdawał się być podejrzliwy. — Ale co Steers ma z tym wspólnego?

— Trudno powiedzieć. Obejrzałem jego konia. Wyglądało na to, że przyjechał z Junction. Koń był pokryty potem i żwirem z prerii.

— Kiedy to będzie?

— Pieniądze przybędą w piątek. On chce cię widzieć w sobotę przy przeprawie przez Fish Creek.

Redmain kiwnął głową. Mały człowieczek wsiadł na konia i zanurzył się w ciemnościach nocy, nie zdając sobie sprawy, że przekręcił daty.

Redmain stał potem długo przy ognisku, patrząc w migoczące węgle.

— Nie ufam mu i nie ufam Langdellowi — mruknął. — Nie ufam nikomu. Ale jeśli to prawda, to, na żywego Judasza, wydoję Sundown do sucha, zanim je podpalę. Do mnie - Hugo, Slats, Mexico - podejdźcie tutaj. Chcę, żebyście dziś gdzieś pojechali.

Mężczyźni podeszli bliżej. Redmain mówił szybkimi zdaniami.

— Jeśli to przynęta, dowiem się. Jeden z was będzie obozował w pobliżu Nightingale'a przez cały jutrzejszy dzień i do piątkowego popołudnia. Niech ma oko na oddalających się jeźdźców. Hugo, zrób to. Slats, to samo koło Denvera. Mexico, jedź na wzgórze nad Sundown i sprawdź, czy nie kręci się tam zbyt wielu ludzi.

— Leverage? — spytał jeden z ludzi.

— Leverage został wyeliminowany — oświadczył Redmain. — A ja zajmę się tym obozem. No dalej, ludzie. Jeśli to prawda, czeka na nas mała fortuna i ognisko, jakiego nigdy wcześniej jeszcze nie widzieliście!

— Jak się czujesz? — spytał Lyle Bonnet, stojąc naprzeciw Denvera w dużym pokoju domostwa D Slash.

— Pytasz mnie o to już czwarty raz w ciągu ostatniej pół godziny — odpowiedział Denver. — Wyglądam zdrowo, prawda? No i, tak właśnie się czuję.

— Wolałbym, żebyś tak nie utykał — mruknął Bonnet — i żebyś nie miał zawiązanej na temblaku lewej ręki. To na pewno wpłynie na twoją szybkość.

— Lyle, jeśli dalej będziesz tak krakał o katastrofie, zawiążę ci na ramieniu krepę. Przestań gapić się przez to okno. Co ty w ogóle widzisz?

— Mroczny, ciemny dzień — ponuro stwierdził Bonnet. — Przed nocą będzie padać. Może to nic nie znaczy, ale to zabawne, że zachmurzyło się tuż przed tym jak mamy wyruszyć na Redmaina.

— Im szybciej dzisiaj zapadnie zmrok, tym lepiej.

— Tak? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że to piątek, a dziś jest trzynasty? Nie mam w sobie ani krzty przesądności, ale nie widzę potrzeby, byśmy zbaczali z naszej drogi, żeby dołożyć sobie kłopotów.

— Wynoś się stąd, zanim się kompletnie załamiesz i rozpłaczesz — oznajmił Denver. Spojrzał na zegarek. — Czas zwijać manatki. Chyba jesteśmy dobrze zorganizowani. Dziesięciu ludzi wzdłuż Copperhead jest na objeździe. Siedmiu przeczesuje Little Bull Canyon w poszukiwaniu bezpańskich zwierząt. Czterech zostało tutaj. Pięciu szuka śladów Redmaina. Razem dwudziestu sześciu. Trzej chłopcy, którzy wzięli przepustki, to dwudziestu dziewięciu. Wszyscy pięknie się rozproszyli. To jest najważniejsze, Lyle. Nie możemy jechać w stronę Sundown w jednej grupie. Udało ci się przekazać wiadomość zwiadowcom?

— Mają przemieszczać się stopniowo w kierunku Sundown — powiedział Lyle Bonnet — i spotkać się w lesie za domem Loli Monterey. Aha.

— Zgadza się. Siódemka w Little Bull Canyon poczeka do zmierzchu i pojedzie w to samo miejsce. Natomiast grupa z Copperhead przyjedzie na ranczo, zje kolację i pochodzi trochę po podwórzu. Potem wymkną się stąd jeden po drugim. Może nam się to udać. Jeśli jacyś ludzie będą nas obserwować z krzaków, nie będą specjalnie mądrzejsi, bo będzie jeszcze tych pięciu, którzy zostają w domu i będą się zachowywać jakby oślepli. Przed ósmą wszyscy powinniśmy być już za domem Loli, gotowi do wykonania ruchu.

— Pozostawienie tych pięciu w domu zmniejszy naszą liczbę do dwudziestu czterech — zauważył Bonnet. — A jeśli po południu nie uda mi się skontaktować z Gallupem i Limerickiem Lane, to będzie nas dwudziestu dwóch. To za mało.

— Wystarczy, jeśli wszystko pójdzie dobrze — odparł Denver.

— Załóżmy jednak, że sprawy nie pójdą dobrze — dopytywał się Bonnet.

— Lyle, czy kiedykolwiek słyszałeś o jakiejś absolutnie pewnej rzeczy w tym pokręconym wszechświecie?

— Śmierć i podatki — mruknął Bonnet. — I podstępny charakter Lou Redmaina.

— Czas, żebyś jechał. Kiedy dotrzesz do Copperhead, wyślij jednego człowieka do Nightingale'a i powiedz Steve'owi, żeby był za Sundown przed siódmą.

— To pomoże — stwierdził Bonnet. — Jak się czujesz?

— Wynoś się stąd!

Bonnet wyszedł. Denver zaczął powoli chodzić po pokoju, starając się rozluźnić zesztywniałe mięśnie i stłumić dziką niecierpliwość płynącą w jego żyłach.

Hank Munn, który został wysłany przez Lyle'a Bonneta, aby ostrzec Steve'a, dotarł do Nightingale'a około południa i zastał domową część załogi na posiłku. Zarówno Nightingale, jak i Steve siedzieli przy stole, a

Munn chętnie przysunął sobie krzesło. Dopiero gdy zaspokoił apetyt i wstał od stołu, zaczął mówić o interesach, i to w bardzo swobodny sposób.

— Mamy dla ciebie dziewięć twoich zbłąkanych krów, Steve.

— Zaraz przyślę paru ludzi — powiedział Steve i leniwie podszedł z Munnem do konia tego ostatniego. Munn wsiadł na niego, zauważył, że są poza zasięgiem słuchu kogokolwiek i mruknął: — Denver mówi, że mamy być na małej polanie nad domem Loli Monterey około siódmej wieczorem. To wszystko. — I odjechał.

Steve zawinął sobie papierosa i poszedł na werandę. Po drodze zawołał dwóch swoich ludzi i kazał im pojechać po zabłąkane bydło. Następnie usiadł na schodach werandy i czekał, aż Nightingale podejdzie do stołu.

— Pomyślałem sobie — zastanawiał się Steve — że powinienem pojechać do Sundown, dziś po południu.

— Ty jesteś tu szefem — zgodził się Nightingale.

— Być może wrócę dopiero późno.

Nightingale nabił fajkę, a błękitne spojrzenie jego oczu przesunęło się po karku zarządcy.

— W międzyczasie świat będzie krążył po swej zwykłej orbicie — zauważył.

— Właściwie, to nie wiem, kiedy wrócę.

Zapałka Nightingale'a delikatnie zakrążyła w cybuchu fajki. Zapadła przedłużająca się cisza.

— Można by z tego wywnioskować — zastanowił się Anglik, — że natura twoich spraw jest niejasna do granic wątpliwości.

— Aha — odparł Steve. — Dokładnie tak, tylko jeszcze bardziej.

— Można by się zastanawiać — kontynuował Anglik z tym samym obojętnym spokojem — czy nie ma jakiegoś mistycznego związku między przybyciem dżentelmena z D Slash, a twoim wyjazdem.

— Czy to było aż takie oczywiste? — chrząknął Steve, odwracając się do swojego szefa. Na jego twarzy pojawił się niepokój.

— Nie aż tak — odpowiedział Anglik. — Ja tylko zastosowałem niewzruszone prawo fizyki. Akcja i reakcja. Mały kamyk wrzucony do kałuży zawsze wytwarza fale, które rozbiegają się po swej koncentrycznej trajektorii.

— Bez wątpienia masz rację — zgodził się Steve. — W każdym razie, zabrzmiało to, jak było to coś wspaniałego.

— Stary — powiedział Anglik — nie bądź taki skromny. Wiesz, nie jesteś aż tak trudny do odczytania jak babilońska tabliczka. Dwa i dwa nie zawsze daje cztery, ale bezpiecznie jest przyjąć taki wynik. Nie chciałbym wnikać w twoje sprawy, jednak przypomnę ci, że lubiłem Denvera. I nie polowałem ani nie łowiłem ryb od tak dawna, że nawet najstarsze szopy pracze tego nie pamiętają.

Steve popatrzył na Anglika.

— W porządku. Powiem ci to. Denver wcale nie umarł.

— Na moją świętą ciotkę — oznajmił Nightingale, wyciągając fajkę z ust. Jego rumiana, kanciasta twarz nigdy nie uginała się pod ciężarem emocji i nawet teraz nie zdradzała zdumienia, ale niebieskie oczy Anglika rozjaśniły się.

— Powiedziałem coś znacznie gorszego, gdy się o tym dowiedziałem — odparł Steve. — No cóż, jest jak najbardziej żywy. Udawał tylko martwego, żeby zmylić Redmaina. I ma plan, jak dopaść Lou. Nie mnie mówić jak i kiedy. Po prostu jadę do Sundown i zobaczysz mnie z powrotem wtedy, kiedy mnie zobaczysz.

Anglik ostrożnie strzepnął popiół, podniósł się i wszedł do domu.

— Ad interim[1] — zawołał ze środka, — stój tam gdzie jesteś.

Steve wzniósł w górę oczy.

— Któregoś dnia zamierzam złapać w palce jedno z tych twoich cudzoziemskich słówek i przypiąć je sobie do maty. Na razie staram się tylko inteligentnie wyglądać i mam nadzieję, że mnie nie przeklinasz. To pokazuje, jakimi ignorantami potrafią być ludzie. Przez te wszystkie lata myślałem, że Anglicy mówią tym samym językiem, co my.

Nightingale wrócił, z kapeluszem na głowie i przypiętą do biodra bronią.

— Wszystko, co nam jeszcze potrzebne, do zakończenia tej opowieści o wojnie na pograniczu, to zestaw szkockich dud. Może to ci się podobać lub nie, mój szanowny nadzorco, ale gdziekolwiek ty idziesz, ja pójdę za tobą. Prowadź.

Steve wstał.

— Panie Nightingale, to nie będą żarty. Bóg jeden wie...

— Zrządzeń Opatrzności — oznajmił Anglik z powagą — nie powinno się kwestionować. Trzeba się modlić i podążać za światłem sumienia.

Steve wskoczył na siodło. Nightingale wsiadł stojącego obok konia i razem ruszyli na północny zachód. Steve odkrył, że jego pierwszy podziw dla tego człowieka jeszcze się zwiększył. Nigdy nie udawał, że rozumie nastroje właściciela Bucket. Humor i powaga za bardzo mieszały się tu ze sobą, myśli tego człowieka były zbyt stonowane i nigdy nie wyrywały się na szerokie, dzikie, fantazyjne przestrzenie gór. Czasami Steve był pewien, że Nightingale niewiele rozumie z tego, co się dzieje, a innym razem, tak jak teraz, miał nieprzyjemne wrażenie, że obojętny sposób bycia hodowcy, kryje bystry i przenikliwy umysł. Niemniej jednak Steve zwykle czuł się w towarzystwie Nightingale'a swobodnie, ponieważ coś w Angliku przypominało mu Denvera.

Pojechali szlakiem nie zamieniając ani słowa, przecięli otwarte równiny górnego pasma Bucket i przemknęli przez bród na Helen Creek. Minęli grzbiet i podążyli szeroką drogą dla wozów prowadzącą do siedziby Lunta. Steve zamierzał skręcić w bok, ale tuż za domem usłyszał swoje imię wypowiedziane w tak znajomy, pewny siebie sposób. Natychmiast się zatrzymał. Nightingale wyprzedził go i popatrzył pytająco za siebie. Steve uśmiechnął się, mruknął:

— Zaraz do ciebie dołączę — i ruszył do bramy rancza.

Ścieżką szła Debbie Lunt, a jej ładna, wyrazista twarz przyglądała mu się uważnie.

— Przejeżdżałeś obok i nie zatrzymałeś się?

— Jestem dziś trochę zajęty, Debbie.

---

[1] Ad interim – w czasie robienia czegoś, podczas (przyp. tłum.)

— Nie widziałem cię od naszego popołudnia w Sundown.
— W międzyczasie byłem niemal wszędzie w okolicy.
— Najwyraźniej tak — powiedziała Debbie. — Wysłałam wczoraj Billa, ale nigdzie cię nie było.
— Zagwizdałam na Azora, ale on nie przyszedł, co?
— To nie jest śmieszne, Steve — powiedziała Debbie z rosnącym naciskiem. — Nie lubię tego rodzaju dowcipu, jeśli to miał być dowcip. Jeżeli był to sarkazm, to powinieneś się wstydzić. Chciałam cię wczoraj zobaczyć. Coś usłyszałam. Nie możesz wejść na chwilę do domu?
Steve przesunął się w siodle, popatrzył na Nightingale'a czekającego w oddali i pokręcił przecząco głową.
— Debbie, teraz nie mogę.
Debbie wzruszyła niecierpliwie ramionami.
— Chyba nie powinnam nalegać. Ale będziesz mnie musiał wysłuchać. Steve, słyszałam straszną historię i nie wierzę w nią. Tata był wczoraj w Sundown i ktoś mu opowiedział straszne kłamstwo. Że zastrzeliłeś Danna.
Steve czekał. Debbie nie odrywała od niego wzroku i w końcu powiedziała:
— No i?
— To nie jest kłamstwo. Zastrzeliłem go.
— Steve!
Cofnęła się, przyłożyła dłoń do twarzy i nagle kolor jej policzków przygasł. Wpatrywała się w niego jak w kogoś obcego. Odetchnęła szybko.
— Nie wierzę w to.
— Powiedziałem ci, Debbie.
— Och, Steve! Dlaczego?
— Ponieważ powiedziałem, że to zrobię — odparł Steve. Dziewczyna zacisnęła dłonie - znak, który znał od dawna i którego się bał. Gniew Debbie sięgał głęboko.
— Z powodu Dave'a Denvera?
— Zgadza się.
— Więc pobrudziłaś sobie ręce, zrobiłaś z siebie mordercę - z jego powodu! Jakim prawem ten martwy człowiek zmusił cię do czegoś takiego? Wiem, że był twoim przyjacielem! I co z tego? Nigdy go nie lubiłam i nie lubię teraz! Ten człowiek mną gardził! I potrafił owinąć cię wokół palca, kiedy tylko zechciał! Przyjaciel! Jak daleko można się posunąć dla przyjaciół?
Steve siedział w siodle nieruchomo jak skała, przyjmując karę bez zmiany wyrazu twarzy.
— Tak daleko, jak przyjaciel posunąłby się dla mnie. Tak daleko, jak posunąłby się Dave, czyli aż do piekła, gdybym go o to poprosił.
— Zawsze myślałeś o Denverze więcej niż o mnie! — zawołała Debbie. — Teraz też!
— Gdybyś rozumowała trzeźwo — odpowiedział Steve — nie mówiłabyś tak. To tak samo, jakby powiedzieć, że befsztyk smakuje lepiej niż pachnąca róża. Te rzeczy nie są takie same.
Odrzuciła głowę do tyłu.

— Musimy to rozstrzygnąć, Steve! Musimy to rozstrzygnąć! Spodziewam się ciebie dziś wieczorem na kolacji.

Steve westchnął.

— Debbie, wygląda na to, że prosisz mnie dziś o rzeczy, których nie mogę zrobić. Będę dziś wieczorem w Sundown.

Debbie odwróciła wzrok, miała wzburzone oczy. Zagryzła wargi, poruszyła się niespokojnie.

— Przypuszczam więc, że muszę poczekać. Jeśli to sprawy rancza, to muszą być przede mną. Przynajmniej cieszę się, że masz pracę, która powstrzymuje cię od leniwego włóczenia się po wzgórzach.

Steve nic nie odpowiedział, a Debbie rzuciła mu szybkie wyzywające spojrzenie.

— To jest sprawa rancza, prawda?

Wydawał się zastanawiać nad odpowiedzią.

— Nie mam zwyczaju kłamać. Nie, nie jest.

Debbie widziała tylko jedną alternatywę.

— Czy to ma coś wspólnego z Denverem lub Redmainem?

— W tej chwili — oznajmił Steve — nie mogę ci odpowiedzieć, Debbie. Następnym razem, gdy wrócę, zrobię to.

— A więc ma! — wykrzyknęła Debbie. — Jedziesz tam, by znów mieszać się w kłótnie Denvera! Steve, nie pozwalam ci na to! Ten człowiek nie żyje! Lou Redmain nic ci nie zrobił! Nie masz po co dalej walczyć. Nie pozwalam ci na to, słyszysz?

Steve odpowiedział bardzo powoli:

— Uważam, że nie masz prawa mówić mi, czy mogę iść, czy zostać, Debbie.

— Och, naprawdę? — Debbie wzięła się w garść. — Posłuchaj mnie, Steve! Jeśli nie wrócisz tu na kolację, możesz nie wracać w ogóle!

Powoli, ceglastoczerwony rumieniec wpełzł na szyję Steve'a.

— Mówisz poważnie, Debbie?

— Wiesz, że mówię poważnie! Masz być tutaj!

Steve zmusił ją do milczenia, zmieniając ton swoich słów.

— Ty głupia dziewczyno, szkoda, że Bóg nie dał ci tyle rozumu, byś wyszła spod deszczu. Byłem przepychany z kąta w kąt, prowadzony na sznurku, ciągnięty za uszy, przez ciebie i twoją rodzinę, aż dziw, że wciąż jeszcze noszę spodnie. Kto ci w ogóle powiedział, że mężczyznę można poprawić na siłę? Najwyższy czas poznać swoje granice. Nie jestem Świętym Mikołajem ani Lordem Fauntleroyem. Jest wiele rzeczy, które mi się we mnie nie podobają i mam dosyć rozumu, by o tym wiedzieć. I jeśli o nie chodzi, to mogłabyś mi je wypominać codziennie, przez siedem dni w tygodniu. Ale co do tego, jak mam się zachowywać w kontaktach z mężczyznami, jak daleko mam pojechać, kiedy mam wyciągnąć broń, co mam powiedzieć, to ani ty, ani żadna inna kobieta, żyjąca na tym świecie, nie ma prawa nic mi mówić. Wykonuję swoją pracę, dbam o własne sumienie bez niczyjej pomocy. I nie mam zamiaru poniżać się we własnym mniemaniu, ani chodzić z miną zbitego psa Jima Coldfoota. Wygląda na to, że chcesz mieć za męża manekina. Nie wystarczy ci bycie kobietą, bez prób bycia mężczyzną? Kto cię nauczył, tak traktować mężczyznę?

Zachowujesz się jak dziewięcioletnia dziewczynka, która boi się, że ktoś zabierze jej lalkę. Dorośnij i nabierz trochę rozumu. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy dałaś mi do zrozumienia, że wszystko we mnie jest pokręcone. W porządku, przyznaję. Musiałem wykonywać męską pracę, odkąd skończyłem dziesięć lat, a Yellow Hill nie jest miejscem, w którym zdobywa się wykształcenie uczonego i dżentelmena. Jeśli chodzi o Dave'a Denvera, to zawsze i wszędzie jest lepszym człowiekiem ode mnie. I zbyt wiele mu zawdzięczam, by pozwolić na wtrącanie się w nasze stosunki, rodzinie Lunt, w tym twojej mamie i tacie, twoim braciom i siostrom, twoim ciotkom, wujom i kuzynom, a także całej reszcie plemienia, które wiecznie oferowało mi darmowe porady na temat mojego postępowania. Jeśli jestem całkowitą stratą czasu, jak myślisz, to uwolnię cię od tego ciężaru, tu i teraz. Nie oczekuj mnie dzisiaj, ani żadnego innego wieczora. Pani, żegnam panią i życzę dobrego dnia.

Uchylił kapelusza, odwrócił się i odjechał. Nightingale dołączył do niego i pogalopowali przez łąkę. Gdy drzewa rozciągnęły, by ich otoczyć, Steve rozejrzał się; Debbie wciąż stała przy bramie i płakała. Steve jęknął, rzucił: „Do diabła!" i minął zdumionego Anglika.

Dotarli do miasta w środkowych godzinach popołudnia, przywiązując konie przed hotelem. Nightingale popatrzył swoimi niebieskimi oczami na Steve'a w oczekiwaniu na dalsze informacje.

— Mówię ci — zdecydował Steve. — Lepiej przyczaj się gdzieś, żeby nie zwracać na siebie zbytniej uwagi. Do siódmej nic się nie wydarzy.

— Może być — odparł Anglik. — Wezmę wszystkie dostępne gazety i rozsiądę się w bujanym fotelu na werandzie, by oddać się lekturze. Poślij odpowiedni gest ręką, gdy będziecie gotowi.

— Czytać? — chrząknął Steve, którego rosnące napięcie nerwowe nie pozwalało mu się uspokoić. — Wyobraźcie to sobie!

— No cóż, tak — mruknął Nightingale, odchodząc. — Ludzie znani są z tego, że to robią.

Steve zdryfował do najbliższej ściany budynku i oparł się o nią. Pod pretekstem zapalania papierosa przebiegł wzrokiem od jednego końca ulicy do drugiego. Sundown wydawało się zbyt puste, dopóki nie dostrzegł kątem oka tłumu wewnątrz budynku sądu. Szybko przeszedł na drugą stronę i wszedł do środka, a jego wejście zbiegło się z ostrym stuknięciem młotka. Sędzia właśnie rozpoczynał swoją przemowę.

— ...Tak więc, mając przed sobą wszystkie dowody, jestem zobowiązany do podjęcia decyzji. Strony sporu pamiętają, że chociaż szeroka i szlachetna struktura prawa zawiera i promieniuje sumą ludzkiej mądrości i ludzkich błędów, wypracowaną przez stulecia, nie można powiedzieć, że zawsze reprezentuje ono nieomylną sprawiedliwość. Prawo jest zarówno ucieleśnieniem zdrowego rozsądku, jak i arbitralnych reguł, bez których panowałoby niekończące się zamieszanie. Prawo jest coraz bardziej skrystalizowaną strukturą, namacalną substancją, formą i kształtem. Formy prawa są niejako szkieletem, który utrzymuje esencję ciała społecznego, a jeśli przypadkiem część tej esencji spadnie z tego szkieletu i spocznie na chłonnej ziemi, możemy jedynie powiedzieć, że nic, co wymyślił śmiertelny człowiek, nie jest doskonałe i nic, co wymyślił

śmiertelny człowiek, nie obejmie nigdy nieskończonych wyjątków doświadczenia społecznego i niezliczonych odmian ludzkiego zachowania. Mając to na uwadze, sąd podjął próbę doprowadzenia powoda i pozwanego do zgody, przed procesem. Nie udało się to, działania prawne nastąpiły, rozciągając swe męczące wytwory umysłu nad dziennymi kartami kalendarza.

Wysoki sąd przerwał i podrapał się po sędziowskim nosie.

Gdzieś z napiętej i wytężonej ciszy sali sądowej dobiegł przyciszony okrzyk.

— Prawda, bracie, prawda.

Szeryf Ortez oparł się o Steve'a i szepnął:

— Wszystko to z powodu pony za sześć dolarów, na skraju załamania nerwowego. Nikt nie może powiedzieć, że sędzia nie da im tego, za co zapłacili.

— W sprawie Wilgus kontra Tuggs — oświadczył sąd, — dotyczącej tożsamości i własności konia płci męskiej o problematycznym wieku, nieznanym pochodzeniu i niekończącym się oznakowaniu, rozstrzygamy na korzyść powoda. Tak postanowiono.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Wilgus podniósł się z miejsca i krzyknął.

— Cały czas mówiłem, że to mój koń i mogłem ci to powiedzieć od samego początku! Co moje, to moje, i będę to miał! Niech to będzie dla ciebie nauczką, Tuggs!

Trzasnął młotek.

— Pięć dolarów za obrazę sądu — oznajmił sędzia.

Wilgus ustąpił, mamrocząc. Wstał Fear Langdell.

— Wysoki sądzie, czy mogę podziękować za sprawiedliwy werdykt? Dla mojego klienta jest to wielkie potwierdzenie pewnej zasady. A teraz chciałbym przedstawić rachunek kosztów, który ma zostać wystawiony przeciwko pozwanemu do zapłaty.

— Możesz się założyć — mruknął Wilgus. — Przegrał. Niech zapłaci.

— Urzędnik odczyta zestawienie kosztów — powiedział sąd.

Urzędnik przyjął oświadczenie od Langdella, przesunął tytoń w ustach i przeczytał bez emocji.

— ...Przysięgam, że następujące pozycje zostały osobiście opłacone wcześniej przez powoda:

Za wynajem stajni u Grovera na dwa tygodnie - 15,00 dolarów.

Dodatkowa pasza - 37,75

Za 45 bel siana, dodatkową ściółkę ze względu na słaby stan danego zwierzęcia - 22,50

Za prace stolarskie, wyburzenie boksu w celu uzyskania dodatkowej przestrzeni, również ze względu na słaby stan zwierzęcia - 12.50

Za materiały, to samo - 8,30

Za uszkodzenie stajni Grovera, rozbicie boksu - 11.00

Za utracony czynsz za tak wyburzony boks - 15.00

Dla specjalnego stajennego do opieki nad koniem w zastępstwie szeryfa - 12.50

Za wizyty weterynarza, 14 x $5 za każdą - 70.00

Na lekarstwa, to samo - 16.20
Za nocne wizyty weterynarza, 4 x $10 - 40.00
Dziesięciu świadków, 1 dzień x $3 - 3.00
Dla czterech świadków, 2 dni x $3 - 24.00
Dla stanowego lekarza weterynarii, wezwanego do złożenia zeznań w sprawie oznakowania konia; opłata dla świadka, 1 dzień x $3 - 3.00
Dla stanowego lekarza weterynarii, koszty podróży - 36,37
Dla tego samego, wyżywienie i zakwaterowanie - 41,40
Koszty dodatkowe - 19,60
Do tego samego - 1.00

RAZEM $416.12

Sąd spojrzał na Ala Nilanda, nie dostrzegł żadnych sprzeciwów i powiedział:

— Tak postanowiono.

Znów dał się słyszeć głos Wilgusa, szepczącego do Langdella o swoim zaskoczeniu.

— Świetnie, Fear, możesz być pewien, że doskonale to rozegrałeś. Mówiłem ci, żebyś kontynuował, ale nigdy nie sądziłem, że dojdzie aż do takich wysokich sum. Przypuśćmy, że bym przegrał, też musiałbym tyle zapłacić?

Po sali sądowej rozniósł się pomruk niezadowolenia. Bogowie galerii uznali to za niezbyt fortunne zakończenie, do tej pory wspaniałej rozrywki. Tuggs siedział przygnębiony. Lecz Al Niland wstał, uśmiechając się w ten napięty i świetlisty sposób, o jakim Sundown wiedziało, że zwiastuje kłopoty. Cisza znów stała się absolutna. Niland odchrząknął i wykonał hojny gest w stronę Wilgusa.

— Gratuluję panu zwycięstwa w imię zasad. Dla takiego człowieka oddanego zasadom, za jakiego uważa pana całe Yellow Hill, werdykt musi być szczególnie przyjemny. Wydaje się, że w tym momencie oskarżonemu nie pozostaje nic innego, jak tylko zapłacić rachunek i wziąć się w garść. O ile Tuggs będzie w stanie to zrobić, zrobi to. Na szczęście wydaliśmy bardzo mało na tę sprawę, mając niewiele do wydania. Myślę, że nasze koszty wyniosą około dwunastu dolarów. Uprzejmy przyjaciel Tuggsa był na tyle hojny, by je pokryć. Jeśli chodzi o rachunek wystawiony przez powoda, chętnie zapłacimy wszystko, co w naszej mocy, a w tym celu Tuggs sporządził dla mnie listę wszystkich swoich ziemskich dóbr. Obejmują one dwa koce, trzy kołdry, kilka naczyń, komplet ubrań, który nosi, harmonijkę ustną i jedną walizkę. Szacunkowa wartość, wynosi pięć dolarów, przy wymuszonej sprzedaży, z wyłączeniem ubrania, które zgodnie z prawem ma prawo zatrzymać. W związku z tym, Wysoki Sądzie, natychmiast zapłacimy pięć dolarów, zostawiając panu Wilgusowi do pokrycia tylko 411,12 dolarów.

Powstały ryk niemal uniósł sufit sali. Sędzia wstał i zaciekle uderzył młotkiem, a ponad całym tym zamieszaniem i wściekłością wzniósł się udręczony pisk Fleabite Wilgusa.

— Jeszcze się przekonamy! To nie tak! Nie daruję z tego ani grosza! Założę zastaw na każdą rzecz, jaką ma! Jest inwentarz, są narzędzia!

— Cisza na sali! — krzyknął sędzia.

— Nie możecie mnie obedrzeć ze skóry! — wrzasnął Wilgus i potrząsnął pięścią w stronę sędziego. — Ty też nie, ty pyskaty sukinsynu!

— Dwadzieścia pięć dolarów za obrazę sądu! — zagrzmiał wysoki sąd.

Niland wciąż stał i się uśmiechał. Jego odpowiedź uciszyła salę.

— Jak na człowieka z zasadami przystało, panie Wilgus, nie powinien pan sprzeciwiać się tej kwocie. Jeśli może pan znaleźć coś więcej do dołączenia poza wspomnianymi artykułami, proszę bardzo. Tuggs wynajmuje dom, w którym mieszka. Wynajmuje narzędzia, uprząż, drewno, którym rozpala ogień. Miał pięć sztuk bydła mlecznego, które dziwnym zbiegiem okoliczności sprzedał dwadzieścia cztery godziny przed złożeniem pozwu. Ma jednego konia, pożyczonego mu przez zmarłego Davida Denvera. Poza tym nie ma nic. Koń, którego można było kupić za dwadzieścia dolarów, teraz kosztuje ponad czterysta. Takie są zasady, panie Wilgus.

Wilgus potrząsnął pięścią na swojego adwokata.

— Niezły z ciebie prawnik! Dlaczego nie powiedziałeś mi, że on nic nie ma? Co w ogóle sprawiło, że tak bardzo zawyżyłeś rachunki?

Przez cały ten czas Langdell pozostawał zdystansowany i lekko rozbawiony. Przerwał Wilgusowi kurtuazyjnie.

— Mówiłem ci, że lepiej będzie, jeśli kupisz konia, Wilgusie. Mówiłem, że inaczej nic nie zyskasz. Proszę cię, bądź na tyle uprzejmy i przestań wymachiwać mi pięścią przed twarzą!

— Zapłaciłeś rachunki z własnej kieszeni! — krzyknął Wilgus. — Tylko spróbuj wyciągnąć ode mnie jakiekolwiek pieniądze! Zobaczysz!

— Pieniądze — odparł Langdell, tak cicho, że usłyszały go tylko pierwsze rzędy — zostały już odliczone od sumy, którą jestem ci winien za zakup bydła. Łącznie z opłatą adwokacką w wysokości 150 dolarów. Przestań besztać własnego prawnika, ty głupcze.

Wilgus wydostał się z przedniej części sali sądowej i ruszył ku wyjściu. W tym samym momencie wszedł Grover, stajenny.

— Wysoki sądzie — zawołał, — czyjego konia mam u siebie?

— Oddaj go Wilgusowi — nakazał sąd.

— W porządku — chrząknął Grover. — Weź zaprzęg, Wilgusie, i wyciągnij go z mojej stajni. Zdechł na mnie, dwadzieścia minut temu.

Sala sądowa zmieniła się w dziwną scenę, na której trzydziestu lub więcej ludzi padło na ławki, a dzikie wycie śmiechu buchnęło w niebo, wędrując wzdłuż Main Street.

Steve przepchnął się na ulicę, chwilowo w lepszym nastroju. Langdell wyłonił się z sądu z grobową ironią na twarzy; wtedy wyskoczył za nim Wilgus, zatrzymał Langdella i obrzucił go przekleństwami.

— Słuchaj, ty! Pozbawię cię za to prawa wykonywania zawodu! Nie myśl sobie, że tego nie zrobię!

— Skończyłem z tobą, Wilgusie — odparł Langdell, zimny jak lód. — Nie chcę mieć z tobą więcej nic do czynienia. Zlekceważyłeś moją pierwszą radę. Wziąłem twoją sprawę pełen wątpliwości. Teraz, gdy jest

już po wszystkim, mogę powiedzieć, że nie żałuję wyniku. Gardzę twoim obłudnym zachowaniem, ty brudny gnojku. Przyjmij ode mnie ostrzeżenie: Jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie w taki sposób, jak przed chwilą, rzucę ci wyzwanie na ulicy. Wynoś się stąd!

Wilgus popatrzył na niego i szybko się oddalił. Ostatnią rzeczą, jaką Sundown zobaczyło po tym człowieku, były dwie poły płaszcza sunące Prairie Street, powiewające na grzbiecie pędzącego konia. Langdell wyciągnął chusteczkę, strzepnął strzępek kurzu z rękawa i skierował się w stronę swojego biura, rzucając Steve'owi niezobowiązujące spojrzenie. Zaraz potem w drzwiach sądu pojawił się Niland. I wtedy złowieszczy ciężar nadchodzących wydarzeń spadł na ramiona Steve'a z niemal fizycznym bólem. Spojrzenie Nilanda ostrzegło go. Razem doszli aż do hotelu.

— Coś nowego? — mruknął Niland.

— Zbieramy chłopców. O siódmej, za domem Loli Monterey.

— Co mam robić?

— Żadnych instrukcji. Poczekaj do tego czasu i przekradnij się tam.

— Ostrożnie, ostrożnie — przerwał mu Niland. — W tym mieście są ludzie Redmaina. Nie sami jego jeźdźcy, ale sympatycy. Co zamierza zrobić Dave?

— Musisz go zapytać. Szkoda, że nie mogę się napić.

— Nie teraz — rzucił szybko Niland. — Na Boga, albo wszystko pójdzie dobrze, albo będzie to najgorszy bałagan, jaki kiedykolwiek się wydarzył. Szczerze mówiąc, jestem zdenerwowany. Jak on ma zamiar trzymać dwudziestu lub nawet więcej ludzi na obrzeżach Sundown przez całą dzisiejszą noc i większość jutrzejszego dnia, nie będąc zauważonym? Redmain uwielbia takie sytuacje.

— Wiem. Która godzina?

Niland spojrzał na zegarek.

— Czwarta trzydzieści.

Steve wypuścił potężny oddech.

— Wielkie nieba…

Obaj podeszli pod hotel. Powoli zbliżał się do nich jeździec.

— Limerick Lane — mruknął Steve. — Albo on wie coś, co powinniśmy wiedzieć, albo my wiemy coś, co powinien on.

— Wracam do biura. Nie powinienem tak się wałęsać z ludźmi. Do zobaczenia później.

Niland odwrócił się. Limerick skierował konia w stronę chodnika i spojrzał na Steve'a.

— Masz zapałki?

Steve podał mu jedną. Limerick zapalił papierosa i wyrzucił zapałkę, rzucając okiem na ulicę.

— Co tam ostatnio słychać, Steve?

— To nie jest pytanie — chrząknął Steve. — Wiem to, co wiesz ty, aż do dzisiejszego południa. Co będzie dalej?

Limerick uśmiechnął się wesoło, ale jego ciche słowa wyrażały niepokój.

— O to chodzi. Myślałem, że jesteś w to wprowadzony. Nie miałem kontaktu z Bonnetem od dwóch dni. Wpadłem na coś kilka godzin temu i boję się zaryzykować, jazdy na ranczo i namierzenia. Nie powinienem już należeć do D Slash. Te bandziory mają na oku całą okolicę. Co mam zrobić?

Ulica pociemniała w niewytłumaczalny sposób; ciało Limericka poszarzało. Steve spojrzał na niebo, wypełnione czernią; odległy grzmot wysłał swój ostrzegawczy huk po nieboskłonie.

— Jakie masz informacje? — spytał Steve, coraz bardziej zaniepokojony.

— Jakieś dwie godziny temu przeciąłem stary, podniszczony szlak na północ stąd. Było na nim mnóstwo śladów, wystarczająco gorących, by ugotować jajka. Myślę, że to był Redmain, jadący w szybkim tempie na południe. Rozumiesz? Południe to D Slash, Nightingale, Steele, Leverage. Do diabła, południe może być wszystkim.

— Posłuchaj — powiedział Steve z powagą — zabierz się stąd powoli i popędź konia, gdy znajdziesz się za drzewami. Dave powinien się o tym dowiedzieć. Wie, że Redmain jest inny.

— Powiedziano mi, żebym tam nie wracał — zastanawiał się Limerick. — Kazano mi tu zostać i przekazać wiadomość pierwszemu człowiekowi z D Slash, którego zobaczę.

— Nieważne - jedź. I nie pozwól, by osiadł na tobie kurz, Limerick. Za godzinę Denver wyruszy w drogę tutaj!

Limerick zastanowił się, zapominając o uśmiechu.

— Przypuszczam, że masz rację — mruknął. — No cóż, będę musiał się napić i postarać się przez kilka minut wyglądać jakbym leniuchował.

— Jeśli potrafisz zagrać coś, co choćby przypomina wyglądem lenistwo — powiedział Steve — to jesteś lepszym aktorem ode mnie. Ja mam teraz gorączkę bagienną.

Limerick skinął głową i odjechał. Steve poczuł, że ciężka kropla deszczu uderza w jego kapelusz. Nightingale był na werandzie, zagrzebany w stosach gazet. Steve zebrał się w sobie i ruszył do restauracji.

— Jeśli Redmain coś zwąchał i zamierza ponownie zajść Dave'a z flanki... — zaklął pod nosem. — Nie odważę się ruszyć z miejsca w obawie przed zachwianiem całego planu. To gra Dave'a, a ja muszę się jej ściśle trzymać!

Rozdział XIX

Bęben czarownika przemawia

Pierwszy słaby grzmot usłyszany w Sundown, dotarł również do D Slash. Stojąc koło okna, Denver zobaczył front burzy nadciągający znad prerii. Strugi deszczu uderzyły o dach werandy, a potem dzień się zakończył przed czasem. O piątej trzeba było zapalić lampy. Pół godziny później, gdy zjawił się Doc Williamson, świat był już całkiem ciemny i nastała mokra, burzowa noc. Williamson zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i stanął na chwilę przy otwartym ogniu, przyglądając się Denverowi.

— My też służymy — stwierdził ze spokojnym humorem — to znaczy ci, którzy tylko jeżdżą i mokną. Wyglądasz, jakbyś coś kombinował.

Denver skinął głową.

— Ta moja lewa ręka jest zupełnie do niczego, prawda?

— Jeszcze przez miesiąc, Dave.

— W takim razie zabandażuj mi ją mocno na piersi. Tak mocno, żebym nie mógł nią ruszać. Nie chcę żeby mi przeszkadzała.

Williamson otworzył swoją torbę.

— W porządku, Dave. To bardzo zabawny świat - i to jest cała suma wiedzy, jaką zdobyłem w ciągu sześćdziesięciu lat. Wydaje się to mało. W tym wszechświecie musi istnieć jakiś porządek, ale raczej trudno go znaleźć. Może to Yellow Hill jest poza schematem rzeczy. Usiądź.

Ani Denver, ani Williamson nie powiedzieli nic podczas bandażowania i rozglądania się wokół siebie. Później, gdy doktor zakładał swój płaszcz przeciwdeszczowy, jeźdźcy wrócili z Copperhead. Bonnet wszedł do środka, woda spływała z niego strumykami.

— Jak na razie wszystko w porządku — skomentował. — Ale żadnych znaków. I nic więcej nie da się teraz znaleźć.

— Zjedz kolację — powiedział Denver.

Bonnet wyszedł, zostawiając Williamsona stojącego w zamyśleniu na środku pokoju. Coś w umyśle tego smaganego przez wiatry pasterza poruszyło się w kierunku ekspresji, ale nigdy się nie ujawniło. Denver przerwał ciszę.

— Dalej jedziesz do Leverage'a?

— Zgadza się.

Denver sięgnął do kieszeni i wręczył Williamsonowi list.

— Przekażesz to Eve? Chcę, żeby się dowiedziała.

Williamson przyjął list z obojętnością.

— Myślę, że nie przekażę jej tego, zanim nie będę gotów do wyjazdu z domu Leverage’a. Nie chcę widzieć jej miny, kiedy to przeczyta, Dave.

— Wiem — odparł Denver. — To jeszcze jedna z rzeczy, które mam na sumieniu. Myślę, że mam wiele rzeczy, za które będę musiał odpowiedzieć. I być może wkrótce będę za nie odpowiadał.

— Aż tak źle?

Denver wskazał na zewnątrz. Daleki błysk błyskawicy rzucił przez okno słaby blask; długi, przeciągły huk grzmotu przetoczył się przez otchłań nocy.

— Słyszysz to, Doc? Bębny czarowników przemawiają. — Stojąc naprzeciw Williamsona, zdawał się rosnąć od ciemnego ognia swej wewnętrznej natury; wydawał się wyższy, bardziej ponury. Kości policzkowe jego kanciastej twarzy widocznie się wyróżniały, a zmierzwiona głowa lśniła czarnym blaskiem. Gdy odwrócił głowę, jego oczy rozbłysły światłem, a potem zmieniły się w głęboko zapadnięte plamy cienia. — W tym kraju nigdy nie wydarzyło się nic ważnego, czego bym nie przeczuł. Ta niespokojna kraina wydaje się używać mnie jako swego narzędzia komunikacyjnego. Tak było zbyt wiele razy. Słyszałem to w ten czy inny sposób - grzmot na dworze, odgłos Copperhead na wzniesieniu, lub w absolutnej ciszy letniej nocy. Niewidzialny telegraf. Bębny czarowników. Jakkolwiek chciałbyś to nazwać. Ale to ostrzeżenie jest faktem - tak jak teraz. Żyłem zbyt blisko tego kraju i walczyłem z nim zbyt długo, by kiedykolwiek pomylić się co do jego nastroju. Myślę, że jestem w połowie dzikusem.

— Ostrzeżenie osobiste? — spytał spokojnie Williamson.

— Nie-nie potrafię tego tak dokładnie określić. Ale człowiek może czasem czuć, że coś stoi przed nim, przeczucie zdarzeń, które mają się wydarzyć. Powiem ci to, Doc. Redmain i ja celowaliśmy do siebie przez dosyć długi czas i byłbym gotów przysiąc z absolutną szczerością, że jeden z nas zginie z ręki drugiego. Nie jestem tym zestresowany. Fakt jest faktem, ani mniej, ani więcej. Nie jestem nawet przesadnie ciekawy wyniku. To po prostu jedna z tych rzeczy, z którymi człowiek musi się zmierzyć. Co ma być, to będzie. Spotkało mnie tak wiele szczęśliwych zrządzeń losu, że trudno by ktokolwiek mógł oczekiwać więcej; zawsze nadchodzi czas, kiedy fortuna przechyla w drugą stronę. Zawsze wierzyłem, że pewnego dnia ten kraj mnie dopadnie. Nie wiem, czy Redmain jest do tego odpowiednim narzędziem. Ale czymkolwiek jest, jest niebezpieczny dla ludzi.

— W tej kwestii, zgoda — stwierdził Williamson. Westchnął i popatrzył z tęsknotą na ogień. — Któregoś dnia chyba przejdę na emeryturę, posiedzę tydzień przy takim ogniu i zafunduję sobie zupełny spokój.

— Nie rób tego jeszcze przez parę dni — powiedział Denver. — Będziesz miał wielu klientów.

— Mam nadzieję, że nowych, jeśli już jacyś muszą się pojawić. Znudziło mi się chodzenie po moich starych pacjentach. To dotyczy również i ciebie. Bądź ostrożny.

Wyszedł na dwór i zgubił się w rozszalałym żywiole. Denver podszedł do półki na broń, zdjął z kołka pistolet w czarnym futerale. Pamiętał, że ostatnim razem, gdy po niego sięgnął, był jak piec, rozpalony żądzą zabijania. Dzisiejszej nocy nie odczuwał podobnego wiru emocji. Raczej

ogarnęło go poczucie, że jest nieuchronnie popychany ku kryzysowi w swoim życiu, na który długo się przygotowywał - kryzysowi wywołanemu nie przez człowieka, lecz przez siły pozostające poza jego kontrolą. To było tak, jakby palec przeznaczenia kreślący wykres jego życia osiągnął pewne miejsce, a głos stojący za tym palcem oznajmił: „W tym miejscu Davida Denvera czeka punkt zwrotny. Poczekamy, zobaczymy i do tego czasu nie narysujemy nic więcej". Przytrzymując jeden koniec pasa między biodrem a ścianą, zapiął go i potrząsnął rewolwerem, przywracając mu należytą pozycję. Wrócił Bonnet.

— Chłopcy już ruszyli, jeden po drugim. Mniej więcej połowa już pojechała. Nie ma szans, by ktokolwiek ich dzisiaj zobaczył.

— Może być — powiedział Denver. — Ale będziemy trzymać się pierwotnego pomysłu, by ich rozpraszać. Pięciu zostanie w domu.

— To już przygotowane. Twój koń jest pod szopą.

— W porządku. Lepiej już jedź.

Bonnet skinął beznamiętnie głową i wyszedł. Denver podszedł do kominka, wykopnął z niego polano i ruszył do sypialni. Nieco niezgrabnie założył płaszcz przeciwdeszczowy i zgasił lampę. Boczne drzwi wyprowadziły go na werandę, poza blaskiem kuchennych świateł. Stał tak przez kilka minut, wyłapując tu i ówdzie niewyraźną sylwetkę jednego czy drugiego ze swoich ludzi, wymykającego się z podwórza. W końcu przeszedł przez deszcz do czekającego na niego konia, wspiął się na siodło i ruszył w nocne ciemności.

Przez całą drogę przepełniał go ten sam niezmącony spokój; przez całą drogę myśli Denvera krążyły wokół pewników jego życia. Tu żal, tam blask głębokiej dumy; przeszłość i teraźniejszość biegły dziwnie razem. Piosenka Loli z dawnych lat, wciąż niosąca do jego wewnętrznego ucha wibracje jej uczuć. Ciągle świeże wspomnienie czasów, gdy szedł po ciemku drogą o zmierzchu, czując uścisk dłoni ojca i słysząc, jak ojciec mówi: „Teraz jej nie ma, synu, i będziemy musieli jakoś sobie radzić". Pewne oczy Eve błyszczące w jego stronę ze swobodnym humorem lub poważnie, ale zawsze spoglądające prosto i jasno. A przez wszystkie te obrazy, jak powracająca nić przecinająca wzór, przesuwała się postać Redmaina: Redmaina wiecznie zwróconego ku niemu z płomieniem nienawiści, z pasją i żądzą zabijania na trójkątnej twarzy. Dlatego Denver jechał na północ, gdy wiatr i deszcz hulały po lesie, a błyskawice ukazywały udręczony świat. I w ten sposób dostrzegł światła Sundown, rozmyte i migoczące z południowego grzbietu. Rozglądając się, wziął kurs na jasne okno chaty Loli, ominął je i znalazł się w spokojnym kręgu swoich ludzi. Głos Bonneta przyciszonym głosem wymieniał nazwiska, od czasu do czasu któryś z jeźdźców rzucał cichą odpowiedź. Poza tym nikt się nie odzywał. Czas wlókł się niemiłosiernie; oczy Denvera wpatrzone były w okna Loli, a gdy przemknął w nich jej cień, zmagał się ze wspomnieniami, które już dawno chciał pogrzebać.

Ktoś powiedział:

— Steve i Niland. Dave już przyjechał?

— Tu jestem — mruknął Denver.

Byli pieszo i stanęli obok jego konia. Zeskoczył z siodła.

— Słuchaj — spytał Steve — czy Limerick Lane dotarł do ciebie?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Dobry Boże! — mruknął Steve. — Około czwartej przyjechał do miasta. Zlokalizował ślady Redmaina - świeże i prowadzące na południe.

Denver nic nie powiedział. Steve zachęcił go.

— Czy nic to ci nie mówi, Dave? To znaczy...

— To może znaczyć cokolwiek, Steve — mruknął Denver. — To może oznaczać, że coś zwietrzył, tak jak wcześniej. Może to oznaczać, że wyruszył, by spalić dolną część doliny. Może to oznaczać, że nie mam już rancza, ot tak. Może to też oznaczać, że jest teraz w Sundown i czeka na mnie. Nikt nie wie, co siedzi w głowie Lou Redmaina.

— No dobrze, a ty jak uważasz? — wtrącił Niland.

Po raz kolejny zapadła cisza. Ale kiedy Denver ją przerwał, Niland przypomniał sobie, co Cal Steele powiedział pewnego dnia u Grogana. „Kiedy ty i ja wątpimy w siebie, Dave nigdy się nie waha. Idzie do przodu i nic go nie powstrzyma". Stojąc tam, podczas tej ciężkiej nocy, przepełniony przeczuciami i na wpół strachem, Al Niland poczuł wspierającą, pocieszającą moc obecności i słów Denvera.

— Zróbmy to, co zaplanowałem — oznajmił Denver. — Wczoraj wydawało mi się to dobrym pomysłem i teraz też. Nie potrafię przewidywać forteli Lou Redmaina, nie mogę oczekiwać, że uda mi czytać w jego myślach. Jego ruchy są zbyt szybkie dla mnie. Będziemy działać zgodnie z planem.

Bonnet ponownie odczytał listę i ogłosił wynik.

— Jesteśmy tu już wszyscy, Dave.

— Cały tłum — powiedział Denver i odczekał krótką chwilę. — No to, zaczynamy. Przekradamy się do Sundown na piechotę, po kilku na raz i tak by nikt nas nie zauważył. Wczołgamy się do kilkunastu kryjówek, które mam obmyślone, i pozostaniemy tam przez całą dzisiejszą noc i całe jutro - dopóki nie pojawi się Redmain. Do tego czasu nie wydamy żadnego dźwięku, nie wykonamy żadnego ruchu. Kiedy Redmain i jego banda wejdą do Sundown, znajdą się między dwoma rzędami budynków. Niland podejdzie do dzwonka w budynku sądu i zadzwoni. W tym momencie wkraczamy do akcji. Liczę na to, że to się uda. Żadnego ruchu w tych kryjówkach. Nic nie może się wydać. I, Al, będziesz musiał trzymać się blisko swojego biura w tym czasie, aby użyć tego dzwonka. Zrozumiano?

Wokół rozległ się pomruk zgody. Denver kontynuował, rozdzielając ludzi i wskazując im miejsca.

— Munn i Jackson, pójdziecie na tyły pustej piekarni i wejdziecie do frontowego pomieszczenia na drugim piętrze. Nick i Bonnet, Phil Blaney i Phil Jewel - wy czterej na strych stajni. Uważajcie tam. Nocny strażnik Grovera jest na wpół głuchy, ale ma dobry wzrok. — Przeszedł tak przez całą listę, kończąc na samotnym i młodym poganiaczu o nazwisku Kalispell. — Przykro mi, Kalispell, ale masz najgorszą robotę. Musisz zebrać konie i odprowadzić je z powrotem na ranczo.

Kalispell nie skomentował słów swojego szefa, a ciemności skrywały jego uczucia. Denver powiedział:

— Munn i Jackson idą pierwsi. Trzymajcie się z dala od oświetlonych miejsc i idźcie poza szlakiem. Następna para ruszy za kilka minut.

Buty zachlupotały w błocie i przez krótką chwilę sylwetki odchodzących poganiaczy widoczne były w świetle domu Loli Monterey. Niland odezwał się do Denvera niemal szeptem.

— Znalazłem coś na temat Langa.

Denver odciągnął go na bok.

— Biorąc pod uwagę, jakie inne nazwisko jest z nim łączone, bądź ostrożny.

— Nigdy nie uda się udowodnić tego w sądzie — powiedział Niland — ale w transakcji brało udział trzech ludzi. Ty i ja znamy nazwisko tego, o którego się martwiliśmy. Przykro mi, jednak na to wygląda. Drugim jest Langdell. Co do Redmaina, nie mam pisemnych dowodów na to, że był trzecim, ale co to za różnica? Wszystko się zgadza.

Denver rzucił: — Poczekaj chwilę — i wrócił do przyczajonych poganiaczy. — Czterech do stodoły, naprzód — powiedział, po czym wrócił do Nilanda. — W porządku. Ale jak to zrobiłeś?

— Pewna kartka papieru w biurku… człowieka, którego lubiliśmy. Widniały na niej liczby oznaczające pieniądze za bydło. Liczby te były zwykle dzielone przez trzy. Poszedłem do Storma. Poprosiłem go, jako przyjaciela, o odpowiedź na pewne pytania. Nieważne, co odpowiedział, a czego nie, ani jak zdobyłem informacje, ale konto Langdella w banku w stolicy stanu pokazuje, gdzie trafiła jedna część z tych trzech.

— Al, jesteś tego wystarczająco pewien, by go za to powiesić?

Odpowiedź Nilanda była krótka.

— Tak, inaczej nic bym teraz nie mówił.

Denver chwycił Nilanda za ramię.

— Jeśli przez to przejdziemy, Al, zajmiemy się nim. Niech diabli pożrą jego czarne serce, wyjdzie z tego bez szwanku, bo nie możemy nic zrobić w ochronie imienia człowieka lepszego, niż on kiedykolwiek będzie. Chodź. Jesteśmy za wolni.

Ponownie zbliżył się do swoich ludzi.

— W porządku. Tym razem będzie was sześciu.

— Ja też już się wyniosę — powiedział Niland.

— Śmiało. Wiesz, co masz robić.

Wiatr przyniósł z miasta przyciszone fragmenty muzyki fortepianowej z Palace. Denver nasłuchiwał, nie mając nic lepszego do roboty ani żadnego innego sposobu, by odgonić od siebie mrożące krew w żyłach przeczucie katastrofy. Lola ponownie przeszła koło okna, a z komina jej domu wystrzelił deszcz iskier, które natychmiast zgasły. Rozszedł się zapach dymu drzewnego; niebem wstrząsnął huczący pogłos. Dobiegł słaby i pozornie odległy głos Steve'a.

— Pańskie konie na brzegu uciekają...

Z Sundown dobiegł stukot nagłych wystrzałów.

Uderzyło to Denvera jak walnięcie młotem, stanął jak wryty, mówiąc:

— To Redmain i znowu mnie złapał. Moi ludzie są rozproszeni po całym tym piekle.

Potem rzucił się w dół zbocza, wściekły na myśl o tym, że po raz kolejny dał się oszukać - wściekłość twardego wojownika, szalejącego bezmiernie z powodu ciosów, cięć i szybkich ripost nieustannie nieuchwytnego przeciwnika. Klął na drogę między drzewami, nawet nie zdając sobie sprawy, jakimi paskudnymi epitetami rzucał przed siebie. Steve biegł obok niego i krzyczał:

— Powoli, Dave, powoli!

Resztki jego ludzi ruszyły za nim, ślizgając się w miękkim błocie szlaku, dysząc ciężko tuż za jego plecami. Minął dom Loli, w chwili gdy jego drzwi się otworzyły. Stała w progu, kołysząc się, wołając w niepewne ciemności. Zbiegł po pochyłości, skręcając, by trafić w koniec ulicy, a Steve powtarzał raz za razem:

— Dave, niech cię diabli, powoli!

Z miasta dobiegała coraz silniejsza palba wystrzałów, a najsilniejsza wydawała się w okolicach saloonu Grogana. Biorąc to pod uwagę, skręcił ponownie i podbiegł na tyły pałacu. Bez słowa rzucił się w dół wąskiej uliczki, powalił na ziemię jakiegoś zbiegłego mieszkańca Sundown i dotarł na główną ulicę.

Zatrzymał się, a jego ludzie rozbiegli się na boki. Steve mruknął:

— Dobry Boże, jest ich pełno w całym mieście! Uważaj, są też w Palace!

Banda przestępców podzieliła się na sekcje. Byli przy hotelu, przy Groganie, w cieniu gmachu sądu; przemykali przez pasma światła i znów wpadali w czerń, robili szybkie wypady, zawracali i z powrotem szarżowali, a trzaskające detonacje broni zagłuszały wszystko inne. Światła luf migotały dziwnie. W Palace krzyknęła jakaś kobieta. Odgłos dwóch strzałów przeszył drzwi Palace, przez które wyjechał mężczyzna, mierząc prosto w Denvera. Denver uniósł broń i strącił go z siodła, ruszając w stronę saloonu Grogana.

— Załatwcie tego faceta na Prairie! — krzyknął. — I chodźcie!

Gwałtownie zadźwięczał dzwon sądowy. Ze wschodniego krańca miasta w zwartych szeregach nadciągnęli ludzie Redmaina. Denver i jego zwolennicy znajdowali się na samym środku ulicy, naprzeciwko szarży; stali tam, zalewając ogniem strzałów stłoczony cel. Konie padały, jeźdźcy koziołkowali nad nimi, wpadali na siebie i przeklinali. Głos Steve'a uniósł się dziko nad polem walki, przetoczył się przez Sundown niczym wezwanie do bitwy, a z rozdziawionych wrót stajni Grovera dobiegła odpowiedź Lyle'a Bonneta. Pędzący jeźdźcy Redmaina przemknęli do przodu. Denver uskoczył w bok, celując uważnie. Szkło zabrzęczało rozbijając się o dach werandy piekarni, a huk wystrzelonej w odpowiednim momencie salwy przeleciał nad jego głową, uderzając w kotłujących się jeźdźców; jeden z nich upadł na ziemię i przycisnął Denvera do ziemi. Denver pozbierał się i wycelował broń w bandytę. Ale ten człowiek już nie żył.

Bandyci skręcili w bezpieczne miejsce na Prairie Street i zawrócili. Pomknęli z powrotem, ostrzeliwując chodniki. W tym samym czasie korytarze gmachu sądu rozbrzmiewały odgłosem jakiegoś samotnego pojedynku; potem ludzie Redmaina zsiedli z koni przed hotelem i zorganizowali stanowisko obronne. Denver krótko zastanowił się nad

sytuacją. Za nim był czysty teren. Prairie Street była pusta, a Palace spokojny. Dwoje drzwi na prawo od niego znajdował się saloon Grogana, cichy jak grób. Po drugiej stronie, na jego drugiej flance, pojedynek w sądzie ucichł. A więc Redmain postanowił wycofać się na zachodni kraniec miasta i walczyć ze stacjonarnej pozycji. Za tą barierą rewolwerów znajdował się bank Eda Storma z szeroko otwartymi drzwiami.

Zapadła cisza, obie strony brały oddech, strzały między budynkami rozbrzmiewały tylko sporadycznie. Munn i Jackson zeskoczyli z drugiego piętra piekarni i wylądowali w błocie.

— Padnijcie — mruknął Denver.

Jego ludzie rozstawili się w ciemnych kątach po obu stronach ulicy. Grupa Bonneta, w stajni, prowadziła gęstą, stałą kanonadę. Po drugiej stronie bandytów jakiś odizolowany człowiek z D Slash strzelał od czasu do czasu. Deszcz spływał potężnymi strugami, bladoniebieskie blaski błyskawic słabo oświetlały miasto, a przy hotelu przykucnęli poplecznicy Redmaina. W zapadających ciemnościach wymiana strzałów nabierała tempa. Denver podjął decyzję.

— Dalej, D Slash!

Grupa Bonneta natychmiast podchwyciła pomysł i położyła silny ogień osłonowy na ganek. Denver ruszył wzdłuż chodnika; ludzie z D Slash wyskoczyli ze swoich schronień i pobiegli razem z nim. Z budynku sądu naprzeciwko rozległ się krzyk Steve'a. Strzelanina ze stajni nagle ucichła, a Denver usłyszał stukot ich butów, gdy zbiegali po obluzowanych deskach. Na werandzie zamigotał rząd świateł; huk salwy wypełnił mu uszy. Dookoła rozległy się wrzaski jego ludzi. Steve ruszył z krzykiem, a wezwanie chwyciło i poniosło ludzi z D Slash na werandę.

— Tylna strona! — zawołał Denver. — Wyszli z hotelu! Nie idźcie tą uliczką! Obejdźcie naokoło!

Popędził naprzód, po czym obrócił się i wybiegł z tłumu. Jakaś postać przekroczyła żółtą linię światła z banku. Dopadając do drzwi, zobaczył, że nagle zza lady podnosi się czarny Stetson. Naprzeciw niego stał Redmain. Bandyta zobaczył go i jego rewolwer wystrzelił w stronę drzwi. Denver rzucił się w bok i oparł broń o framugę, odpowiadając. Z tyłu trzasnęły drzwi. Redmain uciekł.

Denver wpadł do środka, przeskoczył ladę, jednym uderzeniem lufy rewolweru rozbił lampę ścienną i wyrwał na oścież drzwi, ponownie robiąc kroczek w bok. Pojedynczy pocisk roztrzaskał framugę obok niego. Przeskoczył przez drzwi, przykucnął w absolutnej ciemności. Buty Redmaina plaskały po miękkiej ziemi. Przestępca roześmiał się z goryczą, a potem jego śmiech zamarł. Odgłos jego kroków także ucichł.

Denver wycelował w ostatni punkt, w którym je słyszał i potykając się przebiegł przez stertę śmieci. Skaleczył się o drut kolczasty, odrzucił go i wycelował w ociekające wodą drzewa. Nad dachami domów Sundown ciągle rozlegało się staccato wystrzałów i poszarpane echa walki, z wolna zamierając w mniejszej intensywności. Denver zatrzymał się ponownie, nie słysząc nic z najbliższego otoczenia. Ruszył dalej, zanurzył się między drzewa i podążył ścieżką do Loli. Przez kryształowe krople deszczu prześwitywały światła jej domu, drzwi otworzyły się i przeszedł przez nie

jakiś mężczyzna. Denver przeklął imię Redmaina i rzucił się do przodu. Słyszał krzyk Loli nawet przez szum burzy, a kiedy dotarł do drzwi, wyrwał je i rzucił się naprzód, nie myśląc o czekającej na niego pułapce. Redmain cofał się powoli, z uniesioną bronią. Każdy rys tej trójkątnej twarzy był zniekształcony niemal nie do poznania: była to bezkrwista, demoniczna twarz z wyłupiastymi oczami, z których wylewała się nagromadzona przez całe życie nienawiść. Lola krzyknęła:

— Davidzie, uważaj! — i wyskoczyła ze swojego kąta, wyciągając ręce przed siebie, jakby chciała zatrzymać nieunikniony pocisk.

Redmain zawołał w odpowiedzi:

— Niech cię diabli, tym razem nie będzie pomyłki!

Mały pokój zatrząsł od kolejnych eksplozji, a światło lampy przygasło, do poziomu zduszonej ponurej poświaty. Lola upadła na kolana, a obie jej dłonie wyślizgnęły się z rąk Denvera.

— Lola! — zawołał Dave. — Mój Boże, co się…!

Światło ponownie rozbłysło. Lou Redmain leżał martwy za piecem. Lola kołysała się, oparta o Denvera, mówiąc cicho.

— Jak inaczej mogło to się dla mnie skończyć, Davidzie?

— Lola, trzymaj się mnie!

— Nie - nie podnoś mnie. Nie ma na to czasu. Chcę powiedzieć — urwała.

Blady owal jej twarzy odchylił się do tyłu, a miękka masa jej włosów spoczęła na jego ramieniu. Zamknęła oczy, rozchylając usta, a on myślał, że bezgłośnie odchodzi. Po chwili jednak ocknęła się, a z głębi jej jestestwa trysnęły żywe, nawiedzające ją emocje, które tak dobrze znał. Było to tak, jakby tym spojrzeniem przekazała mu wszystko, co jeszcze było warte przekazania; mówiąc mu ponownie o niezmiennym płomieniu miłości, który zawsze był tylko dla niego i taki pozostanie na wieczność. Denver strząsnął mgiełkę łez z oczu, pochylił się i pocałował ją.

— Płacę za swoje grzechy, Davidzie — wyszeptała. — Ale nie jestem smutna. Ukochany, żegnaj.

Kiedy umierała, na jej ustach pojawił się uśmiech.

Denver pamiętał, jak niósł ją do łóżka; pamiętał, jak złapał Redmaina swoim jednym sprawnym ramieniem i wyrzucił bandytę w błoto za jej drzwiami; i pamiętał, jak zamknął te drzwi w smutnej, słodkiej ciszy panującej w środku. Lecz w ciągu tej nocy upłynął czas, który wydawał mu się chwilą, a kiedy ocknął się z otchłani, stał na krańcu ulicy Sundown, a woda spływała mu po gołej głowie. Bardzo spokojnie i zdecydowanie umieścił wszystkie skarby, które mu dała, w komnacie swego serca i zamknął ją na klucz…

W Sundown strzelanina już ucichła. Światła znów rozbłysły w górze, a mieszkańcy miasta niespokojnie przemierzali ulice. Ludzie z D Slash wracali z opóźnieniem z południowego krańca miasta. Steve wybiegł z hotelu, wołając z niepokojem:

— Dave?

— Tutaj, Steve.

Steve odwrócił się błyskawicznie, jak terier.

— Gdzie byłeś?

— Rozliczałem się z Redmainem, Steve.
Steve nic nie mówił przez chwilę. Wydał z siebie przeciągłe westchnienie, a wkrótce zaczął trajkotać jak papuga.
— Cóż, to jest to i tamto do zrelacjonowania. Złapaliśmy około trzech czwartych z nich. Reszta nie przestanie uciekać aż do Starego Meksyku. Więzienie jest pełne.
— To kończy jedną część naszej pracy — odparł Denver. — Teraz niech bandą zajmie się ława przysięgłych. Gdzie jest Niland?
— W hotelu — powiedział Steve i uśmiechnął się. — Spójrz za siebie. Widzisz te wszystkie krzesła? Nightingale czytał na werandzie, kiedy przyjechał Redmain. Gdy zaczęły się fajerwerki, Anglik wyniósł wszystkie meble za hotel i okopał się. Naliczyłem na ziemi siedemnaście pustych łusek. A jak myślisz, gdzie jest teraz? Znalazł w hotelu gazetę, której jeszcze nie czytał. Więc to właśnie robi. Wyobraź to sobie!
— Steve — spytał Denver po dłuższej przerwie — kto został ranny?
— Munn — odparł powoli poganiacz. — Inni też oberwali. Ale Munn już nie żyje.
Nie mieli nic więcej do powiedzenia. Niland wyszedł na werandę hotelu. Denver podszedł i zawołał go.
— Została nam jeszcze jedna rzecz do zrobienia, Al.
— Widziałem, jak szedł do Grogana — powiedział Niland.
Prześlizgnął się obok Denvera i obaj ruszyli do saloonu. Zanim jednak tam dotarli, zauważyli Langdella idącego od strony budynku sądu; zatrzymał się, rozejrzał i wszedł do stajni. Niland i Denver poszli za nim. Langdell wyszedł na czas, by stanąć z nimi twarzą w twarz. Zatrzymał się gwałtownie; jego szczupła twarz odchyliła się do tyłu, jakby chciał lepiej ich widzieć.
— Gdzie jest Redmain? — spytał.
— Nie żyje, Fear — odpowiedział Denver. — Ale to ci w niczym nie pomoże.
— Lepiej uważaj, Denver.
— Z powodów, które znasz równie dobrze jak my — oznajmił Denver, — im mniej zostanie powiedziane, tym lepiej. Będziemy chronić imię dobrego człowieka i nie zrobimy nic, by je zbrukać. Łatwo ci się upiecze. Wyjedź z miasta za dziesięć godzin i nigdy nie wracaj.
Langdell uśmiechnął się zimno i niewesoło.
— Zdarzało mi się już blefować i rozpoznaję blef, gdy go widzę.
— Nie będzie żadnego postępowania sądowego — odparł Denver. — Czy to dotarło do twojej pokręconej głowy? Jeśli nie, to rozejrzyj się i zobacz, co dzieje się z innymi przestępcami dzisiejszej nocy. Powiedziałem ci, opuść miasto. Nigdy więcej nie wracaj na teren tego hrabstwa.
Langdell stał nieruchomo. Para jeźdźców galopowała w górę Prairie do Main. Denver odwrócił się. Właśnie przejeżdżał Williamson, a obok niego jechała Eve Leverage. Patrzyli prosto przed siebie, więc go nie zauważyli, ale Denver obserwował Eve, dopóki nie zsiadła z konia i nie weszła do hotelu, a kiedy przeniósł uwagę z powrotem na Langdella, zaczął się niecierpliwić.
— To wystarczająco dużo czasu.

— Pójdę już — powiedział Langdell. Minął ich, jakby nie istnieli i poszedł do swojego biura. Niland odezwał się z irytacją.
— To cholerna szkoda, że nie możemy go mocniej złapać za gardło. To mózg tej bandy.
— Nie jest w mocy istot ludzkich, by wymierzyć pełną sprawiedliwość — zadumał się Denver. — To leży w rękach lepszego sędziego.
— Niech tak będzie — zgodził się Niland. — Powiem teraz to, czego zwykle nie mówię - i prawdopodobnie nigdy więcej nie powiem. To był dla mnie samotny dzień, Dave, kiedy dowiedziałem się, że nie żyjesz.
Denver położył dłoń na ramieniu Nilanda.
— Zawsze byłem obdarzony dobrymi przyjaciółmi, Al. Oby tak było do końca tego życia. — Stali chwilę, przyglądając się sobie, odrobinę zakłopotani. Denver odwrócił się. — W naszym kręgu jest puste miejsce, Al. Proponuję dla niego nazwisko.
Niland zachichotał i wymienił to nazwisko.
— Almaric St. Jennifer Crèvecoeur Nightingale. Głosuję za.
Denver szedł do hotelu coraz szybszym krokiem. Steve stał w drzwiach, rozmawiając z jakimś młodzieńcem, niezbyt przyjemnym tonem.
— Bill, nie lubię cię. Czy to jasne? Jesteś bratem Debbie, ale cię nie lubię. I nie polubię cię, dopóki nie zmienisz swoich manier.
— Proszę posłuchać — prosił Bill — a co ja mam z tym wspólnego? Debbie powiedziała...
— W porządku. Co powiedziała?
— Kazała mi przekazać, że czeka na pana o każdej porze i w każdym miejscu. Że nie robi jej to żadnej różnicy.
— Nie przyjadę do Luntów na żadną kolację — padła stanowcza odmowa Steve’a.
— Powiedziała, że nie spodziewa się, iż będzie pan chciał — zgodził się Bill. — Niech pan powie, gdzie pan chce żeby ona przyjechała. Do licha, panie Steers…
W tym miejscu wtrącił się Denver.
— Steve, wyjdź za drzwi, a nie będę musiał wysłuchiwać twoich rodzinnych kłopotów.
Ale Steve nawet się nie ruszył.
— W porządku, Bill. Powiedz jej tak. Powiedz jej, że strasznie przepraszam za to, co powiedziałem. Ale mówiłem poważnie wtedy i mówię poważnie teraz. Powiedz jej, że może być szefem w domu, ale ja będę szefem poza domem. A dom, to mój dom. Powiedz jej, żeby spakowała swoje rzeczy i przyjechała tu jutro rano, a zostaniemy małżeństwem. Powiedz jej, żeby nie przyprowadzała żadnych swoich krewnych, bliskich czy dalekich. Powiedz jej, że jest mi przykro, że nie widzi we mnie niczego wartego małżeństwa, ale cieszyłbym się, gdyby coś zobaczyła. A teraz wynoś się stąd, szczeniaku, i nie chcę cię więcej widzieć przez jakiś miesiąc. Może w międzyczasie cię polubię.
— Ona tu będzie — powiedział Bill i pospiesznie odszedł.
Steve popatrzył na Denvera.
— Czy mam rację… czy mam rację?

— Będę ją kochał jak siostrę — powiedział Denver — jeśli mi na to pozwoli.

— Słuchaj — wykrzyknął Steve z zapałem — powiem jej to! Tylko uważaj, żeby to nie wyszło poza etap braterskiego zainteresowania. Wielkie nieba, myślałem, że ją straciłem!

Denver, popychany niecierpliwością, wszedł do hotelowego holu. W tłumie zobaczył Eve - i w tym samym tłumie Eve zobaczyła jego. Podniosła się z krzesła, stanęła naprzeciw niego i czekała z powagą. Denver przeszedł przez pomieszczenie. Williamson chciał wyjść przez wewnętrzne drzwi, a Dave, dotrzymując mu kroku, odezwał się cicho.

— Doc, chciałbym, żebyś poszedł do domku Loli.

Williamson wyglądał na zasmuconego.

— Czy została ranna?

— Chciałbym, żebyś się nią zaopiekował – po raz ostatni.

Williamson był wyraźnie wstrząśnięty. Eve zrobiła krok naprzód, szybko łapiąc oddech.

— Dave!

Denver skinął głową i nic nie powiedział. Williamson zacisnął usta i powoli odszedł.

— Była taka piękna — powiedziała Eve. — Piękna i kobieca.

Denver uniósł głowę. Rysy Eve były wyraźnie widoczne w świetle lamp; czyste i szczere. Z oczu opadła jej zasłona rezerwy i dostrzegł w nich głęboką obietnicę.

— Chodziło mi dokładnie o to, co napisałem w liście, Eve.

— Gdybym w to nie wierzyła, Dave, nie byłoby mnie tutaj. Ale ponieważ w to wierzę, nic na ziemi nie mogłoby mnie powstrzymać!

— Jestem Denverem — zadumał się — czarnym Denverem. Ale jeśli chcesz mnie...

— To wszystko, o co proszę — oznajmiła Eve i nagle w jej oczach pojawiło się światło, witalne i pełne blasku.

KONIEC